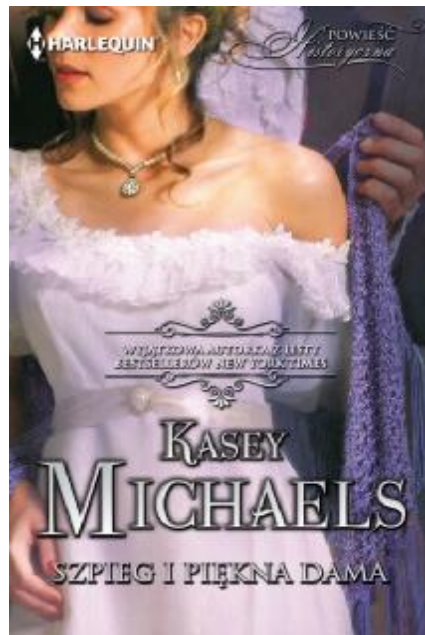




# *Kasey Michaels*



# *Szpieg i piękna dama*

*Tytuł oryginału: Much Ado About Rogues*

## PROLOG

Dickie Carstairs, krepły młody człowiek o dużym brzuchu i pogodnym spojrzeniu, stał odrobinę zbyt blisko latarni naprzeciwko gospody Pod Kaczką, aby pozostać niezauważonym. W zasadzie na tym właśnie polegało jego zajęcie – miał być widoczny przed głównym wejściem. Tak dobrze wywiązywał się z tego zadania, że urzędnik rządowy Miles Duncan nie tylko się nie niepokoił, ale szeroko uśmiechał, wymykając tylnymi drzwiami gospody.

Uśmiech jednak szybko znikł z urzędniczego oblicza, gdy ktoś mocno zacisnął dłoń na ramieniu Duncana, jednocześnie wyszarpując mu z rąk cienką torbę.

– Dobry wieczór panu – usłyszał Duncan. – A dokąd to szanowny pan się wybiera? Może pójdziemy razem?

Miles Duncan nie wydawał się zachwycony perspektywą spaceru w towarzystwie obcego jegomościa, ale nie zdążył wyrazić niezadowolenia, bowiem osunął się w cuchnącą kałużę utworzoną z zawartości dopiero co opróżnionych kilku nocników. Tak oto nieszczęsny urzędnik padł – pozornie – ofiarą jednej z brutalnych zbrodni, które były na porządku dziennym w tej londyńskiej dzielnicy.

Will Browning ze spokojem wyciągnął sztylet z Duncana i wytarł ostrze o płaszcz trupa. Następnie wsunął broń za cholewę buta i uwolnił zwłoki od sakiewki oraz zdobiącej fular szpili z granatu pośledniej jakości, by w ten sposób uwiarygodnić rabunkowy motyw zbrodni.

– Jack? – Uniósł brwi. – Proponowałeś, żebyśmy poszli razem? Cóż za osobliwa sugestia. Osobiście wolałbym nie udawać się tam, dokąd właśnie

dotarł ten jegomość.

Don John Blackthorn, lepiej znany jako „Black Jack”, już rozplątywał rzemyki przy torbie, aby upewnić się, że zawiera ona dokumenty, których odzyskanie zlecił im premier.

– Przy następnej okazji ty będziesz władał językiem, a ja sztyletem – odparł.

– Ha! Typowe. To, co najprzyjemniejsze, zawsze chcesz zagarnąć dla siebie.

Jack puścił tę uwagę mimo uszu, gdyż Will blefował. Nie miał wyrzutów sumienia ani wątpliwości podczas korzystania ze sztyletu bądź szabli.

Zapewne dobrze się stało, że znalazł zatrudnienie w służbach rządowych, w przeciwnym razie niewątpliwie już by wisiał.

Jack, Will i Dickie tworzyli osobliwe trio hultajów. Dickie, trzeci syn hrabiego, był towarzysko nieprzystosowany, choć powszechnie uważano go za miłego człowieka. Może i nie błyszczał dowcipem ani bystrością umysłu, za to wykazywał się spektakularną wręcz odwagą. Nie każdy miałby chęć nieustannie zajmować najbardziej wyeksponowane pozycje, tym samym narażając się na łatwy odstrzał. Dickie pełnił rolę publicznego oblicza tej grupki i dzięki niemu pozostali mogli dyskretnie wykonywać zlecenia. Will był ich zbrojnym ramieniem. Przystojny, bogaty, obyty i nienagannie ubrany ulubieniec wyższych sfer zawsze służył miłym słowem i uśmiechem, jednak jego morale budziło wątpliwości. Willa charakteryzowało swoiste utemperowane szaleństwo. Kto nie był mu przyjacielem, modlił się żarliwie, by nie zostać jego wrogiem.

Jack, mózg i nominalny przywódca owego tercetu, wszędzie czuł się obco. Jako nieślubny syn markiza Blackthorn nie chciał mieszkać w

rodzinnym domu wraz z braćmi i ogólnie stronił od towarzystwa. Był inny i już we wczesnej młodości dostrzegł tę różnicę. Głęboko w duszy trawił go ogień, potrzeba, której nie umiał sformułować, a co dopiero zaspokoić. W rezultacie stał się nieokiełznanym, impulsywnym młodzieńcem i na własnej skórze odczuł, jak twarde bywa życie.

Znalezienie pracy w charakterze jednego z najbardziej zaufanych tajnych agentów rządowych na pewien czas stłumiło w nim żar, ale teraz zaczynał się nudzić życiem na obrzeżach wydarzeń, jako ich obserwator, a nie faktyczny uczestnik. Swojego czasu uznał, że znalazł sposób na rozwiązanie własnego problemu, bo żadne inne zajęcie nie dawało mu satysfakcji. Potem jednak się zagubił, stracił cel w życiu i pojął, że już nigdy go nie odzyska. To, co robił teraz, było tylko przeplatana misjami pospolitą wegetacją.

– Niczego nie brakuje? – spytał Will, gdy dołączył do nich Dickie.

Pochylili się, aby rzucić okiem na papiery, które Jack pośpiesznie chował do torby.

– Nie poinformowano mnie o charakterze dokumentów, niemniej jest ich dość, aby lord Liverpool poczuł się usatysfakcjonowany – odparł Jack niezobowiązująco. – W przyszłości niewątpliwie będzie zwracał większą uwagę na to, komu powierza sprawy Korony. Tak czy siak, zostaniemy zanie wynagrodzeni za dzisiejszą pracę i summa summarum tylko to się liczy, czyż nie, panowie? – Zawahał się na moment, a następnie wyciągnął z pliku jedną z kartek, na której ujrzał znane mu nazwisko. – Do diaska.

– Jack, nie powinieneś tego czytać – zauważył Dickie. – Jeśli będziemy wiedzieli zbyt dużo, skończymy jak tu obecny nasz przyjaciel, a mnie nie podoba się okolica.

– On nie słucha, Dickie – mruknął Will. – Jack, jesteś bardziej zachmurzony niż zwykle. Czyżbyś miał jakiś problem?

Jack nadal był pogrążony w lekturze.

– Na to wygląda. Zdaje się, że markiz Fonteneau przepadł bez wieści.

– Doprawdy? Od dawna nie słyszałem tego nazwiska. Mowa o tym najemniku, będącym twoim przewodnikiem duchowym po mrocznej sztuce wojaczki? A potem wynikła ta sprawa z tobą i jego córką. Tess, tak miała na imię? Nigdy o tym nie napomykasz, niemniej zakładam, że historia ta nie zakończyła się szczęśliwie.

– On nigdy o tym nie mówi – powiedział cicho Dickie, kiedy Will nie doczekał się odpowiedzi.

Tymczasem Jack schował kartkę z powrotem i zamknął torbę.

– W każdym razie wojna dobiegła końca i wielka szkoda, bo nie tropimy teraz wrogów bardziej godnych naszego cennego czasu niżli ten urzędnik o wygórowanych ambicjach – oznajmił. – De Fonteneau zwolniono ze służby, a może spotkał go inny los, trudno powiedzieć. Dlaczego Liverpool się nim interesuje?

Dickie ostrożnie przeszedł nad zwłokami urzędnika, kiedy Jack ruszył przodem przez zaułek.

– Stare czy nowe tajemnice, pewnie dla Liverpoola są warte tyle samo – odparł.

– Rządy nigdy nie zdradzają swoich sekretów – mruknął Jack.

Nieoczekiwana wzmianka o Tess przywołała lawinę wspomnień, które wolały raczej pogrzebać w pamięci.

– Co zrobisz z zaginionym markizem, Jack? – spytał Will, kiedy wsiedli do nieoznakowanego powozu, który czekał na końcu alejki.

– Znajdą go – oświadczył Jack po chwili namysłu. – List Liverpoola do jego sekretarza dotyczy mojego następnego zadania. Ponieważ znam Sinjona najlepiej, zapadła decyzja, że to ja mam go szukać.

– Liverpool chce wiedzieć, co temu człowiekowi chodzi po głowie, odkąd trafił na zieloną trawkę? To chyba roztropne – zauważył Will i rozsiadł się na miękkich poduszkach.

– W rzeczy samej, całkiem roztropne. Trzeba go znaleźć i przesłuchać – przyznał Jack, obracając złoty pierścień z onyksem, który nosił na palcu wskazującym prawej ręki. – A następnie, dla dobra króla i kraju, należy go wyeliminować.

TTLRR

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lady Thessaly Fonteneau siedziała na ławce pod oknem. Jej szczupła sylwetka oraz gęste, jasne loki rysowały się wyraźnie na tle wpadających przez szybę promieni słońca. Tess ubrana była w wysokie ciemnobrązowe buty oraz skórzane spodnie. Głęboki dekolt białej, zbyt obszernej koszuli odsłaniał skrawek pełnych piersi ponad sfatygowaną kamizelką z brązowej skóry. Szyję Tess zdobiło owalne puzderko ze złota na cienkim, złotym łańcuszku. W środku znajdowały się dwa portrety, starszy i nowszy, oba namalowane ręką markiza. Puzderko niegdyś wisiało na czarnej aksamitce, lecz pewnego dnia ojciec Tess doszedł do wniosku, że nigdy nie należy ułatwiać zadania wrogowi – o ile cienki łańcuszek musiał się zerwać pod wpływem szarpnięcia, o tyle mocna wstążka mogła spełnić rolę garoty.

Tess charakteryzowała się klasyczną urodą, tak chętnie uwiecznianą przez artystów. Nie ulegało wątpliwości, że wywodzi się z arystokratycznego rodu. Miała delikatne rysy twarzy i biła od niej zmysłowość, dostrzegalna w szczupłych policzkach, prostym nosie, szerokich i kuszących ustach oraz orzechowych oczach za firanką czarnych rzęs.

Oczy te w tej chwili lśniły od z trudem powstrzymywanych łez.

– Gdzie, tatku? – westchnęła ciężko Thessaly, rozglądając się po zabałaganionym pokoju, który do niedawna był schludnym gabinetem markiza Fonteneau. Gruntownie przetrząsnęła pomieszczenie i teraz wyglądało jak po przejściu huraganu. Złość, frustracja i narastający strach sprawiły, że Tess traciła resztki panowania nad sobą. – Musiałeś zostawić mi jakąś wskazówkę.

Zabrała się do przeszukiwania skromnego domu tydzień wcześniej,



równy dobę po zniknięciu ojca. Działała bez pośpiechu, starannie i metodycznie, tak jak ją tego uczono. Zaczęła od służących, którzy albo nic nie wiedzieli, albo nic nie chcieli powiedzieć. Ze służbą nigdy nie miało się pewności, czy jej lojalność płynie z głębi serca. Ojciec Tess nie zatrudniał personelu na długo i często wymieniał służących, ponieważ zagrażali bezpieczeństwu rodziny. Wystarczył nieostrożny gest bądź słowo w obecności lokaja, aby sprawa miała daleko idące konsekwencje. Zawsze zakładaj, że otaczają cię wrogowie, powtarzał markiz. To bezpieczniejsze niż odprężanie się w towarzystwie ludzi, których uważasz za przyjaciół.

Tess dowiedziała się z opowieści ojca, że przed laty zdradził go zaufany służący, a wysoką cenę za niedyskrecję markiza zapłaciła jego ukochana żona, Marie Louise. Dlatego od tamtej pory służący nie byli o niczym informowani, a mimo to jeden z nich natychmiast zameldował w Londynie o nieobecności markiza. Tess mogła się o tym przekonać już parę dni później, podczas powrotu z wioski. W drodze do domu szybko się zorientowała, że jest śledzona przez skrajnie nieporadnego wywiadowcę służb rządowych.

Jak na razie nie było powodu, aby odprawiać służbę bądź zaprzętać sobie głowę szpiclem nasłanym przez Liverpoola. Kogokolwiek by zatrudniła, niewątpliwie i tak znalazłby się służący gotów ją szpiegować – naturalnie z wyjątkiem Emilie, która przyjechała z nimi, kiedy przed laty uciekli z Paryża. Tess w duchu podziękowała za nią opatrności.

Nie miała pojęcia, dokąd udał się jej ojciec ani czy kiedykolwiek wróci, i postanowiła dowieść wszem wobec, że nic nie wie o jego planach. Jej bezpieczeństwo zależało od niewiedzy, dlatego właśnie nie znalazła żadnego listu ani też żadnego ostrzeżenia. W ten sposób ojciec ją chronił.

– Ale przecież na pewno zostawiłby coś, cokolwiek, aby mnie zapewnić, że u niego wszystko w porządku – powiedziała głośno i wstała,



czując przyływ energii. – Po prostu tego nie widzę, i już.

Wyciągnęła klucz z kieszeni kamizelki i podeszła do szafy, która na specjalne zamówienie markiza została wbudowana w ścianę pokoju. Tess wsunęła klucz do zamka, przekręciła i otworzyła przeszklone drzwi. We wnętrzu mebla znajdowały się półki z różnymi przedmiotami, które jej ojciec kupił lub nabył drogą wymiany w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Były to ukochane skarby ojca, znaleziska w większości egipskie, choć nie brakowało także rzeczy ze starożytnego Rzymu i Grecji. W skład kolekcji wchodziły kawałki kamieni, wyszczerbione gliniane miski, mały posążek dawno zapomnianego bożka, pradawna fajka o ułamanym cybuchu. Były to cenne eksponaty człowieka, który poświęcił życie zemście. Tylko tyle pozostało z jego najwspanialszego i najwyżej cenionego zbioru w całej Francji.

Podczas poprzednich poszukiwań Tess nie dotykała przedmiotów z kolekcji, ale w tej chwili nie pozostało jej nic innego. Były ostatnią szansą. Jeden po drugim zdejmowała je z półek, patrzyła na nie uważnie, a następnie ostrożnie kładła na biurku. Jej frustracja narastała z minuty na minutę, aż wreszcie całą siłą woli musiała się powstrzymać przed ci- śnięciem do kominka ostatniego skarbu, połamanej fajki.

Nie znalazła absolutnie nic. Oparła dłonie o półkę i przycisnęła do nich głowę. Czowała się całkowicie pokonana.

– Unieś lewą stronę drugiej półki. Zobaczysz przycisk. Wciśnij go, a następnie zamknij drzwi i cofnij się o krok.

Tess wstrzymała oddech. Każdy mięsień w jej ciele zmienił się w ciężki kamień. Tego głosu nie słyszała od prawie czterech lat, ale nie potrafiła go zapomnieć. Nawiedzał ją w snach, każdej nocy powtarzał: „Kocham cię, Tess. Niech Bóg ma mnie w opiece, tak bardzo cię kocham. Pozwól, bym cię

kochał..

– To ty? – spytała, nie poruszając się. – Przysłali cię tutaj? Wiesz, to prawie zabawne, Jack. Uczeń przysłany na poszukiwania swojego mistrza. A ty się zgodziłeś, przyjechałeś tu, wiedząc, co w ostatecznym rozrachunku czeka was obu. – Odwróciła się powoli i oparła dłonie na krawędzi solidnej półki. Gdyby tego nie uczyniła, mogłaby osunąć się na kolana i zalać łzami. – Właśnie ty... Kto by pomyślał.

Stał nieruchomo, zbyt blisko, aby nie mogła go słyszeć i czuć. Nadal zapierał jej dech w piersiach, znała każdy centymetr jego ciała, którego miała okazję dotykać, smakować je i pieścić. Połączyła ich namiętność, zbyt nieopanowana, by jej się oprzeć. Ich bliskość okazała się jednak ogniem, którego nie dało się podsycić.

Jej kochanek miał nie tylko czarne włosy, ale też mroczną duszę i zimne serce. Nawet jego zielone oczy były ciemne, nieprzeniknione pod czarnymi łukami brwi. Wyglądał jak wyrzeźbiony w kamieniu przez wybitnego artystę. Jego szczupłe, umięśnione ciało było doskonałością samą w sobie.

Tess nie mogła oderwać wzroku od jego warg, których kąciki uniosły się teraz w uśmiechu.

– Wspaniały strój, Tess. Wątpię, aby te skórzane spodnie tak dobrze leżały na pierwszym właścicielu.

Momentalnie powróciła do rzeczywistości i wykorzystała uwagę Jacka, aby wygłosić równie kąśliwy komentarz pod jego adresem.

– Nie zauważyłam. Należały do René.

Na wzmiankę o jej bracie Jack ściągnął brwi, wpatrując się w nią z irytującą uwagą.

– Więc wcieliłaś się w rolę jego syna? Zrobiłabyś wszystko, żeby go zadowolić, prawda? Czy udało ci się to kiedykolwiek?

– Nie tak dobrze jak tobie. – Następna uszczypliwość trafiła w czuły punkt. Ludzie, którzy nie znali Jacka, nie zauważyliby, że jej słowa go zaboląły. I dobrze, pomyślała. Mogli oboje cierpieć.

Jack zbliżył się do niej o krok.

– Jestem tutaj, by pomóc, Tess – powiedział.

– Nie powracajmy do tego, co mamy już za sobą. Oboje popełnialiśmy błędy, ale to już odeszło do przeszłości. Nie wiesz, gdzie jest Sinjon, prawda? Zostawił cię tu, abyś samotnie stawiała mi czoło.

– Nie mógł wiedzieć, że to ty jesteś... – Nagle urwała i pokręciła głową.

– Rozumiem. On by to wiedział. Jak mogłam być tak głupia i nie uświadamiać sobie, że to będziesz ty. Nikt nie zna go tak dobrze.

– Najwyraźniej mógłbym go znać lepiej. Spytałbym cię, czy naprawdę nie wiesz, dokąd się udał i jakie ma zamiary, ale to oczywiste, że nie masz pojęcia. Czego szukałaś?

Tess przyczesła palcami włosy.

– Sama nie wiem – przyznała. – Jak mógł mi to zrobić, Jack? Dlaczego zostawił mnie z niczym?

– Na szczęście ja tu jestem – zauważył i wyciągnął rękę, ale tylko po to, aby odsunąć Tess na bok i zbliżyć się do szafy wbudowanej w ścianę. – Wiedział, że przyjdę i się tym zajmę. Albo jest geniuszem, albo głupcem, prawda? W każdym razie przekonajmy się teraz, jakie ma plany.

Sięgnął do szafy, przesunął dłonią pod drugą półką i uniósł ją z lewej strony. Tess usłyszała lekkie stuknięcie, a następnie Jack się odsunął i zamknął przeszkłone drzwi.

W tym momencie szafa przybliżyła się do nich i zaczęła powoli obracać, aż w końcu znieruchomiła bokiem, otwierając przejście do pomieszczenia, które dotąd skrywała.

Jack zapalił świece w kandelabrze, podczas gdy Tess tylko stała z szeroko otwartymi oczami.

– On nigdy... nigdy mi o tym nie powiedział. Tobie tak, mnie nie. Zataił to przed własną córką.

– Teraz będziesz miała mu co wypominać– zauważył Jack, wchodząc do środka.

Odwrócił się i wyciągnął rękę, tym razem niewątpliwie po to, aby ujęła jego dłoń. Tess pokręciła głową.

– Sama sobie poradzę– oznajmiła.

Jack obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Fakt– przyznał. – Każdy bałwan to zauważy. Przytul się mocno do siebie, Tess, i nie daj się nikomu zbliżyć.

– Jak śmiesz! – oburzyła się. – To nie ja...

Tymczasem Jack zniknął z jej pola widzenia.

Zabrawszy ze sobą świece, ruszył po schodach, które ciągnęły się za szafą. Tess nerwowo zerknęła na drzwi na korytarz. Wiedziała, że jeśli wyjdzie z gabinetu, Jack zacznie się dopytywać, dlaczego mu nie towarzyszyła. Musiała zaufać Emilie, która niewątpliwie była świadoma jego przyjazdu i tego, jak się w takim wypadku zachować.

Tess pośpiesznie zapaliła świecę i ruszyła w dół za Jackiem.

Kiedy odszedł przed laty, była dziewczyną, nie kobietą, jak teraz. Jack nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy ujrzy ją ponownie. Okazało się, że sytuacja jest zarazem lepsza i gorsza, niż to sobie wyobrażał.

Miała w oczach ból, niewątpliwie spowodowany zniknięciem ojca, który jak zwykle nie uznał za stosowne wtajemniczyć jej w swoje plany. Sinjon Fonteneau, markiz Fontaine był skrytym człowiekiem i czuł się nieswojo, gdy inni okazywali przy nim emocje. Kochał córkę, lecz pochwały

rzadko gościły na jego ustach. Tess to rozumiała, niemniej zrozumienie i akceptacja nie zawsze chodzą w parze, a ona nieustannie robiła, co w jej mocy, by zadowolić ojca i usłyszeć od niego dobre słowo.

Miała na sobie spodnie René. Jack był ciekaw, czy dzięki temu czuła się swobodniej w trakcie demolowania pokoju. Może po prostu zaczęła się tak ubierać. Co, u licha, stało się tutaj przez ostatnie cztery lata?

Zapalił kilkanaście grubych świec, aby rozświetlić chłodne, zatęchłe pomieszczenie.

– Niech to diabli... – wymamrotał, rozglądając się wokół siebie.

Usłyszał za plecami stukot butów na kamiennych schodach i szybko przybrał obojętną minę, kiedy Tess dołączyła do niego na środku pokoju.

– Często się zastanawiałam, gdzie przechowuje... – Zawiesiła głos. – Czy René o tym wiedział?

Jack skinął głową, ale wolał uniknąć rozmowy o tym, że bliźniaczy brat Tess miał dostęp do sanktuarium ojca, podczas gdy ona nawet nie wiedziała o jego istnieniu.

– Trzymał tutaj wszystko – powiedział. – Swoje przebrania, słoiki z farbą i pudrem, peruki... – Dotknął drewnianych kul opartych o jeden ze stołów.

– Pamiętam, kiedy z nich korzystał. Posunął się tak daleko, że podwiązał sobie nogę pod płaszczem, aby bardziej przekonująco odegrać weterana inwalidę. Francuski porucznik wcisnął sou w jego dłoń, nim Sinjon poderżnął mu gardło, balansując na jednej nodze. Oponowałem przeciwko temu przebraniu, tłumaczyłem, że jednonogi człowiek jest siłą rzeczy osłabiony, ale tylko traciłem czas.

– Zabijał jedynie wtedy, gdy to było konieczne – podkreśliła Tess stanowczo, niewzruszenie wierząc w słuszność ojca. – Zawsze robił tylko to,

co musiał.

Jack odłożył kule na miejsce i skierował wzrok na Tess.

– Tak, oczywiście – mruknął. – Święty markiz Fontaine. Jakaż to konieczność nakazała mu teraz opuścić dom, Tess? Wojna dobiegła końca, twój ojciec został nagrodzony za służbę królowi, wiódł ciche i bezpieczne życie. To wszystko, czego pragnął dla was wszystkich, czyż nie tak?

– Dla nas dwojga – poprawiła go, podchodząc do biurka, aby wysunąć środkową szufladę. – Tak naprawdę nigdy nie chciał, żeby René był taki jak on.

– W porządku, Tess. Porozmawiajmy teraz i miejmy to z głowy. – Jack podszedł do niej i bez ceregieli zasunął szufladę. – Twój brat był młody i nierozsądny, a poza tym się mylił. Sinjon nigdy nie przedkładał mnie ponad syna, więc René nie musiał nic udowadniać tamtej nocy. Nic a nic.

Jej oczy błyszczały w blasku świec.

– Musiał udowodnić absolutnie wszystko – upierała się. – Zarówno ojcu, jak i tobie. René cię wielbił, uważał, że jesteś niezwykły i najbardziej na świecie pragnął być taki jak ty, odważny i inteligentny. Tatko w kółko powtarzał: „Patrz, René, jak Jack to robi. Przyglądaj się i zapamiętuj. Jack pokaże ci, jak to wykonać. Jack nie czuje lęku, nawet gdy wchodzi do gniazda os. Jack jest niewzruszony i mężny, ma umysł diabła i siłę armii. Przyglądaj mu się, choć nie ma nadziei na to, że mu dorównasz. Jest wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju i nieustraszony”.

– Chryste. – Zamrugnął oczami, stając po drugiej stronie biurka. – Przecież mnie nie zależało na niczym, bo nie miałem do stracenia nic poza własnym tyciem.

Aż do teraz, dodał w duchu.

– Ale przecież to nie ty straciłeś życie, prawda Jack?

– Myślisz, że ty jedna cierpiałas po jego śmierci? René był moim przyjacielem.

– Nigdy nie był twoim przyjacielem. Zadbales o to, by nie miec przyjaciol. Za to ja znalam go lepiej niz ktokolwiek. René byl stworzony do ksiazek i do sztuki, nie do tego, by sie wykrwawic na bocznej uliczce w Whitechapel! – Tess uderzyla go piecia w klatke piersiowa. – To ja, Jack. To ja powinnam tam byc.

– Mialabyś umrzeć zamiast niego? – spytal lodowatym tonem.

– Zaden z was nie znalazlby sie w tamtym zaułku, gdybyście przystali na plan moj i ojca. Doskonale o tym wiesz! René nie groziloby niebezpieczenstwo. Przeciez wszyscy wiedzielimy, ze lankie akceptacji ojca i twojej. Byl zbyt gorliwy, aby pamietac o swoim braku umiejetnosci, gdy tylko nadarzyła sie sposobnosc, by...

– By sie popisac przed nami? Czy wreszcie jesteś gotowa to przyznac, Tess? Czy Sinjon jest gotow to zrozumiec? A moze nadal mam brac na siebie cala odpowiedzialnosc?

– Przekonales tatke do zmiany planu, do wykluczenia mnie z niego.

Jack poczul, jak traci zimna krew. Nigdy nie chcial, zeby Tess byla zaangazowana w ktorkolwiek z misji. To Sinjon postanowil wykorzystac swoje dzieci i popelnil blad.

– Bo cie kochalem! – prawie krzyknal, a jego slowa odbily sie echem od kamiennych scian. – Bo nie moglem zniec mysl, ze cie strace. – Szybko wzial sie w garsc, a nastepnie dokonczyl cicho: – A potem i tak cie stracilem...

Tess nie odpowiedziala. Zapadlo milczenie, ktore zdawalo sie ciagnac w nieskonczonosc.

– Dokadkolwiek zawedrowal, z pewnoscia jest nalezycie uzbrojony – oznajmil Jack w koncu, spogladajac na szklana gablote, zwykle wypelniona



śmiertelnie niebezpieczną i niepowtarzalną bronią.

Gablota była pierwszym miejscem, gdzie powędrowało jego spojrzenie, kiedy wszedł do pokoju. Mógł się z niej sporo dowiedzieć. Człowiek, który szedł do lasu, aby palnąć sobie W łeb, nie zabierał ze sobą tuzina rozmaitych rodzajów broni. Sinjon najwyraźniej miał złowrogie zamiary, ale nie w stosunku do siebie.

Jack usłyszał skrzypnięcie ponownie wysuwanej szuflady.

– Jest jeszcze coś – odezwała się Tess. – Cygan nie dawał o sobie znać w Anglii już od kilku lat... od śmierci René. Dlaczego więc tatko nie pozbył się tego?

Jack sięgnął po wizytówkę, którą Tess położyła na blacie.

– Tani teatralny gest – ocenił chłodno, spoglądając na czarny kartonik z wytłoczonym złotym okiem o przekrwionej źrenicy. – Nigdy nie zgadzałem się z Sinjonem w tej sprawie.

– Papa mówi, że zdaniem władz ten człowiek jest Romem, a oko symbolizuje poszukiwacza. Właśnie dlatego określa się go tym mianem. Jest poszukiwaczem, gdyż w swoich poczynaniach kieruje się wyższym celem.

Jack pokręcił głową. Jako syn aktorki uważał, że umie rozpoznać melodramatyczne zachowania.

– Cygan poszukuje wyłącznie pieniędzy, by nabić nimi kabzę. Pracuje dla Francuzów i dla każdego, kto mu zapłaci, przez resztę czasu zaś pracuje dla siebie. Kimkolwiek był, w tej chwili to tylko złodziej i morderca, a pozostawianie wizytówek na miejscu przestępstwa to jedynie naigrzanie się z ludzi, którzy pragną go powstrzymać. To aktor odgrywający swoją rolę, a ci, którzy go tropią, są ledwie publicznością. Za każdym razem, gdy pozostawia wizytówkę przy kolejnym ciele bądź na poduszce po pustym eksponacie, kłania się nam. Zaczęliśmy wierzyć w jego śmierć, ale miesiąc

temu znaleźliśmy jedną z wizytówek w miejscu kradzieży kilku bardzo cennych przedmiotów w Królewskim Muzeum Brytyjskim.

Tess zamyśliła się.

– Zatem wrócił, a ty na niego polujesz, prawda? Z powodu René. Z powodu... wszystkiego. – Zrobiła wielkie oczy. – Chyba... nie sądzisz...

– Musiałby być szalony, gdyby próbował odnaleźć go na własną rękę – uspokoił ją. – Czy często wspominał o Cyganie?

Usiadła na krześle, zaciskając długie palce na poręczach. Była zdenerwowana, Jack nie do końca rozumiał jednak dlaczego. Może po prostu przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu sprawiało jej trudność.

– Nigdy – odparła. – Na pewno nie od śmierci René. Wtedy wszystko się skończyło, tak jak powiedziałeś – wojna, zlecenia, powody, by walczyć. Mama nie żyła i nic nie mogło tego zmienić, bez względu na to, jak bardzo się mścił przez dwadzieścia lat. Otrzymał niewielką emeryturę i powiedziano mu, że jego usługi nie są już potrzebne. Uczył mnie, chociaż najwyraźniej nigdy mi nie zaufał. Nawet nie wpuścił mnie do tego pomieszczenia. – Podniosła wzrok na Jacka. – Ale to już wiesz. Od śmierci René już nigdy nie był sobą. Odkąd odszedłeś... Nagle się postarzał, poczuł się przegranym człowiekiem.

– Nie miałem powodu, by zostać. Dałaś mi to jasno do zrozumienia i widzę, że od tamtej pory nic się nie zmieniło.

– Dla ciebie na pewno nie. Nadal pracujesz dla rządu i wykonujesz polecenia władz. W tym momencie możemy ponownie się zastanowić, dlaczego tutaj jesteś. Domyślam się, że ze względu na zniknięcie tatka. Chyba wiem, o co poprosiliby cię zwierzchnicy, gdybyś go odszukał. Pytanie brzmi, czego tatko chce od ciebie.

– Kiedy go znajdę, na pewno spytam – powiedział Jack zwięźle.

Nagle poczuł, że musi wyjść na świeże powietrze, oddalić się od Tess i jej przenikliwych pytań.

– Nie pomogę ci, nie jestem głupia. Wiem, że cię nie powstrzymam, ale nie licz na moje wsparcie. – Wstała. – Innymi słowy, Jack, w tym momencie wszystko między nami się kończy. Obejrzałam twoją sztukę z szafą i dziękuję za pokaz, ale teraz muszę prosić, abyś odszedł. Nie jesteś mile widziany pod tym dachem.

Wpatrywał się w nią, kiedy tak stała. Była wspaniała i choć wystraszona, starannie ukrywała lęk, tak jak zawsze. Pragnął jej z taką mocą, że czuł w piersi ból.

Gdy Tess chciała go wyminąć, chwycił ją za nadgarstek i obrócił, aby stanęła tuż przed nim. Nie puszczał przegubu, gdy buńczucznie uniosła brodę. Nie walczyła, ale i nie uległa.

Chciał, aby uległa.

– Znam to pomieszczenie, Tess. Jeżeli myślisz, że prowadzi do niego tylko jedno wejście, nie jesteś tak inteligentna, jak sądziłem. Znam każdy sekret tego domu, ty zaś najwyraźniej nie. Jeśli zechcę tu być, wejdę i bez twojego przyzwolenia. Pójdę, dokąd będę chciał i kiedy będę chciał. Wezmę to, na co będę miał ochotę.

Przywarł do jej ust i odchylił jej głowę, mocno wsuwając język między jej wargi oraz nogę między uda. Pragnął tego od czterech lat i cierpiał. W tym pocałunku skumulowała się cała jego frustracja.

Tess uniosła wolną rękę i położyła ją na jego ramieniu. W tym momencie dała za wygraną. Na jedną krótką chwilę ponownie rozgorzał między nimi ogień, ale Tess błyskawicznie otrzeźwiała. Uświadomiwszy sobie, co robi, wbiła palce w ramię Jacka i jednocześnie z całej siły kopnęła go kolanem w przyrodzenie.

Pod Jackiem ugięły się kolana. Zwolnił uścisk i Tess zwinnie umknęła. Trzymał dłonie na udach i z całych sił walczył ze sobą, aby nie zemdleć i nie wymiotować z bólu.

– Sam ją tego nauczyłem– wydusił w końcu słynny „Black Jack” Blackthorn, przemawiając do nieczułych, zimnych ścian. Potem nieoczekiwanie się uśmiechnął. – Dobry Boże, czy przez te cztery lata w ogóle żyłem?

Popatrzył na przeciwległą ścianę i powoli ruszył ku niej, aby mocno wcisnąć jeden z kamieni. Nadszedł czas sprawdzić, co chodziło po głowie Sinjonowi.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Tess nie poszła tam, dokąd pragnęła, ponieważ Jack mógł podążyć jej tropem. Czowała, że ryzyko jest zbyt duże. Inna rzecz, że nigdzie nie była bezpieczna.

Powiedział, że istnieje więcej niż jedno wejście do sekretnego pokoju jej ojca. Nawet gdyby zdołała je znaleźć gdzieś w piwnicach lub po drugiej stronie murów posiadłości i zablokować, na nic by się to nie zdało. Jack miał rację. Znał dom lepiej niż ona, choć to nie on w nim dorastał. Także jej ojca znał lepiej.

Nawet pocałował ją tak, jakby wiedział o niej więcej niż ona sama. Tak niewiele brakowało, by zdarła ubiór z Jacka i kochała się z nim na blacie biurka. Marzyła o tym od lat.

Usłyszała stukot butów na kamiennych schodach i szybko wymknęła się na korytarz, gdzie przywarła plecami do ściany, aby zniknąć Jackowi z oczu i jednocześnie słyszeć, co robi. Jeśli postanowił teraz przeszukać meble, nie mogła go powstrzymać, co nie oznaczało, że planowała oddalić się i skupić na robótkach czy innym równie nużącym zajęciu.

Jack nie od razu opuścił gabinet, ale nie usłyszała nic godnego uwagi, choć przez kilka minut czujnie nadstawiała ucha. Jeśli przetrząsał pokój, robił to z godną podziwu dyskrecją.

Zastanawiała się, co tam wyprawiał i czy istniały inne ukryte miejsca, o których ojciec nie raczył jej powiadomić. Pragnęła zajrzeć do gabinetu, ale tym samym przyznałaby przed Jackiem, iż potrzebuje jego pomocy, bo ojciec nie powierzył jej najściślej strzeżonych tajemnic.

Do diaska z nim, do diaska z ojcem.

– A kuku!

Tess prawie wyskoczyła ze skóry, kiedy zza drzwi wyłoniła się głowa Jacka.

– Nie jesteś zabawny – burknęła, usiłując zapanować nad oddechem.

– A ty nie powinnaś się skrapiać tak miłymi dla nosa wonnościami, jeśli zamierzasz pozostawać w ukryciu – odparł, wychodząc na korytarz. – Lepiej każ służbie przyszykować mi pokój. Może być ten co dawniej, chyba że wolałabyś dzielić ze mną łożę. Jestem prawie pewien, że dałbym się skusić, gdybyś ładnie poprosiła.

– Idź do czarta, ty... ty bękarcie! – zawołała za nim, gdy się oddalał.

Tess wróciła do gabinetu ojca. Opadła na krzesło przy biurku i ukryła głowę w dłoniach. Co miała zrobić? Przez tydzień, okrągły tydzień próbowała odkryć choć jedną wskazówkę dotyczącą miejsca pobytu tatka. Wyteżala umysł, próbując przypomnieć sobie rozmowy z nim i odtworzyć w pamięci coś, co mogłoby podpowiedzieć jej, dlaczego przepadł, dokąd się udał i co planował po dotarciu na miejsce.

Wszystko na próżno. Gdyby nie kilka brakujących strojów pomyślałaby, że wyruszył do lasu i się zgubił albo leży gdzieś ze złamaną kostką. Ostatnimi czasy wyruszał na coraz dłuższe spacery i znikał na całe popołudnia. Z początku powtarzała sobie, że po prostu stracił poczucie czasu. Przez pół nocy przeszukiwała okolicę, nim stało się jasne, że ojciec odszedł bez słowa i nie pozostawił pieniędzy na życie.

Jack miał rację, mówiąc, że jej ojciec spodziewał się jego przybycia. Tatko dobrze wiedział, że jest obserwowany – rząd nigdy w pełni nie zaufały Francuzowi, nawet takiemu, który po wielokroć oddawał władzom nieocenione przysługi. Informacja o ucieczce ojca musiała dotrzeć do Londynu, co było dla niego oczywiste, tak jak i to, że do poszukiwań

zaginionego skierowana zostanie osoba, która za go najlepiej.

Tess nie rozumiała tylko, dlaczego ojciec naraził ją na tak nieprzyjemną sytuację. Wiedział, co czuła do Jacka, wiedział również o innych sprawach. Sam obarczał Jacka największą odpowiedzialnością za śmierć René.

– Tatko wyszkolił Jacka i wie, czego się po nim spodziewać – mamrotała do siebie. – Potrzebuje go do czegoś, ale jest zbyt dumny, aby zwrócić się z prośbą o pomoc. W tym sęk – wierzy, że Jack go znajdzie i mu pomoże. Sprawy córki przestają się dla niego liczyć, gdy w grę wchodzi misja. W ostatecznym rozrachunku wszyscy jesteśmy jego pionkami i zawsze nimi byliśmy. Od śmierci mamy dla tatka nikt już się nie liczył. Czy kiedykolwiek pogodzi się z jej odejściem?

Przynajmniej po raz dziesiąty zaczęła wysuwać i zasuwać szuflady biurka. Nie traciła nadziei, że dostrzeże coś, czego nie zauważyła podczas poprzednich dziewięciu inspekcji.

Znienacka natrafiła na pustą przestrzeń w środkowej szufladzie. Wcześniej z całą pewnością coś tam się znajdowało. Odsunęła krzesło i popatrzyła na podłogę, żeby sprawdzić, co mogło jej upaść. Nic jednak nie dostrzegła, więc ponownie wbiła wzrok w szufladę. Czego tam brakowało?

Zacisnęła powieki, usiłując oddychać powoli i skupić się na wspomnieniach. Oczyma duszy ujrzała zawartość szuflady – księgę codziennych wydatków, nożyk do ostrzenia piór, lak, pierścień pogrzebowy wykonany po śmierci René, ten sam, którego tatko nie mógł nosić przez ostatnie miesiące, gdyż jego palce były coraz bardziej sękaty ze starości. Gazeta – no właśnie, złożony egzemplarz londyńskiego „Timesa” przepadł bez śladu. Dlaczego Jack go zabrał, skoro gazeta liczyła sobie już ponad miesiąc?

Miesiąc...



*Miesiąc temu znaleźliśmy jedną z wizytówek w miejscu kradzieży kilku bardzo cennych przedmiotów w Królewskim Muzeum Brytyjskim.*

Z pewnością chodziło właśnie o to. Gazeta zawierała doniesienie o kradzieży, tyle tylko że Tess nie przeczytała artykułu. Czyżby złodziejem był Cygan? Tak właśnie twierdził Jack, a ponieważ doszedł do wniosku, że niepotrzebnie o tym wspomniał. Na pewno chciał usunąć wszelkie ślady tego potknięcia, zanim Tess dostrzeże gazetę i skojarzy fakty.

Popełnił błąd. Podczas ostatniego przeszukania zrobiła nielichy bałagan, uznał zatem, że jest niestaranna i nieudolna. Dostrzegł w niej amatorkę, a tymczasem nawet mimo narastającej frustracji Tess starannie odnotowywała wszystko w pamięci i wiedziała, gdzie co się znajdowało.

Czy w artykule w gazecie pojawiła się wzmianka o czarnej wizytówce z wytłoczonym złotym okiem o czerwonej źrenicy? Najprawdopodobniej, bo w przeciwnym razie ojciec nie trzymałby makulatury w biurku.

Nagle usłyszała kroki na korytarzu i pośpiesznie zamknęła szufladę.

– Lady Thessaly? Jest panienka proszona na górę.

Tess uśmiechnęła się do starej niani i bez trudu przerzuciła na francuski. Przez dwadzieścia lat pobytu na wyspie Emilie nauczyła się angielskiego, ale uważała ten język za niemiły dla ucha i pozbawiony melodii, więc robiła, co w jej mocy, by posługiwać się nim jak najrzadziej.

– Tak, dziękuję ci, Emilie, już idę.

– Byle nie w tych bryczesach, które jaśnie pan markiz tak nieroztropnie pozwala panience wkładać na konne przejażdżki. Pan Jack nie musi być świadkiem tej demonstracji nieskromności.

– W wypadku pana Jacka nie ma już mowy o skromności, Emilie – westchnęła Tess. Nagle poczuła się stara jak świat, choć liczyła zaledwie dwadzieścia pięć wiosen. – Poproś, z łaski swojej, Arnette, aby przygotowała

wannę, za godzinę chciałabym wziąć kąpiel. Włożę białą jedwabną suknię, gdyż jak mniemam, pan Jack dołączy do mnie na kolacji.

– Białą, panienko? Nie nosiła jej panienka od lat, wymaga odświeżenia.

– Emilie uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Ach, teraz pamiętam. Będzie tak, jak panienka sobie życzy.

– Dziękuję, Emilie.

Po wyjściu niani Tess pograżyła się we wspomnieniach. Przypomniała sobie, kiedy ostatnio nosiła tę suknię...

*Jaka jesteś piękna, Tess. Przy tobie mrok się rozjaśnia, a chmury rozplywają. Kocham cię. Niech mi Bóg dopomoże, tak bardzo cię kocham. Pozwól się kochać...*

Tess opuściła powieki i zacisnęła dłonie na kolanach. Nadal czuła na sobie gorące, wygłodniałe spojrzenie Jacka sprzed lat i smak jego pocałunków. Wspominała, jak zsunął białą suknię z jej ramion, wziął ją na rękę i przeniósł do łóżka, aby dołączyć do niej w atlasowej pościeli. To, co nastąpiło potem, było inicjacją zmysłów, lekcją przeprowadzoną z tak intymną precyzją, że rozwiało wszelkie wątpliwości co do tego, czemu Bóg stworzył ją kobietą i Jacka mężczyzną i z jakiego powodu byli teraz ze sobą. Dzięki Jackowi poznała wszystkie swoje tajemnice, a potem zachęcił ją, żeby odkrywała jego sekrety. Dotykali się, cieszyli sobą nawzajem, a Jack doprowadzał Tess do ekstazy na wszelkie możliwe sposoby. Uczył ją tego, czego skrycie pragnęła zaznać. Wspólnie odkryli właściwy rytm miłości.

Tess przyłożyła dłoń do dekoltu i poczuła, że jej serce wali jak oszalałe. Była wygłodniała do granic możliwości, chciała się uwolnić od napięcia i zaznać słodkiej, cudownej eksplozji. Tylko Jack potrafił jej to zapewnić.

Przy tym wszystkim chciała stać się dla niego najważniejszą osobą na świecie, istotniejszą od Korony, powinności, zemsty, nienawiści, a także

ekstazy towarzyszącej walce. Pragnęła mężczyzny, który nie odejdzie, nawet kiedy ona mu to nakáže.

Nie mogła tego powtórzyć. Swego czasu wyniszczyli się nawzajem i nie powinni po raz drugi wchodzić do tej samej rzeki. Teraz była kobietą, miała obowiązki, a w jej życiu brakowało miejsca na niepewność. Gdy w grę wchodził Jack, dysponowała kilkoma rodzajami broni w swoim arsenale i biała suknia mogła jej posłużyć za zbroję. Z pewnością ją pamiętał i również nie był gotów na świadome powtórzenie tego samego błędu.

Wstała z niesmakiem wywołanym chwilową słabością i opuściła pokój. Musiała zająć się przygotowaniami.

Jack usadowił się na krześle przy stole w prywatnej salce Gospody Zamkowej, po czym przywitał się z Willem i Dickiem, który bez słowa napełnił trzeci kieliszek winem z karafki.

– I jak, dowiedziałeś się czegoś dzisiaj? – spytał Will.

Nabił na czubek sztyletu kawałek sera i wsunął go do ust.

– Owszem. Tego, że twoje maniery są wprost niedopuszczalne. – Jack upił łyk wina. Chciał, by partnerzy pierwsi opowiedzieli, co udało się im ustalić podczas jego pobytu w domu Tess. – Dickie?

– Zgadzam się, ale wiemy to nie od dzisiaj. – Dickie spojrzał na Willa i uśmiechnął się szeroko.

– Och, chcesz wiedzieć, co udało się nam wywęszyć, tak? Doskonale. Twój mentor opuścił tę zabita dechami wioskę osiem dni temu, wykupiwszy przejazd publicznym powozem na północ. Zabrał ze sobą spory kufer, zakupiony tego samego poranka, a do tego dość nieporęczną, płócienną torbę, której jednak nie chciał umieścić wraz z innymi bagażami i wolał mieć ją przy sobie na czas podróży. Chociaż markiz jest tutaj dobrze znany, prostaczkowie, z którymi rozmawiałem, nie wiedzieli, że to on zasiadł w

powozie.

– Jak to możliwe? – spytał Jack tylko po to, aby Dickie nie przestawał mówić.

Domyślił się już wcześniej, w czym rzecz, gdyż przed laty sam musiał się nauczyć, jak w przebraniu ukrywać tożsamość przed wieśniakami, którzy widywali go niemal codziennie.

– Och, wygląda na to, że widzieli duchownego, jednego z tych z cudzoziemska przyodzianych gadułów. Miał habit i chodził przepasany sznurem paciorków z przywiązany u boku wielkim krzyżem. Jego kapelusz był płaski i wielki niczym półmisek wciśnięty na czubek głowy. Usiłował pobłogosławić każdego, kto się nawinał, więc przyzwoici obywatele woleli trzymać spuszczone wzrok, gdy go mijali, aby przypadkiem nie skupić na sobie jego uwagi. Było to przebranie, rzecz jasna.

– I to niegorsze, skoro poruszał się incognito w miejscu, w którym z pewnością rozpoznano by go bez trudu – zauważył Jack i skinał głową. Z kolekcji przebrań w ukrytym pokoju znikł tylko habit.

– Kontynuuj.

Wpatrywał się w kieliszek, kiedy Dickie opowiadał o tym, że nieznamy dwa tygodnie wcześniej zajął jednoosobowy pokój w tej gospodzie, w której właśnie bawili. Potem pojawiał się i znikał, kiedy to rzekomo wędrował po okolicy i ratował zbłąkane duszyczki. Hojnie szafował napiwkami, aby nikt nie zakłócał mu spokoju, gdyż jakoby pragnął oddać się modlitwie. Mógł spać w wynajętym pokoju, jednak nikt nie był tego pewien.. Ogólnie biorąc, zachowywał się cicho i nie robił kłopotów. Wchodził i wychodził zawsze z mocną płócienną torbą.

– Powoli przenosił z domu wszystko to, co mu było potrzebne. Transportował rzeczy zarówno w torbie, jak i na sobie, pod habitem –

podsumował Dickie oczywiste fakty. – Nie mógł dać się przyłapać na wyjeździe z kufrem i nie chciał wzbudzać podejrzeń domowników, dlatego robił to wszystko etapami i potajemnie. Nikt niczego nie podejrzewał. Chytrze rozegrane.

Will uraczył się następnym kawałkiem sera.

– Owszem, chytrze – przytaknął. – Na dodatek wysiadł w sąsiedniej wsi, gdzie wynajął wóz na bagaże i wyruszył dalej, tym razem na zachód. Okazało się, że do kolejnej wioski dotarła staruszka, powożąca chłopskim wozem, przesiadła się do powozu pocztowego i odjechała na południe, z kufrem na dachu oraz dużą płócienną torbą u boku. Nasz uciekinier musiał zapłacić za dodatkowe miejsce i dlatego go zapamiętano. W tej chwili jest już w Londynie.

– Równie dobrze mógłby być po ciemnej stronie Księżyca. Nie wytropimy go w mieście, bo przecież może się ukrywać gdziekolwiek i udawać kogokolwiek. – Dickie uniósł kieliszek. – I najwyraźniej coś knuje. Liverpoolowi nie spodoba się, kiedy mu powiemy, że go zgubiliśmy.

– Wcale go nie zgubiliśmy – zaproponował Jack.

– Po prostu jeszcze nie wiemy, gdzie jest. Od początku było jasne, że człowiek pokroju Sinjona nie będzie nam ułatwiał zadania. Tess mówi, że nic nie wie, a biorąc pod uwagę, w jaki sposób markiz przygotował zniknięcie, jestem skłonny dać jej wiarę.

Will wstał, już wcześniej schowawszy sztylet w cholewie buta.

– W takim razie wyruszamy do Londynu. I tak niespecjalnie się radowałem perspektywą spędzenia nocy w tym zapomnianym przez Boga miejscu, zwłaszcza że powinniśmy teraz zażywać uciech sezonu i korzystać z tuzina zaproszeń, które na nas czekają w Mayfair. Rzecz jasna, nie na ciebie, Jack.

Wielce nad tym ubolewam, ale cóż, tak bywa, niestety.

– Bywa – zgodził się Jack zwięźle i również wstał. – Bękarty z zasady nie bywają mile widziane w wyższych sferach. Niemniej i tak nie zamierzałem z wami jechać. Za dwa dni spotkamy się przy Half Moon Street, Zwracajcie uwagę na zwyczajowe znaki, potwierdzające moją obecność w rezydencji.

– Niektórzy po prostu zakładają z powrotem kołatkę– zauważył Dickie.  
– Całe to zamieszanie z rozsuwaniem i zasuwaniem zasłon... Człowiekowi miesza się w głowie.

– Nasz „Black Jack” nie ma w zwyczaju obwieszczać wszem wobec, gdzie przebywa, w przeciwieństwie do ciebie – zauważył Will i lekko pchnął tęgiego Dickiego w kierunku korytarza. – Jack, czyżbyś ponownie zamierzał ruszyć w konkury do jego córki? Chcesz grać z nią łożę dla dobra Korony czy dla czystej uciechy? Tak czy siak, już ci zazdrozczę.

– Wybacz, Jack – przeprosił za Willa Dickie.

– Twarz ma urodziwą, ale maniery nie tylko przy stole fatalne. Chodź, Will, nim Jack rozkwasi ci ten wścibski kinol.

Jack już wcześniej puścił mimo uszu słowa Willa. Nauczył się nie zwracać uwagi na pewne rzeczy, miał na to dwadzieścia osiem lat życia. Gdyby przejmował się byle czym, połowę z nich musiałby poświęcić na bijatyki z ludźmi. Nim jeszcze doszedł do pełnoletniości, pakował się w tarapaty na tyle często, by w końcu zwrócić na siebie uwagę markiza Fontaine. Człowiek ten wskazał mu inny sposób wykorzystywania szybkiego umysłu i zapalczywej natury, czym prawdopodobnie ocalił Jackowi życie.

– Nie muszę ci mówić, że należy zacząć od gospody. Zasadniczym problemem Sinjona jest brak pieniędzy, co oznacza, że musiał zabrać ze sobą wszystko, co potrzebne, by niczego nie kupować na miejscu przeznaczenia.



Innymi słowy, ten trop odpada. Nie zapominajmy, że fizycznie niedomaga. Ktoś z gospody z pewnością pomógł mu targać kufer, nie poradziłby sobie z samodzielnym transportowaniem skrzyni przez Londyn. Panowie, nasz poszukiwany pozostawił tropy, ale już je zatarł, wykorzystując typową dla siebie taktykę. Niewątpliwie wypakował kufer i przeniósł jego zawartość tak, aby nikt nie zapamiętał go ze skrzynią. W tej chwili znikł na dobre, niemniej zaczniemy od bagażu. Znajdziemy kufer i będziemy ponownie w grze.

– W porządku, Jack. A co mamy zrobić, jeśli wytropimy Sinjona, kiedy ty będziesz zażywał uciech z jego... – Will się zawahał, nim dodał: – Kiedy ty będziesz zajęty poszukiwaniem wskazówek tutaj, na miejscu? Czy mamy zbliżyć się do niego, czy raczej poczekać na ciebie? Wolałbym, żeby ten człowiek siedział w salonie i czekał na twoje przybycie z wielką kokardą na szyi. Bal u lady Sefton przypada w ten piątek, o czym wiesz, a z powodu obowiązków przegapiłem już połowę przyjęć. Do diabła z Liverpoolem i jego zaginionym markizem. Obiecano nam trochę odpoczynku po naszym ostatnim błyskotliwym sukcesie.

Jack przywykł do gderania Willa i wiedział, że ponad wszystko uwielbia on walczyć. Męczyły go podchody, konieczność angażowania się w intrygę, zwłaszcza jeśli w ostatecznym rozrachunku nie dochodziło do żadnej potyczki. Tym razem w grę wchodził tylko starszy człowiek, którego należało zlokalizować i odstawić z powrotem do domu albo sprawnie posłać do diabła. Gdzie tutaj mowa o zabawie?

– Wystarczy, że go znajdziecie, panowie, a przynajmniej wpadniecie na jego trop. Resztę zostawcie mnie – podkreślił Jack, gdy wyszli na dziedziniec gospody i czekali na wierzchołce. – Nie wątpię, że piękne damy wyczekują was z biciem serca.

– Wyczekują, lecz tylko Willa. – Dickie ciężko westchnął. – Obawiam



się, że pękaty arystokrata bez grosza przy duszy nie cieszy się specjalnym wzięciem.

– Trzymaj się mnie, Dickie, przyjacielu. Chętnie oddam ci te panie, na które sam nie mam chrapki– zażartował Will.

Dogadywali sobie jeszcze przez chwilę, podczas gdy służba siodłała i wyprowadzała konie. Jack pozostał tam, gdzie stał, i patrzył, jak jego ludzie wyruszają w drogę.

Nie mógł się doczekać, aż odjadą, chociaż nie zamierzał tego okazywać. Przez ostatnie cztery lata tworzyli najprawdziwszy w świecie kwartet hultajów, który niestety skurczył się do tercetu, z Jackiem w roli przywódcy. Z początku nikomu to nie przeszkadzało. Will był zadowolony, że nie zajmuje się planowaniem i organizacją i przyznawał bez ogródek, że myślenie go męczy. Jack od pewnego czasu wyczuwał jednak narastającą frustrację kompana i jego coraz gwałtowniejszą potrzebę przemocy. Wszystko to wynikało z pustki, która wdarła się w życie Browninga po zakończeniu działań wojennych we Francji.

Po śmierci Henry'ego także Jackowi doskwierał coraz silniejszy niepokój. Baron Henry Sutton był jedynym człowiekiem, którego Jack mógłby określić mianem prawdziwego przyjaciela, a jego śmierć oznaczała powstanie wyrwy, której nie był specjalnie skłonny zapełnić. Przy Henrym Jack nigdy nie czuł się nieślubnym synem markiza Blackthorn. Dickie okazał się dobrym kompanem, ale nie takim, z którym można było siedzieć do rana i rozmawiać o wszystkim, począwszy od literatury, przez religię, a skończywszy na nieustannych próbach zrozumienia, jak to się stało, że znaleźli się akurat tutaj, w tym miejscu oraz czasie, i jaki jest sens istnienia.

Henry wiedział o zażyłości łączącej Jacka z Sin–jonem oraz Tess i miał świadomość tego, czego nikt inny nawet się nie domyślał. Jackowi brakowało

jego towarzystwa i cichego porozumienia, chociaż ze zdumieniem odkrył niedawno, że czuje przywiązanie do braci, Beau i Pucka, choć się tego nie spodziewał.

Sinjon i Tess, nauczyciel i kochanka Jacka, powrócili do jego życia zupełnie bez ostrzeżenia, więc czuł się wytrącony z równowagi i niepewny siebie. Zaczynał kwestionować sens dotychczasowego życia i zastanawiać się nad przyszłością, a przecież nigdy dotąd nie myślał o przyszłości. Liczyła się tylko teraźniejszość. Nie przejmował się tym, co może się wydarzyć, i właśnie dlatego był taki dobry w swoim zawodzie.

To się zmieniło, gdy los Beau i Pucka stał mu się bliski. Obiecawszy sobie, że po związku z Tess już nigdy nie będzie mieszał uczuć z misją, Jack zacieśnił relacje z braćmi i niemal stracił jednego z nich.

Po śmierci Henry ego Jack zdecydował, że pora zakończyć z tego typu działalnością. Nie nadawał się już do swojej pracy. Dickie uwielbiał emocje i ogromnie potrzebował pieniędzy, które Korona przekazywała mu za usługi. Will z przyjemnością – może nawet przesadną – sprawdzał swoje umiejętności, zwłaszcza jeśli chodziło o korzystanie z noża. Tymczasem Jack po zakończeniu wojny coraz lepiej widział, że jego gromadka hultajów jest ledwie bandą najemnych zabójców, uwalniających Koronę od potencjalnych kłopotów. Ich źródłem był między innymi Sinjon, który wiedział stanowczo zbyt dużo, aby premier czy też którykolwiek z wysokich urzędników państwowych mógł spać spokojnie, gdy markiz wymknął się spod kontroli.

Dyskutowali z Henrym wielokrotnie, jak zrezygnować, i za każdym razem dochodzili do wniosku, że od Korony nie da się ot tak po prostu odejść. Sinjon niezbitnie to udowodnił – praktycznie stał się więźniem w swej małej posiadłości, każdy jego ruch był uważnie obserwowany. Nie usunięto go tylko dlatego, że jako załamany i zniedołężniały starzec wcześniej nie

stanowił zagrożenia. Gdyby zaistniała potrzeba wyeliminowania byle bękarta, nikt nie stosowałby podobnej taryfy ulgowej. Jack był umiarkowanie pewien, że wie, w jaki sposób pozbyłaby się go Korona.

Po raz ostatni rzucił okiem na pustą drogę i ruszył z powrotem do gospody, aby wypić jeszcze jeden kieliszek wina i pogrążyć się w samotnych rozmyślaniach.

TTLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

Tess nerwowo przechadzała się po salonie, ściskając w palcach kieliszek z winem. Jack się spóźniał, a przecież to mu się nigdy nie zdarzało. Innymi słowy, robił to celowo. Zwlekał z przybyciem, aby wytrącić ją z równowagi i udowodnić, że ma nad nią przewagę pod każdym względem.

W istocie, tak właśnie było, choć z pewnością nie wiedział, do jakiego stopnia zdominował myśli Tess. Nigdy o nim nie zapomniała.

Gdy odszedł, wierzyła, że już nie wróci. „Black Jack” Blackthorn nie był zdolny do tego, by się ukorzyć. Nigdy nie ustępował i nigdy nie błagał. Oddała mu pierścień, który nosiła na cienkiej wstążce na szyi, aby go ukryć przed oczami ojca, póki Jack nie wypełni ostatniej misji. Wymieniła klejnot na medalion z miniaturowymi portretami matki i brata.

Zamieniła jedno utracone marzenie na dwie zagubione dusze.

Zauważyła, że dzisiaj nosił pierścień – szczerozłoty, z wielkim płaskim onyksiem, na którym widniało wygrawerowane „B”. B jak Blackthorn albo jak bękart – na palcu wskazującym prawej dłoni. Powiedział, że nigdy się nie domyślił, co oznacza to B, gdyż podarunek pochodził od jego matki. Tess zachęcała Jacka do dalszych wyznań, lecz on odwrócił jej uwagę pocałunkami i więcej nie wspomniał o matce. Potem zabrakło na to czasu, gdyż doszło między nimi do kłótni, kiedy oznajmił, że zmienia taktykę. Postanowił zepchnąć Tess na drugi plan, trzymać ją z dala od ewentualnego niebezpieczeństwa.

Potem jednak nie pozostało nic z wyjątkiem pogrzebu i pożegnania.

Gdyby tylko istniał sposób na to, aby wrócić do przeszłości i ją zmienić... Cóż, nie było to możliwe, przyszłość zatem również musiała

pozostać niezmienna. Liczyła się tylko obecna misja – należało znaleźć ojca, nim zrobi coś nieodwracalnego. Tess postanowiła, że tym razem nie da się odsunąć na bok. Nie chciała czekać, martwić się, a potem pograć w żalobie.

Tak bardzo tęskniła za René. Razem przyszli na świat, razem się wychowali, zawsze byli przy sobie. Trzymali się blisko siebie podczas częstych nieobecności tatka, a gdy przyjeżdżał, rywalizowali o jego uwagę.

Chociaż Emilie mówiła po francusku, tatko upierał się, aby w jego obecności dzieci używały angielskiego. W zasadzie nigdy nie opuszczały terenu posiadłości i poza sobą miały do towarzystwa wyłącznie Ruperta, angielskiego guwenera, który jako pomoc naukową wykorzystywał brzozową witkę. Ochocho ćwiczył nią René, aż do dnia, w którym Tess skoczyła nauczycielowi na plecy i niemal odgryzła mu ucho, nim zdążył ją z siebie strząsnąć.

Miała wtedy dziesięć lat. Gdy ojciec usłyszał o zdarzeniu, po raz pierwszy ją pochwalił. Potem jednak cichym, ostrym głosem zrugął René za to, że dał się bić, przez co siostra musiała go bronić. W efekcie Tess straciła całą radość ze zwycięstwa. Tatko zatrudnił innego guwenera, który okazał się dwakroć surowszy niż Rupert, a edukację Tess powierzono kolejnym angielskim guwernantkom.

Następca Ruperta został zwolniony w dniu, w którym René wykręcił nauczycielowi rękę z witką za plecy i z całej siły rąbnął jego głową o lite dębowe drzwi. Stało się to wkrótce po piętnastych urodzinach René – trzeba było pięciu długich lat, aby znalazł w sobie odwagę, którą jego siostra okazała jako dziesięciolatka. Rzecz jasna, ojciec natychmiast wytknął synowi opieszałość.

Z markizem nie dało się wygrać. Kto go zawiódł, musiał się liczyć z cichą dezaprobatą, co było dziesięć razy gorsze od najtępszego lania. Jeśli

zrobiło się coś jak należy, wstrzymywał się z komentarzem albo wytykał niedociągnięcia, jakby chciał osłabić i tak umiarkowaną pochwałą.

Mimo to Tess i René najbardziej w życiu pragnęli zadowalać surowego ojca. René udawał zainteresowanie lekcjami, które ojciec prowadził osobiście po zwolnieniu następcy Ruperta, ale to Tess wykazywała większe zdolności. René dzielił się z nią świeżo nabytą wiedzą. Podczas gdy on zgłębiał poezję, ona stawała przed zwierciadłem, z książką o taktyce wojskowej w rękach, i czytała lustrzane odbicie tekstu. René uwielbiał grę na flecie. Tess godzinami ćwiczyła z wytrychami pożyczonymi od brata, aż w końcu umiała z łatwością otworzyć wszystkie zamknięte na klucz drzwi posiadłości. Po każdej godzinie spędzonej na lekcjach z ojcem René poświęcał dwie Tess, ucząc ją wszystkiego, czego się dowiedział, dzięki czemu nie tylko opanowywała każdą lekcję, lecz wręcz przewyższała nauczyciela.

Markiz w końcu dowiedział się o wszystkim w dniu, w którym René przypadkowo skaleczył siostrę podczas treningu szermierki, kiedy odpadła punta na końcu szpady, a żadne z nich tego nie zauważyło.

Wtedy markiz po raz drugi popatrzył na córkę z ledwie dostrzegalną aprobatą i obwiązał jej przedramię chustką. Kazał jej pożyczyć od brata koszulę oraz spodnie i stawić się w ogrodzie. Gdy posłusznie przyszła, rzucił jej broń, a sam sięgnął po swoją. Tess miała świadomość, że świetnie włada szpadą, choć ojciec nigdy nie powiedział tego głośno, kiedy coraz lepiej radziła sobie w kolejnych latach. Sukcesy okupiła jednak utratą bliskości brata, a także wspólnego celu – zadowalania ojca. René nigdy się nie uskarżał, niemniej Tess doskonale wiedziała, co myślał.

Ogromnie się starał, lecz po prostu nie urodził się po to, aby czerpać radość z odparowywania skomplikowanych ciosów bądź miotania nożem. Nie umiał też zachowywać się dyskretnie ani ukrywać myśli. Wdał się w

matkę, był równie łagodny i wrażliwy jak ona, Tess zaś przypominała ojca – fascynowała ją intryga oraz wszystko, co się z nią wiązało.

Nawet jeśli René nigdy sobie tego nie uświadomił, Tess czuła się odpowiedzialna za brata, więc chroniła go tak, jak przed laty, gdy w jego obronie zaatakowała Ruperta. Coraz częściej zastępowała René podczas prostszych misji, nawet dopuszczano ją do ich planowania. W rezultacie René zszedł na drugi plan i trzymał się bezpiecznie z tyłu.

Dopiero przybycie Jacka sprawiło, że ich świat wywrócił się do góry nogami. Markiz w końcu zyskał utalentowanego ucznia, na dodatek mężczyznę. Tess znienawidziła Jacka za to, że wtrącił się w ich życie, i z niesmakiem obserwowała, jak w kilka miesięcy opanował to, czego ona uczyła się latami. Na dodatek Jack prześcignął nauczyciela pod względem talentu i umiejętności. Zazdrościła mu zaufania, którym darzył go ojciec. Cierpiała w milczeniu, gdy René zdawał się spoglądać na nowo przybyłego jak na bohatera, godnego podziwu i naśladowania.

Walczyła z Jackiem przez ponad rok, aż wreszcie fascynacja zatriumfowała nad niechęcią. Tess zaczęła podpatrywać Jacka, już nie z zazdrością, lecz z narastającym zainteresowaniem. Dostrzegła w nim mężczyznę. Uśmiech, który nieczęsto gościł na jego ustach, sprawiał, że jej serce topniało. Zorientowała się też, że on coraz częściej na nią zerka. Mijały miesiące, a oni czuli, że narasta między nimi coraz silniejsze pożądanie, które prędzej czy później należało zaspokoić.

Musiała przyznać, że to zaspokojenie było cudowne...

Tess wypiła jeszcze łyk wina w nadziei, że alkohol uśmierzy jej zdenerwowanie. Popołudnie zdawało się ciągnąć w nieskończoność, a z biegiem godzin zmieniała zdanie w związku z białą suknią. Karanie Jacka i siebie nie miało sensu. Stała więc przed lustrem nad bocznym stolikiem i



zapatrzyła się w swoje odbicie w blasku świec.

Suknia stanowiła wzorzec prostoty, wręcz skromności, jeśli nie liczyć faktu, że jasny jedwab odważnie podkreślał biust. Delikatne, bufiaste rękawki uszyto z niemal przezroczystego tiulu. Suknia wydawała się zabudowana, niemniej uważny obserwator musiał dostrzec nagość jej właścicielki.

A Jack był uważnym obserwatorem.

Na szyi Tess zawiesiła potrójny sznur kryształów, a do tego rozpuściła długie jasne włosy w taki sposób, by spływały falami na jej ramiona. Jack zawsze lubił zanurzać twarz w jej włosach albo zaciskać na nich palce i odchyłać jej głowę do pocałunku.

Nie utrudniała mu tego, niemalże przesyłając mu pisemne zaproszenie.

Nie mogła go odepchnąć i jednocześnie przekonywać, że powinni wspólnie wyruszyć na poszukiwanie ojca. A zatem musiała skłonić Jacka do jak najrychlejszego opuszczenia posiadłości.

W tej chwili знаła już swoje priorytety i była świadoma, że walka z Jackiem nie leży w jej interesie. Należało znaleźć tatka. Nie wiedziała tylko, jak bardzo jej kochanek zmienił się przez ostatnie cztery lata i czy przypadkiem nie nosi się z zamiarem przeprowadzenia zleconej przez zwierzchników egzekucji na dawnym nauczycielu.

Zaczęła się zastanawiać, jak by zareagowała, gdyby Jack spróbował zamordować jej ojca. Jednego była pewna, nie mogła pozostawić go samemu sobie. Zamierzała towarzyszyć mu bez względu na to, dokąd się uda, a przynajmniej go śledzić. Na pewno zdawał sobie z tego sprawę, więc jedynym sensownym rozwiązaniem była wspólna podróż.

Postanowiła mu to wynagrodzić i ofiarować siebie tego wieczoru, w nadziei, że już jutro w zamian otrzyma to, czego pragnęła, i razem wyruszą na poszukiwania.

Marna rządowa emerytura dawno temu przymusiła markiza do rezygnacji z kosztownych usług kamerdynera. Ponieważ Jack nie miał w zwyczaju pukać do drzwi i poruszał się cicho niczym kot polujący na królika, Tess ledwie powstrzymała się od okrzyku, gdy nagle zjawił się w pokoju. Spodziewała się ujrzeć go w zwyczajowo nienagannym stroju od jednego z londyńskich krawców, ale okazało się, że nie miał zamiaru wkładać formalnego stroju. Tego wieczoru Jack przeobraził się w mrocznego i niebezpiecznego pirata, którego widywała już wcześniej, odzianego od stóp do głów w czerń, w rozchełstanej koszuli bez kołnierza. Bryczesy podkreślały jego wąskie biodra, a także uwypuklały umięśnione długie nogi.

– Zamierzasz włamać się gdzieś na zlecenie mocodawców? – spytała ironicznie. – A może chcesz uwolnić jakichś nieszczęsnych podróżnych od ich własności? O ile pamiętam, właśnie tym się zajmowałeś, kiedy tatko spotkał cię po raz pierwszy. Wcale bym się nie dziwiła, przecież musisz dbać o formę.

Zbliżył się do niej bez słowa i zatrzymał. Teraz stali zaledwie kilka centymetrów od siebie i Tess zadrżała, gdy uważnie na nią patrzył. Nie dotykał jej, ale miała wrażenie, że czuje na sobie jego dłonie.

– A ty, Tess? – odpowiedział pytaniem. – Ty również sprawiasz wrażenie gotowej na nocną... przejażdżkę. Czyżbyśmy mieli darować sobie wieczerzę?

Kusiło ją, by spoliczkować Jacka, jednak nie mogła go winić za to, że próbuje odzyskać choćby cząstkę tego, co kiedyś miał tylko dla siebie. Śmiało uniosła dłoń i położyła ją na jego męskości.

– A tak, chyba rzeczywiście zrezygnujemy z posiłku – oznajmiła. – Wiesz, dokąd się udać.

Patrzyła mu w oczy, które nagle pociemniały, a następnie pogłaskała go

po biodrze. Mijając go w drodze do schodów, czuła suchość w ustach, a jej serce waliło jak oszalałe. Wiedziała, że nigdy jej nie wybaczy, jeśli się dowie, jakie są jej plany względem niego. Była jednak pewna, że Jack nigdy nie pozna prawdy. Musiał stąd wyjechać i nigdy nie powrócić. Kiedy już go odprawi po raz drugi, po tym, jak znajdą ojca, powie mu, że go wykorzystała, a wtedy zniknie z jej życia na dobre. Jack był człowiekiem wyjątkowo dumnym, choć się z tym nie zdradzał. Kiedy więc sprawa dobiegnie końca, także między nimi wszystko będzie skończone.

Tak powinno się stać. Tak musiało się stać. Nie zamierzała znowu kogoś utracić z powodu „Black Jacka” Blackthorna. W zamian mogła mu oddać tylko siebie.

Pozostawiła uchylone drzwi do sypialni i stanęła pośrodku pokoju, czekając, aż przyjdzie i weźmie to, czego chciał.

Ona zresztą również tego pragnęła. Oddychała gwałtownie, a jej ciało przeszywały dreszcze. Wyczekiwała dotyku tego mężczyzny, potrzebowała go. Sam ją tego nauczył. Pokazał, jak czerpać rozkosz, o której nawet nie śniła. Zabierał w miejsca, do których nigdy potem się nie udała.

Odetchnęła niepewnie, gdy drzwi do jej pokoju zatrzasnęły się cicho. Jack zaszedł ją od tyłu, chwycił za ramiona i stanowczo odwrócił twarzą do siebie.

– Tess, myślisz, że nagle odjęło mi rozum? – spytał ostro. – Że jestem napalonym młodzikiem, który da się zaślepić pożądaniu? Pójdź do mnie, połóż się ze mną, daj się zauroczyć, zrób, co ci każę. Czy to wszystko, co nas łączyło? Tylko tyle zapamiętałaś, a może jesteś aż tak zdesperowana?

Tess buńczucznie uniosła brodę.

– Myślałam, że tego popołudnia dałeś mi jasno do zrozumienia, czego ode mnie chcesz. Proponuję ci handel wymienny. Nie walczymy przeciwko

sobie– daję ci to, czego chcesz, a ty ofiarowujesz mi to, czego ja potrzebuję.

– A czego potrzebujesz, Tess? – spytał, opuszczając dłonie. – Co takiego jest dla ciebie warte tej transakcji?

– Jadę z tobą – powiedziała, spoglądając mu prosto w oczy i wypatrując reakcji. – Mogę pomóc.

– Wybacz, ale szczerze w to wątpię. Nie zapomniałem, że byłaś sprawną małą, wytresowaną przez Sinjona. Poluję na twojego ojca i nie zamierzam spędzać połowy czasu na pilnowaniu własnych pleców, nawet za cenę przyjemności grzania z tobą łoża.

Tess puściła mimo uszu jego rozmyślną obcesowość.

– Nie zabiłbyś go, nawet na rozkaz przełożonych.

– Tak uważasz? Jesteś tego pewna? Świetnie, w takim razie zostań tutaj, a ja go przywiozę.

Cofnęła się i podeszła do łoża, by się o nie oprzeć. Musiała spróbować innej taktyki.

– Postawmy sprawę jasno, Jack– oznajmiła nieoczekiwanie. – Wiem, co napisano w gazecie, którą zabrałeś ze sobą tego popołudnia. Tatko tropi Cygana, podobnie jak ty, ale nie tylko wy dwaj macie rachunki do wyrównania z tym potworem. Cygan zabił mojego brata.

Oczy Jacka pociemniały.

– Doprawdy? Myślałem, że ty i Sinjon zgodnie obarczyliście mnie winą za śmierć René. Czyżbym uzyskał rozgrzeszenie? Och, kamień spadł mi z serca. Zegnaj, Tess. Dziękuję za twoją jakże wspaniałomyślną propozycję, ale powinnaś się wstydzić swoich kłamstw.

Tess zrobiła krok w jego kierunku. Gdyby Jack wyjechał, nim zdążyłaby za nim podążyć, mogła porzucić nadzieję na odnalezienie ojca. Owszem, chciała wyruszyć jak najszybciej, ale na pewno nie sama.

– Dobrze, Jack – westchnęła. – Odejdź. W tym jesteś najlepszy.

Już wcześniej zdążył się odwrócić, ale jej słowa go powstrzymały. Tymczasem Tess szybko doszła do wniosku, że tym razem posunęła się za daleko.

– Odszedłem, Tess, ponieważ jasno dałaś mi do zrozumienia, że nie mam tutaj czego szukać. Odszedłem, gdyż mnie odtrąciłaś. Odszedłem, bo tego oczekiwałaś.

– Ja? Ja tego oczekiwałam? Co chcesz przez to powiedzieć?

Ponownie stanął przed nią i zmroził spojrzeniem.

– Nigdy nie wierzyłaś w naszą wspólną przyszłość, prawda, Tess? Właśnie dlatego upierałaś się, abyśmy nie mówili ani Sinjonowi, ani René o tym, co nas łączy. Twoim zdaniem w pewnym momencie i tak bym odszedł pod byle pretekstem albo rozczarował się tobą w taki czy inny sposób. Kiedy René zginął, w końcu znalazłaś powód, aby mnie odprawić, zanim zdążę odejść sam. To twoja robota, i może jeszcze twojego ojca, choć Bóg jeden wie, czy miał swoje powody. Na pewno nikt tutaj nie chciał, bym został, bo zawiodłem, prawda? Zawiodłem twoje oczekiwania. Mieliśmy okazję pojąć Cygana, ale przeze mnie nic z tego nie wyszło i z mojego powodu zginął René. Wszystko spadło na moją głowę i dlatego musiałem odejść. Przyznaj to, Tess, choćby sama przed sobą.

– To nieprawda. Kochałam cię.

– A ja kochałem ciebie – powiedział Jack niemal łagodnie. – Wtedy jednak to nie mojej miłości potrzebowałaś, prawda? Robiłaś, co mogłaś, by zyskać aprobatę Sinjona, chciałaś, aby był z ciebie dumny. Nie umiałaś przyjąć mojej miłości i uwierzyć w szczerłość moich uczuć. To się nie zmieniło, prawda, Tess? Ciągłe masz nadzieję, że Sinjon poklepie cię po głowie, pochwali, dostrzeże twoje osiągnięcia. A tymczasem nie powierzył ci

żadnych tajemnic, nie zaufał ci nawet po śmierci René i nie wyjawiał prawdy o tej przeklętej misji, której się podjął. Byłaś dobra, ale nie dość dobra. Tak to widzisz, prawda?

Tess milczała.

– Spójrz na mnie, Tess. – Ujął ją pod brodę. – Spójrz na mnie. Sinjon to twardy człowiek, nikt w to nie wątpi. Jest surowy i wymagający, a do tego nie sposób w pełni pojąć jego motywów. Wiem, że ty i René cierpieliście z tego powodu, ale teraz jesteś dorosłą kobietą. Jak długo zamierzasz karać siebie za wady ojca? Taka jest prawda, Tess. To są jego wady, nie twoje.

– Nic mi nie zostawił, Jack – wyznała Tess cicho.

– Wiedząc to, co wie, nie pozostawił nam zupełnie nic. Jak mógł to zrobić?

– Powiedziałem ci, Tess. Wiedział, że przybędę.

– Nie rozumiesz... – westchnęła i zawiesiła głos. Długo zwlekała, zbyt długo. Nie powinna wówczas słuchać tatka... Ale była zbyt zdruzgotana, aby trzeźwo myśleć. – Zabierz mnie ze sobą, Jack. Nie zostawiaj mnie ponownie. Muszę się z nim spotkać, muszę porozmawiać i poznać prawdę.

Przyglądał się jej przez długą chwilę, a potem skinął głową.

– Chyba nadszedł czas, abyś się dowiedziała, kim jest Sinjon Fonteneau. Chodźmy na dół. Jest tam coś, co powinnaś zobaczyć.

Tess prawie rzuciła mu się na szyję, ale z trudem udało się jej powstrzymać.

– Dziękuję ci, Jack.

– Nie dziękuj mi, Tess, bo to ci się nie spodoba. Za moment twój rycerz w lśniącej zbroi przemieni się w pospolitego łotrzyka.

Jack pierwszy wszedł do gabinetu Sinjona. Wcześniej pokazał Tess ukryty pokój, ale nie ujawnił wszystkich jego sekretów. Teraz wręczył jej



kandelabr i otworzył przeszkloną szafę pełną staroci, które markiz trzymał na widoku. Była to kolekcja człowieka niemogącego sobie pozwolić na jawne pielęgnowanie hobby, tak jak to czynił przed laty, we Francji. Markiz Fontaine zawsze ukrywał swoje prawdziwe oblicze.

Jack poznał tę historię zaledwie kilka tygodni przed śmiercią René. Po północy zastał Sinjona w gabinecie, pijanego i w rozsypce. Właśnie minęła dwudziesta rocznica śmierci jego żony. Jacka zaintrygowało zachowanie mentora, a zarazem poczuł się mile połączony, kiedy Sinjon wskazał mu krzesło i zaczął mówić.

Jack wątpił, aby Tess i René wiedzieli, co tak naprawdę się wydarzyło, kim był ich ojciec i dlaczego ich matka zginęła. Zapewne nie byli również świadomi powodu przyjazdu rodziny do Anglii i przyczyny, dla której Sinjon zaproponował swoje usługi Koronie, tym samym działając na szkodę Francji.

Markiz Fontaine był człowiekiem o barwnej przeszłości, obdarzonym licznymi talentami. Szczycił się znajomością kultury greckiej, rzymskiej egipskiej. Niemal pięćdziesiąt lat życia poświęcił na gromadzenie swojej kolekcji podczas podróży po kontynencie. To się zmieniło, gdy poznał Marie Louise. Narodziny bliźniąt wprawiły go w zdumienie lekką konsternację, gdyż ani trochę nie rozumiał, o co tyle zamieszania. Nie miał jednak nic przeciwko temu, ponieważ Marie Louise wydawała się zachwycona, a on mógł spokojnie powrócić do, jak je nazywał, prac badawczych, a także innych zajęć.

Potem nadszedł rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty siódmy i nagle Sinjon, któremu elastyczność poglądów w cudowny sposób zapewniała bezpieczeństwo w Lyonie, musiał stawić czoło prawdopodobnej zmianie stylu życia. Czasy najbardziej krwawego terroru już minęły, ale armia rewolucyjna stawała się coraz silniejsza za sprawą sukcesów generała Louisa



Hoche'a i pewnego początkującego dowódcy z Korsyki o nazwisku Bonaparte. Francją rządziła trójca– dyktoriał, Hoche i Bonaparte. Sinjon najbardziej obawiał się Korsykanina, gdyż dostrzegał jego wybujałe ambicje. Wraz z innymi rojalistami działał na rzecz przywrócenia ancien régime'u i wszystkich przywilejów, które się należały arystokratom.

Było już jednak za późno. Powinien był zawczasu dostrzec oznaki tego, co się wydarzy, i wywieźć żonę z dziećmi w bezpieczne miejsce. Tymczasem jednak Sinjon wraz z kilkoma rodakami skupił się na wywieraniu nacisku na dyktoriał. Wcieliwszy w życie opracowany przez markiza plan, grupa podjęła ostatecznie niemal skuteczną próbę zamordowania paru członków dyktoriału.

Udział w spisku okazał się jednak największym błędem Sinjona. Dyktoriał zemścił się z całą mocą, którą nadal dysponował. Władze wytropiły i wybiły niemal wszystkich opozycjonistów. Kiedy Sinjon i jego ludzie ukryli się w piwnicach, nie wiedząc, co się dzieje, ukochana przez markiza Marie Louise przypłaciła wybryk męża życiem.

Kiedy nietrzeźwy Sinjon zalewał się łzami i bełkotał, Jack siedział w milczeniu. Nie znał słów, które mogłyby pocieszyć tego nieszczęśnika, ukoić duszę i naprawić stratę. W tamtym momencie, bez względu na to, o co poprosiłby Sinjon, Jack chętnie by to uczynił. Miał przed sobą zdruzgotanego starca, który utracił wszystko– żonę, ojczyznę i majątek. Tutaj, w Anglii, żył na skraju ubóstwa w zapuszczonym domu i, choć pracował dla Korony, nikt mu nie ufał.

Musiał spiskować i często zabijać nie tylko po to, aby pomścić tych, których utracił, i uwolnić świat od Bonapartego, ale także dlatego, że trzeba było uchronić premiera przed skandalem oraz znaleźć sposób na okrycie hańbą tych, których głosy w parlamencie nie zgadzały się z polityką Korony.

Sinjon wykorzystywał swoje talenty do uprzątnięcia bałaganu ludzi władzy. Nie miał wyboru.

Przynajmniej tak sądził. Jack wiedział, że nigdy nie przekona się do końca, czy Sinjon na pewno był pogrążony w żałobie i czy faktycznie topił w alkoholu poczucie winy i żalu? Wiedział za to, że stał się jednoosobową publicznością swojego mistrza, został wciągnięty w jego sprawy i zmuszony do okazania współczucia rzekomo smutnemu i pozbawionemu złudzeń wrakowi człowieka. To, co się stało potem, prezentacja drugiego tajnego pomieszczenia i udział w sekretnym życiu markiza, na zawsze zmieniło opinię Jacka o jego nauczycielu.

Teraz chciał pokazać Tess prawdziwe oblicze jej ojca. Odrobina prawdy nie mogła jej zaszkodzić bardziej niż fikcja, w którą wierzyła i którą Sinjon w przebiegły sposób podtrzymywał.

– Podaj mi świece, Tess, i chodź ze mną – zakomenderował Jack, po czym ruszył schodami w dół, przez kryjówkę do kamienia, który wcześniej zlokalizował.

– Jest tutaj coś więcej do zobaczenia? – spytała Tess.

Jack popchnął kamień, który z łatwością się obrócił. Uniósł kandelabr na wysokość ramienia, gdy szafka z wyrafinowanym arsenałem Sinjona przesunęła się w bok.

– Spójrz, co tu jest, Tess, i czego nie ma. Brakuje ważnego eksponatu.

Cofnął się, by weszła do niewielkiej komory, pełnej półek sięgających od podłogi do niskiego sufitu, ze wszystkich trzech stron. Jedynym meblem w pomieszczeniu było ustawione idealnie na środku krzesło. Sinjon siadywał na nim, aby podziwiać swe zbiory.

– Z lewej strony widzisz eksponaty z Grecji. Z prawej – z Rzymu, a na wprost powinno się znajdować to, co najbardziej interesujące, czyli dzieła

sztuki z Egiptu – wyjaśnił Jack. – Oto skarby twojego ojca. Można powiedzieć, że to twoi rywale. Sinjon najbardziej na świecie kocha właśnie te przedmioty. Z ich powodu narażał rodzinę, przez nie utracił żonę i dla nich poświęcił wasze dzieciństwo. Naprawdę tak uważam.

Tess obróciła się na pięcie, patrząc uważnie na przedmioty, rzucające rozedrgane cienie w bladym świetle płomyków świec. Wśród rzędów drogocennych zabytków ujrzała rzymskie tarcze i napierśniki, wysadzone klejnotami misy, antyczne popiersia, hełmy, bransolety i naszyjniki. Zamrugnęła, by ukryć napływające do oczu łzy. Wystarczyłoby sprzedać zaledwie kilka drobnych eksponatów z tej kolekcji, aby spłacić wszystkie długi w miejscowych sklepach, wyremontować dom i posłać René do najlepszych szkół.

– Nie rozumiem... Jak to możliwe... Dlaczego, Jack?

Przejdźmy na górę – zaproponował Jack.

Zabrał jej kandelabr i ruszył przodem. Gdy szli, trzymał Tess za rękę, która nagle zrobiła się lodowata.

Kiedy Tess usiadła na obitej skórą kanapie, podsunął jej kieliszek wina, ale tylko pokręciła głową. Sam wypił alkohol i oparł się o krawędź biurka. Chętnie oszczędziłby Tess prawdy o ojcu, ale nie było to możliwe. Jack zastanawiał się, po jakim czasie Tess zrozumie, co zamierza jej powiedzieć.

Trwało to krócej, niż się spodziewał. Całkiem zapomniał, że Tess już dawniej błyskawicznie kojarzyła fakty.

– Jest złodziejem, prawda? – zapytała w końcu. – Mój ojciec jest złodziejem.

– Sam popełniłem ten błąd w ocenie, lecz Sinjon szybko mnie z niego wyprowadził. Postrzega siebie raczej jako prywatnego kolekcjonera. Otóż złodziej kradnie dla zysku, Sinjon zawsze wybierał jedynie to, co najlepsze, i

zachowywał dla własnej, wyłącznej przyjemności. Twoim rywalem, Tess, jest prawdziwa miłość jego życia.

Tess pochyliła głowę i zaczęła masować skronie.

– Dobry Boże. Słodki Jezu... – wyszeptała.

Jack odsunął się od biurka i usiadł obok niej.

Wziął ją za ręce i położył dłonie na jej kolanach.

– We Francji było to łatwe – powiedział. – Miał swój tytuł, który go chronił. Nikt nie podejrzewał, że skarby, które zwoził do domu ze swoich podróży, były czymś innym niż tylko zakupami zamożnego człowieka. Wiele z nich mógł otwarcie eksponować i tylko najbardziej charakterystyczne pozostawały bezpiecznie ukryte do jego wyłącznej dyspozycji. Podziwiano go i uważano za niezwyklego specjalistę, ludzie zabiegali o jego towarzystwo, aby słuchać, co miał do powiedzenia na temat antyków. Nikt nie znał prawdy, Tess, nawet twoja matka. Właśnie dlatego sprzymierzył się z rojalistami. Bronił swojego stylu życia i skarbów. W ostatecznym rozrachunku większość z nich została skonfiskowana przez nowy francuski rząd, więc Sinjon przyjechał tutaj i zaczął od początku.

– Zaczął od początku... – powtórzyła cicho. – Ale przecież pracował dla Korony.

– A czy istniało lepsze wytłumaczenie, aby podróżować, dokąd tylko dusza zapagnie, wykorzystywać tajne kanały transportu, mieć dostęp do statków, planów bogatych posiadłości, muzeów, pałaców... Trwała wojna, a skarby ginęły wszędzie, z wielu powodów. Niektórzy powiadają, że Bonaparte sprowadził do Francji połowę Egiptu, czym zresztą rozwścieczył twojego ojca. Myślę, że Sinjon nienawidził go przede wszystkim z tego powodu – cesarz miał najwspanialsze eksponaty, a twój ojciec nie. Markiz dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków, to nie ulega wątpliwości.

Gdy jego kolejna misja dobiegała końca, nagradzał się przedmiotami do kolekcji, tyle tylko że zaczął się starzeć. Nadal mógł wybierać nagrody, opracowywać plany, ale wkrótce stało się jasne, że potrzebuje wsparcia.

Dotąd Tess milczała, oddychając pośpiesznie, teraz jednak aż jęknęła. Z najwyższym trudem panowała nad sobą.

– René? – spytała w końcu. – Czy on...?

– Nie sędzę, aby wiedział – uspokoił ją Jack. – Tak czy owak, nie okazał się tak utalentowany, jak na to liczył Sinjon. Za to ty dowiodłaś swych wyjątkowych zdolności, więc markiz miał szczerzy zamiar wprowadzić cię do tego pomieszczenia. Zmienił jednak plany, gdy ja pojawiłem się na horyzoncie. Oczekujesz pochwały od ojca, Tess? Powiem ci coś, co usłyszałem od niego. Powinnaś była urodzić się jego synem.

– To dla niego typowe. – Tess uśmiechnęła się smutno. – Każdy komplement padający z jego ust jest jednocześnie kąśliwy bądź bolesny dla kogoś innego. Wychwalając mnie, tatko ranił René. Rywalizowaliśmy ze sobą. To była przemyślana strategia tatka... A zwycięzca miał przywozić mu eksponaty. Niedobrze mi. – Wzięła się jednak w garść, gdyż nagle uderzyła ją niepokojąca myśl. – Czy ty również kradłeś dla niego?

Tess wiedziała, czym się zajmował Jack, nim trafił do domu markiza. Nie stronił od kart, rabował, był szalony i wściekły. Nieustannie czegoś poszukiwał i nigdy nie wiedział, czego się spodziewać, ba, nie wiedział nawet, czy zmierza ku czemuś, czy też ucieka przed samym sobą. Był bękartem, który nigdzie nie pasował. Sinjon z pewnością uznał, że bogowie osobiście podesłali mu Jacka Blackthorna.

– Nie. – Jack pokręcił głową. – Powiedział, że nie jestem gotowy i że obrabowanie kilku powozów to drobiazg w porównaniu z tym, czego ode mnie oczekuje. Potem dodał, że nigdy nie zaznałem radości takiej, jakiej

doświadczę, gdy nagrodą będzie coś lepszego niż błyszczący naszyjnik z diamentami jakiejś głupiej, starej kobiety. Łup to jedno, i warto się dla niego narażać na niebezpieczeństwo, ale radość z nabytku i świadomość, że coś należy tylko do nas, warte są każdego poświęcenia. Najpierw jednak musiałem nauczyć się czegoś o tych zabytkach, aby traktować je z należnym szacunkiem. To konieczne podczas... pozyskiwania antyków.

Powiedział jej już wiele, ale jeszcze nie wszystko.

– Byłem pewien, że znalazłem dom, Tess – ciągnął. – Praca dla rządu dawała mi poczucie celu w życiu. Sinjon mnie uratował, a przy tobie uwierzyłem, że nie jestem skazany na samotność. Kiedy twój ojciec wyjawiał mi swą tajemnicę, wiedziałem, że moją powinnością jest przekazanie go Koronie. Tylko jak mogłem to uczynić ze świadomością, że w następstwie zniszczę ciebie i René? Samolubnie odkładałem tę decyzję na później, do czasu zakończenia misji w Whitechapel. Nie powinienem był czekać i nigdy sobie nie wybaczę, że tak długo zwlekałem.

– Whitechapel – powtórzyła. – Tam, gdzie zginął René. Odprawiłam cię z kwitkiem, a ty nigdy nie doniosłeś władzom na mojego ojca. Dlaczego?

– Sinjon miał już ponad siedemdziesiąt lat, a przynajmniej do tyłu się przyznawał. Zdecydowanie nie był w wieku, w którym można wkradać się przez okna lub uciekać przed pogonią. Beze mnie albo kogoś takiego jak ja, jego dni chwały dobiegłyby końca. Stracił młodość, syna, a kiedy odszedłem, także ostatnią szansę na zemstę. Z twojego powodu obiecałem mu, że nie wydam go władzom, ale jeśli powróci do swoich dawnych zwyczajów, uznam tę obietnicę za nieaktualną. Zastrzegłem też, że gdyby spróbował wykorzystywać ciebie do swoich niecznych celów, dowiem się o tym i go zabiję. Wiedział, że mówię szczerze.

– Uwierzył ci – szepnęła Tess. – Ja też bym uwierzyła.



– Był kompletnie zdruzgotany, kiedy odszedłem. Liczyłem na to, że błędy, które popełnił i za które słono zapłacił, w końcu go otrzeźwiły. Tymczasem od tamtej pory musiało go trawić pragnienie zemsty.

– Zemsty? – Tess pokręciła głową. – Chodzi ci o to, że chciał się zemścić na Francji za to, co się stało z moją matką, tak? Ale przecież to było tyle lat temu!

Nadszedł moment, którego Jack obawiał się najbardziej.

– Nie, Tess. To, co teraz mówię, nie ma nic wspólnego ani z Francją, ani z wojną, ani też z próbami odbudowania monarchii. Wątpię, aby cokolwiek z tego w ogóle się liczyło dla Sinjona. Zawsze zależało mu wyłącznie na powiększaniu kolekcji. Pamiętaj, że w chwili przybycia do Anglii liczył sobie już ponad pięćdziesiąt lat, więc nie byłem jego pierwszym uczniem. Był jeszcze inny przede mną, bardzo zdolny i gorliwy, a do tego ambitny. Pracowali razem latami, do czasu, gdy uczeń dostrzegł możliwość zysku tam, gdzie Sinjon widział jedynie piękno. W ostatecznym rozrachunku uczeń zdradził mistrza i zaczął pracować na własny rachunek.

Nie znasz go, Tess, chociaż być może jako dziecko widziałaś go tutaj. Polowałem na niego przez cztery lata, odkąd Sinjon powiedział mi, o kogo chodzi.

Tess szeroko otworzyła oczy.

– Cygan... – Była wyraźnie wstrząśnięta. – To jego masz na myśli, prawda? Cygana, mordercę René? Papa naprawdę go wyszkolił? A teraz ruszył za nim w pościg...



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez kilka następnych godzin Tess, ubrana w starą nocną koszulę i peniuar, na przemian płakała i klęła, drepcząc nerwowo z kąta w kąt sypialni. Czasami rzucała się na fotel przed kominkiem, kiedy indziej padała na kolana pośrodku pokoju, gdzie wręcz wyła z żalu i bólu.

Jack wyjawiał jej wszystko. Naciskała tak długo, aż wyznał całą prawdę. Okazało się, że życie jej ojca było jednym wielkim kłamstwem. To, co sądziła na jego temat, w co wierzyła, okazało się nieprawdą. Matka i René umarli dla kłamstwa, a u podłoża tego dramatu leżała najzwyczajniejsza ludzka chciwość.

Tess i René zawsze uważali, że nie są dość dobrzy, nie dość inteligentni ani godni miłości. Żyli w przekonaniu, że zawiedli ojca i stali się dla niego źródłem głębokiego rozczarowania. Tymczasem wcale tak nie było. Jemu zawsze zależało jedynie na przedmiotach, a ludzie znaczyli dla niego tyle co nic. Byli ledwie narzędziami, których potrzebował do gromadzenia rzeczy. Matka Tess zapewne okazała się wyjątkiem, ale nawet jej nie udało się odwrócić uwagi Sinjona od jego pierwszej miłości i prawdziwej pasji – przedmiotów zamkniętych w kamiennym pokoju pod ziemią. Liczyło się tylko polowanie na eksponaty, wzbogacanie kolekcji oraz świadomość, że jest ich właścicielem i nikt inny nie może na nie patrzeć ani ich dotykać.

Tess i jej brat uważali ojca za bohatera, zaangażowanego w służbę nowej ojczyźnie i robiącego wszystko, by z Francji znikł znieawidzony Bonaparte. Z całych sił pragnęli mu pomóc i zasłużyć na jego dumę, a tymczasem on widział w nich tylko dwa dodatkowe narzędzia, w dodatku pośledniej jakości.

Dla tego wynaturzonego człowieka zrezygnowała z prawdziwej szansy

na szczęście i wykluczyła Jacka z życia. To ojciec powiedział jej, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli Jack o niczym się nie dowie. Kara dla niego, która stała się jej udręką.

– Tess?

Siedziała na dywanie przed kominkiem i wpatrywała się w dogasający ogień. Nawet nie odwróciła głowy, słysząc głos Jacka.

– Wszystko w porządku – powiedziała cicho.

Usiadł u jej boku i otoczył kolana ramionami. Zastanawiała się, czy w ogóle wciąż jeszcze jej pragnął.

– Zrozumiem, jeśli nie wszystko jest w porządku – zapewnił ją. – To, co ci dzisiaj powiedziałem, nie było łatwe do wysłuchania. Gdyby tylko istniał inny sposób...

– Nie, cieszę się, że mi powiedziałeś – przerwała mu. – Żałuję, że nie wiedziałam tego przed laty, kiedy René jeszcze żył. Oboje mogliśmy wtedy odejść i pozostawić ojca razem z jego kolekcją. W końcu nigdy nie byliśmy mu potrzebni, prawda? A nasza matka? Myślisz, że wiedziała, Jack, i że umarła ze świadomością, jak niewiele dla niego znaczyła?

– Może żył dostatecznie długo, aby dotarło do niego, jak wysoką zapłacił cenę i ile stracił. Wiem, że już się nad tym zastanawiałaś. Sinjon wyszkolił kogoś, kto zabił René. Stary człowiek, którego nikt już nie potrzebował, wyraźniej dostrzegł, ile zła wyrządził. Twój ojciec miał mnóstwo czasu na przemyślenia.

– Myślisz, że postanowił odpokutować? Co za absurd. Chcesz, abym mu wybaczyła, czyż nie? Twoim zdaniem jestem aż tak wielkoduszna? – Tess nie odrywała wzroku od płomieni. – Nie uczynię tego.

– Nie oczekuję tego od ciebie, przynajmniej jeszcze nie teraz. Sinjon również musi to wiedzieć. Ale nie ma nikogo oprócz ciebie, Tess, wszyscy

odeszli.

Spędził życie na zbieraniu przedmiotów, które nic nie znaczą w porównaniu z miłością dziecka i tym, jak zostanie zapamiętany po śmierci.

Tess w końcu popatrzyła na niego, świadoma, że wie coś, czego on nie wiedział.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytała z nadzieją.

– Uważasz, że się zmienił i zaczął przejmować tym, jak go zapamiętam?

– Człowiek stojący nad grobem chce być dobrze wspomniany, a nawet należycie opłakiwany. Należy dać mu do zrozumienia, że kiedy usłyszę o jego śmierci, zadbam o opróżnienie skrytki w piwnicy i doprowadzę do przekazania kolekcji prawowitym właścicielom, a przynajmniej Koronie. Okłamałem cię dzisiaj po południu. Istnieje tylko jedno wejście do pomieszczeń w piwnicy. W taki czy inny sposób musiałś się dowiedzieć prawdy o swoim ojcu. I jeszcze jedno, Tess. Sinjon ma niedokończoną sprawę.

– Chodzi o Cygana – powiedziała, zaciskając dłonie w pięści.

– Czytałaś *Frankensteina*, Tess? A szkoda – powiedział, gdy pokręciła głową. – W Londynie sporo się teraz mówi o tej książce. Można powiedzieć, że dorównuje popularnością *Don Juanowi* Byrona.

– Jack, nie rozumiem, co jakaś książka ma wspólnego z...

– Pozwól mi skończyć. – Uniósł rękę. – *Frankenstein* to powieść napisana ku przestrodze. Próbując stworzyć doskonałość, doktor Frankenstein tchnął życie w potwora. Cygan jest kreacją twojego ojca i teraz uznał, że jego powinnością jest zgładzenie monstrum. Ściślej biorąc, Sinjon zamierza napuścić mnie na Cygana, abym to ja pozbawił potwora życia na oczach jego stwórcy i twoich.

Po policzku Tess spłynęła łza.

– We wszystkim, co robi ojciec, kryje się haczyk, prawda?

Położyła głowę na jego ramieniu, a on objął ją w talii. Miała wrażenie, że wróciła do domu, ale to uczucie nie miało szansy wytrzymać próby czasu. Niejedno można wybaczyć i puścić w niepamięć, ale to, co zrobiła Jackowi, musiało pozostawić bliznę. Wybrała ojca kosztem ukochanego. Uwierzyła ojcu, kiedy mówił, co zaszło tamtej nocy w Whitechapel, i nie chciała wysłuchać Jacka. Odprawiła go, nim jeszcze zdążył przedstawić własną wersję wydarzeń. Gdyby tylko to doprowadziło związek do końca, może zdołałaby znaleźć sposób na naprawę sytuacji. Chodziło jednak o coś więcej, znacznie więcej. Czegoś takiego nie dało się wybaczyć.

– Pragnę cię, Tess – powiedział Jack cicho. – Wiem, że nie odbudujemy naszej więzi, ale spędziliśmy ze sobą wiele miłych chwil, prawda? Mogę sprawić, że zapomnisz o problemach, przynajmniej na dzisiejszą noc. Oboje potrzebujemy tego samego.

Proponował jej chwilę rozkoszy, rozładowanie napięcia i nic ponadto. Nigdy nie łączyło ich nic więcej. Gdyby było inaczej, ostatnie cztery lata spędziliby razem.

Wstał i wyciągnął do niej dłoń. Tess zadała sobie pytanie, czy była skłonna przyjąć to, co jej oferował. Nie wiedziała, jak zniesie następne rozstanie, jeśli ją znowu zostawi. Mimo że on proponował jej zaledwie jedną noc. Sama nie wiedziała, czy to za mało, czy za dużo?

Zawahała się. „Black Jack” Blackthorn był dumnym człowiekiem i na pewno nie zamierzał ponowić propozycji. Popatrzyła na jego przystojną twarz i wzięła go za rękę.

Inaczej ją zapamiętał. Cztery lata temu za jego sprawą zmieniła się z dziewczyny w kobietę, którą teraz trzymał w ramionach. Jej nadal szczupłe ciało zaokrągliło się tu i ówdzie, a zarys jej bioder wydawał się bardziej

kuszający. Miała pełniejsze piersi, jakby wrażliwsze na jego dotyk.

Kochali się powoli i ostrożnie, a on uczył się jej ponownie, chociaż tak naprawdę niczego nie zapomniał. Odkąd przestał się z nią spotykać, przez jego życie przewinęło się wiele kobiet. Cztery lata to szmat czasu, a on miał swoje potrzeby. Przelotne kochanki nic jednak dla niego nie znaczyły, nie mogły zastąpić Tess i nigdy nie ofiarowały mu tego, co przy niej odkrył. Uwielbiał wsłuchiwać się w jej westchnienia i tłumione okrzyki rozkoszy. Tęsknił za jej dotykiem, pragnął, by go pieściła i rozniecała w nim żar. Jego serce pęczniało z satysfakcji, kiedy uświadamiał sobie, jak wielką daje jej przyjemność.

Jestem twoja, zdawały się mówić jej oczy. Tylko twoja. Weź mnie, weź wszystko, co mam, i ofiaruj mi to, co twoje. Teraz!

Znał rytm Tess, ona zaś wiedziała, jakiego tempa oczekiwał. Patrzyli na siebie, a Jack w głowie słyszał głos skandujący: Kocham cię, kocham cię, kocham, kocham...

Spała w jego ramionach, kiedy Jack kontemlował świt za oknem i odtwarzał w pamięci ostatnie godziny. Prześladowały go jego własne, przyciszone słowa, przez które nie mógł znaleźć ukojenia we śnie.

Sądził, że przed laty połączyła ich miłość. Wierzył w to całym sercem. Uśmiech Tess, sposób, w jaki przygryzała dolną wargę, zastanawiając się nad czymś, jej zapach— wszystko to poruszało go do głębi. Samo myślenie o niej sprawiało, że świat wokół wydawał się czystszy i piękniejszy. Gdy na niego patrzyła, zaczynał wierzyć, że jest lepszym człowiekiem.

Wspólnie spędzone miesiące okazały się najwspanialszym okresem w jego życiu. Wtedy nie dostrzegał żadnych problemów istotnych dla ich przyszłości. Był samotny przez całe życie, nawet w dzieciństwie. Jako bękart wszędzie czuł się obco.

Nie wiedział jednak, czym jest prawdziwa samotność, dopóki nie utracił Tess.

Teraz ponownie leżała w jego ramionach, a on delectował się jej bliskością. Starał się nie myśleć o tym, że ta radość jest przelotna i zniknie wraz z nadejściem dnia. Nic nie mogło się zmienić do czasu odnalezienia Sinjona, gdyż dopiero wtedy Tess miała szansę uporządkować swoje życie. Jack to rozumiał. Jego matka była skomplikowanym człowiekiem, w pewnym sensie nawet bardziej niż Sinjon, a motywy jej postępowania pozostawały nader niejasne. Podobnie jak Tess, Jack mógł jedynie nauczyć się radzić sobie z życiem i jak najlepiej rozgrywać otrzymane w rozdaniu karty.

Ostrożnie, aby nie obudzić Tess, wyśliznął się z łóżka. Ubrał się, wzięły buty do ręki i wyszedł z sypialni, myśląc o wyjeździe razem z Tess do Londynu.

Jeśli los im sprzyjał, Will i Dickie podjęli trop i misja stanie się znacznie łatwiejsza. Jack jednak nie liczył na łut szczęścia. Włożywszy buty, doszedł do wniosku, że zacznie od wizyty w tajnej kryjówce Sinjona.

Perlisty śmiech oraz tupot stóp sprawiły, że się odwrócił. Wtedy ujrzał małe ciemnowłose dziecko, które pojawiło się na podeście pierwszego piętra. Tuż za maluchem podążała stara Emilie, czerwona i zasapana po wyścigu po wąskich schodach.

– *Jacques! Vous coquin, reviens ici!* – wykrzyknęła.

Chłopiec stanął jak wryty i podniósł wzrok na wysokiego mężczyznę, który stał mu na drodze.

– *Maman?* – spytał, patrząc w bok. Jego policzki były zarumienione z zachwyty. W następnej chwili na jego twarzy zagościł uśmiech i chłopczyk rzucił się ponownie biegiem przed siebie, omijając Jacka.

– *Maman!*

Jack odwrócił się i zobaczył, że Tess klęka na dywanie, a chłopiec rzuca się jej w ramiona. Przytuliła dziecko i podniosła błagalne spojrzenie na Jacka.

– Jack... – zaczęła takim tonem, jakby prosiła go o wyrozumiałość.

Nie czekał jednak, by się dowiedzieć, co miała do powiedzenia. Spojrzał z niedowierzaniem na dziecko, obrócił się na pięcie i ruszył na dół. Po chwili wypadł przed dom, niemal wyrywając drzwi wejściowe z framugi, i jak oszalały popędził przed siebie zwirowym podjazdem. Chciał jak najszybciej oddalić się od tego domu i od Tess, zniknąć gdzieś, gdzie nie mogła zobaczyć, co mu zrobiła.

Miał syna. Do licha, naprawdę miał syna!



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Tess pośpiesznie dokończyła toaletę, podczas gdy Jacques gawędził i biegał po całej sypialni, zupełnie nieświadomy powagi sytuacji. Emilie stała obok i załamywała ręce, obwiniając się za to, że pomimo jej opieki chłopiec wybiegł na korytarz, aby odwiedzić sypialnię *maman*, jak każdego poranka.

Pojawienie się wysokiego mężczyzny nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. Znacznie bardziej interesowało go, gdzie się podział jego ukochany *grand-père*.

*Grand-père*. Jacques był oczkiem w głowie ojca Tess, i to od dnia narodzin. Markiz, który ignorował pozbawione matki dzieci, kiedy były małe, teraz często stawał przy łóżeczku wnuka i godzinami przyglądał się śpiącemu chłopcu. Nie szczędził mu uśmiechów, przynosił przysmaki, a do tego bujał go na kolanie i opowiadał niemądre historyjki, kiedy sądził, że nikt nie słyszy. Tylko Jacques mógł tulić się do dziadka i chodzić z nim za rękę do ogrodu i na poszukiwanie przygód. Stał się ważniejszy niż ukochane eksponaty Sinjona.

Jack miał słuszość, lecz zarazem był w błędzie. Jacques został prawdziwym spadkobiercą markiza, tym, którego ojciec Tess pragnął strzec i który kiedyś miał go wspominać i opłakiwać. Sinjon postanowił najwyraźniej umrzeć jak bohater, powstrzymując Cygana. Nie zrobił tego ani dla syna, ani dla córki, lecz zamierzał zmienić się dla wnuka... a także dla samego siebie. Jak we wszystkim, co dotyczyło markiza Fontaine, i w tym niewątpliwie tkwił jakiś haczyk.

– Już w porządku, Emilie – zapewniła piastunkę Tess, drżącymi palcami zapinając guziki porannej sukni. – Poza tym nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Myliłyśmy się. Nie trzeba było ukrywać Jacques'a przed Jackiem.

Zbyt długo popełnialiśmy błędy i zbyt wiele się ich nagromadziło.

Piastunka tylko wydmuchała nos w chusteczkę.

– Chodź, skarbie – powiedziała Tess i wyciągnęła rękę do syna. – Pobiegnij na zewnątrz, gdzie świeci słońce.

– Piłka Jacques'a? – spytał chłopiec.

Gdy szli na dół, odważnie zeskoczył z ostatnich dwóch stopni i skręcił do kuchni, gdzie kryła się jego ukochana piłka w paski.

Tess pomachała ręką, gdy kucharka podsunęła jej ciastko. Była zbyt zdenerwowana, aby czuć głód. Jej świat wczoraj stanął na głowie, a tego ranka wykonał woltę. Co oczywiste, ich życie musiało się zmienić, ale jak na razie zamierzała udawać przed Jacques'em, że wszystko jest po staremu.

– Na ścieżce, Jacques! – krzyknęła, gdy pognał na trawnik za ogródkiem warzywnym. – Pietruszka służy do jedzenia, nie do deptania, czyżbyś zapomniał?

Chłopiec odwrócił się i uśmiechnął szeroko, zupełnie jak jego ojciec, po czym podrzucił piłkę i pobiegł za nią ile sił w nogach. Po kilku minutach szaleńczej zabawy raptownie zatrzymał się przed wysokim mężczyzną w czarnych oficerkach.

Tess poczuła, jak jej serce zamiera.

Jack podniósł piłkę, a następnie przykucnął i wręczył ją dziecku. Jacques zawahał się, ale mężnie wyciągnął ręce po zabawkę. Obaj na chwilę zamarli, wpatrując się w siebie.

– *Merci, monsieur* – powiedział Jacques i ukłonił się, jak go uczono. – Dziękuję panu.

Jack uniósł drugą rękę, jakby chciał pogłaskać syna po policzku. Chwila jednak minęła i Jacques znowu pognał przed siebie, zapamiętane ją ścigając, Jack zaś podszedł do Tess.

– Jack, mogę... nie, nieprawda – westchnęła. – Nie mogę tego wyjaśnić. Nie mogę nawet prosić cię o wybaczenie.

– To prawda, nie możesz. – Nie odrywał wzroku od Jacques a. – Chłopiec powinien mieć psa. Po to się rzuca piłkami. W Blackthorn nie brakuje szczeniąt. Na początek damy mu niewielkiego, żeby go nie przewrócił.

Psa? Dlaczego, na litość boską, rozmawiał z nią o psach?

– Co takiego? – spytała nerwowo, niemal pewna, że się przesłyszała.

– Mniejsza z tym – mruknął, nadal wpatrzony w syna. – Sam się tym zajmę. Emilie już pakuje jego rzeczy, a ja kazałem zaprzęgać konie. Wyruszają za godzinę i powinni dotrzeć do Blackthorn jutro po południu.

Tess z paniką w oczach patrzyła na dziecko.

– Nie możesz tego zrobić. Nie możesz go zabrać – powiedziała. – To mój syn.

W końcu zerknął na nią, ale zaraz potem znowu skupił uwagę na chłopcu, uważnie obserwując każdy jego ruch.

– Ty i ja dzisiaj rano jedziemy do Londynu, zgadza się?

Skinęła głową, zdumiona, że nadal chciał ją zabrać.

– Innymi słowy, musielibyśmy pozostawić mojego syna pod opieką Emilie i niczyją inną. To wykluczone.

– A dlaczego? – Miała ochotę podbiec do Jacques'a i chwycić go w ramiona.

– Sinjon pokazał mi pokój skarbów. Innymi słowy, nie możemy być pewni, czy również Cygan nie dostał tego zaszczytu. W każdym razie na pewno wie o kolekcji, a skarby mogą go tutaj przywabić.

– Nie rozumiem.

Z trudem zbierała myśli. Jack odbierał jej syna, który był dla niej

wszystkim, co kiedykolwiek miała.

– Nie zastanawiałaś się, dlaczego Cygan nigdy nie próbował zabrać twojemu ojcu kolekcji? Wie, że jest tutaj, pomagał przy zdobyciu wielu eksponatów. I pomyśleć, że tylko jeden stary człowiek stał pomiędzy fortuną a Cyganem, który mimo to nigdy nie próbował wyciągnąć po nią ręki. Jak myślisz, z jakiego powodu?

Patrzyła, jak Jacques obraca się z piłką w rękach i chichocząc, upada na trawę. Słońce świeciło, dziecko się śmiało, a mimo to świat Tess właśnie zachwiał się w posadach. Musiała się skupić. Jack mówił rzeczowo, nie okazywał emocji. Zawsze się zastanawiała nad tym, jak pracuje jego umysł, logiczny i analityczny.

– Nie wiem – przyznała. – Przecież to nie ma sensu.

– Nie, nie ma. Ale pamiętaj, że współpracowali przez ponad dziesięć lat. Pojawiła się między nimi więź silniejsza niż między uczniem a nauczycielem, być może wiąże ich swoisty złodziejski kodeks honorowy. Albo Cygan obiecał, że za życia mentora nie wyciągnie ręki po kolekcję. Z kolei Sinjon mógł się wtedy zobowiązać, że nie będzie go ścigać. Tylko oni wiedzą, jak i dlaczego zawarli porozumienie i na czym ono polega.

– Cokolwiek robi tatko, zawsze ma jakiś ukryty powód – zgodziła się Tess, zastanawiając się, do czego prowadzą rozważania Jacka. – Cygan nie bez przyczyny trzyma się z daleka od naszego domu.

– W istocie. Może być wiele powodów takiego stanu rzeczy. Z dwóch, które dotąd przyszły mi do głowy, ten drugi ma chyba więcej sensu. Wśród złodziei raczej nie ma co liczyć na szczególny honor. Tak czy owak, warunki układu przestały odpowiadać twojemu ojcu, kiedy uznał, że z moją pomocą może ponownie zająć się powiększaniem kolekcji. Dlatego postanowił zabić Cygana w Whitechapel. Swój błąd w ocenie sytuacji Sinjon przyplacił życiem

syna.

– Dobry Boże... – westchnęła.

– Nie sędzę, żeby Bóg miał z tym cokolwiek wspólnego – powiedział Jack oschle. – Potwór stworzony przez twojego ojca pozostawił swoją wizytówkę na piersi René, Sinjon w taki czy inny sposób uznał tę karę. Tyle tylko że po czteroletniej nieobecności Cygana wizytówki ponownie pojawiły się w Anglii. Twój ojciec znowu zasadził się na wychowanka, lecz jeśli i tym razem powinie mu się noga, Cygan może uznać, że warto wyciągnąć rękę po kolekcję albo dać Sinjonowi jeszcze jedną nauczkę. Tak czy owak, mój syn nie będzie w to zaangażowany, ponieważ stąd zniknie. Jeszcze dzisiaj jedzie do Blackthorn.

– Nie twój, tylko nasz syn. I ma na imię Jacques – poprawiła go Tess, zacisnąwszy dłonie w pięści.

– Wszystko to, co powiedziałaś, odkąd się zjawiałaś, opiera się na założeniach i może być kłamstwem. Wszystko, od początku do końca!

Czuła się niczym tonący, który chwyta się brzytwy, i dobrze o tym wiedziała, ale nie mogła dopuścić do tego, by Jack odebrał jej dziecko.

– Masz rację, Tess, Wszystko, co mówię, może być nieprawdą albo po prostu jestem w błędzie, a twój ojciec to cholerny święty i teraz doskonale bawi się w Londynie bez żadnego konkretnego powodu. – Ponownie zerknął na Jacques'a. – Pytanie brzmi, czy jesteś gotowa zaryzykować życie naszego syna, bo ja nie.

– W takim razie niech Jacques jedzie z nami do Londynu.

Zdumiała ją własne słowa. Właśnie przyznała, że jej ojciec jest złodziejem, a gdyby powinęła mu się noga, mógł narazić życie wnuka i córki... Choć wątpiła, by specjalnie przejmował się jej losem, tak niskie miała teraz mniemanie o własnym ojcu. W tej chwili kierowało nią jedno – troska o

dobro Jacques'a. Była gotowa odważyć się na wszystko, byle tylko zapewnić dziecku bezpieczeństwo, nawet jeśli w ostatecznym rozrachunku oznaczałoby to utratę ukochanego.

Tatko musiał widzieć, że znikając, ściągnie tu Jacka.

Jacques skorzystał z okazji, aby z piłką w dłoniach podejść do ojca.

– Rzucamy? – spytał.

To było przeznaczenie, palec Boży, ale tym razem szczęście się do niej uśmiechnęło. Nic innego się nie liczyło, kiedy Jack spoglądał na syna z nieskrywaną miłością w oczach.

– Dobrze, mój mały, możemy porzucić. Rzuć piłeczkę tatusiowi – powiedział z drzeniem w głosie.

– Tatusiu, łap piłeczkę! – zawołał Jacques.

Raporty przedkładane władzom nie zawierały wzmianki o dziecku. Nie było ono istotne, liczył się tylko Sinjon. Wywiadowców skierowanych do jego obserwacji nie wybrano spośród osób stojących najwyżej w hierarchii służbowej. Nic dziwnego, że nie widzieli powodu, aby wspominać o istnieniu chłopca.

To jednak nie oznaczało, że Jack nie powinien był wiedzieć o synu. Mógł zatrudnić własnych obserwatorów i przez ostatnie cztery lata we własnym zakresie regularnie kontrolować sytuację.

Cóż, nie ufał sobie na tyle, aby ponownie spotkać się z Tess i liczyć na to, że zmieniła zdanie i jest gotowa przyjąć go z powrotem. Nie chciał robić z siebie głupca, rozdrapując głębokie, ledwie zabliźnione rany. Dlatego ograniczył się do czytania sprawozdań, jak zwykły tchórz. Samolubnie chronił siebie. Powrócił do dawnych nawyków, tak jak po okrutnych słowach matki. Odejdź stąd, powiedziała. Nie jesteś tu mile widziany. Nie pasujesz do otoczenia.



Jack jechał przed powozem, świadom, że gdzieś z tyłu wlecze się za nimi opłacany przez Koronę wywiadowca. Człowiek ten najwyraźniej nie grzeszył rozumem, skoro nie zameldował o obecności dziecka w domu ani też nie doniósł o osobliwym zachowaniu markiza, który od ponad miesiąca często znikał z posiadłości na wiele godzin dziennie.

Jack czuł, że należało odesłać chłopca i Tess do Blackthorn, ale Beau zapewne wyjechał na inspekcję innych posiadłości markiza, a Bóg jeden wiedział, co knuł Puck, mając dom tylko dla siebie. Ostatni list, który Jack otrzymał od młodszego brata, pełen był entuzjastycznych opisów cielęcia, które Puck osobiście pomógł sprowadzić na świat i nazwał „Black Jackiem”, gdyż było zarazem czarne i uparte.

Pozostawał jeszcze markiz oraz – być może – Adelaide, o ile uznałaby za stosowne odwiedzić posiadłość. Matka zapewne zemdlałaby na wieść, że została babką, a markiz fatalnie przyjąłby nowinę o jeszcze jednym nieślubnym potomku. Z racjonalnego punktu widzenia lepiej było zabrać Jacques’a i Tess do Londynu. Aż dziw bierze, w jakim stopniu człowiek potrafił racjonalizować egoizm, gdy służył on jego celom. Jacques powiedział do niego „tatusiu”...

Jack poczekał, aż powóz go wyprzedzi, po czym pośpieszył wierzchowca, by zrównać się z drzwiczkami. Pochylił się nieco i zajrzał do środka. Emilie drzemała na kanapie, tyłem do kierunku jazdy, podczas gdy Tess czytała chłopcu coś ze sfatygowanej książki.

Jacka ogarnęło wzruszenie, gdy Jacques odsunął się od matki, aby przycisnąć dłonie do szyby, uśmiechnął się szeroko i powiedział coś, czego Jack nie słyszał.

Skinął na Tess, żeby opuściła szybę, ale tylko pokręciła głową.

– Natychmiast – nakazał bezgłośnie, spoglądając jej wyzywająco w



oczy.

Chciał wiedzieć, co mówi jego syn, a ona nie miała prawa uniemożliwiać mu rozmowy z dzieckiem. To on trzymał w ręku wszystkie karty i Tess powinna być tego świadoma, podobnie jak faktu, że w razie potrzeby bez wahania wyłoży je na stół. Przez niemal cztery lata trzymała syna z dala od niego i był to dług, którego nie mogła tak łatwo spłacić.

Opuściła szybę, jednocześnie tuląc wiercącego się Jacques'a.

– Tak się składa, że usiłowałam położyć go spać – oświadczyła oskarżycielskim tonem. – Najwyraźniej nigdy nie odbywałeś wielogodzinnej podróży z małym dzieckiem, na dodatek w marnie amortyzowanym powozie. Wymiotował już dwukrotnie, choć trzeba przyznać, że niespecjalnie się tym przejął.

– Koń! Koń! – Jacques przekrzykiwał niezadowoloną matkę.

Jack popatrzył na Tess. Była piękna, ale niewątpliwie wyczerpana czterogodzinną jazdą do Londynu. Jej częściowo zgnieciony czepek leżał obok, a kilka jasnych loków wymknęło się spod szpilek. Jacques najwyraźniej dał matce do wiwatu.

Jack uśmiechnął się z satysfakcją. Jacques, jego syn. Oczywiście, że daje wszystkim do wiwatu, widać wrodził się w ojca.

Nakazał woźnicy zatrzymać powóz, a sam pochylił się i nacisnął klamkę.

– Daj mi go – zażądał. – Mały potrzebuje świeżego powietrza.

Tess już miała zaprotestować, ale nieoczekiwanie kąci jej ust uniosły się w nieśpiesznym, nieco złośliwym uśmiechu.

– Ależ naturalnie – odparła. – Niemniej ostrzegam, nie pachnie najładniej, zwłaszcza po ostatnich nudnościach. Kiedy dotrzemy do Londynu?

– Już za godzinę. Przez ten czas chłopiec będzie ze mną. W mieście oddam go tobie, a ty opuścisz zasłony w oknach, dobrze?

– Oczywiście – zgodziła się, podsuwając Jacques’a ojcu.

– Proponuję, abys wzięła przykład z Emilie i spróbowała uciąć sobie drzemkę. Wyglądasz tak, jakby przydała ci się chwila wytchnienia. W sumie trudno się dziwić, ostatniej nocy niespecjalnie długo spałaś, prawda?

Po tej nieco kąśliwej uwadze Jack uniósł Jacques’a i posadził go przed sobą w siodle. Tess mocno zatrzasnęła drzwi, tym samym dając znać woźnicy, aby ruszał w dalszą drogę.

Czuł się jak za dawnych lat. Przekomarzali się, kłócili, często rywalizowali, tyle tylko że teraz łączyło ich dziecko.

Objąwszy chłopca w pasie, Jack pochylił się i pocałował go w miękkie loki. Jeszcze nie zdołał się przyzwyczaić do uczuć wywołanych bliskością syna. Moje dziecko, pomyślał.

Do niedawna nie dostrzegał dla siebie żadnej przyszłości, teraz okazało się jednak, że przyszłość istnieje. Brakowało mu nadziei, teraz ją odzyskał. Sądził, że nie istnieją dobre zakończenia, ale może się mylił. Wszystko to, co dzieliło jego i Tess, odeszło w przeszłość wraz z Sinjonem, Cyganem i René. Pozostało jednak pytanie, czy to jemu nie mogła wybaczyć tragedii brata, czy też sobie?

Jacques trzymał się teraz kurczowo grzywy ogiera i podskakiwał radośnie przed Jackiem.

– Koń! – pokrzykiwał. – Koń! Szybciej! Szybciej!

– Doprawdy? Chcesz szybciej? Powinienem był się domyślić, że nie pierwszy raz siedzisz w siodle. Przecież twoją mamą jest Tess. Doskonale, chłopcze, niech więc będzie szybciej!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Dobry wieczór, jaśnie panie – powitał go kamerdyner w domu przy Grosvenor Square.

Zanim Jack zdążył zapukać, Wadsworth otworzył tylne drzwi do budynku tak, jakby spodziewał się przybycia pracodawcy. Był doskonale opanowany, chociaż niewątpliwie zbiegł po schodach na wieść o tym, że pan Blackthorn pojawił się w stajni na tyłach posiadłości.

– Dobry wieczór, Wadsworth. – Jack wręczył mu śpiącego Jacques’a. – Jeśli jakakolwiek krzywda spotka to dziecko, zjem twoją wątrobę na obiad i każę ci na to patrzeć. Rozumiesz? – dodał uprzejmie.

– Byłoby to jak najbardziej uzasadnione, jaśnie panie. Dobry wieczór, pani – zwrócił się do Tess, która właśnie weszła do ciepłej kuchni, rozglądając się wokół siebie.

– To lady Thessaly Fonteneau, Wadsworth. Dopilnuj, aby zaniesiono na górę jej bagaże.

Wadsworth był dawniej żołnierzem i nie do końca opanował wszystkie niuanse pracy kamerdynera, jednak za sprawą Beau i Pucka nabrał pewnego doświadczenia. Ponadto nie był ślepy i od razu zauważył podobieństwo ciemnowłosego dziecka do pana Blackthorna.

– Wedle życzenia, jaśnie panie – odparł ze stoickim spokojem.

Jack był prawie pewien, że kamerdyner mrugnął do niego porozumiewawczo, ale postanowił to zignorować, gdyż w tej samej chwili do kuchni wpadła Emilie. Wyrzucając z siebie potok francuszczyzny, odebrała Wadsworthowi chłopca, a następnie nakazała się prowadzić do pokoju dziecięcego.

Tess uniosła rękę, jakby chciała powstrzymać kamerdynera i piastunkę, ale opuściła dłoń, kiedy Jack pokręcił głową.

– Powiedziano mi, że kamerdyner Blackthornów jednym strzałem powalił kiedyś dziesięciu żołnierzy z elitarnej straży Bonapartego. Osobiście podejrzewam, że ta historia jest cokolwiek podkoloryzowana, niemniej jestem gotów powierzyć mu syna i ty również powinnaś. A teraz idziemy do salonu, żeby zajrzeć do karafki z winem, która z pewnością tam na nas czeka.

– Idziemy? Wolałabym, żebyś mi nie rozkazywał, Jack, bo mam wtedy ochotę się buntować, a że chce mi się pić, nie uniemożliwiaj mi sięgnięcia po trunek.

– Zgoda. – Uniósł łokieć, aby wzięła go pod rękę. – W takim razie proponuję udać się do salonu na przekąskę i może łyk lemoniady.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, jakby sprawdzała, który jego słaby punkt zaatakować.

– Nie dość, że jesteś arogancki, to jeszcze patrzysz na mnie z góry– mruknęła. – To jedne z twoich najmniej atrakcyjnych cech, Jack. Może więc po prostu pójdziemy już na miejsce? Mam chęć splukać z ust smak pyłu z drogi.

W drzwiach do kuchni stanęła zaspana kucharka, którą Jack poprosił o przyniesienie czegoś na ząb. Poprowadził Tess do salonu, przy okazji pokazując jej dom. Gdy w końcu usiadła na kanapie w salonie, Jack napełnił winem dwa kieliszki i wręczył jeden Tess. Pomyślał, że ona jedna potrafi zachowywać się tak szorstko i buńczucznie, nie tracąc przy tym wyjątkowego uroku, którego nigdy nie dostrzegł u żadnej innej damy.

Gdy opróżniła kieliszek jednym haustem, Jack uznał, że to zasługa jej francuskiej krwi, gdyż jak wiadomo, Francuzi wysysają wino z mlekiem matki. Czasami zastanawiał się, czy Tess przypadkiem nie pokonałaby go w

pijackich zawodach.

– Lepiej – oznajmiła zwięźle i uniosła kieliszek w oczekiwaniu na dolewkę. – A teraz powiem ci, że mam pewien pomysł.

– Nie dzisiaj, Tess. Sinjon bawi w Londynie od ponad tygodnia, zatem jedna noc więcej nie ma znaczenia. Albo przybyliśmy na czas, albo jest już za późno. Mamy inne sprawy do omówienia.

Poruszyła się nieznacznie.

– To prawda, ale ja nie chcę o nich rozmawiać.

– A jednak właśnie na nich się skupimy. – Jack stanął przed kominkiem, opierając się jedną ręką o półkę pod portretem markiza Blackthorn. Natychmiast okazało się, że popełnił błąd.

– To twój ojciec? – Tess odstawiła kieliszek i podeszła do portretu młodego, przystojnego blondyna o jasnej cerze i niebieskich oczach. Obraz prawdopodobnie zamówiono w czasie, gdy markiz był mniej więcej w wieku Jacka. – Nie przypominasz go. Czy twoja matka ma ciemne włosy?

– Nie – odparł Jack krótko.

– Nie? – Tess ponownie zerknęła na portret, a potem znowu na Jacka. – Chcesz powiedzieć, że jest jasnowłosa, jak ja?

– Adelaide w niczym nie przypomina ciebie, a ty nie jesteś do niej ani trochę podobna. Gdybyś była, dziecko na górze nigdy nie zostałoby poczęte. Jesteśmy tutaj po to, by rozmawiać o Jacques’u i o tym, dlaczego trzymałaś go z dala ode mnie.

Nie powinien był próbować odwrócić jej uwagi. Tess, gdy miała do rozwiązania zagadkę, przypominała psa, który zatapia zęby w kości i nie ma zamiaru puścić.

– Twoi bracia, Oliver LeBeau i Robin Goodfellow. Ty, Don John. Wszyscy otrzymaliście imiona bohaterów szekspirowskich, zapewne przez

wzgląd na matkę aktorkę. Don John był bękartem – przypomniała sobie. – Szekspir nigdy mnie nie fascynował, przyznaję, ale to zapamiętałam. Czy pozostałe dwie postaci są również bękartami?

– Nie, nie są, a moi bracia wolą być znani jako Beau i Puck, podobnie jak ja wolę, kiedy ludzie zwracają się do mnie Jack. Dlaczego mi nie powiedziałeś, Tess? Przecież to mój syn. Mój syn!

– Czy również mają ciemne włosy? – drażyła, jakby w ogóle nie usłyszała jego słów. – Beau i Puck?

Jack odsunął się od kominka, podszedł do barku i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina. Doszedł do wniosku, że w ogóle nie powinien być jej tutaj przywozić. Mógł zabrać ją do swojego domu przy Half Moon Street, ale wybrał Grosvenor Square ze względu na bezpieczeństwo Jacques'a.

– Są podobni do rodziców – powiedział i spojrzał wyzywająco na Tess. – Nie odpuszczisz, prawda?

– A ty? – odpowiedziała pytaniem. Było jasne, że nie ustąpi. – Kiedyś wyznałeś, że nie masz swojego miejsca na ziemi. Pomyślałam, że chodzi ci o twoje nieślubne pochodzenie. Z pewnością ciężko być nieślubnym synem markiza. Ni pies, ni wydra, jak to powiadają. Właściwie nie wiadomo, gdzie pasujesz, o ile w ogóle gdziekolwiek. Niemniej bawimy teraz w domu twojego ojca i od razu widać, że nie jesteś tu pierwszy raz. Wygląda więc na to, że markiz jest nader wspaniałomyślny w stosunku do swoich nieślubnych dzieci.

Rozpracowywała go, krok po kroku, a Jack nie przeszkadzał, głównie dlatego, że i tak nie miałby szans jej powstrzymać.

– Czy jest równie wielkoduszny w stosunku do twojej matki?

– Chyba musiałabyś ją o to zapytać. – Wzruszył ramionami. – Zlecił wybudowanie dla niej niewielkiego domu na terenie posiadłości. Matka tam

mieszka, kiedy nie podróżuje z trupą aktorów, którą dla niej kupił. Dom jest kryty strzechą, a matka lubi się wcielać w rolę wiejskiej dziewczyny. Jest tam kilka owiec, więc przebiera się za pasterkę i paradyje z laską przewiazaną dużą różową kokardą. Wydaje mi się, że jest zadowolona.

– Nie lubisz jej, prawda? – domyśliła się. – Nie przepadasz za swoją matką. Pamiętaj, to nie jej wina, że jesteś bękartem, Jack. Nie bądź niesprawiedliwy.

Jack zaśmiał się z goryczą.

– W istocie, biedna Adelaide. Najwyraźniej jej współczujesz, jak jedna matka bękarta drugiej – wycedził.

Tess podeszła do Jacka i spoliczkowała go z całej siły.

– Nie nazywaj naszego syna bękartem! – krzyknęła.

Jack nawet nie drgnął.

– Wybacz. Najwyraźniej zapomniałem wspomnieć o tym, że się z tobą ożenię. – Miał wrażenie, że jego policzek stoi w płomieniach.

– Nie o to mi chodziło. – Nie zwróciła uwagi na wzmiankę o ślubie. – Nie podobało mi się, jak to powiedziałeś. Ktoś mógłby pomyśleć, że... to ma jakiegokolwiek znaczenie.

– Przecież to ma znaczenie, Tess! – wybuchł. – Na litość boską, nawet jeśli nikt więcej o tym nie wie, wiem ja i moi bracia! Wychowano nas w wielkim domu na terenie posiadłości, tak abyśmy byli lepsi niż w rzeczywistości. Otrzymaliśmy wszystko z wyjątkiem jednego, czego nam było trzeba – prawa do tytułu. Mój syn nie będzie bękartem. Już przesłałem wiadomość do Blackthorn, by zamówiono zapowiedzi w kościele. Staniesz przed ołtarzem, nawet jeśli będę zmuszony zaciągnąć cię tam siłą. Zostaniemy małżeństwem za miesiąc i właśnie dlatego rozmawiamy teraz o tej sprawie.

W końcu udało mu się odwrócić jej uwagę od wszystkich innych spraw.



– Nie chcesz żenić się ze mną, Jack– powiedziała cicho.

– Masz rację, nie chcę. Chciałem ożenić się z Tess, którą znałem. Ciebie nie znam. Moja Tess nie ukrywałaby syna przede mną.

– Stałeś się zimny, Jack. Zimny i surowy, wręcz okrutny. Dawniej taki nie byłeś. Ty też nie jesteś mężczyzną, którego zapamiętałam.

– Cztery lata to szmat czasu – zgodził się. – Praktycznie całe życie, kiedy носи się taki bagaż doświadczeń i wiedzy, jaki przypadł mi w udziale.

– Chodzi o René – powiedziała cicho.

Nadszedł czas, żeby stawili czoło tej sprawie.

– Tak, o René – przytaknął. – Pomówmy o nim. Zmieniłem plan, zmodyfikowałem go, tak aby objąć nim twojego brata. Ponoszę za to winę i nigdy sobie nie wybaczę, że nie wykluczyłem was obojga, co należało zrobić. Wiedziałem, że René pragnął za wszelką cenę zadowolić Sinjona, zrobić na nim wrażenie i dowieść własnej wartości.

– Nie chodziło tylko o tatka. René pragnął, abyś i ty był z niego dumny. On ciebie wielbił.

– W takim razie był głupcem – oznajmił Jack bezlitośnie. – Mimo to żałuję, że nie obmyśliłem innego planu. Popełniłem grzech, Tess, i przyznaję się do tego, lecz na tym nie koniec.

– Tatko rozmyślnie naraził René, aby dopaść Cygana.

– I tyle? – Jack zaśmiał się z pobłażaniem. – Myślisz, że tylko taką winą można obarczyć Sinjona? Mój Boże, wciąż błędzisz we mgle i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Tess groźnie zmrużyła oczy.

– Pragnę, byś w tej chwili odprowadził mnie do mojego pokoju – zażądała.

– Jaki był plan? – krzyknął Jack, gdy ruszyła do wyjścia. – Pomyśl,

Tess. Jaki był plan?

Przygarbiona, odwróciła się ku niemu, a w jej oczach załśniły łzy.

– Miałam odwrócić jego uwagę – powiedziała cicho. – Powinnam była stać w świetle latarni ulicznej przed Covent Garden i ścisnąć torbę, rzekomo zawierającą pieniądze na wymianę za plany następnej bitwy Bonapartego. Chodziło o to, bym dała się zauważyć i przykuła uwagę tego człowieka, zdekoncentrowała go i doprowadziła do jego ujawnienia. Ty i tatko mieliście go unieszkodliwić, kiedy przejmie torbę.

– Dziękuję – powiedział Jack głosem ociekającym jadem. – To ty miałaś to zrobić, nie René, na widoku, nie w zaułku Whitechapel. Tylko Sinjon wiedział, że misja nie dotyczyła tego, czego się spodziewaliśmy. Jedyne Sinjon miał świadomość, że nie stawiamy czoła jakiemuś podrzędnemu francuskiemu zdrajcy. Naszym przeciwnikiem był Cygan, potwór, którego sam nauczył wszystkich możliwych sztuczek i podstępów.

Tess skinęła głową.

– W istocie, Cygan przewidywał każde posunięcie ojca. Tatko zresztą już wcześniej używał identycznego schematu.

Jack pomyślał o Dickiem Carstairsie.

– I ja korzystałem z tego planu, i to z dobrym skutkiem, nie przeczę. Innymi słowy, Cygan bez trudu zorientował się w sytuacji i opracował własny schemat działania – poinformował ją i zbliżył się powoli, aby uniemożliwić jej ucieczkę od prawdy.

– Dlaczego więc Sinjon nie miałby pozostawić na widoku jednego ze swoich dzieci, wszystko jedno którego, a następnie poczekać, aż Cygan zignoruje oczywistą pułapkę? Na miejscu Sinjona czekałbym, aż przeciwnik wyłoni się z cienia i zaatakuje mnie, bo przecież wiedziałby, gdzie się czaje. Ale tak się nie stało, prawda? Sinjon nawet nie patrzył w kierunku

René, kiedy ten potwór przeszywał go nożem.

Tess stała, kołysząc się na piętach, podczas gdy po jej policzkach spływały łzy. Nie była tam, nie widziała tego, co się wydarzyło. Jack jednak znajdował się nieopodal, gotów do następnego ruchu, kiedy mroczna postać w pelerynie z kapturem przeszła na drugą stronę zaułka i bez wahania podeszła do René, a następnie znikła za wąskimi drzwiami, których nikt wcześniej nie zauważył. Zamknęły się za zabójcą, nim René zdążył osunąć się na bruk.

Jack z miejsca ruszył do chłopca. Potem nawet nie pamiętał, jak przeskoczył beczki, za którymi się skrywał. Kilka sekund później Sinjon ukląkł przy synu i zbliżył ucho do jego ust. René chwycił ojca za rękę i szepnął coś niezrozumiałego. Potem jego dłoń opadła. Był martwy, leżał z nożem zatopionym po rękojeść w piersi i z osobliwą czarną wizytówką ze złotym okiem pośrodku, wetkniętą w kieszeń kamizelki.

Cygan zjawiał się w zaułku nie po to, by sprzedać Koronie francuskie sekrety, jak poinformowano Jacka, lecz z zamiarem popełnienia zbrodni – tyle tylko że nie chciał zamordować Sinjona. Zabójstwo René stanowiło ostrzeżenie. Śmierć Tess byłaby taką samą przestrogą, gdyby to ona stała w zaułku.

– Tatko myślał, że ja... że René wyjdzie z tego cało.

– Żadne z was w ogóle nie powinno było uczestniczyć w tej akcji, do diaska! Tess, twój ojciec nie robił tego dla Korony, to była jego osobista misja. Jeden człowiek walczył z drugim. W imię czego, Tess? Przeklętej kolekcji!

– Powinieneś być wtedy mi powiedzieć o tajnym pokoju, o zbiorze, o wszystkim. Niepotrzebnie pozwoliłeś mi zrzucić na ciebie całą winę. Tatko powiedział...

– Wiem, co powiedział. Oświadczył, że zamarłem, nie zareagowałem dostatecznie szybko. Znajdowałem się bliżej i mogłem zapobiec tej śmierci. Nie poradziłem sobie w najważniejszej w życiu misji. To prawda, Tess. Powinienem był położyć temu kres, nim jeszcze zajęliśmy stanowiska w zaułku.

– Nie wiedziałaś, że polujemy na Cygana. – Położyła dłoń na jego ręce.  
– René nie żyje i żadne z nas nie może tego zmienić. Żałuję, że nie powiedziałaś mi tego przed laty. Chciałabym wierzyć, że byłabym gotowa cię wysłuchać i wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej.

Jack otoczył ją ramionami i mocno przytulił.

– Tym razem Cygan zginie, Tess– zapowiedział stanowczo. – Obiecuję ci to.

Cofnęła się i popatrzyła na niego.

– I tym razem będę na miejscu, żeby widzieć, jak umiera – oświadczyła.

– A Sinjon? Co z nim?

– Nie wiem, Jack. Po prostu nie wiem.

Tess podziękowała pokojówce, która pomogła jej włożyć pienuar, a odprowadziwszy ją, popatrzyła z tęsknotą na łóżko po drugiej stronie dużej sypialni. Wcześniej zajrzała na górę, aby sprawdzić, co u Jacques a. Mocno spał w łóżeczku w kształcie łabędzia, a Emilie chrapała w przyległym pokoju, za otwartymi drzwiami.

Wystarczyła zaledwie doba, aby w życiu Tess wszystko się zmieniło. Po raz pierwszy nie miała pojęcia, jak potoczą się wydarzenia.

W ramionach Jacka czuła się szczęśliwa i zaspokojona, tyle tylko że musiała walczyć z emocjami. Prowadziły one do słabości, a na to nie mogła sobie pozwolić.

Jack pragnął Tess sprzed czterech lat, Tess, której już nie było– młodą,

zanadto ufną i nieświadomą. Tamta Tess odeszła bezpowrotnie.

Ubóstwiała ojca. Wielbiła go bez żadnego powodu, biorąc pod uwagę pełne kłamstw życie, które wiedli. Jednak w przeciwieństwie do René, rozmyślała nad tym, co się dzieje wokół niej, choć nigdy nie zdobyła się na to, aby zadać markizowi bodaj jedno poważne pytanie. Wołała robić to, co jej kazał. *Pozwól mu odejść, Thessaly, powiedział. Nie jest ciebie wart. To przez niego nie żyje René. Twój brat nie był jeszcze odpowiednio przygotowany. Żałuję, że cię nie postuchałem. Teraz oboje musimy się uporać z cierpieniem, ale nie ma potrzeby, byśmy codziennie musieli patrzeć temu człowiekowi w oczy. Trzeba zamknąć ten etap życia. Odtąd jesteśmy tylko my dwoje i tak powinno być od początku.*

O tak, ojciec był w tym dobry. Doskonale wiedział, co powiedzieć, jak okręcić ją sobie wokół palca. Powtarzał: *tylko my dwoje, i tak powinno być od początku.* Potem jednak pojawił się Jacques i markiz otoczył szczególną troską wnuka. *Jack nie może się dowiedzieć, bo zabierze dziecko. Straciłem syna, a ty brata, nie możemy stracić też chłopca. Myśl głową, Thessaly. Przecież wiesz, że by go zabrał.*

Teraz ojciec znowu udał się na poszukiwanie Cygana i dobrze wiedział, że nie kto inny, tylko Jack zostanie skierowany do ich domu. Właśnie jego przyślą na poszukiwania... i w efekcie dowie się o dziecku.

Dlaczego? Dlaczego to zrobił?

– O mój Boże – jęknęła, gdy zrozumiała jego motywy.

Musiała jak najszybciej odszukać Jacka i podzielić się z nim tym odkryciem. Zerknęła na stary, wygodny peniuar, po czym wzruszyła ramionami. Nieważne, co miała na sobie, Jack już widział ją nago. Skromność była dla dziewczyc, a nie dla samotnych matek.

Chciała wyjść na korytarz, kiedy nagle drzwi się otworzyły i do środka

wszedł Jack. Tuż za progiem przystanął i wymownie uniósł brwi.

– Proszę, proszę. Wadsworth czegoś chyba nie zrozumiał. – Podszedł bliżej do Tess. – To mój pokój, kiedy bawię pod tym dachem. Oczywiście, jesteś tu mile widziana, choć przyznam, że ten peniuar znakomicie zastępuje pas cnoty. Trudno, jakoś się z tym uporamy...

– Jak na człowieka, który przy każdej możliwej okazji stara się okazywać mi wzgardę, wydajesz się zdecydowanie chętny, by...

– By zedrzeć z ciebie tę suknię, rzucić cię na łóżko i zatonać między twoimi nogami, aż zapiszczysz z zachwytu? – przerwał jej bezceremonialnie. – To chciałaś powiedzieć?

Miała ochotę go spoliczkować, a jednocześnie zbierało jej się na płacz. W tych kilku słowach sprowadził wszystko to, co ich łączyło, do prymitywnych odruchów.

– Tak, chociaż brakuje mi wzmianki o lubieżnym capie – odgryzła się. – Poprzednia noc była pomyłką, Jack, moją pomyłką. A ja nie popełniam dwa razy tego samego błędu.

– Skąd wiesz? Być może już nosisz w sobie moje dziecko. Jeszcze jedno.

– Naprawdę mogłabym cię zniechęcić. Właściwie to już cię nienawidzę!

Nienawidziła również siebie za podniecenie, które poczuła po sugestywnych słowach Jacka.

– Wiem, co zamierza mój ojciec – dodała, postanowiwszy nie ciągnąć tematu.

– Doprawdy? – Zdjął z szyi fular i rzucił go na najbliższe krzesło, po czym zaczął rozpinać frak.

– Owszem. Zamierza się poświęcić, żebyś to ty mógł zabić Cygana.



– Interesujące. – Na chwilę znieruchomiał. – W jaki sposób?

– Chce się wystawić jak René. Postanowił umrzeć, aby Cygan się ujawnił i żebyś ty zajął się resztą. Nie ma zamiaru ująć z życiem z tej awantury, chce umrzeć jak René. W głębi duszy ojciec wini za to siebie, nie ciebie.

– Dlaczego w to wątpię? – Jack powiesił frak na oparciu krzesła.

– Bo nie widziałeś go w ostatnich latach. Tylko Jacques dawał mi szczęście. Ojciec jest stary, Jack, zmęczony i... zrezygnowany. Mówiłeś, że liczy się dla niego wyłącznie kolekcja, i chyba miałeś rację, ale to było kiedyś, nie teraz. Jacques wszystko zmienił. Ostatnio z trudem poznawałam ojca.

– Zawsze go bronisz... – westchnął. – Nawet niesłusznie. Kochany, poczciwy staruszek Sinjon, bujający wnuka na kolanie... Łatwiej byłoby mi wyobrazić sobie diabła, jak rozdaje lody w piekle.

Zabolało, ale Tess zdołała to ukryć. Jack miał prawo do swojej opinii, jednak tylko pod warunkiem, że wysłucha jej zdania.

– Zgadzam się, ojciec nie jest święty, ale tobie przyszło do głowy, że on i Cygan doszli do porozumienia w sprawie kolekcji. Właściwie dlaczego tak nazywamy ten zbiór? – zirytowała się. – Tak naprawdę to nielegalnie zdobyte złodziejskie łupy tatka, jego obsesja.

Jack uniósł rękę na znak, żeby Tess zamilkła.

– Nie zbaczaj z tematu – oznajmił. – Jak rozumiem, chodzi ci o to, że Sinjon jest stary, pewnie wkrótce umrze, ale nie chce, by doszło do tego przed śmiercią Cygana, który z pewnością pragnąłby przechwycić kolekcję. W tej kwestii już się zgodziliśmy, Tess. Właśnie dlatego Jacques jest tutaj, a nie na wsi.

– Tak, ale chodzi nie tylko o to. Tatko prowadzi nas do Cygana. Nie



dybie jednak na niego, jest kozłem ofiarnym przywiązany do drzewa i czeka na pojawienie się wilka. Ty pełnisz rolę kata, który ma tego wilka ubić. Tatko wszystko zaplanował. Chce umrzeć, aby ocalić naszego syna.

Jack usiadł na krześle i uniósł obutą nogę, dając Tess do zrozumienia, że potrzebuje asysty, i przy okazji demonstrując, kto tutaj rządzi.

– Więc teraz jest po części kozłem ofiarnym, po części barankiem – mruknął. – Po jego śmierci my i nasz syn odziedziczymy bezcenną kolekcję... Wyjedziemy z tej wilgotnej wyspy, której Sinjon tak nienawidził, do Ameryki lub gdzie indziej, i dożyjemy kresu swych dni ze świadomością, że zawdzięczamy nasz dostatek jego szlachetnemu gestowi. Zapomnimy o przeszłości twojego ojca i będziemy czcili jego pamięć. Naprawdę oczekujesz, że w to uwierzę, Tess?

– Raczej nie, skoro przedstawiasz to w ten sposób – przyznała, unosząc suknię. Następnie stanęła okrakiem nad nogą Jacka i zaczęła zsuwać but z jego stopy. – Chciałam tylko, abys wziął pod uwagę tę możliwość i zastanowił się, jak go powstrzymać od popełnienia głupstwa. Pomóż mi...

Jack oparł drugą stopę o jej pośladki.

– Skoro nalegasz. Jestem jednak pewien, że Sinjon nie zamierza stać i czekać, aż Cygan przeszyje mu serce nożem. Poświęcenie nie leży w jego naturze. – Po tych słowach mocno pchnął Tess.

Zachwiała się, gdy stopa Jacka w końcu wyśliznęła się z buciora, ale udało jej się zachować równowagę.

– Drugi ściągnij sam. Przy drzwiach stoi piesek do zdejmowania oficerek – burknęła. – Musimy wypracować kompromis. Ja nie ustąpię. Tatko będzie potrzebował przynęty, aby zwabić Cygana. Powiedziałaś, że w kolekcji czegoś brakuje. Co ze sobą zabrał?

Popatrzyła, jak Jack podchodzi do pieska, blokuje w nim obcas i ściąga

but. Miała nadzieję, że nieodwracalnie porysował jego czarną lśniąca skórę. Czasem należało zadowalać się drobnostkami.

– Nazywał to maską Izydy – odparł Jack i wstał.

– To była jakaś egipska bogini.

– Wiem, kim była Izyda. Dała początek niebu i ziemi, a w dodatku jest odpowiedzialna za kilka innych rzeczy, których nie pamiętam. – Zdażył już zdjąć koszulę, więc jeśli miała go wyprosić, powinna zrobić to teraz, na dodatek z przekonaniem. Cóż, nie zdobyła się na to, więc postanowiła kontynuować rozmowę na temat eksponatu. – Rozumiem, że ta maska jest cenna?

– Przedmioty z litego złota zazwyczaj są cenne.

– Jack podszedł do Tess i rozchylił jej peniuar. – To naturalnej wielkości maska na twarz, nie popiersie, chociaż wątpię, by wykonano ją do noszenia. Przede wszystkim jest na to za ciężka. Na złocie namalowano rysy twarzy, i choć farba prawie całkiem się starła, Sinjon zapewnił mnie, że to właśnie Izyda. Miała jakieś nakrycie głowy o kształcie korony, a może był tam hieroglif oznaczający koronę, sam nie wiem. Dał mi potrzymać ten skarb, pewnie w nadziei, że poczuję to, co on. Ja jednak czułem tylko wagę złota i przeliczałem wartość maski na monety. A, kto wie, może właśnie na to liczył, skoro planował zrobić ze mnie złodzieja.

Uwielbiała pracować wspólnie z Jackiem. Świetnie się rozumieli i razem udało się im rozwiązać niejedną zagadkę. Samo dochodzenie do sedna było niemal równie stymulujące jak cielesne igraszki. Nieraz się kochali, dopracowując jednocześnie szczegóły kolejnych misji, zleczanych Jackowi i Sinjonowi przez Koronę. Pod tym względem Tess i Jack byli do siebie podobni – nie interesowały ich proste rozwiązania i łatwe odpowiedzi. Owszem, zależało im na wynikach, lecz prawdziwą satysfakcję przynosiło

przewycięzanie nieoczekiwanych trudności.

Tess nadal nie pozbyła się jedyneo prezentu od Jacka. Było to ośmiokątne pudełko z drewna palisandrowego, wykonane z dziesiątków starannie dopasowanych elementów, które wzajemnie się blokowały. Rozpracowanie łamigłówoki zajęło jej wiele dni, a nagrodą okazał się mały złoty medalion na łańcuszku. W środku znajdowały się ich miniatury, ale teraz nosiła tam podobizny matki i brata. Tess uwielbiała i medalion, i pudełko łamigłówokę.

– Wobec tego maska to z pewnością przynęta, którą zamierza się posłużyć, tak jak tobą – oznajmiła.

– Myślałem, że chcesz powiedzieć mi coś, czego jeszcze sam nie rozpracowałem. Może powinniśmy skończyć z rozmowami.

Wsunął dłonie pod poły peniuaru i dotknął piersi Tess.

– To mnie rozprasza. – Odetchnęła głęboko.

– Tylko tyle? Miałem nadzieję, że wzbudzę w tobie silniejsze uczucia. Twoje piersi bardzo mi się podobają, Tess, są pełniejsze i cięższe. Karmiłaś go piersią? Przystawiałaś mojego syna do sutka?

– Emilie raczej nie nadawała się na mamkę – odparła, przymykając oczy.

– Był żarłoczny, tak jak jego ojciec? Myślałaś o mnie, kiedy go karmiłaś?

Ledwie mogła oddychać.

– Emilie mówiła, że to naturalne, że mogę czuć pewne rzeczy... Bo ssanie sprawia, że macica się obkurcza po porodzie... Ale to nie było tak, jak z tobą... Och, Jack, nie rób tego...

Pochylił głowę, aby drażnić językiem jedną pierś, drugą zaś delikatnie skubał palcami. Tess wyprężyła się lekko, delektując tą drobną

przyjemnością. Gdy ją pieścił, znikwały wątpliwości i zastrzeżenia, wszystko wydawało się takie, jak trzeba.

– Weź mnie, Jack – wyszeptała. – Weź mnie teraz!

Podniósł ją i przeniósł na łóżko, a potem pozbył się reszty ubrania. Stanowczym ruchem podciągnął nocną koszulę na biodra Tess, rozchylił kolana i przyciągnął ją do siebie, jednocześnie zanurzając się w niej i składając na ustach głęboki pocałunek.

Otoczyła go nogami i rękami, z ulgą przyjmując stanowcze pchnięcia. Wiedziała, że później będzie się z nią kochał tak, jak ostatniej nocy, a wtedy ona ofiaruje mu całą siebie.

To prawda, kiedyś ją skrzywdził, ale i ona potraktowała go fatalnie. Oboje byli mistrzami w swoim fachu i wiedzieli, jak zadawać ból– lecz także ofiarowywać rozkosz. Miała nadzieję, że w pewnym momencie nauczą się wybaczać i ufać.

Jak na razie oboje brali to, co przychodziło im najłatwiej. Nadrabiali zaległości żywiołowo i spontanicznie i czerpali z tego niewiarygodną satysfakcję.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Witajcie, panowie – powiedział Jack kilka godzin później i zasiadł przy stoliku w podrzędnej knajpie na końcu Bond Street. Popatrzył na Dickiego Carstairsa i Willa Browninga. – Choć się tego nie spodziewałem, miło ujrzeć was razem. Za wcześnie na teatr? Dziś nie będzie zaproszeń, Will? Nie, to niemożliwe.

Dickie spojrział na niego ze zdumieniem.

– Przez cały dzień plątałem się po Half Moon Street – oznajmił. – Nie dałeś mi sygnału. Zastona odsunięta, jesteś w domu, zaciągnięta – nie ma cię. Odsunięta do połowy, mamy się spotkać tutaj. Sygnału nie było, ale i tak przyszliśmy. Powinieneś dawać nam umówione znaki, Jack. Mówiłeś, że tak będziesz robił.

– Nie dałem sygnału? Ależ jestem zapominalski! Will, czy też zamierzasz mnie rugać?

– Może innym razem – odparł Browning. – Mieszkasz w domu przy Grosvenor Square, prawda? Popisujesz się przed damą, gdyż, jak rozumiem, przebywa tam z tobą? Nie mogłeś zostawić jej na miejscu, co? Nie, żebym cię winił. To ładna dziewczyna.

– A ja, naiwny, myślałem, że twoje przeprosiny były szczerze. – Jack uniósł rękę, dając znak karczmarce, aby przyniosła jeszcze jedną szklanę. – Sytuacja nieco się skomplikowała.

Will popatrzył na niego spokojnie.

– Iście diabelska sprawa, co? Wciąż komplikacje!

Dawniej Henry Sutton łagodził konflikty między Jackiem a Willem, którzy mieli wysokie mniemanie o swoich umiejętnościach i nie uznawali

autorytetów. Dickie Carstairs był kiepskim rozjemcą, choć naprawdę się starał.

– Widzisz? Komplikacje. Mówiłem ci, że naprawdę coś się stało. – Popatrzył na Willa. – Musiał być powód.

Jack skinął głową Dickiemu.

– W domu było dziecko. Nie wiedziałem, co knuje Sinjon i jak to się odbije na jego córce oraz chłopcu, więc postanowiłem zabrać oboje do Londynu, póki nie zorientujemy się w sytuacji. Half Moon Street nie nadawała się do moich celów. Jakies postępy?

Will uśmiechnął się domyślnie, a potem zmarszczył brwi.

– Dobra robota, Jack– przyznał. – Tropimy markiza, a nie jego rodzinę, prawda? Jednak dziecko, i to na dodatek chłopiec... Cudownie. Co do reszty, wiemy, że nasza chytra zwierzyna dotarła tam, gdzie zakładaliśmy. Wynajął człowieka i wóz do przewiezienia ciężkiego kufra. Zlokalizowaliśmy woźnicę, odwiedziliśmy gospodę, ale w pokoju, który markiz wynajął na tydzień, był tylko pusty kufer.

– Ponadto nikt w gospodzie nie pamiętał, żeby leciwa niewiasta opuszczała lokal. Zostawiła, to znaczy Sinjon zostawił, niewielką sakiewkę w pokoju, prawdopodobnie z zapłatą. No i pusty kufer, tak jak mówił Will. Muszę przyznać, nawet ładny... Gospodę opuścił mnich, więc markiz już dwukrotnie skorzystał z tej tożsamości i moim zdaniem, nie zrobi tego ponownie – oznajmił Dickie. – Ale, niestety, wiemy tylko tyle i nie mamy pojęcia, co dalej. Może jego córka coś sugerowała?

– Owszem. – Jack pomyślał o tym, jak Tess przekonywała, że ojciec planuje poświęcić życie, aby on mógł zabić Cygana. Nie aresztować, ale skutecznie uciszyć, by nikt nie miał okazji go przesłuchać i poznać miejsce tajnej skrytki Sinjona. Gdyby do tego doszło, Jacques nie odziedziczyłby

maski Izydy i całej reszty skarbów. Jack wątpił, by Tess zastanawiała się nad tym. – Ale nie przykładam zbyt dużej wagi do tego, co myśli. Wystrychnął ją na dudka, podobnie jak naszego niezbyt inteligentnego wywiadowcę. Wymknął się, choć mieli go tuż przed nosem, co nie najlepiej świadczy o ich czujności. Córka uważa, że jej ojciec dąży do konfrontacji i chce się poświęcić, ale my wiemy lepiej, prawda panowie?

– Wiemy tylko to, co nam powiesz – mruknął Will. – I chciałbym zaznaczyć, że nie podoba mi się twoja skrytość. Pracujemy razem, Jack, w dodatku dla Korony, a nie dla córki przejętej losem starego ojca.

– Kwestionujesz moją lojalność, Will?

– Pewnie, że nie. Po prostu uważam, że powinieneś myśleć nie tym, co masz między nogami, ale głową – odparł Will. – Idę o zakład, że zaraz powiesz coś o igle i stogu siana, a także o tym, że Dickie i ja musimy zniknąć, gdyż sam poprowadzisz sprawę. Przyznaj, Jack, jesteśmy równie daleko od naszego zbiega, jak wcześniej, a ja nie żywię do niego żadnych ciepłych uczuć. Tobie też nie współczuję.

– Ja też tak uważam. Mam na myśli igłę i stóg siana, nie całą resztę – dodał pośpiesznie Dickie. – Co mamy teraz robić? To chyba kres naszych możliwości.

– Ech, wy, ludzie małej wiary, a w twoim wypadku, Will, także bogatej wyobraźni. – Jack się uśmiechnął i uniósł kieliszek w toaście. – Zgadzamy się, że córka jest bezużyteczna, a przynajmniej ja tak uważam. Nie pytaliście, czy ja mam jakieś pomysły.

Dickie poprawił się na krześle i rozejrzał podejrzliwie, czy aby nikt ich nie podsłuchuje.

– A masz? – spytał z ciekawością.

– I owszem. – Jack wyciągnął złożony wycinek „London Times” i



położył go na stole. – Ten sam anons, czy też raczej ogłoszenie, pojawia się w tej gazecie dzień w dzień już piąty raz. Sam sprawdziłem.

Will zwinnie chwycił wycinek, zanim Dickie w ogóle zdążył unieść rękę. Rozłożył papier i popatrzył na niego uważnie.

– Ogłoszenie? Doprawdy?

– To stara i sprawdzona metoda komunikowania się z zainteresowanymi stronami. Przyszło mi do głowy, że Sinjon mógłby spróbować skontaktować się z nami w taki sposób, a przynajmniej sędzę, że jego zdaniem mogłem tak pomyśleć.

– Naprawdę? – Will przeczytał pierwszy anons.

– *Wdowiec z Devon szuka skromnej, cnotliwej niewiasty doskonałego zdrowia, liczącej sobie nie więcej niż lat dwadzieścia i pięć, która chciałaby dostąpić zaszczytu przyjęcia oświadczyn i czerpać przyjemność tudzież satysfakcję z roli matki, jak również edukatorki jego ośmiorga pociech.* Dalej wymienia nazwisko radcy prawnego, z którym mają się kontaktować zastępy ochoczych, czystych i moralnych niewiast. Jakoś nie wyobrażam sobie rzeszy młodych kobiet, oblegających biuro owego radcy. W każdym razie chyba nie ten anons miał przykuć moją uwagę, co?

– Też w to wątpię. – Dickie pokręcił głową. – Ośmioro dzieci? Nic dziwnego, że pierwsza żona zmarła. Pewnie zamarzyło się jej trochę spokoju. Biedactwo. Moim zdaniem bała się chodzić po własnym domu z obawy, że jej mąż satyr przyprze ją do ściany i zmajstruje dziewiątą pociechę.

– Wybacz, ale czy ja się przypadkiem nie przesłyszałem? – zapytał Jack zaskoczony, że Dickie w ogóle pomyślał o czymś takim.

Dickie zarumienił się po koniuszki uszu.

– Tak mój ojciec mawiał o moim wuju Robercie. Wuj nie miał grosza przy duszy. Zawsze przychodził do nas po pieniądze i jęczał, że ma mnóstwo

gąb do wykarmienia. Ojciec powiadał, że trzeba myśleć przed, a nie po... Co cię tak bawi, Willu Browning?

Will ze skrucną zamachał rękami.

– Nic takiego – odparł. – Muszę przyznać, że skomplikowany z siebie człowiek, Dickie. Chyba znalazłem ogłoszenie, które masz na myśli, Jack, tuż za płodnym wdowcem. Ale co to znaczy?

Dickie chwycił gazetę, żeby osobiście zapoznać się z treścią anonsu, a Jack wyjaśnił:

– Ktoś zawiadamia o sprzedaży *objets rares dart*, rzymskich, greckich i egipskich. Zainteresowani kupcy po weryfikacji będą mogli obejrzyć rzeczoną prywatną kolekcję, aby złożyć oferty. Korespondencję należy kierować do pana St. Johna przy Cleveland Row pod numerem dziewiątym, w samo południe piętnastego czerwca, z ogólnym opisem swoich kwalifikacji. To za trzy dni. Jeśli chętni zostaną uznani za godnych nabycia owych dzieł sztuki, sprzedawca skontaktuje się z nimi i umówi na oglądanie kolekcji. Wtedy też rozpocznie się licytacja.

– Tak, tak, widzę to wszystko – powiedział Dickie. – Szczerze powiedziawszy, widywałem tuziny podobnych anonsów, choć żaden nie określał tak precyzyjnie czasu. Zawsze znajdzie się zubożały arystokrata, gotów upłynnić swój dobytek na tyle dyskretnie, aby wierzyciele się o tym nie dowiedzieli. Połowa dam z wyższych sfer nosi szkiełka zamiast diamentów, a tylko połowa tej połowy ma tego świadomość. Tak powtarza mój ojciec. Ale co to ma wspólnego z...

– St. John – przerwał mu Will. – Sinjon. Mam rację?

Jack skinął głową.

– Jak na Sinjona, jest to zabieg bardziej oczywisty niż zwykle, ale zapewne uznał, że nie zrozumie nic bardziej subtelnego.

– Dla mnie to i tak piekielnie subtelne. – Dickie rzucił wycinek na blat. – I co to ma znaczyć? Zaprasza cię na spotkanie i co? Po tym, jak przebierał się za leciwe damy i mnichów, nieustannie zmieniał miejsce pobytu? Dlaczego miałby to robić?

Jack już wcześniej obmyślił, jakimi kłamstwami uraczy towarzyszy.

– Jak sędzę, doszedł do wniosku, że spokojne życie na wsi już mu nie odpowiada, i chce nowej umowy z Koroną – odparł. – Albo Korona zapłaci mu lepiej, by przemilczał nie zawsze chwalebne tajemnice ostatniego dwudziestolecia, albo Sinjon sprzeda owe sekrety kupcowi, który zaoferuje najwięcej. Zwróciliście uwagę na wzmiankę o licytacji, prawda? Wiedział, że Liverpool wysłał właśnie mnie na jego poszukiwania, podobnie jak wiedział, że może nagle przepaść bez śladu, jeśli będzie spokojnie siedział w domu, gdy jego „prośba” trafi na biurko premiera. Szczerze mówiąc, czuję się urażony.

– Jak to? – Will po raz drugi uważnie przeczytał ogłoszenie.

– Tak to, drogi Willu. Sinjon wierzy, że chętnie się z nim spotkam, zostanę jego pośrednikiem i przekażę „prośbę” Liverpoolowi. A ponieważ jest pewien, że zna mnie jak zły szeląg, jego zdaniem nie wysłucham rozkazów i nie wyeliminuję go z gry, aby rozwiązać problem. Zamierza wciągnąć mnie do spisku. I tak źle, panowie, i tak niedobrze. Zdradzę Liverpoola, pomagając Sinjonowi, albo postąpię zgodnie z rozkazami i niepotrzebnie zamorduję staruszkę o szwankującym umyśle. Przecież tym właśnie by to było – morderstwem, gdyż on nie jest już w stanie się bronić. Nim spytasz, Will, od razu zaznaczę, że nie chcę również zranić Tess. Nadal czuję coś do tej kobiety.

– Ładnie powiedziane, ale raczej niemądrze. Jack, zastanów się przez chwilę. – Will dolał sobie wina. – Jesteś zwykłą marionetką. Dlatego Sinjon

podsunął ci twoją utraconą miłość, że użyję patetycznego sformułowania. Wiedział, że się objawisz i spytasz ją, gdzie się podziewa jej ojciec, a wtedy ona popatrzy na ciebie wielkimi, szklistymi oczami i zechce się dowiedzieć, czy pamiętasz, co was niegdyś łączyło. Potem będzie cię błagać o pomoc. Jak mógłbyś nie pomóc? Do diaska, człowieku, przecież przywiozłeś ją i jej bachora do Londynu! Oszczędziłeś staruszkowi trudu ściągania ich tu ze wsi, by cała rodzina odpłynęła, Bóg wie dokąd, z kabzą nabitą złotem Liverpoola. Nie powinieneś czuć się urażony, lecz nieco zawstydzony. Zachowujesz się dokładnie tak, jak przewidział twój dawny mistrz. Zrobił z ciebie tresowaną małpkę.

– Dobrze się bawisz? – Jack spiorunował Willa wzrokiem, aby dać mu do zrozumienia, że przesadził.

Will bez wątpienia oczekiwał podobnej reakcji. Poza tym lubił wyzwania, a wepchnięcie sztyletu między żebra staruszka do takich się nie zaliczało.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego tak się obawiał, że nie załapię jego wskazówek? – dodał Jack. – St. John by wystarczyło. Po co nonsens o sprzedaży rzadkich dzieł sztuki? Może kiedyś sływał ze swojej kolekcji, ale we Francji, gdzie zapewne pozostała. Córka Sinjona twierdzi, że są winni pieniądze połowie wioski, więc najpewniej zabrał wszystko, co miał, aby zapłacić za przejazd, wynajęcie pomocników i pokoje w gospodzie.

– I nie ma żadnej kolekcji? – Dickie popatrzył na niego pustym wzrokiem. – To zwykły podstęp?

Szkoda... choć przyznaję, że to ma sens. Człowiek, który dysponuje dziełami sztuki antycznej, nie wyciągałby pieniędzy od Liverpoola ani nie unikałby płacenia lokalnym kupcom.

– Doskonale, Dickie, jeszcze zrobimy z ciebie myśliciela – mruknął

Will z uśmiechem. – Chodzi jednak o to, że markiz wręcz tłukł Jacka po głowie wskazówkami, bo uważał, że inaczej do niego nie dotrą. Więc jak, Jack? Co teraz? Jedziemy do Cleveland Row? Jakoś mi się nie wydaje, żeby staruszek Sinjon aż tak ułatwiał nam życie.

– Masz rację, Sinjona tam nie ma, ale na pewno umówił się z kimś, kto prześle mu do kryjówki odpowiedzi na anons. Panowie, Sinjon zawsze miał pewną wadę. W każdej sytuacji uważał się za mądrzejszego od przeciwnika. Za dużo planował, za bardzo kalkulował, nawet gdy wskazana była prostota. Często się o to kłóciliśmy, bo jak wszyscy wiemy, każdy niepotrzebny zwrot, każda ponadplanowa osoba zwiększa ryzyko popełnienia błędu.

– To prawda, Jack – zgodził się Dickie. – Zobacz, co się stało, kiedy twój brat włączył się do naszego ostatniego przedsięwzięcia. Zapłaciliśmy za to życiem Henry'ego.

– Błąd Henry'ego kosztował życie Henry'ego, i to już ustaliliśmy – oświadczył Will oschle. – Odkop go i spytaj, a na pewno potwierdzi.

– Bardzo ci dziękuję, Will. Kiedy już zdołam się przekonać, że cię nie lubię, wyskakujesz z czymś, z czego czerpię dziwną pociechę. – Jack popatrzył na Dickiego. – Pozwolisz mi dokończyć?

– A tak, przepraszam. Jest tak, jak twierdzi Will – czasami wygaduję straszne głupstwa. Czyli wyślesz mu jakiś list, tak? Chodzi mi o markiza. – Dickie przewrócił oczami. – Powiedziałem to tylko dlatego, żebyś nie pytał mnie, czy nie mam na myśli Henry'ego.

– Oczywiście, że wyślę mu list – oświadczył Will. – I tu zaczyna się zadanie dla mnie i dla ciebie, stary przyjacielu. To my będziemy śledzić tego, kto przyjedzie po korespondencję w Cleveland Row, gdyż Jack, nawet w przebraniu, może zostać rozpoznany przez naszego szczwanego staruszka. Jakież to szlachetne, że uwzględniłeś nas w swych planach, choć w

szcątkowy sposób. – Will popatrzył krzywo na Jacka.

– Na miarę waszych talentów – zauważył złośliwie.

– *Touche*. Wydaje mi się, że wystarczy werbalnych potyczek na dzisiejszy wieczór.

Dickie wyciągnął rękę niczym gorliwy uczeń.

– Więc wyślesz list, podobnie jak kilka innych osób, może nawet kilka tuzinów? – zapytał. – Co z ewentualnymi nabywcami? Niewątpliwie mocno się rozczarują, nie doczekawszy się zaproszenia na oględziny kolekcji.

Jack nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że jedno jedyne pytanie, którego nie chciał usłyszeć, zadał akurat niezbyt bystry Dickie.

– Nasz przyjaciel mówi do rzeczy, Jack, choć pewnie nawet tego nie wie– wtrącił Will natychmiast. – Dlaczego Sinjon nie zamieścił ogłoszenia skierowanego tylko do ciebie? Czyżby brakowało mi inteligencji do zrozumienia tego jakże złożonego problemu?

Naturalnie Sinjon liczył na przyciągnięcie większej liczby osób, zwłaszcza Cygana, jednak Jack nie zamierzał zdradzać tego kompanom.

– Chyba już skończyliśmy. – Wstał z krzesła. – Sam powiedziałeś, że to tylko szczywany staruszek. I tak kiepsko się czuję, że muszę się z nim rozprawić, ale prędzej mnie piekło pochłonie, niż będę się tym zajmował w towarzystwie nieustannie biadolących marud. Spotkamy się ponownie, kiedy zakończę misję.

Dickie był skonsternowany, a Will zły, tak jak na to liczył Jack. Zdołał uniknąć odpowiedzi na niewygodne pytanie. Teraz pozostawało tylko modlić się o to, by Sinjon nie zaplanował szczegółowo, jak wysłannik uniknie pościgu, kiedy odbierze korespondencję w południe piętnastego.

– Dobrze, Jack, określiłeś swoje stanowisko. Był twoim mistrzem, znasz go najlepiej– westchnął Will. – Na litość boską, zleż wreszcie z



pedestału i wtajemnicz nas w swoje plany!

– Dickie? – Jack popatrzył na drugiego towarzysza.

– Lubię, kiedy się dogadujemy – wyznał cicho Dickie. – Tęsknię za Henrym, nic na to nie poradzę. Żartował sobie, że jesteśmy pierwszorzędną bandą hultajów. Teraz tworzymy trio i to wcale nie takie pierwszorzędne. Od zakończenia wojny przypada nam w udziale najbrudniejsza robota. Ścigamy starców, którymi należało się zająć lata temu. Nieszczęsne z nas hultaje, i tyle.

– Napij się jeszcze wina – poradził mu Will i podał pełny kieliszek. – Jesteśmy gotowi, Jack. Co teraz?

– Trzeba wykonać następny krok. – Jack ponownie usiadł i pochylił się ku rozmówcom. Z kieszeni kamizelki wyciągnął mapkę Cleveland Row, którą wcześniej narysował. – Naturalnie, miałeś słuszość, Will, twierdząc, że będę potrzebował ciebie i Dickiego przed numerem dziewiątym. Staniesz tutaj... A ty tutaj, Dickie...

Gdyby miał sumienie, wstydziłby się za siebie. Musiał jednak wziąć pod uwagę Tess i Jacques'a. Nie tylko zdradziłby ojczyznę, ale i zaprzedał duszę, by ich chronić.

Pociągnąwszy za chwost dzwonka, Tess usłyszała głosy na korytarzu, a potem chichot Jacques'a. Moment później sama wybuchła śmiechem na widok wielkiego i groźnego Wadswortha, który wpadł do salonu, podskakując niczym najpiękniejszy kłusak księcia regenta. Jacques siedział na ramionach kamerdynera, trzymał go za włosy i pokrzykiwał:

– Galop! Galop!

– Najmocniej przepraszam – powiedział zasapany Wadsworth. – Wszyscy są zajęci tym czy owym, a ja byłem akurat pod ręką. Pani Emilie jest zmęczona po wczorajszej podróży i drzemie. W czym mogę być pomocny?



– Szczerze mówiąc, już w niczym. Zastanawiałam się, gdzie jest mój syn. – Tess bez powodzenia próbowała opanować rozbawienie. – Jacques, zabierz rączki z oczu pana Wadswortha, przecież biedak nic nie widzi. Czy Jacques przysparza problemów? Pan Blackthorn nie pozwala mu wychodzić, a mój syn przywykł do częstych spacerów.

– Sporo czasu minęło, odkąd przebywał u nas młody człowiek i wszyscy jesteście zachwyceni – odparł kamerdyner. – Kucharka chce wiedzieć, czy uczyni jej pani ten zaszczyt i rzuci okiem na wieczorny jadłospis. Może jest coś szczególnego, czego życzy sobie pani dla panicza Jocka?

Wymawiał imię Jacques'a z angielskim akcentem, więc Tess uśmiechnęła się ponownie, świadoma że Emilie wkrótce go za to zrugą.

– Naprawdę? To bardzo miło z jej strony. Podziękuj jej w moim imieniu i powiedz, że będziemy zachwyceni wszystkim, co zechce przygotować.

Nie zamierzała angażować się w funkcjonowanie posiadłości. Po pierwsze, nie ona tu rządziła, po drugie, była ledwie tolerowanym gościem, a po trzecie, Jack z pewnością nie omieszkałby wygłosić jakiejś złośliwości, gdyby stanął w drzwiach akurat w chwili, gdy Tess wybierałaby między fasolą a groszkiem.

– Jak pani sobie życzy.

Wadsworth skłonił się lekko, pamiętając, że wciąż trzyma Jacques a na barana, po czym odwrócił się, by wyjść. W tym samym momencie w progu zjawił się Jack.

– Papa! Papa! – wykrzyknął Jacques z radością i wyciągnął ręce do ojca.

Tess szybko przestała się obawiać, że Jack wyprze się ojcostwa – zupełnie nie przejmował się opinią innych, ba, pewnie nawet lubił, kiedy źle o nim myślano, gdyż dzięki temu miał święty spokój.

Lęk jednak powrócił, gdy Tess spostrzegła, jak zaborczo Jack

obserwuje syna. Nie wypierał się dziecka, wręcz uważał, że należało do niego. Żądanie małżeństwa nie miało nic wspólnego z uczuciami do niej – po prostu chciał przejąć kontrolę nad dzieckiem. Najwyraźniej dał jej wybór – ślub albo utrata Jacques’a.

Coś ty narobił, tatku? – pomyślała z rozpaczą. Tego właśnie chciałeś?

Jack ucałował wyciągnięte rączki syna i nakazał mu odejść wraz z zachwyconym i jednocześnie zakłopotanym Wadsworthem. Odwrócił się do Tess. Poczula, jak rumieniec wypełza jej na policzki i przypomniała sobie poprzedni wieczór, gdy tak bezwstydnie się wykorzystali. Dlaczego nie potrafiła patrzeć na niego, nie marząc jednocześnie o tym, by znów znaleźć się z nim w łóżu?

Jack skrzyżował ręce na piersi.

– No co? – Uniósł brwi. – Jestem wysmarowany sadzą? Wyrosła mi druga głowa?

Tess natychmiast powróciła do rzeczywistości i spojrzała na czubki swoich pantofelków.

– Zastanawiałam się właśnie, czy masz coś przeciwko temu, że Jacques nazwał cię papą – wymyśliła na poczekaniu. – Wadsworth to usłyszał, więc wkrótce cały dom się dowie.

– Jeśli jeszcze tego nie wiedzą, mój ojciec powinien zwolnić wszystkich za bezbrzeżną głupotę. Przecież widzą, jak wyglądamy i jak wygląda dziecko. Zaraz, zaraz, Tess... Czyżbyś przejmowała się swoją reputacją? Obawiasz się, że okrzykną cię upadłą kobietą? Cóż, pozwól, że coś ci wyjaśnię – skoro przebywasz pod tym dachem, jesteś moją utrzymanką, czy też kochanką, jak kto woli.

– Wolę zadawać się z tobą po ciemku – mruknęła cicho Tess.

Jack się roześmiał i usiadł obok niej.

– Wiele rzeczy jest lepszych po ciemku, ale niekoniecznie wszystkie – oznajmił. – Może chcesz się przekonać?

Siedziała sztywno, gdy sprawnie wyswobodził jej lewą pierś z dekoltu.

– Jack, na miłość...

– Chyba już ustaliliśmy, że miłość ma niewiele z tym wspólnego – przerwał jej. – Patrz na mnie, Tess. Nie, nie... Nie zamykaj oczu, patrz...

Oddychała z trudem, gdy pieścił ją delikatnie zarówno palcami, jak i językiem.

– Dotykaj się – zażądał nieoczekiwanie. – Teraz twoja kolej.

– Nie mogę...

– Możesz, jak najbardziej możesz. W ciemnościach nie masz żadnych zahamowań, Tess. Wiesz, jak sprawiać sobie przyjemność, więc zrób to teraz, a ja popatrzę.

Jego dotyk i słowa sprawiły, że jej ciało ożyło. Zapragnęła poczuć więcej, do tego pobudzała ją świadomość, że jest obserwowana. Gdy Jack przycisnął dłonie do jej podbrzusza, dotarło do niej, że jeszcze moment, a straci ostatnie zahamowania i odda mu się bez oporu.

Odepchnęła go i wstała, poprawiając suknię, Jack był taki przystojny, doskonały pod każdym względem... Nie mieściło się jej w głowie, że ktoś taki jej pożądał.

Gdy zniknął, udowodnił, że miała rację. To, co ich łączyło, nie było prawdziwe ani wystarczające. Mimo że mówił, że ją kocha. Szepnął to pierwszej nocy, kiedy wziął ją do łóża, i wykrzykiwał to do niej w złości pierwszego dnia, w gabinecie ojca.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że odszedł i że nie wróciłby, gdyby nie zniknięcie jej ojca. Co zatem Jack próbował odbudować? Miłość, której zapewne nigdy nie było? A może chodzi o zwykłą namiętność? Czy chciał jej

dać do zrozumienia, że tylko to ich łączyło i nigdy nie połączy ich nic więcej?

– Tess? – odezwał się, gdy cisza przeciągała się zbyt długo. – Tess, wybaczone. Jestem sukinsynem pod każdym możliwym względem. Naprawdę nie wiem, co się, u diabła, dzieje w moim umyśle. Przepraszam.

– W porządku. – Pokręciła głową. – Nie jesteś jedynym winnym. Kiedy stanąłeś w progu, ja... No cóż, nieważne.

– Nie, Tess. Wcale nie jest w porządku. Widziałem twoją minę i chciałem cię zranić. Chciałem, abyś przyznała, że potrzebujesz mnie tak jak... Chryste! Co zrobiliśmy nie tak? Co się z nami stało? – Ukrył twarz w dłoniach.

Tess podeszła do dzwonka i niespełna pół minuty później Wadsworth i Jacques przygalopowali do salonu.

– Wadsworth, pan Blackthorn weźmie teraz swojego syna. Czy ktoś mógłby przynieść jego piłkę?

– Tak, panienko. Zaraz tego dopilnuję. – Kamerdyner ostrożnie postawił Jacques'a na podłodze, ukłonił się i wyszedł.

Jack popatrzył na nią, jednocześnie rozpościerając ramiona, aby przytulić dziecko.

– Tess?

– Jest tak, jak mówiłeś, Jack. Mój ojciec bawi w Londynie co najmniej od tygodnia. Albo zdążyliśmy na czas, albo nie. Kilka godzin nic nie zmieni. Przy kuchni jest piękny, otoczony murem ogródek, już sprawdziłam. Jacques musi wyjść z domu, a ty powinieneś być przy nim.

Jack wziął chłopca na ręce i przytulił. Tess pomyślała, że urocza z nich para przystojnych diabłów, stworzonych do łamania niewieścich serc.

– Przyłączysz się do nas? – spytał Jack, patrząc na nią prosząco.

Pokręciła głową. Wiedziała, że nie zdoła nic powiedzieć, nie

wybuchając płaczem. Jack był już pod drzwiami, kiedy obrócił się, aby po raz ostatni rzucić na nią okiem.

– Dziękuję, Tess – wyszeptał. – Naprawdę dziękuję.

Uśmiechnęła się i zamrugała, by odpędzić łzy. Poczowała, że po raz pierwszy od czterech lat zrobiła coś, jak należało.

TTLR

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tess stanęła za krzesłem i pochyliła się nad Jackiem.

– To chyba zbyt oczywiste. Nie możemy go obrażać – powiedziała po przeczytaniu tego, co przed chwilą napisał.

– Chciałbym zrobić coś gorszego, niż tylko go obrazić. Mam nadzieję, że to wyznanie nie wpłynie na nasz obecny rozejm – dodał jednak.

Zgniół papier i rzucił go tam, gdzie leżało już kilka innych.

Tkwili w gabinecie od ponad dwóch godzin, próbując ustalić, co zrobią w najbliższych dniach. Udało im się jedynie zgodzić co do tego, że muszą wtajemniczyć Wadswortha. Jack widział już kamerdynera w akcji, więc nie martwił się o niego. Wadsworth zawsze sprawdzał się na medal, teraz również skłonny był udzielić pomocy pracodawcy. Napomknął, że brakuje mu mocnych wrażeń od ostatniego pobytu pana Pucka w mieście, jeśli nie liczyć dnia, w którym nietoperz sfrunął ze strychu, a kamerdyner zatłukł go popiersiem Sofoklesa. W efekcie nieszczęsny dramaturg miał teraz zauważalnie krótszy nos niż przed tym zdarzeniem.

Jack zaśmiał się, przypomniawszy to sobie, a Tess oparła się o krawędź biurka.

– Coś cię nagle rozbawiło? – spytała.

– Nie. Błądzą myślami, i tyle.

– Jesteś pewien, że plan wypali? Mam na myśli twoich... współpracowników.

– Willa i Dickiego. – Odłożył pióro i poprawił się na krześle. – Owszem, wypali, jeśli Sinjon przewidział, że człowiek, którego wyśle po listy na Cleveland Row, będzie śledzony. Zaszedł bardzo daleko, więc wątpię, by

popęłnił tak elementarny błąd.

– Czy to ważne, żeby twoi kompani zawiedli? Rozumiem, że nie chcesz mieszać w to zbyt wielu osób, ale nie chodzi tylko o to, prawda?

Jack pokręcił głową.

– Ależ ty jesteś dociekliwa – powiedział z podziwem. – Nie, nie tylko o to chodzi. Znają moje rozkazy.

– Kazano ci go uciszyć. – To nie było pytanie.

– Zabić.

– Dwadzieścia lat sekretów, Tess. Dwadzieścia lat ukrywania najbardziej spektakularnych błędów i wpadek przeżartego korupcją rządu. Tak, władze chcą, bym go zabił. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego pozwolili mu chodzić po tym świecie od końca wojny, gdy już przestał być dla nich przydatny.

– Myśleli pewnie, że jest nieszkodliwy. – Tess unikała wzroku Jacka. – Po tym, jak wyjechałeś, dostawał drobne zlecenia, a potem się urwały. Tatko czuł, że wkrótce uznają go za ciężar. Sama na jego polecenie napisałam do Liverpoola dwa lata temu, aby poinformować go, że tatko miał atak, po którym nie może mówić ani utrzymać pióra w dłoniach. Błagałam o podwyżkę na pokrycie kosztów opieki nad zniedołężniałym ojcem. Gdyby mi nie uwierzyli, pewnie bylibyśmy zmuszeni uciekać.

– Nigdy o tym nie słyszałem. – Jack zmarszczył brwi.

– Może dlatego, że wszyscy wywiadowcy byli naprawdę kiepscy, a tatko jest świetny w swoim fachu. Gdybyś zapytał któregoś z naszych służących albo kogokolwiek w wiosce, powiedzieliby ci, że biedny markiz od dwóch lat jest cieniem dawnego siebie. Chodzi wyłącznie o lasce, mamrocze i się ślini. Tylko w swojej sypialni i gabinecie, za zamkniętymi drzwiami, był człowiekiem, którego pamiętasz.



– I żyje tak już od dwóch lat?

– Powiedział, że próbuje grać na zwłokę, ale nigdy nie zdradził mi, po co, choć pytałam. Teraz już chyba wiem... czekał na powrót Cygana. Jak sądzisz, dokąd się udał?

– Pewnie tam, gdzie miał największe szanse na godziwe łupy. Człowiek o jego umiejętnościach może liczyć na niezłe korzyści w kilku krajach na kontynencie, nie wspominając już o możliwościach, które pojawiły się na kongresie w Wiedniu. Sprzedaż tajemnic, szpiegowanie przyjaciół i wrogów nie skończyło się po wygranej bitwie. Rozpoczęła się inna batalia, tym razem dyskretna. Dochodzi do tego jeszcze łatwość zbierania skarbów w świecie dopiero dźwigającym się ze skutków wojny. Co ciekawe, Sinjon najwyraźniej wierzył, że Cygan żyje i z pewnością wróci do Anglii.

– Chyba tak – westchnęła Tess. – Utrzymywał korespondencję z kilkorgiem przyjaciół na kontynencie. Tak przynajmniej twierdzi. Może owi przyjaciele byli raczej informatorami? Pamiętam, jak wspomniał o kradzieży jakiegoś obrazu w Paryżu, a ja zastanawiałam się, skąd o tym wie. W zeszłym miesiącu oznajmił, że w Anglii ktoś dopuścił się zuchwałej kradzieży. Chyba na to właśnie czekał. Teraz wszystko wydaje mi się tak oczywiste, że nie rozumiem, jak mogłam tego nie dostrzec.

– Dokończmy nasz list do pocziwego pana St. Johna – zauważył pośpiesznie Jack, gdyż wyglądało na to, że Tess lada moment znowu zacznie się obwiniać o gapiostwo.

– Tak – przytaknęła. – Ale przede wszystkim powiedz, czy postanowiłeś zlekceważyć rozkazy i dlatego chcesz, aby twoi przyjaciele pomyśleli, że tatko znów ci umknął?

– Twoim zdaniem to bezcelowe, gdyż Sinjon pragnie zrobić z siebie ofiarę, dzięki której ujawni się Cygan. Ale tak, właśnie to zamierzam. Muszą

się poczuć częścią planu, chociaż dopilnuję, by nią nie byli. Kiedy w końcu uda nam się zlokalizować miejsce, w którym ma się odbyć rzekoma sprzedaż, podam Willowi i Dickiemu błędną godzinę i z bożą pomocą zdołam zabrać stamtąd Sinjona przed ich przybyciem.

– A jeśli któryś z nich domyśli się, co zrobiłeś?

Jack wzruszył ramionami.

– Zadowolą się zwłokami Cygana – odparł. – A także maską Izydy, najcenniejszym trofeum twojego ojca. Liverpool będzie usatysfakcjonowany. Sinjon musi zapłacić, Tess, w taki czy inny sposób.

Patrzyła na niego długo, po czym skinęła głową.

– Tak. Tak, musi – przyznała. – Za wiele rzeczy.

– Wskazała palcem na czystą kartkę. – Spróbujmy raz jeszcze.

Sięgając po pióro, Jack zastanawiał się, jaka jest kara boska za grzech zaniedbania. To prawda, że Will i Dickie będą się spodziewali, że on wyeliminuje Sinjona. Znali jego rozkazy, ale nie był pewien, co oni mieli rozkaz zrobić, gdyby on nie wywiązał się z zadania.

Z Dickiego można było czytać jak z otwartej książki, jednak Will Browning stanowił twardy orzech do zgryzienia. Przypominał Jackowi ambitnego i żądnego władzy Kasjusza z *Juliusza Cezara* Szekspira.

– Jack? Nie słuchasz mnie.

– Przepraszam. Zastanawiałem się nad czymś, co Jacques mówił mi wcześniej w ogrodzie.

– A cóż to było?

– W tym właśnie problem. Nie do końca zrozumiałem... coś o jakimś tuliku czy czymś podobnym.

Tess uśmiechnęła się domyślnie.

– Chodzi o jego króliczka – wyjaśniła. – Emilie uszyła go z

najmniejszego kocyka i teraz Jacques z nim śpi. Tuli królika. Z pewnością wymęczyłeś go po południu, bo kiedy prosi o Tulika, chce po prostu do łóżeczka.

– Bystry chłopak z mojego syna.

Popatrzyła na niego pytająco.

– Lubi zabierać ze sobą do łóżka coś miękkiego... – zaczął.

– List, Jack – powiedziała rozkazująco. – Trzeba go napisać, prawda?

– W rzeczy samej. – Jack z uśmiechem powrócił do listu. – ***Drogi Panie***

***St. John. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem Pańskie ogłoszenie...***

Tym razem oboje byli zadowoleni z rezultatu. Tess rozgrzała lak nad płomieniem świecy, a następnie rozsmarowała go na zgiętej kartce. Jack zdjął pierścień i odcisnął „B”, nim lak ponownie stężał.

– Po tym wszystkim chcesz nas wydać? Myślałam, że nie będziemy aż tak demonstracyjni – zauważyła Tess.

– Jestem mu winien jedną drobną zniewagę. – Jack podniósł się z krzesła. – Teraz wybaczone, ale muszę spotkać się z moimi hultajami, żeby przekonali się na własne oczy, jak ciężko pracuję nad zlokalizowaniem naszej zwierzyny.

Tess również się wyprostowała.

– Nie mam prawa pytać, ale czy wrócisz bardzo późno?

– To zależy – odparł. – A czy w moim łóżku będzie czekała przytulanka?

Tess z niesmakiem przewróciła oczami i bez słowa odeszła. Jack usiadł, odprowadzając ją wzrokiem. Życie wciąż jeszcze nie było takie, jak trzeba, ale z pewnością stawało się lepsze.

Jednak nagle, ni z tego, ni z owego, wyraźnie się pogorszyło...

– Witam, piękna damo – rozległ się przyjemny męski baryton. – Jak

pani sądzi, które z nas pomyliło domy?

– Do licha... Puck? – Jack zerwał się na równe nogi i ruszył korytarzem, by ratować Tess przed awansami nowo przybyłego. – Co ty tu robisz, do kroćset? – warknął, patrząc na przystojne i rozbawione oblicze młodszego brata. – Idź stąd.

– Jack... – zaczęła Tess ostrzegawczym tonem, ale Puck tylko zamachał ręką.

– Twoje eksplozje uczuć wydają mi się nad wyraz niemęskie, braciszku. Zaryzykuję pewną tezę. Pojawiłem się w mieście w niestosownym czasie?

– Mój list dotarł do Blackthorn, prawda? – spytał Jack.

– List? – Puck zmarszczył brwi. – Nauczyłeś się pisać? Beau i ja zapewnialiśmy ojca, że nie opanowałeś tej sztuki, podobnie jak sztuki orientacji w terenie, gdyż dotąd nie zdołałeś znaleźć drogi do domu po jego opuszczeniu. – Popatrzył wymownie na Tess. – Jackowi nie udało się przyswoić nawet podstawowych zasad zachowania w towarzystwie, wobec czego przedstawię się sam. Jestem...

– Robin Goodfellow Blackthorn – przerwała mu Tess. – Brat Jacka. Muszę przyznać, że nie są panowie do siebie podobni – ani z wyglądu, ani z temperamentu.

Po tych słowach sobie odpuściła, ale Jack wiedział, że zacznie zadawać pytania później, kiedy zostaną sami.

– Lady Thessaly Fonteneau, choć wszyscy tu już się znamy, pozwolę sobie przedstawić mojego młodszego brata, znanego jako Puck. Puck, ukłoń się Tess, córce mojego dobrego przyjaciela, markiza Fontaine.

Puck posłusznie wypełnił polecenie, skłaniając jasną głowę nad dłonią Tess. Następnie z jego ust popłynął strumień nienagannej francuszczyzny, w którym to języku wyraził zachwyt, że poznał tu tak piękną damę, chociaż

spodziewał się tylko tego ponuraka, swojego brata. Tess wydawała się wyjątkowo uradowana i odpowiedziała mu po francusku. Puck podsunął jej ramię, po czym oboje ruszyli w kierunku salonu. Jack miał do wyboru albo iść za nimi, albo pozostać w gabinecie i się dąsać.

Po krótkim wahaniu ruszył za bratem i Tess niczym szczeniak liczący na jakiś ochłap. W duchu wściekał się na Pucka. Jego brat był przystojny tak, jak potrafią tylko ci, którzy dobrze się czują we własnej skórze. Wspaniale się prezentował w świetnie skrojonym fraku. Z jego oczu nie zniknął błysk, a z ust szeroki uśmiech. Poza tym zdawało się, że zawsze potrafi znaleźć stosowne do okazji słowa. Za starannie skonstruowaną fasadą niemądrej wesołości krył się umysł równie bystry jak Jacka, jeśli nie bystrzejszy.

– Po co się tu zjawiłeś, nie licząc naturalnie potrzeby irytowania mnie? – spytał Jack, gdy Tess usiadła na kanapie.

– Tylko po to. – Puck się uśmiechnął i nalał wina, po czym podniósł kieliszek i zaoferował go Tess. – Ojciec prosił Beau, by dał na pierwsze zapowiedzi, które mają być odczytane w tę niedzielę. Chelsea planuje coś wspaniałego, że przytoczę jej słowa, z kwiatami, a moja najdroższa Regina już ustala z kucharzem menu na wasze przyjęcie weselne. Lubisz gruszki na ogniu? Tak czy owak, moją żonę uszczęśliwia to planowanie i nic innego się dla mnie nie liczy. Powiedzieć ci, co robi matka?

– Boże, ona też tam jest?

– Co robi wasza matka, Puck? – zapytała Tess z zainteresowaniem.

Jack pomyślał, że najwyraźniej zdążyli się zaprzyjaźnić podczas krótkiego spaceru z gabinetu do salonu. Zupełnie nie mógł tego zrozumieć. On sam przez całe życie starał się unikać bliskich kontaktów z innymi ludźmi – dopóki nie pojawiła się Tess.

– Szczerze mówiąc, leży w łóżku. Wszyscy trzej synowie żonaci? Beau

i Chelsea zamierzają obdarzyć ją wnukiem przed świętami, chociaż Adelaide jeszcze o tym nie wie. Beau jest rozdarty, Jack. Nie potrafi się zdecydować, czy powiedzieć jej teraz, czy poczekać, aż wyzdrowieje albo odejdzie z tego świata. Naturalnie, przed tym ostatnim Adelaide przygotowuje sobie stosowny monolog. Kiedy wyjeżdżałem, uważnie czytała *Makbeta*. Idealny wybór, choć rzecz jasna, nie podzieliłem się z nią tą myślą. Tak czy owak, Adelaide jest, cytuję, „nieszczególnie zachwycona”. Wyobrażam sobie, że na weselu zjawi się wystrojona w czerń.

– Na litość boską, dlaczego w ogóle tkwi w Blackthorn? – westchnął Jack. – Nie powinna występować na deskach jakiegoś prowincjonalnego teatru?

Nie powiedział bratu o swoich podejrzaniach, że nadchodzące zrekowiny nie są przyczyną przygnębienia Adelaide. W gruncie rzeczy chodziło o jego powrót do Blackthorn. Lata temu matka jasno dała mu do zrozumienia, że nie będzie tam mile widziany.

Puck upił łyk wina, po czym usiadł obok Tess i skrzyżował długie nogi.

– Nie jesteśmy typową rodziną, co pewnie sama wywnioskowałaś, a Jack jest z nas najbardziej nietypowy. Może powinnaś ponownie rozważyć, czy chcesz go poślubić.

– Nigdy nie wyraziłam zgody na małżeństwo – odparła Tess, patrząc na Jacka. – Zostałam o nim poinformowana...

– No, no! Czy tak się godzi, Jack? Co za tupet. Muszę koniecznie wysłuchać tej historii. Niestety, nie teraz. Już wysłałem wiadomość do krawca i mam się z nim spotkać za godzinę. Zechcesz mi towarzyszyć, Jack? Powiedziałbym, że potrzebuję twojej pomocy w kwestii doboru nowej kamizelki, ale nikt by nie uwierzył w tak oczywiste łgarstwo. Ty zawsze nosisz wyłącznie czerń. Co za nuda. – Wstał i raz jeszcze uklonił się Tess. –

Zobaczymy się na kolacji?

– Naturalnie – odparła. – Pod warunkiem że Jack cię wcześniej nie udusi.

– Widzę, że należy rozdzielić was dwoje – oświadczył Jack oschle, chociaż w duszy cieszyła go ich wzajemna sympatia. – W porządku, Puck. Chodźmy.

Jack chwycił kapelusz i rękawiczki, które podał mu zawsze gotowy Wadsworth.

– Wracaj do domu – oświadczył Jack, gdy tylko dotarli na drugi koniec placu.

– Jeśli to zrobię, wtedy zjawi się tu Beau. Może zresztą powinienem po niego posłać? Byłby już w Londynie, gdyby nie interesy w jednym z gospodarstw w Blackthorn. Chyba nie muszę ci mówić, jakie wzburzenie spowodował twój zwięzły list. Daj na zapowiedzi, ślub za trzy tygodnie. Przy okazji, ta dziewczyna jest dla ciebie za dobra, widzę to nawet po tak krótkim czasie. Co się dzieje?

Puck zamierzał spędzić co najmniej jedną noc pod tym samym dachem, więc Jack nie widział powodu, by udawać, że nie wie, o co chodzi bratu.

– Mam syna – odparł krótko.

Puck zamarł na chodniku i odwrócił się w kierunku posiadłości.

– Tu? To jej dziecko? Twoje? To znaczy wasze wspólne? Niech no je zobaczę!

Jack chwycił go za ramię i pociągnął za sobą.

– Mój syn drzemie – oznajmił.

– Widzę, że już zacząłeś się udamawiać. To niemowlę?

– Nie, ma trochę ponad trzy lata. Może prawie cztery.

– Nie wiesz?



To go zabolalo.

– Dowiedziałem się o jego istnieniu zaledwie parę dni temu– odrzekł Jack.

– Coś podobnego. A skąd wiesz, że to twoje dziecko?

– Trudno by mi było się go wyprzeć. Wygląda jak ja.

– Biedaczysko. Może uda nam się znaleźć chirurga, który usunie rogi.

Jack z rozbawieniem popatrzył na brata.

– Naprawdę za tobą tęskniłem – powiedział szczerze. – Nie myślałem, że to możliwe, a jednak. Mam nadzieję, że kłamałeś w kwestii krawca, bo właśnie coś mi przyszło do głowy. Chodźmy gdzieś porozmawiać, dobrze?

– Czy dobrze? Mam tyle pytań, że nie zdążysz na nie odpowiedzieć przez całe popołudnie. Wpadłeś w kłopoty? Poza oczywistymi, które wiążą się z przekonaniem tej pięknej kobiety, by za ciebie wyszła.

– Dlaczego o to pytasz?

– Sam nie wiem. – Puck wzruszył ramionami. – Może podpowiada mi to moja niezawodna intuicja albo potrafię czytać w myślach? A może chodzi o to, że Wadsworth powitał mnie słowami: „Bogu dzięki, że pan tu jest, paniczu Puck, bo on chce, abym się ubierał jak jakiś poganin”.

– Rzeczywiście, nie był zachwycony. – Jack się uśmiechnął. – Niestety dla niego, jest integralną częścią mojego planu. Ty jednak nie możesz się w to mieszać. Nie tym razem.

Puck szeroko rozłożył ręce.

– Wszystko u mnie w porządku, widzisz? Nie zginąłem, Jack, tylko trochę się zamoczyłem.

– Prawie utonąłeś. Nigdy ci tego nie wybaczę.

– Za to, że nie utonąłem całkowicie? – mruknął Puck, gdy wchodzili do gospody.

Jack objął brata. Dobrze się czuł w jego towarzystwie.

– Nie, nie za to, ośle. Przez ciebie uświadomiłem sobie, że, tak czy owak, zależy mi na tobie. Nie możesz być częścią planu, bo zostałbyś bez trudu rozpoznany przez ludzi, którzy już cię znają. To jedno. Drugi motyw jest znacznie bardziej egoistyczny. Chcę, żebyś jutro zabrał do Blackthorn mojego syna oraz Tess.

Usiedli naprzeciwko siebie przy stoliku i Puck ze zdumieniem popatrzył na brata.

– Pytałeś ją o zgodę? A przynajmniej ją o tym poinformowałeś? Tak tylko chcę wiedzieć, z ciekawości.

– Nie, liczę na łut szczęścia. – Jack pokazał karczmarce, żeby przyniosła dwie butelki. – Tess nie pojedzie, ale skoro już się przekonała, jakim jesteś czarusem, może się zgodzi, abyś zabrał ze sobą Jacques'a. Nadal mi nie ufa, nie do końca, ale jest rozsądna i zgodzi się ze mną, że Jacquesowi nie może grozić żadne niebezpieczeństwo.

Karczmarka postawiła przed nimi dwie butelki i dwie niezbyt czyste szklanki.

– Jeszcze dwa razy to samo, moja droga. Będziemy musieli sporo tu wypić.

Odwrócił się do Jacka, który ignorując szklankę, pił prosto z butelki.

– Zacznijmy od początku, Jack. Co się dzieje?

Jack, człowiek o wielu sekretach, z których rzadko się zwierzał, otarł usta wierzchem dłoni i zaczął mówić, od samego początku.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tess siedziała przy toalecie i z uśmiechem na twarzy splatała warkocz. Dawno nie spędziła tak ciekawego wieczoru. Brat Jacka okazał się cudowny. Grał na fortepianie, a Jacques kręcił się wkoło, aż w końcu się przewrócił. Potem Puck uparł się, że osobiście zanieś bratanka do Emilie, a następnie dołączy do niej i do brata w saloniku muzycznym. Wróciwszy, znowu zasiadł do instrumentu i zaczął grać i jednocześnie śpiewać francuskie piosenki, patrząc znacząco na Tess, aż w końcu się poddała i do niego dołączyła.

A Jack? Cóż, Jack bardzo dobrze wybijał rytm nogą.

Przy kolacji dużo się śmiali, gdyż bracia dzielili się z Tess historyjkami o swoich dziecięcych wybrykach. Potem rozmowa przybrała poważniejszy obrót i Puck zaczął opowiadać o Reginie oraz niezbyt odległych, trudnych czasach, gdy bracia musieli wspólnie działać jako konspiratorzy.

Zamiast udać się na spoczynek i zostawić panów z brandy i cygarami, Tess wyszła z nimi na balkon, by cieszyć się świeżym powietrzem po nagłym deszczu, typowym dla Londynu o tej porze roku. Oczywiście, ona o tym nie wiedziała, gdyż zawitała do stolicy ledwie dwa razy, w obu wypadkach tylko po to, aby spotkać się ze szpiegiem albo skazanym na zdemaskowanie i dyskretną eliminację renegatem. Gdy miała się pojawić w Londynie po raz trzeci, zastąpił ją René.

Teraz, na myśl o tamtych dziwnych czasach wprost nie mogła uwierzyć, że ojciec pozwalał jej znaleźć się tak blisko niebezpieczeństwa i przemocy. Jeszcze bardziej zdumiewało ją to, że sama gorliwie uczestniczyła w jego planach i mu ufała. Nigdy nie skazałaby Jacques'a na takie życie, nie podjęłaby ryzyka. Wtedy jednak wszystko wydawało się logiczne. Tym

zajmował się ojciec, tym mieli się zajmować ona i René. Nie oni byli nietypowymi dziećmi, lecz on nietypowym ojcem.

Tess uświadomiła sobie, że umilkła i że Puck spogląda na nią z zaciekawieniem, jakby dotarło do niego, że opowieści o przygodach braci powinny ją bardziej przerazić. Liczyła na to, że weźmie jej milczenie za przejaw szoku.

– Bardzo mi przykro, Tess – powiedział, gdy cisza się przedłużała. – Białe niewolnictwo to nie jest temat do rozmowy, zwłaszcza z damą.

Tess uśmiechnęła się w odpowiedzi i podeszła do Jacka, po czym zabrała mu cygaro. Zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła błękitną strużkę dymu. Nie było to pierwsze cygaro, które dzielili.

– Ta dama, Puck, chętnie wyzwie cię na pojedynek w szybkości otwierania zamków drzwi frontowych tego budynku – oznajmiła nie bez dumy.

– Tak, słyszałem już wcześniej dzisiaj o twoich wyczynach – zaśmiał się Puck. – Pod tym względem oboje mamy przewagę nad Jackiem.

– Najszybciej jest po prostu wywalić drzwi kopniakiem – ocenił Jack żartobliwie.

Tess powróciła myślami do chwili obecnej. Podeszła do okna, po czym oparła czoło o chłodną szybę. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest potworem, skoro przez kilka sekund marzyła, aby po prostu zostawili Sinjona i Cygana samym sobie. Przecież ona i Jack mieli syna. Razem popełnili wiele błędów, ale to dzięki nim Jacques przyszedł na świat.

Może nadeszła pora skończyć z dotychczasowym życiem.

Nawet nie drgnęła, kiedy usłyszała delikatne szcęknięcie zamka i do sypialni wszedł Jack.

– Niedobrze ci? – zapytał, stając za jej plecami. – Nie wątpię, że

nieślychanie zaimponowałaś Puckowi swoimi sztuczkami, ale o ile pamiętam, za każdym razem, gdy dzieliłaś ze mną cygaro, żołądek podchodził ci do gardła.

– Wcale nie za każdym razem – odparła Tess.

Nie miała zamiaru się przyznać, że po pochopnym pokazie brawury na balkonie rzeczywiście dostała zawrotów głowy.

– To prawda, nigdy po wspólnych harcach. To ci się najwyraźniej podobało. Spróbujemy raz jeszcze dziś wieczorem?

Położyła dłonie na jego piersi i uniosła głowę. Jack był dumnym mężczyzną, a ona upartą kobietą, jednak któreś z nich musiało ustąpić.

– Myliłam się, Jack – zaczęła. – Jacques i Emilie powinni byli pojechać do Blackthorn, do twojej rodziny. Jacques uwielbia Pucka, a twój brat wspaniale się z nim bawi. Myślisz, że możemy go poprosić, aby zabrał małego i jutro rano wyjechał? Wiem, że dopiero przybył, ale...

– Nie chcę, aby mój syn wyjeżdżał – przerwał jej Jack. – Dopiero go odnalazłem.

– Wiem, i bardzo się z tego cieszę. Ja z kolei nigdy się z nim nie rozstawałam, więc rozłąka będzie także i dla mnie bolesna. Ale jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli nas przejrzą, a Cygan postanowi nas śledzić? Naprawdę możesz zareczyć, że obecność Jacques'a nie rozproszy twojej uwagi?

– I przeszkodzi w ocaleniu twojego głupiego ojca przed zrobieniem z siebie ofiary? – mruknął.

– Nie sądziłam, że wzmianka o ojcu pomoże ci przekonać – odparła cicho. – Moim zdaniem stracił rozum, nawet jeśli to, co zrobił dotąd, wydaje się bardzo sprytne.

– Wybacz, ale jakoś nie jestem pod wrażeniem jego geniuszu. W tym planie są takie dziury, że dałoby się przez nie przejechać królewską karetą.

Przede wszystkim Sinjon powinien był przewidzieć, że Liverpool nie odważy się wysłać mnie samopas, bym zabił dawnego mentora. W zasadzie cały plan opiera się na założeniu, że Liverpool jest idiotą i wciągnie mnie w swoje głupie gierki. Przecież mógłbym być teraz w Szkocji, a ty i Jacques na prowincji. O tym nie pomyślałaś?

Tess opuściła głowę.

– My... Ojciec zawsze wiedział, gdzie jesteś – wyznała.

Jack zabrał ręce i cofnął się o krok.

– Jak to? Skąd?

– Nie wiem. – Popatrzyła w okno. – Miał swoje sposoby, przecież zdajesz sobie z tego sprawę. Czasem nie wspominał o tobie przez całe miesiące. Nawet nie wymieniał twojego imienia. A potem nagle oznajmiał, że wróciłeś z Francji, Hiszpanii albo z innego miejsca. Ostatnio, kiedy padło twoje nazwisko, ojciec powiedział, że zjawisz się na pogrzebie barona Henry'ego Suttona. Zawsze wiedział, Jack.

– Chryste, zastanawiam się, który to – mruknął Jack pod nosem, jakby do siebie.

– Co takiego?

– Dickie albo Will – wyjaśnił. – To musi być jeden z nich. Obaj mają swoje powody. Dickie zawsze potrzebuje pieniędzy.

– A ten drugi? Will Browning?

Serce Tess zaczęło szybciej bić. Zastanawiała się, czy to z ekscytacji, że rozwiązanie zagadki jest już blisko, czy też ze strachu, że być może tym razem Jack jest ofiarą, a nie Cygan lub jej ojciec. Nie miała pewności, czy markiz przypadkiem nie wykorzystał Cygana i jej samej, a nawet Jacques'a, żeby wciągnąć Jacka w intrygę.

– Ambicja? Zazdrość? Wyzwanie? – Wzruszył ramionami. – Pewnie

nigdy się nie dowiemy. Teraz wcale się nie dziwię, że zawsze brakowało wam pieniędzy. Sinjon płacił za informacje o mnie i diabli wiedzą o kim jeszcze. Pytanie brzmi, Tess, jak wiele ten tajemniczy informator wie o planach twojego ojca.

– Tego pewnie też nigdy się nie dowiemy– westchnęła Tess. Przez jej głowę przelatywały tysiące myśli, chociaż próbowała się uspokoić. – Najważniejsze, Jack, byś nie zapominał, że w tym dziwnym przedsięwzięciu nie masz przyjaciół. Poza mną.

– Doprawdy? Zaczynam nawet wątpić w swoją lojalność wobec samego siebie.

– Jesteś ojcem mojego dziecka. Wpuściłam cię do łóża. Jeśli nie możesz uwierzyć...

Uśmiechnął się do niej zawadiacko.

– Wcale nie jesteś zabawny– oznajmiła sztywno.

– Ale rozumiem, że już nie będziemy się kłócili o to, czy mam być częścią planu.

Na twarzy Jacka pojawił się smutek.

– Skąd wiedziałaś, że proponuję, abyś towarzyszyła naszemu synowi do Blackthorn?

– Nie wiedziałam. Nigdy nie wspomniałaś, że chcesz, aby Jacques pojechał do Blackthorn. Ja to powiedziałam, ty zaś oświadczyłaś, że nie chcesz, aby wyjeżdżał. – Tess zmrużyła oczy. – Jack?

– Byłem uprzejmy– przyznał. – Chciałem, abyś myślała, że to twój pomysł. Tak postąpiłby dżentelmen. Cóż, bękarty zwykle nie miewają nienaganych manier... prawdopodobnie dlatego mi się nie udało.

– Hm...

Zrobił krok w jej kierunku.



– Będziemy się kłócili o coś, co już ustaliliśmy?

– spytał. – I jeśli wolno mi dodać, o jedyną rzecz, którą ustaliliśmy?

Tess zagryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć. Była małostkowa, ale Bóg jej świadkiem, uwielbiała te słowne potyczki z Jackiem.

– O której wyjeżdżają?

– Chyba umówiliśmy się na południe. Puck naprawdę ma spotkanie z krawcem. Próżny szczeniak – powiedział Jack bez cienia złości. – Zanim wyruszy do boju, zawsze sprawdza, czy dobrze się prezentuje, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– Każdy wdziawa inną zbroję, Jack – zauważyła Tess.

Przez chwilę tylko patrzył na nią pytająco, a potem skinął głową.

– Masz rację. W wypadku bękartów widać to nawet lepiej. Każdy z nas znalazł własne sposoby na obronę. Dla przykładu Beau zawsze udaje, że na niczym mu nie zależy, a przecież wiem, że to tylko pozory. Kocha Blackthorn i jako najstarszy pewnego dnia mógłby być markizem. Zasłużył sobie na to. A Puck? Sprawia, że wszyscy go kochają właśnie dlatego, że jest bękartem.

– A ty, Jack? Jaką zbroję przywdziałeś? – Miała nadzieję, że tym razem będzie z nią szczery. – Nie zależy ci na Blackthorn. Nie może ci zależeć, jeśli to, co mówił Puck, jest prawdą. Wyjechałeś dawno temu i nigdy nie wróciłeś. – Uśmiechnęła się z zadumą. – I nie wychodzisz ze skóry, by zaskarbić sobie sympatię ludzi.

– Nie? Ale ty mnie lubisz.

Tess zerknęła na niego spod rzęs. Znow miał tę minę, którą tak dobrze знаła.

– Jack...

– Przyniosłem dwa. – Sięgnął do kieszeni kamizelki. – Po jednym dla każdego.

Popatrzyła na cygara, które trzymał, a potem w jego ciemne, niebezpieczne oczy. Atmosfera między nimi stawała się coraz bardziej elektryzująca.

Nie, powtórzyła w myślach Tess. Nie tym razem.

– Myślę, że nie możemy... tego robić. Cztery lata temu sądziłam, że cię znam. Teraz już nie jestem taka pewna. Ofiarowujesz mi część siebie, ale nigdy nie dostałam całości. Ty wiesz wszystko o mnie, ja nie wiem o tobie prawie nic. Czy to sprawiedliwe?

– A czy to sprawiedliwe, że ukrywałaś przede mną syna?

– Nie, nie rób tego, Jack. – Niecierpliwie pomachała ręką. – Nie zamierzam się z tobą kłócić. To nie ma nic wspólnego z naszym synem. Pociągasz mnie, Bóg mi świadkiem, że tak, lecz powtarzam, wcale cię nie znam. Dlatego tak nienawidzisz Blackthorn, a Puck i Beau je kochają? Czemu z tobą jest inaczej, Jack? Dlaczego jesteś taki zły na cały świat?

Jack wsunął cygara z powrotem do kieszeni.

– W porządku, Tess – warknął. – Omijaliśmy ten temat, odkąd ujrzałaś portret markiza na dole. Teraz jest jeszcze gorzej, bo zobaczyłaś Pucka. Tak, jest bardzo podobny do Beau. Mówię to, uprzedzając twoje pytanie.

– Nie jesteś synem markiza, prawda? – Przygryzła wargę i znieruchomiała w oczekiwaniu.

Usta Jacka drgnęły, ale milczał.

– Jesteś synem Adelaide, ale nie jego. Beau i Puck owszem, ty nie. – Wzięła głęboki oddech, a gdy wypuściła powietrze, poczuła ukłucie w sercu. – Ty nie – powtórzyła. – Och, Jack...

– Dobranoc, Tess – przerwał jej beznamiętnym głosem. – Lubię widzieć w twoich pięknych oczach rozmaite emocje, lecz litość do nich nie należy.

Odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Jacku Blackthorn, jak śmiesz! – krzyknęła. – Nie możesz mnie teraz zostawiać! To nie ja uczyniłam z ciebie bękarta! A poza tym nie dbam o to. Obchodzi mnie to tylko dlatego, że ty się tym przejmujesz.

Jack przystanął i pochylił głowę, po czym potarł kark. Było jasne, że prawie stracił panowanie nad sobą i walczył o odzyskanie równowagi.

– W porządku – powiedział w końcu, opuszczając rękę, i odwrócił się do Tess. – Mówiłem to tylko raz, lata temu, Sinjonowi. Zrobiłem to pierwszego wieczoru, gdy się poznaliśmy. Miał swoje sposoby na wydobywanie z człowieka najgłębszych sekretów. Nie jesteś tak subtelna jak on, ale również potrafisz dotrzeć do sedna sprawy. Usiądźmy, dobrze?

Tess pragnęła go przytulić, ukoić, tak jak koiła Jacques'a, kiedy się przewrócił i rozbił kolano. Wiedziała jednak, że w ten sposób pozbawiłaby się szansy na poznanie prawdy o demonach prześladowających Jacka, więc tylko podeszła do fotela przy kominku i usiadła.

– Chcesz, żebym zadzwoniła po wino? – zapytała.

– Nie. Na tę historię by go nie wystarczyło. – Usiadł na fotelu obok i zapatrzył się w ogień. – Beau i Puck są bękartami, ja zaś jestem podwójnym bękartem.

– Nie można być podwójnym... Och, przepraszam – zreflektowała się. – Chyba wiem, co masz na myśli. Sądziłeś, że markiz to twój ojciec, tak? Dopóki nie dowiedziałeś się, że wcale tak nie jest, a Beau i Puck to twoi bracia przyrodni. Czy oni o tym wiedzą?

– Tak mi się wydaje. To znaczy żartują, nazywają mnie czarną owcą, „Black Jackiem”, lecz właściwie nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie zadawaj już więcej pytań, Tess. Opowiem ci o Adelaide.

Tess przygryzła wargę i skinęła głową. Najwyraźniej pragnął jak najszybciej wyrzucić to z siebie. Nie mogła go za to winić, więc przez

następne pół godziny po prostu słuchała. To, co jej powiedział, było w połowie historią jak z bajki, w połowie tragedią.

Markiz Blackthorn poznał Adelaide i jej siostrę Abigail jako bardzo młody człowiek. Starsza Abigail była ładniejsza, wręcz eterycznie piękna, a także bardzo krucha, fizycznie i psychicznie. Oczarowany siostrami markiz zakochał się w żywiołowej Adelaide i poprosił ją o rękę, lecz odmówiła. Okazało się, że pokochała markiza, ale dużo wcześniej postanowiła zostać największą aktorką w całej Anglii. Nie mogła wyzbyć się tego pragnienia, musiała je zaspokoić. Byłaby nieszczęśliwa jako markiza, a to zatruloby ich miłość...

W tym momencie Jack się uśmiechnął. Nie był to miły uśmiech.

– Adelaide już wcześniej uciekłaby od ojca i macochy, aby dołączyć do podróźnej trupy artystów i wraz z nią wyruszyć na podbój Londynu, została jednak ze względu na Abigail – kochaną, piękną i całkowicie bezbronną Abigail. Macocha sióstr chciała, aby obie zniknęły, i nieraz groziła, że wyśle Abigail tam, „gdzie mieszkają wszystkie imbecyle”. Abigail nie była imbecylem. Po prostu nigdy nie dorosła.

– Adelaide na pewien czas zostawiła myśli o karierze i została, aby zajmować się siostrą. Pewnie mogłaby wyjść za markiza i sprowadzić Abigail do Blackthorn, ale to oznaczałoby dla niej samej kres marzeń. Zgasłoby światło jej duszy i nie dałoby się go ponownie rozniecić. Tego markiz nie mógł uczynić swojej najdroższej Adelaide. Był gotów na wszystko, dosłownie na wszystko, by ją uszczęśliwić, i tak oto narodził się plan. Plan Adelaide.

Tess nigdy nie słyszała o równie idiotycznym i szalonym pomysle.

– Adelaide postanowiła, że ona i zadurzony w niej po uszy Cyril będą się kochać aż do śmierci, lecz Cyril ożeni się z Abigail. Wtedy Adelaide

będzie wolna i spełni swoje marzenia, finansowana przez szwagra, Abigail zaś nie trafi do przytułku dla obłąkanych.

Tess nie mogła dłużej milczeć.

– A twój ojciec... To znaczy, jak zareagował markiz?

Jack wzruszył ramionami.

– Był młody, gotów na wszystko, byle tylko nie stracić ukochanej. I, szczerze mówiąc, kierował się raczej żądzą niż rozsądkiem. No tak, jeszcze nie poznałaś Adelaide. Wiem, to brzmi idiotycznie, ale moja matka potrafi nagiąć każdego do swej woli. Na dodatek ludzie uważają potem, że to, na co przystali, to ich własny pomysł.

– Nie lubisz jej.

– Uwielbiałem ją – odparł krótko. Słyszała ból w jego głosie, ból małego chłopca, który wyrósł na smutnego, zgorzkniałego mężczyznę. – Wszyscy ją uwielbialiśmy. Wkraczała w nasze życie i znikła na tyle często, że nieustannie nam jej brakowało. Tęskniliśmy za jej śmiechem, za kwietnym zapachem, gdy nas tuliła i zasypywała pocałunkami, za sztukami, które wspólnie wystawialiśmy dla Cyrila, za przebywaniem w jej chatce na terenie posiadłości. Kiedy jej nie było, mieliśmy dla siebie całe Blackthorn. Wychowywano nas niczym synów z prawego łoża, tyle że nosiliśmy inne nazwisko. No i była jeszcze Abigail.

Twarz Jacka wyraźnie złagodniała, gdy mówił o ciotce. Abigail już nie żyła, jej kruche zdrowie w końcu ostatecznie ją zawiodło ponad rok temu. Była dla braci niczym ukochana młodsza siostra i bardzo o nią dbali, co dodatkowo przychylnie usposabiało do nich markiza.

Jack od razu przyznał, że ich dom był dziwny, ale przecież innego nie znali. Dla nich życie było zwyczajne pod każdym względem. Czuli się szczęśliwi.

Tess znowu pomyślała o tym, jak kiedyś wierzyła, że i jej życie było zwyczajne, chociaż niezbyt szczęśliwe. Przyszło jej do głowy, że chyba lepiej rozumie Jacka niż ktokolwiek inny.

– Co się stało? – zapytała, gdy zatonał w myślach. – Co się zmieniło?

– Ja. – Wydawał się zdumiony tą odruchową odpowiedzią. – Tak, to ma sens. Zacząłem dorastać, zauważać pewne rzeczy. Coraz lepiej dostrzegałem, że jestem inny. Miałem ciemne włosy, a oni jasne. Byłem smagły, a oni bladzi. Adelaide musiała zorientować się, że to widzę. W końcu uświadomiłem sobie, że odgrywamy wyznaczone przez nią role w nigdy niekończącej się sztuce, która była jej życiem. Beau został obsadzony jako najstarszy syn, opoka, ten, na którym zawsze można polegać. Puck był rozpieszczanym dzieciakiem, uroczą maskotką, ja zaś stałem się wyrzutkiem, tym, który nie umiał się dopasować, niespokojnym i lekkomyślnym. Tym sprawiającym kłopoty.

– Markiz musiał wiedzieć – powiedziała Tess po namyśle. – Czy traktował cię inaczej?

– Nie – odparł stanowczo. – Nie ma lepszego człowieka na świecie, Tess, ani też słabszego i bardziej godnego pożałowania. Pod wieloma względami nim gardzę... kiedy akurat nie czuję do niego litości. W chwili, gdy Adelaide powróciła po kolejnej długiej nieobecności z Beau w ramionach, w końcu musiało dotrzeć do niego, co takiego uczynił. A kiedy przyjechała ze mną, na pewno zdał sobie sprawę, że tym razem zrobiła z niego jeszcze większego głupca.

– Ale Puck jest młodszy od ciebie, co oznacza, że markiz jej przebaczył.

– Tess, jak wspomniałem, nigdy nie poznałaś Adelaide. Czas mijał i matka zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, że jej wpływ na szwagra słabnie i że Cyril ma wątpliwości, z którymi coraz trudniej mu żyć. W moje



osiemnaste urodziny podarowała mi ten pierścień i oznajmiła, że zawsze będzie mnie kochała bardziej niż moich braci i że zajmuję wyjątkowe miejsce w jej sercu. Następnie wyznała mi to, co od dawna podejrzewałem, a mianowicie, że Cyril nie jest moim ojcem.

– Chciała, abyś zniknął z posiadłości, prawda?

– Pokiwała głową. – Twój wyjazd był konieczny. Cyril zaczął się starzeć i nie był już zakochanym głupcem, lecz raczej pełnym wstydu ojcem, który zrujnował synom przyszłość. Ty stałe przypominałeś mu o zdradzie jego miłości.

– Tak, rzeczywiście, wspomniała o tym. Skąd wiedziałaś?

– To całkiem logiczne założenie – odparła Tess spokojnie. – Tak jak w wypadku mojego ojca, każda pochwała kryje w sobie jakiś haczyk. Jak matka mogła tak potraktować własnego syna?

– A jak ojciec mógł tak potraktować własną córkę? – odpowiedział pytaniem na pytanie Jack.

– Tak czy owak, chcąc zapewne mnie zaintrygować i rozpaścić moją wyobraźnię, oświadczyła, że mój prawdziwy ojciec był rozbójnikiem, niezwykle interesującym człowiekiem, któremu uległa podczas podróży z trupą aktorską. Był cudowny, przystojny, śmiały, a ja niezwykle go przypominam. Jej oczy błyszczały, gdy o nim opowiadała, ale nie wyjawiała mi jego nazwiska.

– To podwójne okrucieństwo, ale zapewne uznała, że tak będzie jeszcze dramatyczniej. Piękna aktorka i niebezpieczny rabuś. Czego się po tobie spodziewała, Jack? Że natychmiast wyruszysz na poszukiwania?

– Byłoby to raczej trudne, gdyż wspomniała, że pojmano go i powieszono wiele lat wcześniej. Twierdziła jednak, że widzi we mnie tę samą dzikość i głód przygody. Nie kazała mi odjechać, za to oznajmiła, że jeśli



pozostaną, będę tu umierał powolną śmiercią, gdyż duszę się w Blackthorn i niczym ptak w klatce pragnę wyrwać się na wolność. Nie mogła patrzeć, jak cierpię za jej grzech. – Jack uśmiechnął się smutno. – Słyszając te fałszywe komplementy, opowieści o romansie, widząc śmiech przez łzy, kompletnie nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Zniknąłem następnego ranka. W ciągu ostatniej dekady zjawiłem się w Blackthorn tylko raz. Potajemnie zakradłem się do kaplicy o północy, żeby położyć różę na trumnie Abigail. Bracia donieśli mi później, że rankiem Adelaide nie była zachwycona widokiem róży. Oznaczało to, że nie odciąłem się całkiem od Blackthorn i jego mieszkańców.

Szczapa drewna trzasnęła w kominku, a Tess omal nie podskoczyła.

– To na pewno sprawka mojej matki – zaśmiał się Jack. – Właśnie się wścieka. Inna sprawa, że chyba już skończyliśmy.

– Niezupełnie. Dokąd się udałeś po wyjeździe z Blackthorn?

– Tu i tam. Byłem wściekły, ale i oszołomiony wolnością. Wkrótce jednak zaczął mi doskwierać brak pieniędzy, gdyż miałem taki dziwny kaprys, żeby jeść przynajmniej dwa razy dziennie. Wspomniałem ci wcześniej, Tess, że pewnie już bym wisiał, tak jak mój prawdziwy ojciec, gdyby nie spotkanie z Sinjonem.

– To ci się nigdy nie wydawało podejrzane? – spytała, zastanawiając się, dlaczego akurat teraz zaniepokoił ją fakt, że tatko uznał Jacka za świetny materiał na ucznia.

– Zostało mi zaledwie parę miedziaków, do tego byłem pijany i uciekałem przed posterunkowym. Sinjon spadł mi z nieba, niczym manna. Nie, nie zadawałem mu pytań, teraz jednak chciałbym wiedzieć, skąd twoje dociekania.

– Sama nie wiem. – Wstała i zaczęła spacerować po sypialni. – Nie chcę

cię obrazić, Jack, ale nie sądzę, żebyś był dla niego szczególnie wartościowy. W jakim celu miałby zaprzętać sobie głowę akurat tobą?

– Może dlatego, że byliśmy w ciemnym zaułku i celowałem do twojego ojca z pistoletu? Nigdy ci o tym nie wspomniał? Chciałem jego sakiewki, on zaś chciał ze mną pogawędzić. Był bardzo przekonujący.

– Och, Jack... – westchnęła ciężko. – Byłeś pijany i zrozpaczony, a tato dał się zaskoczyć i trzymać na muszce? Naprawdę w to wierzysz? Nawet teraz?

TTLR

## ROZDZIAŁ DZISIĄTY

Jack leżał obok śpiącej Tess i powtarzał w myślach jej słowa. *Tatko dał się zaskoczyć i trzymać na muszce? Naprawdę w to wierzysz? Nawet teraz?*

Ile miał wtedy lat, dwadzieścia trzy? Zniknął z domu niemal pięć lat wcześniej i kiepsko sobie radził, do tego stopnia, że przez ostatnie pół roku zniżał się do drobnych kradzieży, byle przetrwać. Czasem sprzyjało mu szczęście przy stoliku karcianym, ale zbyt rzadko, by traktował grę jako źródło zarobku, a jego wściekłe próby dorównania reputacją nieznanemu ojcu zakończyły się, gdy Jacka nie było już stać na nakarmienie konia i musiał zmienić się z rozbójnika w drobnego złodziejaszka.

Zamierzał się zaciągnąć do piechoty, gdyż wiedział, że jeśli tego nie zrobi, kiepsko skończy, i to już niedługo. W wojsku miał przynajmniej szansę umrzeć za szlachetną sprawę. Grając w karty, musiał się liczyć z tym, że prędzej czy później zginie zasztyletowany lub zastrzelony przez sfrustrowanego rywala, któremu powinie się noga.

Sinjon namówił go, żeby dołączył do przedsięwzięcia godnego jego talentu, a Jack mu uwierzył. Tylko jakim talentem dysponował? Otrzymał staranne wykształcenie, znał biegle trzy języki, nie wyglądał najgorzej. Cóż, nie był całkiem bezużyteczny, jednak nikt przy zdrowych zmysłach nie uznałby go za łakomy kąsek.

Postanowił przynajmniej wysłuchać Sinjona, gdy ten zaproponował mu kolację w gospodzie za rogiem. Poza tym nieznajomy okazywał mu współczucie, całkiem jak spowiednik, i kiedy świt zaczął się wkradać do prywatnej jadalni, Jack zdążył opowiedzieć Francuzowi smutną historię swojego życia i zasnąć z głową w talerzu. Drgnął niespokojnie na myśl o tym, jak żaloszny i

łatwowierny wówczas był.

Kiedy się przebudził, poczuł straszliwie łupanie w głowie po wypitym alkoholu i usłyszał, jak Sinjon nakazuje przygotować dla „dżentelmena” kąpiel, a następnie obfite śniadanie.

– Znakomicie się bawiłem w twoim towarzystwie, Jack, ale obawiam się, że pora się udać w dalszą drogę – powiedział markiz. – W stajni czeka na ciebie osiodłany koń, już opłacony. Nie jest najwyższej klasy, bo takiego tu ze świecą szukać, ale się nada. – Sinjon położył przed Jackiem złożoną kartkę i niewielką skórzaną sakiewkę. – Pamiętasz propozycję, którą ci złożyłem w nocy? Nic nie mów, wystarczy, byś skinął głową. O tak, doskonale. Napisałem ci wskazówki, jak trafić do mojego domu. Kiedy się wykąpiesz i najesz, sam postanowisz, co zrobić, synu. Pamiętaj, wybieraj mądrze.

Jack przejechał na zakupionym przez Sinjona wierzchowcu siedem kilometrów z okładem, nim głośno zaklął, ściągnął wodze i zawrócił, tym samym przypieczętowując swój los.

Szybko przywykł do nowego życia. Wykazywał naturalny talent do intrygi. W domu markiza Fontaine powitano go tak, jakby się tam urodził. Znow spął w czystej pościeli, miał pełny brzuch i czuł się jak cywilizowany człowiek. Życie dało mu w kość, więc jego młodzieńczy bunt nieco ucichł. Teraz Jack stał się twardym człowiekiem, nie ufał już tak łatwo i nie czuł potrzeby przyjaźni.

Mimo to podziwiał swojego mentora i jego naprawdę błyskotliwy umysł. Do tego Jack polubił René, a jeszcze bardziej Tess. Żył przygodą, niebezpieczeństwem oraz upojeniem, które przynosił sukces. Robił coś ważnego, służył rządowi w czasach wojny. Owszem, był bękartem i to nie mogło się zmienić, ale nareszcie miał powód, by żyć.

Tess stawiała mu się coraz droższa, a potem, wbrew rozsądkowi, wręcz

niezbędna do życia. Sinjon o tym wiedział, gdyż nic nie uchodziło jego uwadze. Musiał mieć świadomość sytuacji, lecz nie interweniował. Nic nie mówił, tym samym pozwalając, by jego córka oddała się bękartowi.

Wtedy przystąpił do ataku.

Opowiedział Jackowi swoją smutną historię i pokazał mu kolekcję, po czym złożył propozycję– córka w zamian za zostanie nowym narzędziem Sinjona, wyszkolonym pomagierem przy zdobywaniu eksponatów do kolekcji.

Wszystko stało się jasne.

Oczywiście, że Sinjon potrzebował złodzieja, kogoś, kto zastąpi Cygana, ale nie pospolitego opryszka, gdyż taki na nic by mu się nie zdał. Zależało mu na wyedukowanym człowieku o dobrych manierach, lecz nie dżentelmenie. Chciał, by człowiek ów był mu wdzięczny i gotów na wszystko. Być może Jack został wybrany także dlatego, że był dość przystojny, aby dostrzegła to Tess, a może Sinjon bezlitośnie wykorzystał ten szczęśliwy traf. A wszystko dla tej przekłetej sterty skarbów, które znaczyły dla niego więcej niż żona, córka i syn.

– Sukinkot...

– Jack? – Tess oparła się na łokciu, próbując zobaczyć twarz Jacka. – Co się stało?

– Nic. – Pocałował ją w czoło. – Wyzywałem się za to, że jestem idiotą, i to co najmniej podwójnym.

– No cóż, skoro to wszystko, to może zdołam ci w czymś pomóc? – Przytuliła się do niego. – Jeśli wspólnie się nad tym zastanowimy, na pewno uda nam się spisać całą listę powodów, dla których jesteś idiotą, a nie jakieś żałosne dwa. Ja zacznę.

– O nie, ani mi się waż! – Popchnął ją tak, że znowu leżała na plecach, i

zbliżył twarz do jej twarzy.

Tess pogłaskała go po policzku.

– Wszystko w porządku? Wiem, że wczoraj nie było ci łatwo mówić o tym wszystkim.

– Nigdy nie jest łatwo stanąć oko w oko z prawdą. Ale cztery lata temu powinniśmy byli więcej ze sobą rozmawiać.

– Wtedy, jak to ująłeś, nie mieliśmy sobie zbyt dużo do powiedzenia. Nie wiedzieliśmy wszystkiego, co wiemy teraz. Nie byłeś gotowy, a ja na pewno nie uwierzyłam w żadne krytyczne słowa pod adresem tatka.

– Kiedy dorosłaś, Tess? Kiedy tak zmądrzałaś? Opuściłem dziewczynę, piękną i upartą, a powróciłem do kobiety.

– Twierdziłeś, że chcesz z powrotem tamtej dziewczyny, pamiętasz? I to zaledwie kilka dni temu.

– Przecież powiedziałem, że jestem idiotą. – Pocałował ją w szyję. – Moim zdaniem powinnaś zapomnieć o wszystkim, co wygadywałem pierwszego dnia.

Tess westchnęła, gdy położył dłoń na jej piersi.

– Czy zaczniemy od początku, Jack? Czy myślisz, że to w ogóle możliwe?

Uniósł głowę i raz jeszcze popatrzył jej w oczy, w których dostrzegł łzy.

– Mamy syna – odparł. – Powinniśmy przynajmniej spróbować.

– Ale czy to jest dobry początek? Czy tylko zacieramy obraz całości? Bo to zawsze nas łączyło i nigdy nie wystarczało.

Jack opuścił powieki. Wiedział, że Tess ma rację, choć bardzo mu się to nie podobało. Musieli wyjaśnić sobie pewne rzeczy, żeby w ogóle przystąpić do dyskusji o przyszłości. Do tego dochodził fakt, że jeśli Sinjon nie miał jeszcze jednego asa w rękawie, wkrótce czekała go śmierć albo wygnanie z

Anglii. Los dawnego mistrza zależał teraz od Jacka.

Przetoczył się na plecy i wbił wzrok w baldachim ze szmaragdowego aksamitu.

– Nasz syn to skowronek – oznajmiła Tess szybko i odrzuciła kołdrę. – Chyba zadzwonię po Beatrice. Ubiorę się, a potem pójdę do pokoju Jacques’a i zjem z nim śniadanie. Przywykł do tego, że widzi mnie z samego rana. Muszę też porozmawiać z Emilie o wyjeździe do Blackthorn. Nie będzie zachwycona, ale na pewno zrozumie. Może dołączysz do nas na śniadaniu? W zasadzie mogę uwolnić Jacques’a z aresztu w pokoju dziecięcym i pozwolić mu zejść do jadalni. Po pierwsze, musi częściej widywać Pucka, zanim...

– Tess? Chodź tutaj, dobrze? – Po tych słowach Jack wziął ją w ramiona i pocałował. Tess na moment zamarła, jakby spodziewała się czegoś innego niż ten symboliczny pocałunek, a potem przywarła do Jacka. Położył ręce na jej ramionach i lekko ją odsunął. – Wszystko w porządku, rozumiem. Zaczniemy od początku.

Przygryzła wargę i skinęła głową. Potem zaskoczyła go, poprawiając koszulę niczym nieśmiała dziewczica, zupełnie jakby nie znał każdego skrawka jej ciała.

– Może teraz rzeczywiście idź i zrób to, co planujesz. Przy okazji poinformuj młodego panicza Jacques’a, że jego ojciec, który nigdy nie przestrzega protokołu, zażyczył sobie jego obecności przy stole tego ranka.

Uśmiech Tess sprawił, że Jack poczuł ukłucie w sercu.

– Tak właśnie zrobię – szepnęła.

Po chwili znikła i Jack został sam, lecz wcale nie czuł się samotny. Być może po raz pierwszy odkąd dorósł i zobaczył świat takim, jakim był.

Tess i Jack przyglądali się w stajni, jak służba szykuje do drogi



luksusowy powóz podróżny ze złotym herbem markiza Blackthorn. Tess westchnęła dyskretnie. Nigdy dotąd nie rozstawała się z Jacques'em. Syn był jedynym stałym elementem w jej życiu po śmierci René.

Kiedy powóz i towarzyszący mu dwaj jeźdźcy zniknęli za rogiem, ruszyła wraz z Jackiem do domu.

– O czym szeptałeś dziś z Puckiem, kiedy żegnałam się z Jacques'em? – zapytała. – Nie dosłyszałam.

– Doskonale. A więc nam się udało. Właśnie dlatego szeptaliśmy – odparł Jack.

Znów uderzył ją jego znakomity humor. Było tak, jakby wreszcie uwolnił się od ciężaru, który latami dźwigał na barkach.

– Czy te szepty miały cokolwiek wspólnego z Jacques'em? Nie przewidujesz kłopotów, prawda? – zaniepokoiła się. – Nie mówiliśmy w domu o jego wyjeździe, sam zaniósłeś go na plac do oczekującego powozu i byłeś bardzo ostrożny. Chyba nie mamy powodów do obaw?

– Najmniejszych. Tyle tylko że chyba zapomniałem wspomnieć Puckowi o skłonności Jacques'a do wyrażania opinii o podróżach poprzez opróżnianie zawartości żołądka. Myślisz, że powinienem był mu o tym powiedzieć?

Tess wyraźnie się odprężyła.

– Już za późno – odparła z uśmiechem. – Jak sądzę, przekona się o tym na własnej skórze. Biedaczysko.

– Puck czy Jacques?

– Och, Puck, naturalnie. Jacques'owi ani trochę to nie przeszkadza. No, ale o czym szeptaliście?

– O markizie – powiedział Jack, gdy weszli do gabinetu. Zajął miejsce za biurkiem, podczas gdy Tess rozsiadła się wygodnie na brzegu ogromnej

kanapy obitej skórą w kolorze burgunda. – Puck przypomniał mi, że Cyril chce koniecznie ze mną porozmawiać. Właściwie to z całą naszą trójką. – Wziął do ręki mosiężny nożyk do listów i zaczął się nim bawić. – Nawet gdybym chciał, nie mógłbym zapomnieć, gdy Beau i Puck bezustannie o tym mówią.

Przyszło jej do głowy, że bardzo chciał uniknąć tego spotkania.

– Jak myślisz, co chce ci powiedzieć? – spytała.

– Doskonale wiem, o co mu chodzi. Chce rozdzielić między nas swoje ziemie. Beau i Puck dostali już mniejsze posiadłości, więc pewnie i ja mam coś otrzymać. Nigdy nie brałem od niego jałmużny i nie wiem, dlaczego uważa, że pozwolę ofiarować sobie ziemię.

– Pozwolisz? – Tess ze smutnym uśmiechem pokręciła głową. – Uważasz, że to będzie dla niego jakiś zaszczyt?

Jack ostrożnie otworzył list, całkiem jakby zrobiono go z delikatnego kryształu.

– Nie jestem jego synem, Tess.

– Ale za takiego cię uważa. Mówiłeś, że wychowałeś się razem z Beau i Puckiem. Czy kiedykolwiek traktował cię inaczej? Czy dał ci do zrozumienia, że nie jesteś mile widziany?

– Przecież nie o to chodzi – odparł Jack z rozdrażnieniem.

– A o co?

Wpatrywała się w niego, a on wbił wzrok w przestrzeń, widząc rzeczy, których nie mogła zobaczyć, i błędząc myślami daleko.

– Jack? Jack? – powtórzyła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Przepraszam. – Zamrugał i spojrzał na nią.

– Rozumiem. – Miała ochotę podejść do niego i go przytulić. – Zawsze się zastanawiałam, dokąd odchodzisz, kiedy tak mnie zostawiasz. Do

Blackthorn?

– Chyba tak. – Jack wstał. – Kiedyś darzyłem Cyrila synowską miłością, potem nienawidziłem go za słabość, za egoizm i głupotę. Puck ma interesującą teorię. Wierzy, że nasza matka wrobiła Cyrila w małżeństwo z Abigail, aby nie mógł ożenić się z nikim innym, gdyż w takim wypadku utraciłaby hojnego protektora. Dzięki temu podróżowała po kraju, ale zawsze miała bezpieczną przystań, w której czekał mężczyzna zakochany w niej po uszy i na dodatek bogaty. Bracia i ja pewnie byliśmy niezbyt miłymi niespodziankami, chwilowym ciężarem, który przeszkadzał jej w spełnianiu marzeń. Zwłaszcza ja. Nie mamy pojęcia, dlaczego Cyril przyjął nas pod swój dach i wychował na dżentelmenów – a już zwłaszcza dlaczego tolerował mnie.

Tess odetchnęła głęboko i postanowiła zadać oczywiste pytanie, które najwyraźniej nie przyszło do głowy żadnemu z braci Blackthornów.

– Dlaczego go nie zapytasz?

– No cóż, oczywiście. – Jack spojrzał na nią. – To takie proste zapytać. Ale nie, dziękuję za sugestię. Nigdy byśmy tego nie zrobili.

– Może Puck i Beau to tylko twoi bracia przyrodni, ale jedno niewątpliwie was łączy. Duma.

– Duma? – zachnął się. – Bękartów nie stać na dumę. Jesteśmy jednak coś winni temu człowiekowi. Jego dumę. Gdyby chciał, abyśmy cokolwiek wiedzieli, powiedzialby nam już dawno.

Tess pomyślała, że mężczyźni bywają naprawdę tępi. Zerwała się z miejsca, żeby ciągnąć tę dyskusję twarzą w twarz.

- Przyszło ci do głowy, że może właśnie próbował to zrobić? Twierdzisz, że chce porozmawiać z waszą trójką, razem. Może chodzić o coś znacznie więcej niż tylko rozdzielanie gruntów. Czy właśnie dlatego unikasz

powrotu do Blackthorn? Bo nie chcesz usłyszeć czegoś, co on mógłby ci powiedzieć? Bo zwyczajnie się tego obawiasz?

Jack pokręcił głową.

– Wiesz, czasami wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyś miała pusto w główce. – Pocałował ją w czoło. – Proszę, nie traktuj tego jak zniewagi.

– Potraktuję to jak dowód na to, że mam rację– odparła.

Zrobiło się jej lżej na duszy, gdy zobaczyła, że oblicze Jacka nieco złagodniało. Pomyślała, że wkrótce pozna Adelaide i markiza. Robiła, co mogła, żeby nie uprzedzać się do nich, ale w tym momencie współczuła jedynie markizowi. Adelaide niebezpiecznie kojarzyła się Tess z jej pozbawionym sumienia ojcem.

Jack żartobliwie klepnął ją w pośladek, a potem objął i poprowadził do drzwi.

– Wezmę to pod uwagę– oznajmił. – Teraz muszę się spotkać z Dickiem i Willem, aby omówić plany na jutro, ale powrócę za godzinę.

– Chcesz udać się do nich sam? – zapytała. – Nie mogę iść z tobą? – Była pewna, że odmówi, więc dodała: – Przecież to mój ojciec, Jack. Być może zdołam ci pomóc, jeśli rzeczywiście zamierzasz wyprowadzić ich w pole. – Zmarszczyła brwi. – Dlaczego się tak uśmiechasz? Nie uważasz, że mogłabym pomóc?

– To całkiem dobry pomysł, biorąc pod uwagę to, co oni o tobie myślą.

Bardzo nie podobał się jej ten uśmiech.

– A niby co o mnie myślą? – burknęła.

– Szczerze? Że jesteś idiotką.

– Co takiego? A niby z jakiego powodu tak uważają?

– Wydaje mi się, że sam im to zasugerowałem.

Tess zastanawiała się przez chwilę, po czym oznajmiła:

– Aha. No dobrze, rozumiem. Czy mam się zalewać łzami i błagać was, żebyście obeszli się z nim łagodnie i sprowadzili biednego, cierpiącego na demencję wariata do domu? Czy też powinnam siedzieć tam z tępą miną i zastanawiać się, o co tyle hałasu?

– Wiedzą o nas, a przynajmniej tak im się wydaje.

– Czyżby? – Skinęła głową Wadsworthowi, który przyniósł jej pelisę, czepek i rękawiczki. – To oznacza, że wiedzą również o Jacques’u. To mi się nie podoba, zwłaszcza jeśli któryś z nich był informatorem tatka.

– Możemy zamienić słowo, jaśnie panie? – odezwał się kamerdyner, wręczając Jackowi kapelusz z bobrzego futra oraz rękawiczki.

– Chcesz się wycofać, Wadsworth?

Były żołnierz popatrzył na niego z oburzeniem.

– W żadnym razie, jaśnie panie! – zaprzeczył i dodał błagalnie: – Ale jaśnie panie, ten cudzoziemski przydzwiewek?

– Jest niezbędny do tego zadania – odparł Jack.

Tess udawała, że jest niesłychanie zajęta wciąganiem rękawiczek na dłonie, dzięki czemu mogła ukryć uśmiech.

– Tak, jaśnie panie. – Kamerdyner się uklonił.

– Panicz Puck twierdził, że właśnie tak jaśnie pan odpowie. Zrobię po uważaniu jaśnie pana.

– Dobry z ciebie człowiek, Wadsworth. – Jack klepnął go w plecy, po czym nadstawił Tess ramię.

– Dopilnuj, aby za kwadrans przed stajnią czekał na nas kryty powóz.

Dopiero gdy zeszli po marmurowych schodach na chodnik, Tess pozwoliła sobie na śmiech.

– Biedny Wadsworth – westchnęła. – Nie mogłeś przebrać go za angielskiego dżentelmena?

– Nie. Jeśli Sinjon planuje dzięki anonsowi zapęlić pokój dżentelmenami, aby zrobić zamieszanie w wypadku przemocy, chcę, aby od razu miał świadomość, że nabab to mój człowiek. Więcej Hindusów raczej tam nie będzie.

– Stąd litera „B” odcisnięta na laku – domyśliła się Tess, gdy szli chodnikiem. – Naprawdę myślisz, że mój ojciec zamierza wykorzystać niewinnych ludzi jako żywe tarcze?

– Nie ma niewinnych ludzi – odparł Jack swobodnie. – Tego nauczył mnie Sinjon. Ciebie na pewno również.

– Owszem. Jack... – zaczęła, nie chcąc psuć ożywionej i przyjaznej dyskusji. – Obawiam się, że nie przemyślałeś jeszcze jednego. A jeśli tatkowi wcale nie chodzi o Cygana? Może tylko chce, żebyśmy tak myśleli, a tak naprawdę to jeden wielki podstęp i ty jesteś celem? W takim wypadku przebranie biednego Wadswortha za hinduskiego bogacza tylko wskaże tatkowi, kogo jeszcze ma wyeliminować.

Jack się zasepił, ale nie zwolnił.

– Interesująca teoria – oznajmił spokojnie. – Skąd przyszła ci do głowy?

– Chodzi o Jacques’a – westchnęła. – Tatko uwielbia go wręcz do szaleństwa. Co, jeśli miałeś wrócić i go zobaczyć? Powtarzał mi raz za razem, że mi go odbierzesz. Fizycznie nie jest godnym ciebie przeciwnikiem, ale zawsze uważał, że zdoła wystrychnąć na dudka każdego człowieka. Wiem, że twoim zdaniem nikogo nie darzy uczuciem i jako jego córka muszę się z tobą zgodzić, że mnie nie kocha, jednak kocha Jacques’a.

– Jeszcze jedna teoria... W porządku, wezmę to pod uwagę. O, jesteśmy na miejscu.

Tess ujrzała przed sobą dom nieco mniejszy od tego, który niedawno opuścili, ale równie imponujący.

– Piękny budynek– zauważyła. – Do kogo należy?

– Do Cyrila. Odziedziczył wręcz nieprzyzwoity majątek po obojgu rodzicach. Zazwyczaj wynajmuje tę posesję na sezon, ale teraz trwają tu prace remontowe, więc dom świeci pustkami. Wadsworth już wcześniej otworzył drzwi, a Will i Dickie niewątpliwie na nas czekają. Wejdziemy?

Tess popatrzyła na piękną fasadę i skinęła głową.

– Z przyjemnością, jasnie panie– odparła z lekką ironią.

Po chwili stali w przestronnym holu. Wszystko tu było przykryte prześcieradłami, także ogromny, zwisający nad nimi żyrandol.

– To ty, Jack? – rozległ się męski głos.

– Dickie– mruknął Jack, po czym dodał głośno: – Czyżbyś oczekiwał Świętego Mikołaja? Will też tu jest?

– Jestem.

Wysoki blondyn stanął w podwójnych drzwiach prowadzących do małego salonu na parterze. Pomieszczenie to służyło do podejmowania mniej znamienitych gości, którzy nie doczekali się zaproszenia do głównego salonu na piętrze.

Tess pomyślała, że Will Browning to bardzo przystojny mężczyzna – smukły i muskularny, co dodatkowo podkreślał doskonale skrojony frak. Zauważyła jednak, że gdy się uśmiechał, jego oczy pozostawały lodowate.

– Widzę, że nie jesteś sam, Jack. Lady Thessaly, jak mniemam? – Ukłonił się dwornie. – *Je suis enchanté, madame, votre domestique humble,*

– *Vous êtes trop aimable, Monsieur Browning* – odparła Tess. Dygnęła, dając mu do zrozumienia, że przyjmuje komplement, ale jest świadoma, iż w towarzystwie ma znacznie wyższą pozycję niż Will. – Czy będzie pan tak miły i wskaże mi, gdzie mogłabym usiąść w tym dziwnym domu, który wygląda na zamieszkaną wyłącznie przez duchy?



– Uroczą, doprawdy uroczą– szepnął Will do Jacka, gdy zmierzali ku salonikowi.

Siedział w nim Dickie Carstairs i z nudów bawił się kośćmi do gry, rzucając raz jedną, raz drugą ręką. W tym momencie lewa dłoń sromotnie przegrywała z prawą. Na widok Tess Dickie zerwał się na równe nogi, strącając przy okazji kości na podłogę, i uklonił się z widocznym zdenerwowaniem. Po oficjalnej prezentacji zdjął prześcieradło z niewielkiej kanapki i wskazał ją damie. Will i Jack usiedli przy stoliku, po czym panowie zignorowali Tess i zajęli się dopracowywaniem planów na jutrzejsze popołudnie.

Siedziała w milczeniu, patrząc na nich z bezmyślnym wyrazem twarzy, który miał sugerować, że jest zbyt tępa nawet na to, by się nudzić. Bawiła się rękawiczkami, poklepywała po włosach, gapiała z szeroko otwartymi ustami na przykryty tymczasowym całunem niewielki kandelabr. Dwukrotnie ziewnęła, a przemówiła dopiero wtedy, gdy Jack umilkł, sygnalizując, że krótkie spotkanie dobiegło końca.

– Ale go nie zabijecie, prawda? – Jej dolna warga zadrżała. – Jest stary i chory. Osłabiony na ciele i umyśle, rozumiecie? *Une faiblesse dans son cerveau*. Ociężały rozum.

Jack westchnął głośno, jakby słyszał to nie pierwszy raz.

– Lady Thessaly, mówiliśmy już o tym. Mamy nadzieję go znaleźć, by powrócił do domu. Z dala od niego nie jest bezpieczny. Wie pani przecież, moja droga Tess, że troszczyć się o jej ojca, a nasz rząd szanuje go za wartościową, wieloletnią służbę.

– Tak tylko pan mówi... – Nadała się. – A czy pan się z tym zgadza, panie Browning? Mam powody, żeby nie dowierzać panu Blackthornowi.

– A tak, słyszałem o synku... To jest, chciałem powiedzieć, współczuję

pani. Jack jest nieco... nie– obyty– tak bym to określił– lecz potrafi wypełniać rozkazy, my zresztą także. Pani ojcu nie spadnie włos z głowy. Daję pani słowo dżentelmena i, jak mniemam, pan Carstairs chętnie pójdzie w moje ślady. Czy to panią satysfakcjonuje?

Dickie Carstairs milczał, a koniuszki jego uszu zrobiły się jaskrawoczerwone. Tess wstała, więc trzech dżentelmeni zmuszeni byli pójść w jej ślady.

– To chyba powinno mnie uspokoić – oznajmiła.

– No cóż, panie Blackthorn, obiecał mi pan dzisiaj wyprawę do sklepów. Życzę miłego dnia, panowie.

– Pamiętajcie, macie tylko go obserwować– mruknął Jack w drodze do holu. – Stawicie się tutaj jutro o siódmej.

– To zabrzmiało jak rozkaz, Jack– zauważył Will. – Ustaliliśmy już plan, więc takie komendy są zbędne.

– Wybacz, po prostu chcę mieć to za sobą. Pragnę, by lady Thessaly jak najszybciej wróciła na wieś. Czeką nas misja w Calais i bardzo chciałbym już ją rozpocząć.

– Jeszcze jedna przeprawa przez kanał– zasmucił się Dickie. – Ledwie doszedłem do siebie po ostatnim sztormie. Życzę miłego dnia, lady Thessaly. Cieszę się, że panią poznałem.

– Nieprawda. – Tess raz jeszcze wdzięcznie wydeła usta. – Jestem niechcianym ciężarem, pan Blackthorn dał mi to już do zrozumienia. Ale dziękuję za miłe kłamstwo, panie Carstairs.

Will Browning wygłosił jakiś pusty komplement, a następnie Jack i Tess wyszli. Will i Dickie zgodzili się zaczekać dziesięć minut i dopiero wtedy opuścić posiadłość.

– To bez wątplenia Browning– oznajmiła Tess rzeczowo, gdy zmierzali

do drugiej posiadłości Blackthornów.

– Masz konkretne powody, by tak przypuszczać?– spytał Jack, kierując ją ku uliczce, która prowadziła między dwoma wysokimi budynkami prosto do stajni.

– Carstairs nie potrafi kłamać, ani słowem, ani czynem. Tatko nigdy nie powierzyłby tajemnicy takiemu człowiekowi. To na pewno Browning. Carstairs raczej cię lubi, chociaż to go niepokoi, bo jest pewny, że irytuje Browninga, który cię nienawidzi.

– Przyjmuje rozkazy od bękarta – powiedział Jack. – Gratuluję ci aktorskiego talentu. Omal mnie nie przekonałaś, że masz zupełnie pusto w głowie, i to łagodnie rzecz ujmując. Will pewnie myśli, że w twojej czasce hula wiatr.

– Dziękuję. A teraz dokąd?

– Niewiele możemy zrobić do jutrzejszego dnia, więc pomyślałem, że dziś spróbujemy nabrać trochę dystansu.

Gdy skręcili w lewo, oczom Tess ukazał się niewielki miejski powóz. Konie były już zaprzężone, a woźnica czekał z wodzami w dłoniach. Jack pomógł Tess wsiąść, zanim sam wskoczył do środka.

– A więc jedziemy na koniec świata i wrócimy przed jutrzejszym południem? – zapytała.

– Co takiego? Ach, to miał być dowcip. Nawet niegorszy. Nie, Tess, nie musimy uciekać aż na koniec świata, wystarczy, że pojedziemy na jarmark w Spitalfields. Nie jest tak słynny jak jarmark w Bartholomew, ale to przyjemna rozrywka na popołudnie. Mam jednak warunek – musisz obiecać, że ani słowem nie wspomnisz ani o Sinjonie, ani o Cyganie.

Tess popatrzyła na niego ze zdumieniem, ale i z radością, po czym ujęła go za rękę. Nagle wydał się jej bardzo młody i onieśmielony, co było dziwne,

gdyż zawsze sprawiał wrażenie niesłuchanie pewnego siebie.

– Myślę, że zdołam dotrzymać tej obietnicy – odparła. – I że całkiem dobrze sobie poradzę.

TTLR

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jack zerknął na Tess, która uważnie śledziła przedstawienie lalkowe z Puncem i Judy na małej scenie z tyłu wiejskiego wozu. Pomyślał z rozbawieniem, że chyba nawet Jacques nie mógłby się lepiej bawić.

Nigdy nie była na jarmarku, co nie powinno go dziwić, gdyż Sinjon z pewnością uważał to za plebejską rozrywkę. Przez godzinę, którą zdążyli tu spędzić, Tess z powodzeniem nadrobiła zaległości z dzieciństwa. Najpierw zjadła pasztecik, ze śmiechem oblizując palce, po których ściekał mięsny sos, a rozbawiony Jack całował krople, które pozostały na jej brodzie. To wszystko było bardzo dziwne. Zawsze działali z pełną powagą, skupieni na tym, co akurat robili. Nawet w miłosnych porywach dążyli wyłącznie do tego, by jak najszybciej zaspokoić palące pragnienie. Prawdopodobnie to on był za to odpowiedzialny. Zastanawiając się nad tym, doszedł do wniosku, że zachowywał się drętwo, sztywno i nieprzystępnie. Strzegł swoich sekretów i ukrywał wstyd, który czuł, odkąd matka poinformowała go o jego pochodzeniu.

Tess się nie pomyliła – matka kazała mu odejść, więc odszedł. Nie był gotów pozostać i nie czuł się wart miłości.

Tamten Jack sprzed czterech lat odszedł bez powrotu, obecny zaś nie był już wściekłym, pochopnym młodzieńcem, żądnym przygód, upajającym się awanturnictwem. Tamte dni i tamte ideały odeszły w przeszłość. Wraz ze śmiercią René i Henry'ego Suttona. Henry nigdy nie zdołał się wyrwać, nigdy nie spełnił swoich marzeń dotyczących czegoś innego niż oddanie życia Koronie.

Jack nie chciał, by jego spotkał taki sam los. Nie teraz, gdy dostał drugą

szansę i mógł wszystko naprawić. Niech diabli wezmą Sinjona za to, że wpakował ich w tę niebezpieczną sytuację! I niech Bóg go strzeże za to, że nieumyślnie zmusił dawnego ucznia do zapamiętania ostatniej lekcji: otwarcie przed kimś serca nie jest oznaką słabości.

Kurtyna opadła, co zakończyło przedstawienie drewnianych kukiełek, które tłukły się kijami. Tess klaskała entuzjastycznie, jednocześnie szturchając Jacka łokciem, gdy podszedł do nich pucułowaty chłopak z kapeluszem w dłoni, aby otrzymać nieco bardziej namacalny dowód uznania.

– Daj mu co najmniej – dwa pensy – szepnęła Tess. – Marionetki były naprawdę świetne, mimo że Punchowi zerwały się sznurki, gdy Judy zaatakowała go pod sam koniec. Co teraz?

Nadstawił ramię, a ona je przyjęła. Widzieli już większość atrakcji jarmarku, więc Jack uważnie się rozglądał. W oddali, za linią drzew, dostrzegł coś, co przykuło jego uwagę.

– Chodź, dziewczynko – powiedział.

– Zabrzmiało to złowieszczo – odparła, ale bez wahania ruszyła z nim po trawie. – Masz jeszcze mój gwizdek w kieszeni? Nie chciałabym go zgubić.

– Twój gwizdek, węgielek i papierowy wachlarz z rysunkiem krowy. Właściwie dlaczego go chciałaś?

– Bo krowa ma takie uduchowione oczy, a poza tym Jacques na pewno się rozbawi, gdy będę składała i rozkładała wachlarz. Jest krówka, nie ma krówki. Gwizdek też jest dla Jacques'a, choć obawiam się, że niechętnie z niego zrezygnuję. A to co?

Z szeroko otwartymi oczami i rozchyłonymi wargami patrzyła na konstrukcję, która przypominała wielkie koło z dwoma drewnianymi siedzeniami.

– To jest diabelskie koło – wyjaśnił. – Usiądziesz razem ze mną na

jednej z desek i przytulisz się do mnie mocno, co uznam za premię wartą każdej ceny. Następnie zostaniemy uniesieni aż nad drzewa, a potem znów znajdziemy się na dole i powtórzymy to tyle razy, ile zechcemy. Wolno ci piszczeć z zachwytu, o ile nie będziesz piszczała mi prosto do ucha.

– Nigdy nie piszczę! – Tess niecierpliwie pociągnęła go za ramię. – Chodź, Jack, będziemy się świetnie bawili.

Rzeczywiście, trzymała się go mocno w drodze do góry, ale gdy znieruchomieli, zaczęła się wiercić i rozglądać na wszystkie strony.

– Patrz, tam jest katedra Świętego Pawła! Bo to jest ta katedra, prawda? Widziałam kiedyś rysunek w broszurce z opisem najciekawszych miejsc Londynu. A może to nie ona? – Puściła ramię Jacka i spojrzała w innym kierunku. – A tam jest Tamiza, widzisz? Wygląda jak wstążka. A tu mamy pola. Stąd prezentują się tak schludnie. O, a tam...

– Mogłabyś przynajmniej udawać, że się boisz – przerwał jej. – Tego się oczekuje od dam i w zasadzie to cel tej rozrywki. Bo jak myślisz, dlaczego więcej młodzińcy wydawaliby z trudem zarobione szylingi, by zwabić tu słodkie młode damy? Chodzi o to, aby krzyczały i domagały się przytulania. Wtedy chłopcy je ściskają, miękka pierś tuli się do twardego torsu i tak dalej...

Popatrzyła na niego z udawanym oburzeniem.

– No wie pan, panie Blackthorn, nie miałam pojęcia. To takie... lubieżne.

– Nie aż tak lubieżne jak osobnik, który obsługuje koło i wychodzi ze skóry, żeby zobaczyć nagą kostkę albo nawet więcej – zauważył Jack ze śmiechem.

– Powinien się wstydzić, i ty też! Ale warto było zobaczyć świat z tej perspektywy. – Oczy Tess lśniły. – Naturalnie można wyglądać przez okno, ale to nie to samo, prawda? Tutaj czuję się częścią nieba, jak ptaki – dodała i



zaczęła wymachiwać nogami, przez co deska się zakołysała.

– Obawiam się, że nasz syn odziedziczył po ojcu wrażliwy żołądek. – Jack przytrzymał ją mocno i chwycił za sznur. – Przestań.

– O nie. Tylko mi nie mów, że jest ci niedobrze. Jack? Popatrz tam. Co to?

Diabelskie koło zaczęło się opuszczać, ale Jack zdążył spojrzeć we wskazanym przez Tess kierunku.

– To chyba menażeria. Chcesz, abyśmy wrócili do powozu i przyjrzeni się jej z bliska?

Popatrzyła na niego wymownie, jakby nie rozumiała, po co w ogóle ją pytał. Następną godzinę spędzili na podziwianiu zwierząt, podczas gdy czerwony na twarzy mężczyzna we fraku w biało– czerwone paski wykrzykiwał, stojąc na jednej z klatek dla zwierząt:

– Największa londyńska kolekcja zwierząt dzikich, niesłychanych, rzadkich i cudownych, srogich i śmiertelnie niebezpiecznych! Panie i panowie, wszystko dla waszej rozrywki i zaspokojenia ciekawości! Oto fantastyczny lew Leo we własnej osobie, a także jaguar Brutus. Za pensa, panie i panowie, możecie podziwiać Ebona, zajadłą czarną panterę, usłyszeć przerażający śmiech hieny i ujrzeć przebiegłą cywetę. A to najbardziej niebezpieczny ze wszystkich szakał! Przyjdźcie, by się napawać ich widokiem.

– I wachać smród– mruknął Jack, gdy Tess musiała zakryć nos chusteczką, którą jej wręczył.

– Nasz przyjaciel Leo ma dwa zęby, a tej panterze można policzyć wszystkie żebra.

– Wiem. – Tess odwróciła się do niego. – To takie smutne, prawda? Piękne stworzenia, a muszą siedzieć w klatkach.

– Bywają różne klatki. Te najbardziej skuteczne nawet nie mają prętów.  
– Jack skrzywił się wymownie: – Wybacz. Przecież to ja zadeklarowałem, że nie wolno nam rozmawiać dzisiaj o niczym choć odrobinę poważnym.

– A ja się zgodziłam, że nie powinniśmy. Dobrze się bawię, Jack, naprawdę. Dziwne, czyż nie? Musiałam przyjechać aż do Londynu, żeby zobaczyć coś, co twoim zdaniem jest typową rozrywką we wsiach i miasteczkach całej Anglii. Chyba wiodłam bardzo ograniczone życie. René i ja czuliśmy się w posiadłości tatka niczym w klasztorze. Nie chcę, żeby Jacques’a spotkał taki sam los.

– Beau, Puck i ja rzadko wyjeżdżaliśmy z Blackthorn, ale odwiedziliśmy pobliskie wioski. Mimo to w tamtych latach widziałem rozmaite oblicza świata i nie chcę, żeby Jacques ujrzał choćby połowę tego co ja.

– Podobałoby mu się to przedstawienie z Puncem i Judy.

– Wobec tego koniecznie musimy mu je pokazać – powiedział Jack. – Przepraszam. Mówiłem, że zaczynamy od początku, a teraz zachowuję się tak, jakbym wyciągnął zbyt pośpieszne wnioski. Mimo to zapewniam cię, że niezależnie od wszystkiego weźmiemy ślub. Mój syn będzie nosił moje nazwisko, choć ja sam jestem bękartem i w zasadzie nie mam do niego praw.

Szli w milczeniu, aż w końcu Tess odważyła się zadać mu dręczące ją od dawna pytanie.

– Dlaczego nosisz to nazwisko, skoro... jeśli... To znaczy, odkąd wiesz, że markiz nie jest twoim ojcem? Nie żeby Blackthorn nie było dziwnym wyborem już wcześniej. Przecież to nazwa posiadłości.

– Musiałabyś spytać o to Adelaide, ale znając ją, pewnie przybrała je z jakiegoś tylko sobie znanego powodu. Może nikt jej nie powiedział, że nie powinna tego robić? Inna sprawa, że zapewne nikt nigdy nie ośmielił się

czegokolwiek jej zabronić.

Tess ponownie westchnęła. No cóż, nie udało się im uniknąć poważnych dyskusji.

– Korona odbierze posiadłość tatkowi, prawda?

– Popatrzyła na Jacka. – Jacques i ja nie będziemy mieli gdzie się podziać. Innymi słowy, jesteśmy zależni od ciebie, Jack. Chyba rzeczywiście nie pozostaje mi żaden wybór i nie wątpię, że już wcześniej o tym pomyślałeś.

Kłamstwo nie wchodziło w grę, nie w wypadku Tess.

– W rzeczy samej, nie wydaje mi się, żebyś miała wybór – odparł. – Jestem jednak pewien, że Sinjon przygotował coś na taką ewentualność. Wie, że posunął się za daleko w tej potyczce z Liverpoolem i jego ludźmi. Rozmyślałem o tym w nocy. Być może zabrał maskę Izidy, bo to najważniejszy eksponat z kolekcji i jednocześnie najcenniejszy skarb. Jeśli nic nie wyjdzie z jego misternych planów, pozostanie mu maska i kto wie, czy jej nie wykorzysta do znalezienia kąta dla waszej trójki gdzieś w odległym zakątku świata. Co się stało, Tess? – zaniepokoił się na widok jej miny.

– I zostawiłby kolekcję? – Nie była w stanie w to uwierzyć. – Wszystko, za co umarł René? Bo przecież mój brat umarł za tę przeklętą kolekcję, niezależnie od tego, jakie powody podał ci tatko.

– Nie zapominaj, że musiał zostawić kolekcję we Francji, co wcale nie przeszkadzało mu zacząć zbierać od nowa w Anglii. Jest zdeterminowany. Znowu zaczniesz od początku.

– Nie, Jack. – Tess pokręciła głową. – Jest na to za stary. Dokonał wyboru. Ostatnie lata przed śmiercią postanowił spędzić na przyglądaniu się skarbowi albo żyjąc z dala stąd, razem z Jacques'em. Mówiłam ci, że kocha go

całym sercem. Czasem odnoszę wrażenie, że nasz syn stał się jego nową obsesją.

Słyszając te słowa, Jack zacisnął pięści. Zamyślona Tess nieobecny wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń.

– Tatko nie będzie żył wiecznie i dobrze o tym wie – westchnęła w końcu. – Zapewne nie zobaczy, jak Jacques dorasta. Co zatem miał zrobić...

– Znaleźć sposób na ściągnięcie mnie, jak mniemam. – Jack usiłował myśleć jak niezwykle inteligentny, lecz pozbawiony sumienia człowiek, którego niegdyś podziwiał i naśladował. – Musi usunąć Cygana bez względu na wszystko, ja zaś mam być narzędziem. Z jakiego jeszcze powodu wybrał właśnie mnie? Na pewno nie po to, abym spojrział na Jacques'a, a następnie wam go odebrał. Każdy człowiek o zdrowych zmysłach byłby w stanie to przewidzieć.

– Tatko jest przy zdrowych zmysłach.

Jack popatrzył na nią uważnie.

– Tak, to prawda. Albo jest tak obłąkany, że wydaje się zupełnie normalny. – Chwycił Tess za ramię. – Chodź.

Na wpół ciągnął ją po trawie, dopóki nie uniosła sukni i nie zaczęła biec.

– Co? O czym myślisz? Chodzi o Jacques'a? Jack! Odpowiadaj! Czy chodzi o Jacques'a?

Jack pomógł jej wsiąść do powozu, a następnie nakazał woźnicy czym prędzej wrócić na Grosvenor Square.

– Co koń wyskoczy, człowieku! – rozkazał. – Jeśli ktoś stanie ci na drodze, przejeźdź go! – Wskoczył do środka, kiedy woźnica strzelił z bata nad głowami koni.

– O mój Boże, Jack! Zabrał go – lamentowała Tess. – Tego się obawiasz, prawda? Zabrał Jacques'a!

Jack uściskał jej dłonie.

– A czy istnieje lepszy sposób na zapewnienie sobie nietykalności i mojej współpracy? Niby jak inaczej mielibyśmy znaleźć dziecko? Ale Puck mu tego nie ułatwi! Ani jemu, ani też temu, kogo Sin–jon zatrudnił. Chryste!  
– Zamilkł, przerażony nagłą myślą. – Czyżbym wysłał brata na pewną śmierć?

Tess siedziała pochylona przez całą drogę na Grosvenor Square, trzymając się skórzanych uchwytów, podczas gdy woźnica lawirował między licznymi powozami i wózkami na ulicach Londynu, całkiem jakby mogła dzięki temu przyspieszyć jazdę.

Jacques, Jacques, Jacques... Każde uderzenie końskich kopyt o bruk zdawało się rozbrzmiewać jego imieniem.

Jack się nie mylił, tego była pewna, choć pragnęła się spierać. Minęły cztery godziny, więc nie mieli szansy dogonić powozu, w którym jechał Jacques. Czy ojciec postanowił poczekać, aż znajdą się na głębokiej wsi? Czy Puck potrafił walczyć? Wydawał się miły, ale sprawiał wrażenie lekkoducha.

Jack przez całą dłużącą się drogę na Grosvenor Square milczał. Domyślała się, co planował – chciał szybko zmienić strój na komplet do konnej jazdy, osiodłać wierzchowce i ruszyć w pogoń za powozem. Czuła, że nie będzie się z nią spierał, kiedy oznajmi, że będzie mu towarzyszyła. Żaden mężczyzna nie był aż takim głupcem. Potrafiła jeździć wierzchem lepiej od większości z nich. Doszła do wniosku, że włoży bryczesy, a włosy ukryje pod kapeluszem, aby nie przyciągać uwagi. Z tego też powodu pojedzie w męskim siodle.

Oboje stawiają czoło temu, co ich czekało.

– Chodź – oznajmił, gdy powóz w końcu przystanął przed posiadłością, i otworzył drzwi.

Błyskawicznie dobiegli do progu domu, gdzie czekał już na nich Wadsworth.

– Widzę, że jaśnie pan już się domyślił, w czym rzecz – powitał ich kamerdyner. – Bardzo dobrze. Panicz Puck już czeka w salonie, medyk właśnie wyszedł. Panicz Jock jest razem z nim i raczy się przekąską.

Tess położyła obie dłonie na ustach, żeby wstrzymać szloch, z którym dotąd walczyła, i bez słowa pobiegła po schodach. Jack ruszył za nią.

– Jacques! – wykrzyknęła, wpadając do salonu. – *Mon petit! Viens à votre maman!*

– *Maman!* – zawołało dziecko radośnie, odstawiając talerzyk ze słodyczami, po czym ześliznęło się z kanapy i padło prosto w ramiona Tess. – Stryjek Puck bawił się ze mną w grę!

Wstała z synem w objęciach i popatrzyła na szezlong, na którym odpoczywał Puck Blackthorn. Jego prawa ręka wisiała na temblaku z czarnej chusty, a frak leżał obok, pocięty i zaplamiony krwią, która znajdowała się także na jego koszuli i skórzanych spodniach.

– O mój Boże... – jęknęła Tess, a Jack podszedł do brata.

– Napadli cię – powiedział cicho.

– Słuszna uwaga, braciszku – odparł Puck pogodnie, po czym z trudem usiadł i opuścił stopy na podłogę. – Pytanie tylko, dlaczego nie raczyłeś mnie wtajemniczyć, skoro przeczuwałeś, co się szykuje. Moim zdaniem kiepsko to o tobie świadczy...

Tess zauważyła, że Jack wyraźnie się odprężył i nawet uśmiechnął, co ją zupełnie zaskoczyło.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłeś im zbyt wielkiej krzywdy – powiedział.

– Było ich tylko pięciu. Też mi przeciwnicy. Kto chce cię dopaść, Jack?

Mam na myśli tym razem, oczywiście. Jak mniemam, zdarza ci się to niemal

codziennie.

– Chodziło im o Jacques’a, nie o mnie – wyjaśnił mu Jack.

Machnął ręką, żeby Puck się posunął, po czym usiadł obok niego. Przez chwilę wpatrywał się w zniszczony frak, a następnie odłożył go na bok. Tess zauważyła, że Jack wydaje się bardzo zmęczony.

Puck zerknął na chłopca, nadal w objęciach matki, w których zapewne najchętniej trzymałaby go jeszcze wiele godzin.

– O twojego syna? To nie przyszło mi do głowy. Na litość boską, Jack...  
Dlaczego?

– Potem o tym porozmawiamy. Mów, co się stało.

– Strasznie się szarogęsisz, bracie. Nawet nie zaproponujesz mi kieliszka wina? Niezbyt ci wychodzi okazywanie wdzięczności.

– Później cię przeproszę – warknął Jack. – Teraz opowiadaj.

Emilie, która dotąd siedziała niezauważona w kącie pomieszczenia, przysłała zabrać Jacques’a z objęć Tess. Jej surowa mina jasno dała Tess do zrozumienia, że piastunka nie zamierza tolerować żadnych hysterii. Emilie pochyliła się i powiedziała cicho po francusku:

– Ładny blondyn był bardzo dzielny, ale powinien wypić laudanum, które zalecił doktor. Taki ból to nie przelewki. A teraz poproszę chłopca, nim panienska zaściska go na śmierć.

Tess niechętnie podała jej Jacques’a i odprowadziła oboje wzrokiem. W korytarzu stał Wadsworth z taką miną, że najlepiej uzbrojeni ludzie rzuciliby broń i uciekli gdzie pieprz rośnie.

Popatrzyła na Jacka, gdy wręczał bratu kieliszek.

– Emilie mówi, że lekarz zlecił Puckowi laudanum, jak również odpoczynek w łóżku – powiedziała.

Puck chwycił kieliszek z winem i wypił zawartość w dwóch łykach.



– A Puck mówi, że z doktora jest taki lekarz, jak z koziego zadu trąba, za przeproszeniem, Tess – oświadczył. – Wino to o niebo lepszy medykament. Poza tym kazano mi mówić, a nie mogę tego robić, chrapiąc na górze, prawda?

– Co ci się stało w rękę? – spytał Jack.

Napełnił pusty kieliszek i tym razem sam wypił wino.

– Zwykle zadrapanie. Poszło trochę krwi, ale kilka szwów założonych przez naszego pocziwego łapiducha wystarczyło, żeby załatwić sprawę. Pierwszorządna robota, doprawdy, pierwszorządna. To może zacznę od samego początku?

– Piłeś już wcześniej, prawda? – spytał Jack i usiadł na niskim stołku. – I to całkiem sporo.

Puck z uśmiechem mrugnął do Tess.

– Jego inteligencja jest wręcz porażająca, prawda? Oczywiście, że piłem wino, Jack. A tobie nikt nigdy nie zszywał skóry przedramienia tak, jakby to była cholerna skarpetka do zacerowania? Raz jeszcze proszę o wybaczenie za moją wulgarność, Tess. Regina chyba wyrwałaby mi wątrobę za to, że tak się wyrażam. Właściwie to i tak wyrwie mi wątrobę. Obiecałem jej ostatnim razem, że nigdy w życiu nie zrobię już nic choćby odrobinę bohaterskiego.

– Ale byłeś bohaterem, prawda, Puck? – Tess zapragnęła go przytulić. Najwyraźniej miał w sobie pokłady wspaniałości, których dotąd nie zauważyła... albo które skrzętnie skrywał. – Powiesz mi, proszę, co się stało? Jack może słuchać, ale nie pozwolę mu zadawać żadnych pytań.

Puck uśmiechnął się zawadiacko. Jego blond włosy wydostały się ze wstążki i opadły mu na twarz, przez co bardziej przypominał chłopca niż dorosłego mężczyznę. Żartobliwie pogroził Tess palcem i popatrzył na Jacka.

– Podoba mi się ta dziewczyna – oznajmił. – Za dobra dla ciebie, i to o

wiele. Mówiłem już? Pewnie tak, bo to oczywiste, prawda?

– Nieważne, Puck. – Jack wstał. – Pomogę ci iść na górę.

– Nie, nie. Chcę mówić, chociaż nie mam zbyt wiele do powiedzenia. – Skrzywił się, a następnie pokiwał głową, jakby podjął jakąś decyzję. – No cóż, zastanówmy się. Nie minęła nawet godzina, odkąd wyjechaliśmy z Londynu, a na drodze był spory ruch, więc atak zaskoczył mnie bardziej, niż można by się spodziewać. Sprytne, nie uważasz? Pięciu jeźdźców, którzy pojawili się ni stąd, ni zowąd. Jeden chwycił prowadzącego konia w zaprzęgu, dwóch napadło na naszych dwóch ludzi z eskorty, a dwaj pojawili się po obu stronach powozu, wymachując pistoletami i krzycząc. Wiesz, jak to jest. Cała ta maskarada, żeby przerazić człowieka do szpiku kości. Tak czy owak, zupełnie nie rozumiałem, co krzyczą, ale było oczywiste, że żądają otwarcia im drzwi, chociaż powóz nadal jechał. Rzecz jasna, odmówiłem.

Tess próbowała to sobie wyobrazić. Napastnicy spowolnili powóz na tyle, by Puck mógł przekazać im Jacques'a, a następnie zamierzali zniknąć z nim jak najszybciej.

Jak jej ojciec mógł narazić własnego wnuka na takie niebezpieczeństwo?

– Jacques mówił, że się bawiliście– wtrąciła.

– To prawda. Wystarczyło tylko podnieść siedzenie po mojej stronie powozu, nim jeszcze jeźdźcy się z nami zrównali, i wrzucić dziecko do schowka. Powiedziałem mu, że to taka zabawa, a potem kazałem Emilie zamienić się ze mną miejscami i usiąść na Jacques'u. Chłopak jest naprawdę dzielny, Tess. W ogóle nie płakał, mimo że w środku musiało być ciemno choć oko wykol.

Raz jeszcze powtórzyła sobie, że powinna zachować spokój.

– Nie będę zanudzał was szczegółami. Powiem tylko, że jeździec po

mojej stronie zaczął się niecierpliwić i sam postanowił otworzyć drzwi. Nie mając pojęcia, że jestem leworęczny, zaatakował mnie nożem od prawej strony, a ja odwdzieczyłem mu się tym samym od lewej. Pozwolę sobie dodać, że mnie poszło lepiej niż jemu. Emilie, niech Bóg błogosławi jej francuskie serce, użyła jednego z drutów, by przekonać dżentelmena po swojej stronie powozu do wycofania się z dzikim rykiem. Dałem jej za to soczystego buziaka, o czym też chyba będę musiał napomknąć Reginie. Tak czy owak, gdy drzwi już się otworzyły, raczej nieelegancko wdrapałem się na dach powozu, sięgnąłem po garłacz, z którego nie zdążył skorzystać stangret, bo ciągle usiłował zapanować nad zaprzęgiem, położyłem trupem łotra, który trzymał naszego konia za uzdę, i to tyle. Tak, teraz uważam, że naprawdę powinienem iść na górę i odpocząć, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Aha, jesteś mi winien nowy frak i koszulę, a także skórzane spodnie, jak się nad tym zastanowić. Czy kazać krawcowi przysłać ci rachunek? Tak, chyba tak właśnie uczynię.

Puck wstał i natychmiast się zachwiał. Wydawał się niepokojąco blady. Klnąc pod nosem, Jack wyciągnął ręce, by pochwycić brata, nim ten upadnie.

– Wadsworth!

Kamerdyner wyrósł jak spod ziemi i razem z Jackiem zdołali po części wyprowadzić, po części wywlec Pucka, który beztrósco nucił pod nosem fragmenty rubasznej francuskiej przyśpiewki.

Tess pozostała samotnie w salonie, mocno zaciskając pięści i usiłując zapanować nad uczuciami, które w sobie dusiła. Następnie powoli ruszyła po schodach na górę, a z jej oczu popłynęły łzy.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jack oparł się o ceglany mur w alejce i ćmiąc cygaro, uważnie patrzył na Tess. Była bardzo zdenerwowana, na skraju załamania. W ostatnich dniach wszystko, w co wierzyła, okazało się jednym wielkim kłamstwem. Straciła złudzenia, a wczoraj omal nie straciła również syna

Od powrotu na Grosvenor Square oraz rozmowy z rannym i pijanym Puckiem Tess i Jack zamienili ze sobą zaledwie parę słów. Gdy w końcu nietrzeźwy Puck trafił do łóżka, Tess zdążyła już zniknąć w sypialni i zeszła dopiero rankiem. W nocy Jack pukał do niej, prosząc, aby go wpuściła, lecz gdy drzwi uchyliły się lekko, wyjrzała zza nich bojowo usposobiona Emilie. Pokręciła głową i kazała mu jak najszybciej zniknąć.

– *Puisque que vous vous occupez d'elle, monsieur, laissez lui à ses larmes.* Jeśli panu na niej zależy, proszę dać jej się wypłakać.

Tak właśnie zrobił. Zszedł do gabinetu, chwycił karafkę z brandy i powoli, miarowo opróżnił niemal całą jej zawartość, aż w końcu na kilka godzin zasnął przy biurku.

Tess podeszła do skraju budynku i raz jeszcze popatrzyła przez wąską uliczkę na Clevelend Row numer dziewięć. Następnie westchnęła i powróciła na wcześniej zajmowane miejsce, po przeciwnej stronie alejki, z dala od Jacka.

Wyglądała przepięknie, ale uznał, że nie będzie tracił czasu na informowanie jej o tym. Ubrana w strój brata, związała włosy i ukryła je pod niewielkim brązowym kapeluszem o szerokim rondzie. Co prawda, tylko głupiec mógłby pomylić ją z mężczyzną, Jack był jednak pewien, że nie wybrała stroju dla podkreślenia urody, tylko po to, by być w gotowości do

ewentualnej ucieczki.

Nie musiał pytać, czy ukryła nóż za cholewą– znał odpowiedź.

Nie minęło pół minuty od jej poprzedniego rekonesansu, a ponownie podeszła na skraj zaułka.

– Dickie da nam sygnał– przypomniał jej Jack.

– Tymczasem trzymajmy się na uboczu.

– Przecież wiem– odparła Tess z rozdrażnieniem. – Nie pojmuję jedynie, czemu ufasz tym dwóm.

– Nie ufam. Na dachu budynku, tuż nad nami, skrywa się jeszcze jeden człowiek. Jeśli ostrzeżenie Dickiego dotrze choćby i pięć sekund po sygnale od Jeremy'ego, będę wiedział, który z nich siedzi w kieszeni Sinjona, nieprawdaż?

Tess wzruszyła ramionami.

– Pomyślałeś o wszystkim– mruknęła.

– Nie o wszystkim, Tess – odparł, przypomniawszy sobie o Jacques'u. Musieli o tym porozmawiać, im szybciej, tym lepiej. – Musiałbym upijać się przez tydzień, żeby w pełni ogarnąć to, co wczoraj próbował zrobić Sinjon.

Tess skinęła głową.

– Nie wiem, czy chcę stanąć z nim do konfrontacji, czy też byłoby lepiej, gdybym nigdy więcej go nie ujrzała – oświadczyła cicho. – Czy można nienawidzić własnego ojca? – Zacisnęła ręce w pięści.

– Nie rozumiem, dlaczego żyłam wśród takiego zła i zupełnie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ba, wręcz podziwiałam rzekomy geniusz ojca i dostrzegałam jego nieustanny ból po śmierci mojej matki. Wmawiał mi, że to wszystko dla dobra René i mojego własnego. Dla Jacques'a.

– Może w to wierzył– zasugerował Jack. – Mnie też zwiódł, Tess. Nie traćmy czasu na żale i nie dopuśćmy do tego, by jego czyny popsuły nam

szyki. Pozostaje nam tylko grać w tę grę aż do samego końca. Nie zapominaj, że musiał zmienić plany dzięki Puckowi... i Emilie. Chciał bezpiecznie ukryć Jacques'a, byśmy przystali na współpracę. Zastanawiam się, co by było w liście, który zapewne pojawiłby się na Grosvenor Square wczorajszego wieczoru. *Chłopiec za Cygana i moją bezpieczną podróż do...* No cóż, tego się nigdy nie dowiemy, prawda?

Tess uniosła głowę i popatrzyła Jackowi w oczy.

– Chłopiec? Tak by nie napisał. Mówiłam ci, kocha Jacques'a. Kiedy mój syn spał, ojciec stawał przy jego łóżeczku i wpatrywał się w niego całymi godzinami. Jacques też uwielbiał dziadka, poszedłby za nim wszędzie... O mój Boże...

Naprawdę nie chciał jej tego robić, ale miał całą noc na rozmyślania. Musiał myśleć i czuć jak jego dawny mistrz.

– Zastanawiał się wtedy, jak najskuteczniej wykorzystać dziecko w swoich planach – powiedział.

– Zamierzał udać się z nim do Londynu i zmusić mnie do pomocy w unicestwieniu Cygana...

Tess otarła oczy wierzchem dłoni.

– Przestań, Jack. Proszę, przestań.

– Myle się?

Pokręciła głową.

– Chcę, żebyś przestał, bo pewnie masz rację – odparła. – Człowiek, który przez dwa lata potrafił symulować niedołęźność i upośledzenie, z pewnością mógł też przez trzy lata udawać miłość do wnuka.

– Jeszcze jedno, Tess. – Jack oderwał się od muru i podszedł do niej. – Chodzi o Jeremy ego, mojego człowieka na dachu. Wczoraj wieczorem powrócił z krótkiej wizyty w posiadłości. Rozmawiałem z nim z samego rana,

nim się obudziłaś. Pewnie nie muszę ci mówić, co mi przekazał.

Tess przełknęła głośno i na chwilę opuściła powieki, po czym ponownie pokręciła głową.

– Nie, nie musisz mi mówić. Wszystko zniknęło, prawda? Eksponaty. Zabrał maskę Izydy na wszelki wypadek, gdyby wszystko inne zawiodło. Nigdy nie chciał zostawiać kolekcji, zamierzał zrezygnować tylko z Jacques’a i ze mnie. I musiał zapewnić sobie sposobność do wywiezienia zbiorów. Znalazł sobie nowego Cygana, tak?

– Nie, w to akurat wątpię. – Jack długo zastanawiał się nad tą możliwością, ale ją odrzucił. – Korzysta zapewne z najemników. Dziś dwóch mniej niż wczoraj za sprawą Pucka, ale to wszystko. Ciekawy jestem, jak zamierza się ich pozbyć, gdy przestaną być mu potrzebni, ale nie jest to aż tak interesujące, żebym się tym przejmował. Cztery lata, Tess. Miał cztery lata na planowanie. To, że tak wiele się domyśliliśmy w zaledwie kilka dni, doskonale świadczy o jego talencie pedagogicznym, ale to również przyczyni się do jego porażki. My, Tess – ty i ja, i nasza wspólna praca. Wyszkolił nas, a potem nie docenił. To najpoważniejsza wada Sinjona – jego niezachwiana wiara we własny geniusz.

Słyszac cichy gwizd, oboje odwrócili głowy.

– To Dickie. O, i Jeremy, tuż za nim. – Jack wyciągnął zegarek i sprawdził, która godzina. Zbliżało się wpół do dwunastej, ostatecznym terminem było południe. Zastanawiał się, ilu kupców przybędzie.

– Ruszamy?

Sygnal miał zabrzmieć w chwili nadejścia pierwszej osoby, zapewne posłańca z deklaracją chęci obejrzenia zbioru na sprzedaż. Dickie i Will obserwowali dostawę listów, a Jack i Tess mieli czekać na to, co się wydarzy w samo południe.



– Jest Jeremy – mruknął Jack, gdy jego człowiek zjawił się pod numerem dziewiątym niedługo po odejściu pierwszego posłańca i wsunął pismo do metalowej skrzynki przybitej do drzwi. – Stosowny z niego pacholek nababa, prawda?

– Czy słudzy nababów noszą turbany? – zapytała Tess, patrząc na plecy odchodzącego agenta.

– Nie mam pojęcia. Obawiam się, że moja edukacja tego nie obejmowała.

– Tak czy owak, chyba nie są tak wysocy – mruknęła cicho. – Myślisz, że tatko jest gdzieś w pobliżu i obserwuje?

Pojawił się następny posłaniec i jeszcze jeden, więc w sumie było ich czterech. Nie mieli pojęcia, ile podań trafiło do skrzynki wcześniej – niektórzy potencjalni kupcy byli zapewne zbyt niecierpliwi, aby zastosować się do zaleceń Sinjona i pozostawić deklaracje dzisiaj w południe.

– A ty jak myślisz?

– Nie, chyba nie, to zanadto ryzykowne. O, jeszcze jeden właśnie wysiada z dorożki. To na pewno kostium, chyba że ktoś byłby na tyle głupi, aby wysłać lokaja w pełnej liberii. Rozpoznajesz ją, Jack? Sądziłam, że cały pomysł zasadza się na tym, aby kupiec i sprzedawca zachowali anonimowość. Jack, co się dzieje?

Przyglądał się, jak lokaj wsuwa złożoną kartkę do metalowej skrzynki, a następnie wsiada z powrotem do dorożki i odjeżdża. Był wysoki i dobrze umięśniony, rude włosy przewiązał czarną wstążką i nosił krótką szarą pelerynę, przypominającą strój dawnych francuskich muszkieterów króla Ludwika. Do tego miał kapelusz nisko opuszczony na oczy.

Wszystko to trwało może pięć sekund, od początku do końca. Uwinąwszy się błyskawicznie, lokaj odjechał.

– Nic – orzekł Jack, nie dzieląc się z Tess swoimi spostrzeżeniami. I tak było za późno, by jechać za dorożką. Musieli tu tkwić aż do południa. – Chodzi o to, że mamy już ich z pół tuzina, licząc z naszym własnym nababem oraz zapewne co najmniej jednym wysłannikiem Cygana. Jeśli Sinjon zaprosi ich wszystkich, będzie nam trudniej sobie poradzić i nie narazić niewinnych ludzi na niebezpieczeństwo.

– Sam mówiłeś, że nie ma niewinnych ludzi – przypomniała mu Tess z westchnieniem.

Dokładnie w południe zabiły kościelne dzwony. Teraz należało tylko czekać i patrzeć, co się stanie. Czy drzwi się otworzą i ktoś szybko sięgnie po zawartość skrzynki? A może trzeba będzie czekać godzinę lub pięć, nim cokolwiek się wydarzy?

Nim przebrzmiało ostatnie uderzenie dzwonu, jakiś łobuziak, który nieopodal kopał kamyki, odwrócił się, podbiegł do drzwi, chwycił listy ze skrzynki, a następnie pognął na ulicę w chwili, gdy zatrzymała się na niej dorożka. Pasażer chwycił chłopca silnymi rękami i wciągnął do środka, a pojazd ruszył.

Natychmiast podążył za nim mały wiejski wóz kierowany przez Dickiego Carstairsa w przebraniu. Will Browning wyłonił się z cienia przy jednym z wejść do budynków i sprawnie wskoczył na kozła, zajmując miejsce obok towarzysza.

– „Lichy nawet wróbel nie padnie bez szczególnego dopuszczenia Opatrzności. Jeżeli się to stanie teraz, nie stanie się później, jeżeli się później nie stanie, stanie się teraz; jeżeli nie teraz, to musi się stać później; wszystko polega na tym, żeby być w pogotowiu”.

Tess popatrzyła na Jacka, jakby postradał zmysły.

– Cóż to za bełkot? – zapytała.

– Nic takiego. To tylko cytat z *Hamleta*. Widzisz, wszystko sprowadza się do tego, że najważniejsze jest wyczucie czasu. Jak na razie, Sinjon zaplanował to wspaniale, niczym sztukę. Odegramy teraz nasze role?

Nie miał zbyt wielkiej nadziei na to, że czegokolwiek się dowiedzą, podobnie jak nie spodziewał się, że Dickie i Will cokolwiek odkryją, siedząc dorożkę. Musieli jednak spróbować i wcielić się w aktorów tego spektaklu, tak jak tego oczekiwał Sinjon. Niestety, nie mieli wyboru.

Na szczęście Puck stworzył nieprzewidziane przez Sinjona komplikacje. Często zachowywał się nieprzewidywalnie, choć ludzie dostrzegali w nim uroczego i nieszkodliwego osobnika. Fakt, że Sinjon stracił dwóch pomagierów i nie zdołał porwać Jacques a, musiał go skłonić do modyfikacji planów.

– Pośpiesz się, moja droga, zwawo– powiedział chwilę później Jack i zasłonił ją przed wzrokiem przypadkowych przechodniów, gdy pochyliła się nad zamkiem drzwi pod numerem dziewiątym.

– Niegdyś byłaś w tym dobra.

– Nadal jestem – obruszyła się, próbując otworzyć zamek. – Zwykle nie muszę robić tego w asyście kogoś, kto jak stara praczka z magła marudzi mi nad uchem.

– Wybacz – mruknął, a potem wszedł za Tess do domu. Rzeczywiście nie była dobra, była wspaniała.

– Niewątpliwie zamek należał do tych pośledniejszych.

– Tak, niewątpliwie – odparła bez cienia wrogości.

Znaleźli się w niewielkim, ponurym holu. Nie było tu schodów, bowiem budynek dysponował osobnym wejściem do pokoiów na piętrze, więc natychmiast się zorientowali, że miejsce jest całkowicie puste, bez mebli i ludzi, jeśli nie liczyć kartki papieru...

– Do diaska!

– Co? – spytała Tess, wracając do holu. – Na litość... Przybił to do drzwi wejściowych?

– Nożem, który niewątpliwie pochodzi z jego kolekcji. Jakież to dramatyczne. – Jack wyjął z drewna stary, zdobiony szlachetnymi kamieniami sztylet i wsunął go do buta. – Idziemy.

– Nie chcesz teraz przeczytać?

– Tess, jesteśmy obserwowani. Ktoś miał nas na oku od chwili, gdy weszliśmy do budynku, a najpewniej jeszcze w zaułku. Pora na nas.

Skinęła głową i poczekała, aż Jack otworzy drzwi, rozejrzy się po ulicy i oknach budynków naprzeciwko, a następnie oboje wyszli na deszcz, który akurat zaczął padać.

– Czy mam pomachać? – zapytała dowcipnie Tess. – Czy też kusiłabym los?

– Powinniśmy się wydawać zagubieni i źli.

– To nie będzie zbyt trudne. – Tess oparła ręce na biodrach i spojrzała w niebo, jakby oczekując boskiej interwencji. – Dokładnie naprzeciwko nas ktoś stoi na dachu, Jack. Teraz się schował za kominem. Ma słaby refleks.

– Mówiłem ci, że Sinjon wynajął ludzi. Patrz, kto wraca, niewątpliwie po to, żeby nas poinformować o swym niepowodzeniu. Liczyłem na to, że już nas tu nie będzie, gdyby jednak wrócili. Zostań tu. Odwróć się tyłem, jeśli możesz, i pochyl głowę. – Wyszedł na ulicę gdy Dickie Carstairs zatrzymał konie. – I?

– Strata czasu – poinformował go Will Browning i postawił kołnierz płaszcza, gdyż deszcz rozpadał się już na dobre. – Chłopca wysadzono za ledwie przecnicę dalej, dorożka ledwie zwolniła. Mały odbiegł i tyle. Nie widzieliśmy powodu, żeby go śledzić. Woleliśmy jechać za dorożką.

– Tak jak się należało spodziewać. I?

– I nagle pojawiło się całe mnóstwo dorożek, Jack. Wyjeżdżały dosłownie zewsząd. Ktoś wynajął je niewątpliwie po to, by nas zmylić, ale Dickie zadziwił mnie obserwacją, że nasza dorożka ma jedno brązowe koło, więc zdołaliśmy nie stracić jej z oczu.

Jack postanowił nie wspominać, że brązowe koło nie było przypadkowe. On i Sinjon posłużyli się podobną sztuczką lata temu w Brukseli. Pewnie farba na kole jeszcze nie zdążyła obeschnąć.

– No dobrze, nie przeciągaj, Will. Dogoniliście tę z brązowym kołem, żeby się przekonać, że jest w niej...?

– Nikogo w niej nie było. – Dickie westchnął ciężko, gdy zsiadał z wozu, i potarł plecy. – Nie wiem jak, ale ten gość musiał przeskoczyć z jednej dorożki do drugiej, kiedy jechały obok siebie. Bardzo mi przykro, Jack.

– Niepotrzebnie, i tak trzeba było śledzić chłopca. Nadal miał przy sobie listy – odparł Jack krótko.

– No cóż, nie musimy się dziś spotykać, a właściwie w ogóle nie musimy się spotykać, póki Sinjon się nie odezwie. Będę was informował.

– Nic nie było w budynku? Żadnych dowodów na to, że markiz się tu zjawił? – Will dołączył do nich na chodniku, podczas gdy Dickie zbierał się do odejścia.

– Nie, nic. Bawi się z nami w kotka i myszkę, panowie, ale w końcu go dopadniemy. Dickie? Nie zapomniałeś o czymś?

Dickie rozejrzał się wokół, jakby to mogło odświeżyć mu pamięć.

– Nie, nie sędzę.

– Za tobą stoi wóz do połowy wypełniony kapustą – zauważył Jack.

Tess parsknęła śmiechem, po czym szybko zamaskowała to gwałtownym kaszlem.

– Ach, wóz. Nie jest mój, ja tylko go pożyczyłem. – Dickie spojrział na Willa. – Myślisz, że uda się nam wynająć jakąś dorożkę? Chętnie wrzuciłbym coś na ząb i popił mocnym trunkiem. Przydałby się też dach nad głową– dodał, poprawiając frak.

– Za chwileczkę, Dickie – odparł Will. – Jack? Ten sukinsyn robi z nas głupców. Nie podoba mi się to.

– Nie powinienes tak mówić, Will– mruknął Dickie, starając się nie poruszać ustami.

– Wszystko w porządku, Dickie. Wiem, o co chodzi Willowi. Ma rację. Sukinkot wciąż wodzi nas za nos, ale go dopadniemy, nawet jeśli stanie się tak dopiero, gdy on sam tego zechce.

– Niepokoi mnie, że mówisz tak, jakbyś podziwiał tego człowieka – powiedział cicho Will. – Może pora, byś przekazał dowodzenie w tej sprawie.

– Tobie, Will? – odparł Jack równie cicho, choć Dickie na wszelki wypadek odszedł dwa kroki dalej. – To sugerujesz?

– W rzeczy samej. Za bardzo się zaangażowałeś. Och, proszę mi wybaczyć moje maniery. Dzień dobry pani.

Jack zrobił krok w kierunku Willa, ale się zatrzymał.

– W porządku. Jasno dałeś do zrozumienia, o co ci chodzi– oświadczył.  
– Co proponujesz?

Will uśmiechnął się szeroko i całkiem przyjaźnie.

– Właśnie w tym sęk, Jack – westchnął. – Nie mam pojęcia, co zaproponować. Ta cała misja jest tak pogmatwana, że równie dobrze możemy czekać w dokach Dover, by pożegnać starego, gdy będzie odpływał tam, dokąd się wybiera, zabierając ze sobą rządowe tajemnice z ostatniego dwudziestolecia.

O ile jeszcze nie wypłynął, rzecz jasna. To wszystko może być tylko

wyrefinowaną zemstą na tobie. Być może chciał cię czymś zająć, jednocześnie przygotowując ucieczkę. Nie pomyślałeś o tym, Jack?

– A powinienem był?

Z twarzy Willa zniknął uśmiech.

– Ty sukinsynu. Dlatego widziałem Jeremy ego Hopkinsa, który kręcił się wokół nas, próbując nie dać się zauważyć? Kazałeś nas śledzić? Dlaczego? Co ty sobie myślisz?

– Nic, czego ty byś sobie nie pomyślał, jak mniemam. Sinjon kogoś zatrudnia, Will. Zastanów się nad tym. Ja się zastanawiam.

Odwrócił się do Tess i oboje odeszli. Po chwili zniknęli w pobliskiej alejce.

– Dlaczego to zrobiłeś? – wyszeptała w drodze do niewielkiego powozu, który czekał na nich dwie ulice dalej. – Niby co chciałeś im udowodnić? Teraz wiedzą, że masz coś do nich. A przynajmniej do jednego z nich.

Jack zaklął pod nosem.

– Wiem, wiem, masz rację – mruknął. – To było głupie. Dałem się porwać frustracji. Niech to diabli. Wracajmy na Grosvenor Square i zobaczmy, co Sinjon ma nam do przekazania.

Tess siedziała w peniarze na dywaniku przed kominkiem, czesząc włosy po kąpiel. Beatrice poszła do pokoju dziecięcego, gdyż wyglądało na to, że Emilie zrezygnowała z roli piastunki Jacques'a, żeby skakać nad Puckiem, któremu troska starszej pani chyba przypadła do gustu. Piastunka nawet się zaczerwieniła, a potem uciekła do pokoju chorego, gdy Tess uznała za stosowne pochwalić ją za opiekę.

Tess doszła do wniosku, że mężczyźni z rodu Blackthornów mają w sobie to nieuchwytnie coś, co przyciąga kobiety niezależnie od statusu i wie-



ku. Nie mogła doczekać się spotkania z najstarszym Beau.

Mżawka zamieniła się w ulewę, nim dotarli do powozu i, choć kąpiel nie była konieczna, Tess miała ochotę odprężyć się i uporządkować myśli przed przeczytaniem listu od ojca. Zabrała pismo Jackowi i teraz leżało ono na jej toalecie, wciąż zalakowane. Nie można go było dłużej ignorować i wiecznie uciekać przed prawdą.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Tess odwróciła się w chwili, gdy wszedł Jack, a za nim Wadsworth ze srebrną tacą, na której znajdował się imbryk, filiżanki oraz talerzyk lukrowanych ciastek. Kamerdyner położył tacę na stoliku, skłonił się i wyszedł.

– To bardzo miło z twojej strony, Jack, ale chyba nie zdołam nic zjeść – powiedziała. – Nawet ciastka.

Pomyślała, że w ciemnych bryczesach i białej koszuli prezentował się po prostu wspaniale. Był pięknym mężczyzną, ale przede wszystkim wydawał się kompetentny i solidny. Mogła na nim polegać.

Zwinęła włosy w mokry kok i z listem w dłoniach podeszła do stolika. Postanowiła, że od tej chwili nie będzie nazywała markiza ojcem, tylko Sinjonem.

– Wolałabym, abyś ty to przeczytał. – Wręczyła Jackowi kartkę i usiadła.

Oboje udawali, że nie widzą drżenia jej rąk. Jack wziął list i zajął miejsce naprzeciwko Tess, a ona odruchowo zaczęła pełnić obowiązki gospodyni. Nalała Jackowi herbatę, do której dodała trzy kostki cukru, bo lubił słodzić. Podobnie jak Jacques, przepadał za słodyczami. Dziwne, że przepadał i za nią...

Jack złamał pieczęć i rozpostarł kartkę.

– Nie ma żadnego powitania– oznajmił. – Wiedział, kto znajdzie list i

będzie czytał. Miejmy to już za sobą. Nie podoba mi się świadomość, że siedzi gdzieś w ukryciu i zaciera ręce, ciesząc się z naszej frustracji.

Tess siedziała z rękami na kolanach i wykręcała gładkie płótno serwety, rozmyślając o Sinjonie Fonteneau, markizie Fontaine. Postanowił grać aż do końca, a potem zamierzał przekonać świętego Piotra, by ten otworzył przed nim bramy niebios, a nie posłał prosto w piekielne kręgi.

*Moje gratulacje, że dotarłeś tak daleko. Niestety, jednocześnie uświadomiłem sobie ze smutkiem, że jesteś tylko pospolitą kopia mistrza. Liczyłem na coś lepszego, na większe wyzwanie. Nawet jeden drobny triumf nie stał się twoim udziałem, bowiem odesłałeś chłopca, nie zdając sobie sprawy z tego, co robisz. Poza tym lut szczęścia jest jedynie lutem i niczym ponadto. Szczęście to rzecz nietrwała, podobnie jak zła passa.*

*Zapewne mógłbyś spytać o to Cygana, a on chętnie opowiedziałby ci o swoim pobycie w nader nieprzyjemnym więzieniu w Hiszpanii, w którym spędził kilka lat. Trafił tam za sprawą moich wysiłków, a za sprawą pospolitej głupoty hiszpańskich władz stamtąd umknął. Liczyłem na szczęście i jego rychłą śmierć za kratkami, lecz takie właśnie jest życie. Fortuna kołem się toczy, a inteligentny człowiek musi zawczasu szykować się na zmiany.*

*Zatem w twoim wypadku, Jack, przygotowałem się starannie. Znalazłem cię, bowiem znaleźć pragnąłem. Przybyłeś do mnie, bowiem nie miałeś dokąd się udać, poza szafotem, który raczej i tak cię nie ominie. Okazałem ci wspaniałomyślność i teraz musisz spłacić dług wdzięczności. Stworzyłem cię takim, jakim jesteś dzisiaj.*

*Cygan to człowiek o wielu obliczach, a obecnie przyświeca mu tylko jeden cel – pragnie mnie zniszczyć. Miał długie lata na zastanawianie się, w którym miejscu popełnił pierwszy błąd. Bez wątplenia wyciągnął wniosek,*

*że zawarł pakt z diabłem. Rzecz w tym, że po śmierci René zgodził się zostawić mi moją kolekcję, dopóki nie odejdę z tego świata, a ja zgodziłem się go nie ściagać i dostarczać mu informacje przydatne do podtrzymania lukratywnych kontaktów z podwładnymi Bonapartego. Takie oto było pogodne i życzliwe rozwiązanie naszego drobnego konfliktu. Byliśmy sobie równi, Cygan i ja, umysłem i sercem, a przynajmniej on tak sądził. Uwierzył mi i żył w przekonaniu, że któregoś dnia moja kolekcja trafi w jego ręce.*

*Wojny jednak mają swój kres, wyniesieni na piedestał imperatorzy są z niego zrzucani, a własność dawnego mistrza staje się coraz większą pokusą. Nasz przyjaciel Cygan nie zdawał sobie z tego sprawy, bowiem głupcy często zaprzeczają oczywistościom.*

*Cieszyłem się swoją kolekcją, Cygan zaś, zbrojny w to, co uważał za istotne informacje, za które Bonaparte będzie gotów słono zapłacić, wyruszył do Hiszpanii.*

*Mniemam, że już rozumiesz. W swej wspaniałomyślności uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć. Cygan wrócił i złość go zżera. Jest jednak głupcem, więc nie zaatakuje od razu, gdyż chce wpierw mnie zastraszyć. Każe mi cierpieć za lata, które spędził w Hiszpanii. To jego słabość, Jack. Kobra uderza, nie tylko kołysze zakapturzoną głową, licząc na wzbudzenie strachu.*

*Pomyśl jednak, Jack. Rozumuj tak jak Cygan. Cztery lata to szmat czasu. Dokąd mogła trafić kolekcja? Czy nadal jest w posiadłości, ukryta w sekretnym miejscu, czy też może została przeniesiona? On chce, bym żył, a ja pragnę jego śmierci.*

*Swój powrót obwieszcza amatorską kradzieżą w Londynie. Przyznam, że jego skłonność do melodramatu niezmiennie budzi mój niesmak. W odpowiedzi rzuciłem mu rękawicę jako pan St. John. Obaj wyruszyliśmy na*

*wojnę, co, a jakże, było emocjonujące po tylu latach próżniactwa i nudy, symulowanego niedołęstwa i udawanych uczuć. Jak jednak czerpać radość, Jack, ze zwycięstw nad głupcami?*

*Wobec tego kończę tę komedię i znikam. Zaczynam na nowo, bez Cygana, bez Liverpola i jemu podobnych. Bez zaszłości. Od dawna planowałem wyjazd z tej pełnej wilgoci wyspy. Każdy, kto byстрым umysłem na nowy początek zasłuży, mieć go będzie.*

*Czemuż wcześniej nie wyjechałem? Dlaczego nie zaszylem się gdzieś wraz z kolekcją? Na pewno znasz odpowiedź. Markiz Fontaine nie ucieka, tylko triumfalnie schodzi ze sceny, gdy sam tak postanowi.*

*Postanowiłem zrobić to teraz.*

*Cygan ma zginąć z twojej ręki. Zrób mi tę przysługę i użyj noża, który ci dziś powierzyłem. Nim wyda ostatnie tchnienie, rozpozna go w swojej piersi. Zrobiłem się poetycki w swym podeszłym wieku, przyznasz. Za tę przysługę ja, twój mistrz, ofiaruję ci to, co w swoim mniemaniu już masz, i wiele więcej, czyli coś, o czym nie wiesz. Ale by poznać szczegóły, musisz pomóc Cyganowi zejść z tego padołu, ja zaś muszę żyć.*

*Spotkamy się za dwa dni, o dziesiątej wieczorem, w miejscu, w którym głupiec nigdy nie spodziewałby się mnie zastać. Przyszykuj się, jak i ja się przygotowałem, i postaraj się pokazać z lepszej strony niż dotąd. Zaatakuj z cienia na słowa: „Wydaje się pan znajomy”. Proste, czyż nie? Proste zakończenie tak zawilej sprawy.*

*Niech ci ręka nie zadrży.*

*Sinjon.*

*PS. I jeszcze jedno, gdyż jestem dzisiaj nad wyraz wspaniałomyślnie usposobiony. Pytałeś mnie ongiś o ostatnie słowa René. Przeklął mnie, Jack, pewnie tak, jak ty przeklinasz mnie teraz. Cóż za ironia. Raz w życiu*

*zachował się jak mężczyzna i zaraz potem wyzionął ducha... ”*

Jack położył gęsto zapisaną kartkę na stole i odepchnął ją od siebie, jakby sama jej obecność go obrażała.

– Głupiec, amator, pospolity, melodramat. Wszyscy jesteśmy do niczego, prawda? Wszyscy poza nim. Wielki mistrz Sinjon.

Tess pośpiesznie osuszyła oczy chusteczką. Była wściekła.

– Chłopiec. Nawet nie zadał sobie trudu, by napisać imię Jacques’a. A ja jestem tylko głupią zawalidrogą. Głupią po wielokroć...

– Ale z tym koniec. Koniec. – Jack jeszcze raz podniósł list. – W porządku – mruknął szorstko.

– Przeanalizujmy to. Możemy sobie darować jego nieszczerzy komplement.

– Zawsze jest jakiś haczyk. Dobry, ale nie dorasta do pięt mistrzowi. – Tess sięgnęła po filiżankę. Postanowiła, że zachowa spokój i nie podda się emocjom. Czekano ją dużo pracy, a przecież nauczono ją koncentrować się na pracy i nie rozpraszać. – Po tym wszystkim chyba mamy podziwiać geniusz Sinjona za to, że przechytrył Cygana i odesłał go do Hiszpanii, a nie zwracać uwagi na to, że ten plan tylko częściowo się powiódł, skoro Cygan żyje.

Jack skinął głową.

– Łut szczęścia szybko przemija, podobnie jak zła passa, a on zawsze jest przygotowany na każdą ewentualność. Potrafi przekuć w triumf nawet własne niepowodzenia. W każdym razie Cygan wrócił i nawet ogłosił swój powrót, zostawiając wizytówkę na miejscu kradzieży w Londynie. Wyzwał Sinjona na pojedynek.

– Nie może go ot tak po prostu zabić. Nie wie, gdzie kryją się sekretne pomieszczenia, a jeśli wie, nie ma pewności, czy Sinjon nie przeniósł części zbiorów. Próbuje wywabić go z kryjówki i pojmać, a potem skłonić, by

zdradził, gdzie trzyma skarby. Wydaje mi się, że najbardziej skutecznym sposobem na to byłoby zjawienie się w posiadłości i przystawienie pistoletu do głowy Sinjona, prawda? Po cóż więc te gierki?

– Nie zapominaj, że Cygan ma skłonność do melodramatyzmu. Powinniśmy o tym pamiętać, bo przecież musimy się z nim zmierzyć. Co jeszcze? Ach, no właśnie. „Cygan to człowiek o wielu obliczach”. W porządku. Czyli mamy się spodziewać przebrania. To mnie nie dziwi. – Przypatrywał się listowi. – To może być ważniejsze. „Od dawna planowałem wyjazd z tej pełnej wilgoci wyspy”. Od jak dawna, Tess? Od jak dawna planował to triumfalne odejście w blasku chwały? Pewnie od lat. Niewykluczone, że na wiele lat, zanim on i Cygan się rozstali.

Tess ponownie przytaknęła. Pragnęła, by Jack zamilkł, lecz w jej głowie zakiełkowała pewna myśl.

– Co napisał o tobie?

– Poza tym, że mnie stworzył i wyszkolił? Zamierza mnie nagrodzić, pamiętasz? „Za tę przysługę ja, twój mistrz, ofiaruję ci to, co w swoim mniemaniu już masz i wiele więcej, o czym nie wiesz”. Jak zwykle, niejasne i enigmatyczne.

– Niekoniecznie. – Jej myśl przybierała coraz konkretniejsze kształty. – W tej pierwszej części na pewno chodzi o Jacques’a i mnie. To pogróżka.

– Niech to diabli. – Jack zmarszczył brwi. – Masz słusność. Pewnie jest zdania, że raz jeszcze możesz się obrócić przeciwko mnie. Mogłabyś to zrobić, Tess?

– Próbował porwać mojego syna! – wybuchnęła i uderzyła pięścią w blat z taką mocą, że aż zagrzechotały filiżanki. – Nieważne, co wymyśli, aby zabrzmiało to wiarygodnie. Nigdy mu nie wybaczę, nigdy. – Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. – On nie rozumie, Jack, bo nigdy nie kochał



ani René, ani mnie. Nigdy nie kochał nikogo, tylko przedmioty i siebie. To my zdecydujemy o tym, co zrobimy. Sinjon nic już dla mnie nie znaczy i nie ma nade mną mocy.

– Dobrze – powiedział Jack cicho. – W takim razie musimy coś postanowić, gdyż najwyraźniej jeszcze nie podjęliśmy decyzji.

– Jack...

– Nie, nie teraz, Tess – przerwał jej. – W każdym innym wypadku wykorzystałbym swoją przewagę, ale nie mogę ci tego zrobić. Nawet dla Jacques'a.

– Nie chodzi o to, że ciebie...

– Że mnie nienawidzisz? – dokończył za nią ze smutnym uśmiechem. – Nie, Tess, nie sądzę, byś mnie nienawidziła. Nie wierzę jednak, byś była świadoma, co w tej chwili czujesz. Załatwmy tę sprawę i zabierzmy Jacques'a do Blackthorn. Zobaczymy, co będzie później. Albo i nie.

– Jesteś piekielnie arogancki, Jack. – Uśmiechnęła się.

– Tak, wiem. Sinjon uznałby to za wadę w każdym, tylko nie w sobie. Chwilowo jednak powróćmy do bardziej palących spraw. Chodzi o miejsce spotkania, tam, gdzie mam zlikwidować wroga mojego wroga.

– Nie, jeszcze nie. – Uniosła rękę. – Wiem, że kryje się w tym coś więcej. Chodzi o to, co Sinjon daje ci do zrozumienia w liście. To musi coś znaczyć. Czasem wydaje mi się, że Sinjon szafuje słowami, ale w rzeczywistości tak nie jest. Każde z nich ma ukryty sens.

– Liczyłem na to, że tego nie zauważysz. – Podał jej kartkę. – Czy to haczyk? Przecież kończy list przypomnieniem, że niczego się nie dowiem, jeśli on zginie.

Tess raz jeszcze przeczytała ten wers:.. i wiele więcej, czyli coś, o czym nie wiesz". W końcu zrozumiała.



– Wróć do swoich początków z Sinjonem, Jack. Mówiłeś mi wszystko o sobie, a on słuchał, prawda? to uważnie, przez co uwierzyłeś, że to, co masz do powiedzenia, jest interesujące i ważne. Otworzyłeś się przed tym zupełnie nieznanym człowiekiem, który wyperswadował ci kradzież w zaułku. A przecież w ogóle nie powinien był tam się znaleźć. Mógł z łatwością pokonać pijaka, nawet takiego, który przystawiał mu pistolet do piersi. Zawsze wydawało mi się to podejrzane, Jack, i dalej tak jest. Gdzieś tutaj... – Raz jeszcze przeczytała list. – Zaczęłam o tym myśleć... O, tu: „W twoim wypadku, Jack, przygotowałem się starannie. Znalazłem cię, bowiem znaleźć pragnąłem... Stworzyłem cię takim, jakim jesteś dzisiaj”. – Odłożyła kartkę. – Jack? Jack, nie patrz na mnie w ten sposób. Nie możesz zaprzeczać temu, co napisał – odnalazł cię, gdyż cię szukał. Znalazł cię, a następnie stworzył takim, jakim cię potrzebował. Jest zawsze przygotowany. Sinjon nie planuje ruchów na szachownicy tak jak my, maluczcy. Sam buduje szachownicę, nim jeszcze przystąpi do rozgrywki. Nigdy nie daje się zapędzić w róg ani zaszachować. Zawsze ma gotowy następny ruch.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Tess? Poza tym, że jestem łatwowierny?

Spoglądała na niego w milczeniu.

– Przecież wiesz, co chcę powiedzieć – odparła. – Sinjon wie, kim jesteś, prawda? Wiedział to już tamtej, pierwszej nocy. Zawsze byłeś tylko pionkiem na jego szachownicy, jak my wszyscy.

Jack wstał z krzesła.

– Niech go diabli porwą – powiedział, a następnie wyciągnął rękę i zmiotł na podłogę wszystko, co stało na blacie.

Tess patrzyła, jak wychodził. Tym razem nie wytknęła mu, że zawsze ucieka od emocji, jakby uważał, że go nie dogonią. Wiedziała, że wróci.

Przekonała się o tym już wcześniej, więc teraz postanowiła dać mu czas na rozprawienie się z własnymi demonami.

Pochyliła się i raz jeszcze wzięła do ręki list od Sinjona. Atrament zdążył się już rozmazać, zalany herbatą ze stołu. Przeczytała fragment dotyczący René. O dziwo, poczuła spokój, nie ból. Jej brat zginął jak mężczyzna. Przeklął ojca, którego zawsze się obawiał. Sinjon najwyraźniej nie potrafił o tym zapomnieć. Odpowiadał za jego śmierć. Jeśli istniał Bóg, Sinjon z pewnością słyszał w głowie klątwę syna.

Przypomniała sobie, że Sinjon kiedyś żałował, że jego córka nie urodziła się mężczyzną. Potem jednak zaczął ją uczyć i dobrze się wywiązał z tego zadania. Doskonale wiedziała, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy szukać jej ojca i gdzie zamierzał spotkać się z Cyganem.

– Mogłeś sobie pozwolić na enigmatyczny list, ponieważ wiedziałeś, że Jack i ja nie jesteśmy głupcami ani pospolitymi amatorami – powiedziała na głos, po czym rzuciła list do kominka i pociągnęła za sznur, by wezwać kogoś do sprzątnięcia. – To cię powinno niepokoić, markizie, i to poważnie.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przyszła do jego sypialni po północy. Jack schronił się tam na resztę dnia, by lizać rany, przeklinać własną głupotę i zastanawiać się, jak zdoła zapanować nad wściekłością podczas spotkania z Sinjonem. Zjawiała się akurat w chwili, gdy Jack postanowił iść do niej. Potrzebował jej bliskości, czuł, że bez niej nie zdoła zasnąć tej nocy.

Tess stanęła między nim a kominkiem, więc w blasku ognia Jack dobrze widział zarys jej ciała pod cienką bawełną peniuaru. Nie powiedziała ani słowa, a on nie zamierzał zakłócać ciszy. Peniuar osunął się z jej szczupłych ramion, a wtedy rozsypała tasiemki nocnej koszuli, nie spuszczając przy tym wzroku z Jacka. Pragnął wyciągnąć ku niej ramiona, ale pozostał na miejscu. Czekał i patrzył.

Skrzyżowała ręce, po czym ściągnęła przez głowę koszulę. Tkanina bezgłośnie wylądowała na podłodze, zapomniana i niepotrzebna. Tess wsunęła dłonie pod włosy i uniosła brodę, aby Jack zobaczył, jak jędrne i kształtne ma piersi. Blask ognia pieścił jej nagą skórę, rozjaśniał wąską talię i kuszące biodra oraz długie, zgrabne nogi. Tess zamarła, świadoma, że Jack oddycha coraz szybciej, z trudem panując nad pożądaniem. Po chwili opuściła ręce i potrząsnęła głową, a wtedy złote pasma jej włosów spłynęły na ramiona. Powoli uniosła kołdrę i przyjrzała się nagiemu Jackowi, który

– oparty na łokciu – czekał na to, co się miało za chwilę wydarzyć. Pragnął, by to ona zbliżyła się do niego i ofiarowała mu siebie, tak jak o tym marzył.

Ujęła w dłonie swoje pełne piersi i pogłaskała sutki kciukami. Jack nie spuszczał z niej wzroku wyobrażał sobie, że zaraz ją posiadzie, zapomni o

problemach i kłopotach...

Tylko ona umiała dotrzeć do jego duszy, pokonać wszystkie bariery. Wystarczyło, że po prostu była sobą.

– Tess...

Kiedy błagalnie wypowiedział jej imię, klękła przed nim. Drażniła się z nim, muskała jego męskość lekko i kusząco.

Bierz, mówiła bezgłośnie. Weź, czego pragniesz. Nie liczy się nic oprócz nas. Nie ma miejsca na złość ani na strach. Nie warto żałować. Bierz.

Sięgnął po to, czego pragnął. Jego wargi powędrowały ku jej ustom i złączyli się w głębokim pocałunku, kiedy wspólnie przekraczali niewidzialną barierę.

– Jesteś moja – wyszeptał. – Tylko moja...

Poczuł jej łzy na swoich policzkach, kiedy mieszały się z jego łzami, i mocno zacisnął powieki.

Pocałowała go, tym razem łagodniej, po czym wysliznęła się z łóża. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że Tess znów ma na sobie nocną koszulę oraz peniuar.

– Jutro bierzemy się do pracy – oznajmiła cicho, poprawiając kołdrę i całując go po raz ostatni.

Wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać.

– Tess... – szepnął.

– On nie może ci niczego odebrać, Jack, podobnie jak nie może ci ofiarować mnie i Jacques'a. Tylko ty możesz to zrobić. Sami się przekonamy, co jest między nami, najpierw musimy jednak wziąć się do pracy. Zgadzasz się ze mną?

Skinął głową, a Tess się uśmiechnęła.

– To mi się podoba – oznajmiła. – Dowodzenie. Czuję się zupełnie

inaczej niż zwykle.

Jack wyciągnął zza głowy poduszkę i rzucił nią w Tess, która wycofała się ze śmiechem. Po chwili został sam, ale wcale nie poczuł się samotny.

– Mój Boże, kocham tę kobietę– szepnął w pustym pokoju.

– Witaj, drogi bracie – oznajmił Jack, siadając na krześle przy dużym stole w porannym salonie.

– Tak, Wadsworth, poproszę o kawę – dodał na widok kamerdynera. – Tego mi właśnie trzeba. Dziękuję. Jak się miewasz, Puck?

– Poza tym, że zdumiewa mnie widok twojego radosnego oblicza? Ledwie cię rozpoznałem.

– Nie zawsze się srożę. – Jack zignorował rozbawione spojrzenia, które wymienili jego brat i Wadsworth. – Zdołasz podróżować?

– Chcesz mnie już wyrzucić? – spytał Puck, próbując posmarować dżemem tost, który natychmiast zsunął mu się z talerza. – Niech to diabli. Ach, dziękuję.

– Nie dziękuj – odparł Jack, który postanowił pomóc bratu. – Nie miałbyś ręki na temblaku, gdyby nie moja głupota.

– No cóż, co racja, to racja. Nie musisz przywdziewać pokutnego worka ani posypywać głowy popiołem, ale nie odmówiłbym plastra szynki, najlepiej pokrojonej na kawałeczki.

Wadsworth pośpieszył do pomocy i po chwili Jack miał przed sobą jeszcze jeden talerzyk, tym razem z grubym plastrem różowej szynki.

– Wy dwaj powinniście założyć wędrowną trupeę aktorską i dawać przedstawienia za pieniądze– oznajmił Jack. – Jeśli jednak liczysz na to, że będę cię karmił, to lepiej przyzwyczaj się do myśli o pustym żołądku.

– O, oto grymas, który wszyscy tak dobrze znamy. Wiedziałem, że radość zniknie z twojej twarzy w okamgnieniu. Szczerze mówiąc, nawet mnie

to cieszę. Uśmiechnięty „Black Jack” jest bardziej przerażający od zasepionego. Wadsworth, proponuję, byś opuścił to pomieszczenie, póki jeszcze możesz bezpiecznie odwrócić się plecami do tego osobnika.

W odpowiedzi kamerdyner skłonił się nisko i zniknął za drzwiami.

– Dobry człowiek z tego Wadswortha – zauważył Jack, krojąc szynkę dla Pucka. – Beau nie mógł dokonać lepszego wyboru.

– Znasz Beau. Zawsze najlepiej czuje się wśród tych, których lojalność jest nie do zakwestionowania. Wadsworthowi brakuje ogłady, ale nie ma bardziej oddanego służbie i obowiązkowego kamerdynera niż dawny starszy sierżant. Nigdy nie byłeś w wojsku, prawda? To znaczy w mundurze, bo pewnie gdzieś walczyłeś, zważywszy na charakter twojej pracy. Nadal zamierzasz służyć Koronie?

Jack uśmiechnął się, podsuwając bratu talerz.

– Zabrakło ci zwyczajowej subtelności, Puck. Ręka nadal ci dokucza?

– Dziękuję. Nie, samo udawanie jest bolesne. Chyba powinienem od razu przejść do sedna sprawy. Co teraz, Jack? Niewątpliwie czujesz potrzebę, by odnaleźć markiza, ale co z Koroną? Co z tobą?

Jack natychmiast nabrał czujności. Pytania Pucka niewątpliwie miały drugie dno.

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Ponieważ istnieje drobna różnica między pracą, czy też misją, a bezdennie głupią zemstą, która może wpłynąć na twoją czujność. Innymi słowy, martwię się o ciebie, Jack. Nie jestem pewien, czy ci wiadomo, że braciom wolno martwić się o siebie nawzajem.

– Twoja troska z pewnością by mnie wzruszyła, gdybyś mnie nie obraził. Wiem, co robię.

– Nie ułatwiasz sprawy, prawda? – Puck odłożył widelec. – Zamknąłeś

się w sobie. Dlaczego, Jack? Beau i ja mamy pewną teorię, która zaczyna się od naszej drogiej matki i na niej się kończy.

– Nie teraz, Puck. I tak mam sporo zmartwień na głowie. Poza tym to już zamierzchła przeszłość.

– Nie, jeśli nadal wpływa na chwilę obecną. Zechciej usiąść – dodał Puck, gdy Jack zaczął podnosić się z krzesła. – Tańczymy wokół ciebie na paluszkach i mamy już dosyć. Zgadza się, markiz to nie twój ojciec. Widzisz, powiedziałem to. I cóż takiego się stało? Jesteś naszym bratem i musimy trzymać się razem. Pora, byś wrócił do domu.

Jack usiadł ciężko i chwycił za poręcz krzesła.

– Powiedziała ci?

– Adelaide? – Przewrócił oczami. – Skąd. Beau i ja nie jesteśmy tacy głupi. Kiedy Beau skończył osiemnaście lat, podarowała mu taki sam pierścień jak tobie. Spytał wtedy, czy „B” to Blackthorn, czy bękart, a ona nie odpowiedziała. A raczej odpowiedziała na swój sposób – strzeliła go w twarz. Zniknąłeś dzień po swoich osiemnastych urodzinach. Jestem spostrzegawczy i bardzo nie podobało mi się to, jak postąpiła w stosunku do Beau, a jeszcze mniej to, jak potraktowała ciebie. Kiedy zatem sam skończyłem osiemnaście lat i wręczyła mi pierścień, podziękowałem jej ładnie, a Adelaide poklepała mnie po policzku i oznajmiła, że jestem jej ukochanym syneczkiem. Chyba wolałbym, żeby mnie spoliczkowała.

– Dałeś jej to, czego pragnęła.

– Tak – potwierdził Puck powoli. – A ja dzięki niej potrafię bez trudu przełknąć gorzką pigułkę. Wiesz, Jack, że jestem chyba najmilszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek miałeś okazję poznać?

– Jesteś w stanie oczarować każdego – przytaknął Jack. – Często miałem ochotę wytarzać cię w chlewiku.



Puck podniósł bułeczkę i żartobliwie cisnął nią w Jacka.

– Bogu dzięki, że wyjechałem do Paryża i w końcu dorosłem. Nie o to jednak chodzi. Zdajesz sobie sprawę, że Adelaide obsadziła nas wszystkich w wybranych przez nią rolach?

– Owszem. Omal nie zniszczyła Beau, przekonując go, że choć jest bękartem, to go nie musi ograniczać, gdyż i tak może zostać, kimkolwiek zechce. Cieszę się, że w końcu dobrze się poczuł we własnej skórze. – Jack wziął bułeczkę i zaczął obracać ją w dłoniach. – Innymi słowy, teraz chodzi o mnie. Czy w swojej niezmierzonej mądrości wyjaśnisz mi, co stworzyła Adelaide, sprowadzając mnie na ten świat?

Puck westchnął wymownie.

– Nie stworzyła cię, Jack. Zrobiła coś, czego nie można wybaczyć. Złamała cię, ale zapłaciła za to wysoką cenę. Ojciec... Cyril nigdy jej nie wybaczył, że cię odesłała.

Jack drgnął, zdumiony słowami Pucka.

– Jak to? Nadal przecież jest tam, gdzie chciała być, a on ciągle jest tym samym zakochanym głupcem.

Tym razem to Puck podniósł się z miejsca.

– Przejdźmy się– zaproponował, po czym ruszył na korytarz.

Jackowi nie pozostało nic innego, jak iść za nim.

Przed laty odwrócił się plecami do życia w Blackthorn. Tysiące razy powtarzał sobie, że nic go to nie obchodzi i że lepiej mu samemu. Zeszły rok nauczył go jednak, że więzi z przyrodnymi braćmi są mocniejsze, niż podejrzewał. Skoro Puck chciał rozmawiać, należało przynajmniej go wysłuchać.

Milczeli, dopóki nie dotarli do gospody. Ledwie Puck zdołał usiąść, przybyła karczmarka z kubkami gorącej kawy o kwaśnym zapachu. Młoda

kobieta rozchichotała się jak dziewczynka, kiedy Puck podziękował jej i mrugnął.

– Urodziłeś się, by zadowalać innych – zauważył Jack, siadając naprzeciwko brata.

– To nic nie kosztuje. Trzeba się cieszyć życiem, a nie znosić je z pokorą. Przyjrzyj się swojemu synowi, jeśli mi nie dowierzasz. Kiedyś wszyscy byliśmy tacy jak Jacques, a potem przyszło życie. Teraz już wiem jednak, że ma na nas wpływ tylko do momentu, w którym powiemy: dość, teraz sami sobie poradzimy. Beau już się o tym przekonał, ja również. Nadeszła pora na ciebie. To twoje życie, Jack, a nie jej, więc wykorzystaj swoją szansę. Bóg mi świadkiem, że ją dostałeś przy boku Tess i swojego syna. Odpuść sobie całą resztę.

Puck patrzył na niego z tak przejętym wyrazem twarzy, że Jack musiał odwrócić wzrok.

– Miałeś powiedzieć mi coś o Cyrilu – przypomniał.

Czuł się niezręcznie ze świadomością, że brat tak się przejmuje jego losem.

Puck westchnął.

– Masz rację. – Skinął głową. – Pomyśl o tym, co powiedziałem. Adelaide nie jest tego warta. Markiz Fontaine również nie, tak samo jak Prinney, Liverpool i cała reszta. – Uniósł rękę, kiedy ujrzał grymas na twarzy brata. – Tak, tak, już mówię o Cyrilu – dodał pośpiesznie. – To był jedyny raz, kiedy ja i Beau słyszeliśmy, jak podniósł na nią głos. Mój Boże, cóż to była za awantura! Nawet nie musieliśmy przyciskać uszu do drzwi.

Jack się uśmiechnął, gdyż czuł, że brat tego od niego oczekuje. Puck robił, co mógł, by jak najlepiej poradzić sobie z ciężkim tematem.

– Podśluchiwaliście?

– Powinniśmy byli jeszcze robić notatki, aby je potem porównać. Wtedy mieliśmy już całkowitą pewność, że nie jesteś synem Cyrila, chociaż on za takiego cię uważał. Wychował cię od szczeniaka, tak chyba to ujął. Ktoś musiał się tobą zająć, gdyż Adelaide nie byłaby dobrą matką nawet dla pchły, a co dopiero dla trzech synów. Potem padło znacznie więcej słów o Abigail, o egoizmie matki, o tym, *te* jego szaleństwo zrujnowało synów, o jego chorym uwielbieniu dla niej. Tak powiedział – chorym. Płakała, błagała, oskarżyła go o wszystkie możliwe grzechy. Wygadywała okropne rzeczy o Cyrilu i Abigail, perwersyjne, obrzydliwe słowa. To były same kłamstwa, naturalnie, on nigdy by... No cóż, po tym wszystkim wyjechała i nie wróciła przez okrągły rok. Rzadko bywa w Blackthorn, a jeśli już, to nie opuszcza chatki.

Jack nic nie mówił. Nie mógł znaleźć słów.

– Ojciec nadal do niej chodzi, kiedy przyjeżdża – ciągnął Puck. Podniósł kubek do ust, lecz powąchawszy znajdujący się w nim płyn, w ostatniej chwili się rozmyślił. – To przecież Adelaide, starzejąca się czarodziejka, tak chyba należy ją nazwać. Ostatnimi czasy jednak wydaje się bardzo sfrustrowana. Dziwne, że mając taką matkę, żaden z nas nie uważa miłości za chorobę ani słabość, albo co gorsza, za śmiertelną pułapkę. Tak czy owak, zaklęcie, które na niego rzuciła przed laty, przestaje działać. Zaczęło zanikać od dnia twojego wyjazdu. Nie chodziło o to, co zrobiła jemu, Beau czy mnie, tylko tobie. Tobie, Jack. Więc nie mów mi, że ojciec nie uważa cię za syna. – Puck położył dłoń na ręce Jacka i dodał: – Potrzeba mu przebaczenia synów, choćby i w formie przyjęcia niechcianej ziemi. Czekał ponad dziesięć lat na twój powrót. Chciałeś wysłać do niego Jacques a. Nie możesz go nienawidzić i jednocześnie oddawać własnego syna pod jego opiekę.

– Nigdy nie mówiłem, że go nienawidzę. Nie mam ku temu powodów. Nie znoszę tego, co zrobił tobie i Beau, ale jego nie nienawidzę. Właściwie to

mi go żal. Wszyscy jesteśmy ofiarami Adelaide.

– Shelley przetłumaczył *Fausta* Goethego – oświadczył Puck. – Czytałem to we Francji i bardzo uderzyło mnie kilka linijek w scenie Nocy Walpurgii. Chodzi o to, żeby się wystrzegać jasnych loków kobiety, której magia skrywa się we włosach. Kiedy je owinie wokół szyi młodego mężczyzny, już nigdy go nie uwolni.

– Tak, tak, znam tę legendę. Faust ułożył się z diabłem, o ile pamiętam. Sugerujesz więc, że Cyril zawarł pakt z Adelaide i, jak Faustowi, przyszło mu tego pożałować? Interesująca teoria.

– Nie tylko teoria, Jack. Nie mówię, że Cyril szuka u nas rozgrzeszenia, ale jesteśmy mu coś winni. Prosi tylko, byśmy go wysłuchali.

– Puck, przecież już powiedziałem, że przyjadę.

– Wiem i wierzę, że dotrzymasz obietnicy. – Uśmiechnął się nieco wstydliwie. – Taką mam nadzieję. Powierzenie mu Jacques’a byłoby dobrym początkiem. Chyba nadal planujesz wysłać go do Blackthorn, prawda?

– Myślisz, że on tak to odbierze? Że wysyłam Jacques’a do niego, a nie do ciebie i Beau?

– Mogę mu to zasugerować. – Puck wzruszył ramionami. – O ile mi pozwolisz.

Kiedy Jack zastanawiał się nad tym, jak Tess powinna odgrodzić się od własnego dzieciństwa, od śmierci brata i dwulicowości ojca, doszedł do wniosku, że nie ma nowych początków bez zakończeń. Oboje potrzebowali odpowiedzi. Nie był jednak pewien, czy naprawdę były one konieczne – i w jej wypadku, i w jego? Czy oboje powinni domagać się funta ciała od tych, którzy źle ich potraktowali, czy też ważniejsze było iść naprzód bez oglądania się za siebie?

– W porządku – powiedział w końcu. – Jeśli czujesz się na siłach

podróżować, puszczę cię z Jacques'em do Blackthorn. Przekażesz Cyrilowi list, w którym poproszę go o... zaopiekowanie się wnukiem, dopóki Tess i ja nie będziemy mogli do was dołączyć. Czy to wystarczy?

– Aż nadto. Dziękuję, bracie, słusznie postępujesz. Twoje zdrowie! – Puck uniósł kubek, by wznieść toast, upił zacy łyk gorzkiej kawy i przez następną minutę kaszlał i pluł w chusteczkę, przy akompaniamencie śmiechu Jacka.

TTLRR

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Tess przyglądała się naprędce sporządzonemu przez Jacka planowi wnętrza budynku przy Cleveland Row numer dziewięć. Rozkład pomieszczeń był bardzo prosty gdy wszystkie pokoje znajdowały się przy centralnie położonym korytarzu. Z tyłu mieściła się kuchnia, a schowek ze spiżarnią był pomiędzy małym salonikiem a przylegającą do niego jadalnią. Schemat odtworzyli poprzedniego dnia, na podstawie tego, co oboje zapamiętali z zewnątrz, przeliczywszy okna i drzwi ze strategicznego punktu obserwacyjnego na dachu budynku po drugiej stronie ulicy.

Jack sporządził nawet kilka planów, w tym mapkę okolicznych ulic wraz z nazwami. Naszkicował także budynki po obu stronach, uwzględniając szczegóły ich elewacji. Policzyli nawet, jak często pojawiały się tam nocne patrole strażnika.

Tess musiała ze skrucą przyznać, że to wszystko sprawiało jej wielką przyjemność. W ciągu wielu lat zaplanowała mnóstwo akcji, sztuczek i scenariuszy. Zgłębiała reguły taktyki tak, jak dziewczęta w jej wieku studiowały fasony modnych sukni i opracowywały plany ofensywy na londyński sezon i polowanie na męża. Uwielbiała ćwiczenia umysłu i nie raz stanęła do pojedynku z ojcem, który przy takich okazjach wcielał się w rolę ofiary lub prześladowcy. Dawało jej to wielką satysfakcję. W ciągu roku poprzedzającego śmierć René nie tylko pomagała tworzyć plany, ale również była niezbędna do ich wdrażania. Nauczyła się wtedy, że ojciec nie przegrywa. Nigdy nie zdołała go pokonać.

– Wciąż studiujesz te rysunki? – spytał Jack, wchodząc do pokoju.

Wcześniej zniknął na wiele godzin i nie powiedział jej, dokąd się udał.

Może powinna była zapytać, a może on powinien był powiedzieć bez pytania...

Daleko zaszli, ale czekała ich jeszcze długa droga, pomyślała.

Szkic zadrżał w jej ręce, więc położyła go na blacie, modląc się w duchu, by nie zdradzić się ze swoim zdenerwowaniem przed Jackiem, który był bardzo uważnym obserwatorem.

– Chyba powinniśmy wtajemniczyć twoich przyjaciół – powiedziała, gdy oparł się o biurko. – Nie pozwolisz mi wejść tam ze sobą, co rozumiem, a Wadsworth jest bardzo dzielny, w co nie wątpię. Jednak pan Browning i pan Carstairs są chyba lepiej przygotowani do takich akcji.

– Zapomniałaś, że jeden z nich zapewne donosił na mnie Sinjonowi? Informował go o moich poczynaniach. Wolałbym wiedzieć, kto mnie ochrania, a nie przejmować się tym, co się dzieje za moimi plecami. Doprawdy, Wadsworth w zupełności mi wystarczy, uznałem jednak, że ich całkowite wykluczenie jest niewskazane i dlatego spotkaliśmy się dzisiejszego ranka. Dickie będzie tutaj... – Pochylił się i postukał palcem w narysowaną ulicę– ... a Will tu. Jeremy zajmie pozycję w zaułku za budynkiem, ty zaś... – Popatrzył na nią surowo. – Będziesz tu, na miejscu.

Natychmiast się zachmurzyła. Znała to spojrzenie. Jack zamierzał sprawiać trudności.

– Nie wskazałeś żadnego rysunku – zaproponowała.

– To dlatego, że twoja rola kończy się na planowaniu. Kiedy mówię „tu”, mam na myśli budynek, w którym się znajdujemy. Będziesz siedziała w domu, czekając na mój triumfalny powrót. Czy też po prostu na powrót.

Powinna wiedzieć od samego początku, że Jack właśnie w taki sposób postawi sprawę. Tym razem jednak nie zamierzała dać się wykluczyć i szaleć z niepokoju, podczas gdy on będzie narażał życie.



– Nie możesz mi. tego zrobić, Jack – oznajmiła.

– Powiedziałam, że nie zamierzam się wtrącać i mówiłam szczerze, ale nie waź się myśleć, że zdołasz mnie całkiem wykluczyć. Na to ci nie pozwolę.

– Nie pozwolisz? – Odsunął się od biurka i spiorunował ją wzrokiem. – Może raczysz ująć to inaczej?

– Co, zamierzasz mnie terroryzować, Jack? Nie fatyguj się. Nie robi to na mnie wrażenia. Nigdy nie robiło, kiedy wiedziałam, że mam rację. – Tess wstała i mocno oparła ręce na blacie. – To mój ojciec. Próbował porwać mojego syna i doprowadził do śmierci mojego brata, bo nie raczył nam wspomnieć, że będziemy walczyli z Cyganem, a nie z byle Francuzem, który sprzedaje zapewne nieaktualne tajemnice. Zrobił, co mógł, żeby zrujnować mi życie. Nasze życie, Jack. Być może mu się to udało, bo jeśli jeszcze raz wspomnisz, że nie mam prawa być tam dzisiaj, to znaczy, że mamy do siebie zupełnie odmienne podejście, niż zakładałam. To również moja walka, nie tylko twoja. Może nawet bardziej moja.

– Więc jesteś gotowa patrzeć, jak ginie z mojej ręki. Być może do tego dojdzie, Tess.

Z trudem próbowała nad sobą zapanować.

– Nie zrobisz tego – odparła. – Nie zabijesz go.

– Właśnie na to liczy Sinjon – poinformował ją lodowatym tonem. – Ty nie powinnaś.

Czyżby zatem wrócili do punktu wyjścia? Do tego, kim był i dlaczego się tu znalazł? Nie przyszedł do niej z własnej woli i nie mogła o tym zapomnieć. Gdyby to zależało od Jacka, być może nigdy więcej by się nie spotkali.

– Dlaczego nie powinnam? – zapytała. – Bo musisz wypełnić rozkazy?

Tak mocno rąbnął pięścią w biurko, że Tess wstrząsnęło.

– Nie, do diaska! – wykrzyknął. – Bo życzę mu śmierci, i tyle. Twoje

dziecko? To również moje dziecko. Dziecko, które ukrywałaś za namową Sinjona, aż wreszcie uznał, że nada się do jego celów. W powozie był mój brat. W tamtym zaułku w Whitechapel zginął nie tylko twój bliźniak, lecz i mój najbliższy przyjaciel. Sinjon traktował mnie jak owada pod szkłem, potem stworzył ze mnie swoje narzędzie, a teraz macha mi przed nosem jakąś tajemną wiedzą, którą rzekomo dysponuje, i żąda, bym zabił w jego imieniu. Może iść do diabła, Tess, i tam zamierzam go posłać. Nie sądź zatem, że daruję mu życie tylko po to, by znów nami manipulował. Jakaś część mnie w ogóle nie chce tam iść, lecz zrobić coś, czego Sinjon nigdy by się nie spodziewał – machnąć na niego ręką, by sam rozprawił się z Cyganem.

– Więc dlaczego tego nie zrobisz?

– Nie wiem – przyznał już bez gniewu. – Nawet nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Pewnie chodzi o coś, co zasugerował mi Puck i o czym nie mogę zapomnieć.

Obeszła biurko i z wahaniem dotknęła dłonią jego policzka. Nadal była na niego wściekła, jednak bardzo go kochała. Walczyli z Sinjonem, ale przy okazji Tess toczyła bitwę również z samą sobą, a Jack ze swoimi demonami.

– A cóż takiego powiedział Puck? – zapytała cicho.

Odwrócił nieco głowę, a potem chwycił Tess za rękę.

– Że już pora odpuścić sobie wszystko i że byłem zły naprawdę bardzo długo. Tylko czy dam radę machnąć na to ręką, jeśli tego nie dokończę?

– Czy nadal mówimy o Sinjonie, Jack, czy o czymś jeszcze?

Uniósł brwi i pokręcił głową.

– Przez całe życie pilnie strzegłem swoich sekretów, jednak w ostatnich dniach odnoszę wrażenie, że cały świat wie o mnie więcej niż ja sam – powiedział. – Myślałem, że zdołam wszystko zostawić za sobą, w dowolnej chwili i że lepiej mi będzie samemu.

Tess wiedziała, że mówił prawdę, ale wcale nie chciała tego wysłuchiwać.

– Rozumiem.

– Och, bardzo w to wątpię. – Uśmiechnął się do niej niewesoło. – Jak na człowieka, który ma niewiele powodów do dumy, chyba jestem pełen pychy. Żyłem na własnych warunkach. Przekonywałem samego siebie, że nikogo nie potrzebuję, że nikt i nic mnie nie zrani, bo na to nie pozwolę. – Uścisnął jej dłoń. – Tak bardzo się myliłem.

– Jack, nie musisz...

– Owszem, muszę. – Ból w jego głosie był wręcz namacalny. – Równie dobrze mogę to zrobić teraz. Jak na Boga śmiałem cię opuścić? Za każdym razem, gdy na ciebie patrzę, gdy cię dotykam... – Zawiesił głos. – Tym razem ty będziesz musiała odejść ode mnie, ale nawet wtedy pójdę za tobą, choćby na kolanach. Wiesz, co mnie przeraża w tym, że tak bardzo potrzebuję drugiego człowieka? Świadomość, że nie zostanie mi nic, jeśli znikniesz, i strach, że znowu mógłbym, cię utracić.

Popatrzył na łzę, która spłynęła po jej policzku, i przeklął się w duchu za to, że doprowadził Tess do płaczu.

Czuła, że powinna mu wyznać, dlaczego tak się wzruszyła, ale sama nie była pewna. Może żal jej było straconych lat i tego, jak mogło potoczyć się ich życie, gdyby wyznał to wtedy, a nie dopiero teraz? Puck poradził mu, by sobie odpuścił. Ona też powinna przestać oglądać się za siebie, ale nie była na to jeszcze gotowa.

Jack podszedł do kominka i stanął pod portretem mężczyzny, który nie był jego ojcem.

– Nigdy bym cię nie poprosił, abyś ze mną została – powiedział. – Sądziłem, że mogę ci to nakazać, że mogę wykorzystać Jacques'a, gdybyś nie

pozostawiła mi innego wyboru. Nie mogę jednak tego zrobić. Tak naprawdę nie wiem, co nas łączy, Tess, i myślę, że ty też tego nie wiesz. Popełniłem wiele błędów i nie mam pojęcia, jak ci to zrekompensować. Sinjon wykorzystał moją słabość.

– Oboje popełnialiśmy błędy. Też nie chciałam cię słuchać – przypomniawszy Tess, której nie ominęło poczucie winy. – Gdybym była silniejsza, Sinjon nigdy nie przekonałby mnie, że jesteś odpowiedzialny za los René. Gdybyś nie był we mnie zakochany, nigdy byś nie przystał na zmianę w planie. Nie tylko ty walczysz z demonami przeszłości. Myślę, że w końcu nam się uda z nimi rozprawić, jednak nie możemy odpuścić sobie Sinjona. To trzeba załatwić, jeśli w ogóle pragniemy uwolnić się od niego. W przeciwnym razie sami doprowadzimy do własnej zguby.

– Wiem. I choć bardzo chciałbym wierzyć, że Puck ma rację i że powinniśmy po prostu odejść, a z czasem zapomnieć, nie mogę tego uczynić. Trzeba zamknąć pewne sprawy i dopiero później liczyć na nowy początek, przynajmniej w moim wypadku. Nie chcę wracać do ciebie i Jacques'a, nie uporządkowawszy wcześniej własnego życia.

Tess skinęła głową, nie dowierzając sobie. Dotąd tylko raz widziała Jacka tak bezbronego – było to w chwili, gdy uklęknął przed synem i zawahał się, podnosząc rękę, by go pogłaskać po głowie. Pękało jej serce, lecz on nie mógł się o tym dowiedzieć. Nie o litość ją prosił, lecz o inne uczucie, choć jeszcze nie potrafił ubrać tej prośby w słowa. Być może i ona nie była całkiem przygotowana, aby je usłyszeć. Powiedział jej tyle, ile zdołał, i byłaby okrutna, zmuszając go do dalszych wyznań.

– W porządku, Jack. Przynajmniej w jednym się zgadzamy. Dokończymy sprawy z Sinjonem, z Cyganem, z twoją rodziną. Zaczniemy już dzisiaj wieczorem. – Powróciła do biurka i usiadła, po czym podniosła

plany. – Browning stanie u wylotu tego samego zaułka, w którym kryliśmy się kilka dni temu, a Carstairs schowa się w zacienionych drzwiach naprzeciwko numeru dziewiątego. Ja mogę czekać w twoim powozie na rogu. Nie będę w centrum wydarzeń, ale i nie pozostanę całkiem z boku. Zaczaję się w pobliżu, tak by Wadsworth mógł przyjść do mnie, kiedy uznasz, że to całkiem bezpieczne. Nie zdołam czekać w domu, Jack. Zwariowałabym.

– Mówisz, jakbyś chciała otwarcie stawić mu czoło.

– Jakbym chciała? – powtórzyła. – Jack, nie mam ochoty go więcej widzieć ani słuchać jego kłamstw, ale muszę. Akurat ty powinienesz to rozumieć. Proszę...

– Nie wierzę, że to mówię, ale masz rację. Kim jestem, by nie pozwalać ci dokończyć tej sprawy?

To ją zaskoczyło. Nadal czuła się oszołomiona wyznaniem Jacka. Potrzebował jej, choć potrafił okazywać to jedynie w ciemnościach.

– Pozwolisz mi dziś sobie towarzyszyć? – spytała z niedowierzaniem. – Znaleźć się w centrum wydarzeń?

– Nie, Tess – odparł natychmiast. – Nigdy nie planowałem brać cię ze sobą. Pozwoliłem, żebyś tak myślała, ale to niemożliwe. Nie planowałem też wchodzić do budynku. Zbyt wielu obserwatorów, a Sinjon szybko by się zorientował. Pozostaje nam uliczna walka, brzydka i pozbawiona finezji. Ujmując to górnolotnie, Sinjon zajmie miejsce w pierwszym rzędzie, choć z pewnością jest gotów do ucieczki, gdyby sprawy nie potoczyły się po jego myśli.

– Ulica? – Zmarszczyła brwi. – Naprawdę? Przyznaję, że lokalizacja nie dawała mi spokoju – okratowane okna i tylko jedno wyjście z tyłu. Nie wybrałabym jej i wątpię, by Cygan wszedł do budynku, którego nie zna i w którym Sinjon miałby nad nim przewagę. To niezwykle ryzykowne, wręcz

brawurowe posunięcie, a Sinjon ma w zwyczaju starannie obmyślać strategię.

Zerknęła na Jacka, który z nieobecnym wyrazem twarzy wpatrywał się w przestrzeń. Kiedyś ją to denerwowało, teraz jednak poczuła się zaintrygowana. Było jasne, że intensywnie nad czymś rozmyślał.

– Jack? Słyszałeś mnie? Czy już zdążyłeś mnie wyprzedzić myślami?

– Nie rozumiem, dlaczego wcześniej tego nie widziałem. Myliliśmy się, Tess – powiedział powoli. – To, o czym przed chwilą wspomniałaś, tego dowodzi.

Wstała i podeszła bliżej, zaniepokojona wyrazem jego oczu.

– Co powiedziałam?

– Że Sinjon ma w zwyczaju starannie obmyślać strategię. „Wydaje się pan znajomy”. W tym momencie mam wyskoczyć z cienia i zatopić ostrze sztyletu w czarnym sercu Cygana. Doprawdy, cóż za melodramatyczna bzdura. A kiedy już go zlikwiduję, co dalej? Sinjon powie mi, kim jestem, a następnie wspaniałomyślnie ofiaruje nam maskę Izydy oraz swoje błogosławieństwo, licząc na to, że będziemy wiedli cudowne życie, a on wraz z pozostałością kolekcji zacznie wszystko od nowa, w innym miejscu? Nie wierzę w to i nie uwierzę, dopóki nie przyjrę się temu uważnie, element po elemencie.

– W co zatem wierzysz?

Jack uśmiechnął się ze smutkiem.

– Niestety, myślę, że Sinjon jest wręcz zbyt sprytny, aby mu to wyszło na dobre, i oczekiwał, że my będziemy bystrzejsi.

– Co? Przecież oboje się zgodziliśmy, że ostatnie miejsce, w którym szukałby go głupiec, to miejsce, w którym Sinjon już był. To prowadzi nas na Cleveland Row. Nie mówisz poważnie. – Modliła się w duchu, żeby nic, co przed chwilą powiedział, nie było ani odrobinę prawdopodobne.



– Obawiam się, że i owszem. Ale przyjrzyjmy się temu, dobrze?

Zerknęła na półkę nad kominkiem oraz na zegar, który odliczał godziny do południa. Jeśli rzeczywiście się mylili, nie zostało im wiele czasu na zmianę planu.

– W porządku– odparła. – Zacznijmy od początku. Czyli, jak rozumiem, od Cygana.

– Od powrotu Cygana– poprawił ją. – Ustaliliśmy już, że rzucił rękawicę, dokonując kradzieży w muzeum i zostawiając tam wizytówkę, by Sinjon wiedział o jego powrocie. Szanuje umiejętności swojego mistrza, więc nie zaatakował Sinjona w jego gnieździe. Wolał wywabić go na otwarte pole i sprawić, by popełnił błąd.

– Ale Sinjon nie popełnia błędów.

– Nie. Sporządza plany, co najmniej dwa, na każdą okoliczność, i ma z czego wybierać. Wie, że Cygan oczekuje jego przyjazdu do Londynu i rozpoczęcia poszukiwań. Wobec tego znika. Zabiera ze sobą maskę Izydy na mało prawdopodobny wypadek, że wszystko pójdzie źle i będzie musiał uciekać z kraju. Albo w torbie ma tylko kilka cegieł, a maska jest ukryta gdzieś w posiadłości. Nie musiał jej zabierać, Tess. Wystarczyło sprawić, abym ja uwierzył w jej zniknięcie. Musiałem połączyć ten fakt z anonsem w „Timesie”.

– A więc od początku planował wciągnąć cię w zabójstwo Cygana?

– Oczywiście. W taki czy inny sposób zawsze chciał, żebym powrócił, gdy będę mu potrzebny. Podejrzewam, że mówiąc mi o Jacques’u pozbył się asa w rękawie, ale okazało się, że wcale nie musiał go wyciągać. Przecież miał świadomość, że Liverpool dowie się o jego zniknięciu i wybierze mnie, bym go odszukał.

– Masz rację – powiedziała. – Dlatego postawił Cygana na twojej



drodze. Sinjon zawsze chciał, żebyś się go pozbył, gdyby ewentualnie powrócił. Napuszcza na siebie byłych uczniów, a potem ich obserwuje jak owady pod lupą.

– Otóż to. Wiedział, że najpierw pojedę do waszej wiejskiej posiadłości i że znajdę Jacques’a. Miał świadomość, że zdołam ustalić, że on sam udał się do Londynu. Rzecz jasna, nie zostawiłbym ciebie i naszego syna bez opieki na wsi. Po naszym odjeździe mógł bez przeszkód opróżnić swój pokój ze skarbami. Potem jednak znaleźliśmy się nieco zbyt blisko, choć nie wiem, jak to się stało. Dlatego wysłał swoich pomagierów. Mieli porwać Jacques’a, a on liczył na moją współpracę w zamian za uwolnienie naszego syna.

– Jednak nic z tego nie wyszło. – Tess po raz pierwszy od kilku dni poczuła nadzieję. – Więc teraz znowu musiał zmienić plany. Przynajmniej nie ułatwiamy mu sprawy. Na pewno nie ten list planował nam dostarczyć na samym początku.

Jack nalał im po kieliszku wina i się zamyślił.

– Tak, ten przekłety list – oznajmił po dłuższej chwili. – Sinjon próbował przehandlować rzekomą wiedzę na temat mojej przeszłości w zamian za darowanie mu życia i pozbycie się Cygana. Trzeba przyznać, że wie, gdzie uderzać. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że zaintryguje mnie sugestią oznajomości nazwiska mojego ojca. Ale to wszystko kłamstwo. Wie wyłącznie to, co mu powiedziałem pierwszej nocy, gdy się poznaliśmy, nic ponadto. Próbował wykorzystać moją przeszłość, by mnie kontrolować.

– Nie myśl o tym, Jack. Musimy się raczej zastanowić nad jego planem dla Cygana. Miejmy przynajmniej nadzieję, że Cygan widział anons Sinjona, bo inaczej z całą pewnością nie miałby powodu znaleźć się pod numerem dziewiątym. Chyba nie sądzisz, że nie odpowiedział?

– Nie, widział ogłoszenie i przyniósł odpowiedź osobiście. Pamiętasz

tego rudego lokaja w liberii?

– Tak, pamiętam. – Zmarszczyła brwi. – A przynajmniej pamiętam, że mówiłeś coś, czego chyba nie zrozumiałam. To był Cygan? Skąd to wiesz?

– Świadczą o tym dwie poszlaki. Po pierwsze, wiele razy widziałem takie kostiumy na scenie. A po drugie, żaden lokaj nie jest aż tak wysoki i tak dobrze odżywiony. Człowiek, który tam przyszedł, był bezczelny, lekkomyślny i ekstrawagancki, tak jak to opisywał Sinjon.

– Nadal czegoś nie rozumiem. Jeżeli Sinjona nie będzie dziś na Cleveland Row, to gdzie... O mój Boże...

– W miejscu, w którym nikt by go nie szukał – czyli na własnym terenie. Na własnym, świetnie przygotowanym terenie, w miejscu, które zna najlepiej i w którym czuje się swobodnie. Chyba zawsze wierzył w to, że Cygan zjawi się w posiadłości, i na to się przygotował. Cygan rzucił mu wyzwanie, a teraz Sinjon robi to samo. Wabi go do siebie. To będzie zupełna katastrofa, jeśli się mylę, sądzę jednak, że mam słuszość. Sinjon nie kłamał w tym liście, przynajmniej nie do końca. Powiedział, gdzie go znajdziemy, a my po prostu tego nie zrozumieliśmy.

– A zatem czeka na Cygana w naszym domu i liczy na to, że go zabijesz. Tymczasem my jesteśmy tu, w Londynie. To bardzo dziwne, Jack. Niemal przechytrył samego siebie, nie sądzisz?

– Jeśli się nie mylę – powtórzył. – Na wszelki wypadek muszę przestrzec resztę, bo jeśli nie mam racji, twój ojciec i Cygan będą dziś pod numerem dziewiątym i Bóg jeden wie, co się może wydarzyć. Nie jestem pewien, czy Will poradziłby sobie z takim przeciwnikiem jak Cygan.

– Wiem, że masz rację – oświadczyła Tess stanowczo i spojrzała na zegar. – Napisz list i powiedz Wadsworthowi, aby nakazał szykować konie. Ja zmienię strój. Będę gotowa za dziesięć minut.

– Jedenaście – oznajmił Jack, po czym przytulił ją mocno i pocałował. Przywarła do niego, próbując czerpać otuchę z jego siły. – Dziękuję – szepnęła jej do ucha. – Dziękuję, że mi zaufałaś. Po raz pierwszy, odkąd to wszystko się zaczęło, czuję, że jesteśmy na właściwym tropie.

– Cóż, dotychczas wiele razy się myliliśmy – odparła i ucałowała go w szyję, nim ją puścił. – A teraz przekonajmy się, dokąd powiedzie nas ta droga.

Podróż powozem trwała pięć godzin, wierzchem trzy. Mieli czas, jeśli Cygan zamierzał trzymać się rozkładu Sinjona i pojawić w domu dokładnie o dziesiątej. Tylko dlaczego miałby grać według reguł dawnego mistrza? Na pewno miał już dosyć tańczenia tak, jak ten mu zagrał.

Jack popatrzył na Tess, która siedziała obok niego w powozie, ubrana w koszulę i bryczesy. Pomyślał, że pewnie się zastanawiała, co poczną, jeśli dom będzie pusty, albo jeśli znajdą tam zwłoki ojca. Cóż, nie mógł zaprzeczyć, że sam liczył na to, że zastanie trupa, dzięki czemu nie będzie musiał zabijać Sinjona. Tak czy owak, markiz musiał dziś zginąć, i tak żył już zbyt długo.

Byli już prawie na rogatkach Londynu i wkrótce mieli się spotkać z Wadsworthem, który będzie czekał z wierzchowcami. Nie pozostało zbyt wiele czasu na rozmowę.

– Wadsworth omal nie rzucił mi się na szyję z wdzięczności, gdy powiedziałem mu, że nie będzie musiał udawać nababa – oświadczył Jack, aby przerwać pełną napięcia ciszę. – Choć pewnie powinienem cię uprzedzić, że już zdążył posmarować sobie dłonie i twarz sokiem z betelu, aby tym lepiej przygotować się do roli. Przy odrobinie szczęścia powróci do swojej bledości w ciągu tygodnia, i dobrze, bo całkiem zapomniałem o jego błękitnych oczach. Byłby bardzo nieprzekonującym nababem w każdym oświetlonym pomieszczeniu.

Tess uśmiechnęła się, ale chyba z uprzejmości, gdyż jej dłonie nadal zaciśnięte były w pięści.

Jack już wcześniej doszedł do wniosku, że jazda w siodle przez miasto byłaby zbyt ryzykowna. Wolał też nie przywiązywać wierzchowców do powozu, na wypadek gdyby posiadłość przy Grosvenor Square była obserwowana przez Willa albo Dickiego. Zdawał sobie sprawę, że pali most za mostem, wykluczając kompanów z planu. Jeśli się mylił co do miejsca pobytu Sinjona, lada chwila groziło mu wypadnięcie z łask rządu. Tylko co potem? Zastanawiał się, czy podobnie jak Sinjon i on zostanie uznany przez Liverpoola za zagrożenie. W końcu znał rozmaite tajemnice.

Tess przykryła jego dłoń swoją.

– Nie przeszkadzałam ci w rozmyślaniach, gdyż liczyłam na jakieś błyskotliwe pomysły – szepnęła.

– Masz plan?

Jack się uśmiechnął, znowu przypomniawszy sobie słowa brata.

– Puck uważa, że jest mózgiem, a ja pięściami – odparł. – Niestety, nie ma tu Pucka, więc liczyłem, że ty wpadniesz na coś błyskotliwego i niezawodnego.

– Obawiam się, że poległam na całej linii, gdyż obmyśliłam jedynie, o co go zapytam, choć wiem, że usłyszę wyłącznie kłamstwa.

– Kłamstwa będą bardziej znośne niż jakakolwiek prawda, Tess – zauważył Jack, gdy powóz zwolnił. – O ile Sinjon jeszcze odróżnia jedno od drugiego, w co szczerze wątpię. Nie musisz z nim rozmawiać. Nie potrzebujesz ani jego prawd, ani kłamstw.

– To właśnie czujesz w stosunku do matki? – zapytała nieoczekiwanie, a w jej oczach zabłysł gniew.

– Myślałam, że to już ustaliliśmy, Jack. Właśnie dlatego tu jestem. Sam

to przyznałeś. W końcu zmierzamy właściwą ścieżką.

– Nie powiedziałem, że zgadzamy się co do tego, co będzie, gdy osiągniemy cel. Niczego ci nie mogę obiecać, Tess. Jeśli dojdzie do walki, nie narażę żadnego z nas na niebezpieczeństwo, by ocalić Sinjona. Nie jest tego wart.

– Nie o to mi chodziło– burknęła ze złością. – Pamiętaj, że nie jesteś katem. Chyba że tego chcesz.

– Tess...

Drzwi powozu się otworzyły i ukazało się w nich czerwonobrazowe, błękitnookie oblicze Wadswortha.

– Proszę o pozwolenie na jazdę z jaśnie panem– oświadczył służbiście.

– Pozwól mu – szepnęła Tess. – Przecież nie wiemy, czy Cygan będzie sam.

Jack spojrzał na jej przejętą z napięcia twarz i skinął głową.

– Masz moje pozwolenie, Wadsworth. I podziękowanie.

– Ja też dziękuję, jaśnie panie. Draniowi należy się nauczka za to, że chciał porwać panicza Jocka.

– W rzeczy samej. Wszyscy tak uważamy. – Pomógł Tess wysiąść z powozu. – Jesteś uzbrojony?

– Po same zęby, jaśnie panie – oświadczył kamerdyner i uśmiechnął się szeroko. Jego zęby były przerażająco białe w wysmarowanej betelem twarzy.

– No to dlaczego tak stoisz? Na koń!

– Tak jest, jaśnie panie!

– Myślisz, że zdoła się uciszyć, kiedy dom pojawi się na horyzoncie? – zapytała Tess, dosiadając klaczy. – Nie chcemy powiadamiać całej okolicy o naszym przyjeździe.

– To prawda. – Jack odwrócił wzrok, licząc na to, że Tess jest zbyt

pograżona we własnych myślach, by przejrzeć jego zamiary. – Powiem mu o tym. Nie przejmuj się Wadsworthem. Słucha rozkazów i nie zadaje zbędnych pytań.

– W odróżnieniu ode mnie?

– Chciałbym, żebyś była tak posłuszna jak on. Wówczas kazałbym ci wsiąść z powrotem do powozu i wrócić do Londynu. A tak tylko traciłbym czas, prawda?

– Już tracisz. Następną kilka godzin powinieneś spędzić wyłącznie na obmyślaniu sposobów pojmania dwóch bardzo niebezpiecznych ludzi.

– Pojmanie? – Popatrzył na nią spokojnie. – Znowu, Tess? Nie dasz za wygraną, dopóki nie powiem, że włos im z głowy nie spadnie?

– Szczerze mówiąc, nieszczególnie mnie interesuje, co zrobisz z Cyganem, byleby zapłacił za śmierć René. Albo zawieś na stryczku, albo wbijesz mu sztylet w serce.

– A więc mam twoje pozwolenie na zabicie tego człowieka. Cudownie. Najwyraźniej mogę się do czegoś przydać.

Tess demonstracyjnie wzruszyła ramionami.

– Tak, ale czy jesteś wykorzystywany? To fakt, że Sinjon pragnie, by Cygan zginął, na dodatek z twojej ręki. Dlaczego?

– O tym nie pomyślałem, ale szczerze mówiąc, nic a nic mnie nie obchodzi, czego chce Sinjon. Jedyne, na czym mi zależy, to utrzymanie nas dwojga przy życiu – odparł Jack i podszedł do swojego konia. Gdy siedział już w siodle, ruszył stępą i po chwili zrównał się z kłaczą Tess. – Chciałaś wziąć w tym udział, a ja się na to zgodziłem, jak ostatni idiota. Nie stawaj mi jednak na drodze, Tess, bo zrobię, co będę musiał, o czym doskonale wiesz.

– A więc nareszcie usłyszałam słowa prawdy – wycodziła. – Zamierzasz zabić. Tylko to cię interesuje, prawda? Po prostu chcesz zostawić to wszystko

za sobą, jak zwykle. Sprawisz, żeby to wszystko zniknęło, a jeśli ci się nie uda, sam znikniesz. I uważasz, że to cokolwiek rozwiąże? Moim zdaniem uczyni to z ciebie mordercę, posłusznego Liverpoolowi lub Sinjonowi – nieważne komu, prawda? I tchórza. Pomyśl o tym podczas jazdy, Jacku Blackthorn. Pomyśl.

Popędziła konia obcasami i pojechała przodem, zostawiając za sobą Jacka i Wadswortha.

TTLR



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Za daleko się posunęła, zbyt wiele powiedziała. Uświadomiła to sobie już w chwili, gdy te słowa wyszły z jej ust. Cóż jednak mogła na to poradzić? Nie dałoby się ich cofnąć, zwłaszcza że mówiła szczerze. Jack był najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała, jednak kiedy matka zdradziła mu, że nie jest dzieckiem markiza, i nakazała opuścić Blackthorn, tak właśnie uczynił. Gdy Tess kazała mu odejść po śmierci René, również zniknął.

Częściowo mogła to zrozumieć. Ona również pragnęła uciec od niewygodnej prawdy o swoim ojcu. Pewnie unikała jej dłużej, niż chciałyby pamiętać. Co jednak jej pozostawało? Postanowiła wierzyć, że Sinjon jest niezwyciężony, dzielny i załamany po stracie żony, a do tego nadal szczerze chce walczyć z Bonapartem, aby odtworzyć znaną sobie Francję. Ignorowała jego wady, usprawiedliwiała emocjonalny chłód. Przez całe życie robiła, co się dało, by go zadowolić, przywołać uśmiech na jego smutne oblicze, zasłużyć na pochwałę, stać się taka jak on.

Świadomość, że wszystko, co było dla niej ważne, okazało się kłamstwem,omal jej nie zniszczyła. Tess mogła sobie wyobrazić, jak czuł się Jack, gdy matka poinformowała go, że nie jest synem markiza, co zresztą zapewne od dawna podejrzewał.

Uciekł od tej wiedzy, a ona z kolei zmierzała tam, gdzie mogła dowiedzieć się więcej, ku ojcu. Może jednak Jack się nie mylił i nie było żadnych odpowiedzi, a przynajmniej takich, które cokolwiek by tłumaczyły. Jej ojciec był zimnym, manipulującym i na wskroś złym człowiekiem. O cóż takiego mogłaby go zapytać, aby poznać prawdę? Cóż mógłby powiedzieć,

by naprawić sytuację? „Przykro mi, Tess”? Czy przyznanie się do winy cokolwiek by zmieniło? I czy nadal mogła żywić choć szczątkową nadzieję na to, że istnieją sensowne powody, dla których postąpił tak, a nie inaczej?

Próbował porwać Jacques'a. Wszystko sprowadzało się właśnie do tego i więcej nie musiała wiedzieć. Jak mógł trzymać wnuka za rękę, czytać mu bajki, całować go w czoło, obserwować, jak śpi, i jednocześnie knuć, przez cały czas zastanawiając się, w jaki sposób wykorzystać go w charakterze pionka w jednej ze swoich brudnych rozgrywek?

Całkiem jak Adelaide, która ucałowała syna, zapewniła go o swojej miłości, a następnie odesłała precz.

Tess ukradkiem otarła wilgotne policzki. Nie rozumiała, dlaczego ludzie bywali tak okrutni i czemu nie zależało im na najbliższych. Zachowywali się jak istoty całkowicie pozbawione sumienia, jak potwory. Nie należy pytać lwa, dlaczego ryczy, to bowiem leży w jego naturze. Nie szuka się również wyjaśnień, gdy stanie się oko w oko z lwem. W takiej sytuacji ginie albo on, albo my.

Jeśli człowiek wychodzi obronną ręką z takiej konfrontacji, znajduje sposób, by jakoś żyć z tym, co zrobił. Jack nie był w stanie zmienić okoliczności swoich narodzin, więc zniknął. Nie miał wtedy wyjścia. Niepokojące jednak było to, że nadal uciekał.

– Jack?

Zamknął teleskop i popatrzył ponuro na Tess. Przez ponad godzinę nieustannie przyglądał się posiadłości. Chwilę wcześniej zaszło słońce i pod drzewami było ciemno, choć na niebie świecił księżyc w pełni.

Posiadłość leżała w niecce, otaczające ją wzgórza porastał gęsty las. Wśród drzew dałoby się ukryć całą armię, jednak między nimi a domem rozciągało się pasmo skoszonej trawy na wzniesieniu, które mogło się okazać

wyjatkowo zdraдлиwe. Innymi słowy, znajdowali się teraz blisko budynku, ale jednocześnie niebezpiecznie daleko, w zależności od tego, co zaplanował dla nich Sinjon.

– Przykro mi, Jack. – Tess usiadła pod rozłożystym dębem. – To, co powiedziałam, było złośliwe i niepotrzebne. Po prostu chciałam, żebyś poczuł to, co ja czuję.

– Nie teraz, Tess – mruknął szorstko i znowu przytknął oko do teleskopu.

– Owszem, teraz – upierała się. – Nie jesteś tchórzem i nie uciekłeś, tylko zniknąłeś, a to ogromna różnica. Jeśli ktokolwiek jest tchórzem, to właśnie ja. Ja nie odeszłam. Nie chciałam, żeby w moim życiu cokolwiek się zmieniło, chociaż to życie wcale nie było prawdziwe. Wyrzucam sobie, że nie zmusiłam René do ucieczki, choć widziałam, jak bardzo jest nieszczęśliwy. Nadal by żył, a ja miałabym brata.

– Nie możesz tak o tym myśleć, Tess. – Jack nie spuszczał wzroku z posiadłości. – Nie wolno ci zastanawiać się, co powinnaś była widzieć, co zrobić. René zginął, ale to nie ty jesteś za to odpowiedzialna. To nie ty naraziłaś go na niebezpieczeństwo, lecz Sinjon.

Tess zwiesiła głowę.

– Bardzo za nim tęsknię – wyznała. – Był taki dobry, taki czysty, i tak strasznie skończył... Miesiącami budziłam się w nocy z krzykiem.

– Tess, co właściwie chcesz mi powiedzieć?

Odetchnęła głęboko, próbując pozbyć się bólu w piersi.

– Nie wiem. Teraz, kiedy już jesteśmy na miejscu, boję się bardziej niż zwykle. Nie sądzę, żeby Sinjon z nami skończył. To chyba tyle. Nie wiem, dlaczego tu jesteśmy, poza tym, że chciał nas tutaj, czy też przynajmniej chciał ciebie. Nie zabijaj dla niego Cygana, Jack. Nie zabijaj żadnego z nich,

proszę. Jeśli właśnie takie jest życzenie Sinjona, powinienes je zlekceważyć. Już za długo tańczyliśmy, jak nam zagrał.

– Ten człowiek zabił twojego brata. Przeprowadził na nim egzekucję.

– Wiem. Jak mogłabym zapomnieć? Gdyby Sinjonowi zależało na synu, sam chciałby dokonać zemsty. Ty byś to zrobił, ja również. Nie zapominaj, że Sinjon tylko udaje niedołężnego staruszka. Tak naprawdę nie jesteśmy mu do niczego potrzebni.

– Wykorzystuje mnie, bo jest świadomy, że to właśnie mnie wysłano za nim, kiedy zniknął.

Tess położyła dłoń na jego ramieniu. Była pewna, że skoro Sinjon chciał, aby Jack zabił Cygana, to nie dlatego, że sam nie mógłby się tym zająć. Musiał istnieć inny powód.

– Nie, nie. Właśnie o to chodzi. To się nie zgadza od samego początku. Z pewnością można to było załatwić inaczej! Nie wiem, po co ten cały misterny plan? Sinjon odgrywa rolę pająka w sieci. Od samego początku wabi Cygana oraz ciebie. Wszystko, co dotąd zrobił, miało nam zaburzyć jasność widzenia.

Jack potarł oczy i znowu popatrzył przez teleskop.

– Wobec tego powinniśmy mu pogratulować, gdyż odniósł sukces. Myślisz, że zaplanował również to, abyśmy przez większość czasu rzucali się sobie do gardeł? Bo też mu się to udało.

– Jasne. Wińmy za to Sinjona. – Uśmiechnęła się ponuro.

Jack również się uśmiechnął.

– Wolę to, niż czuć się jak kompletny osioł. Przykro mi, Tess.

– A więc zgadzasz się ze mną? – Czuła, że ma przewagę, więc odważyła się to wykorzystać.

– Nigdy nie odpuszczasz. – Jack pokręcił głową. – Jak mogłem o tym

zapomnieć? Ale tak, masz rację. Teraz chciałbym usłyszeć, jak twoim zdaniem miałbym pojmać ich obu, gdyż śmiem wątpić, że uprzejmiem podniosą ręce do góry, kiedy ich ładnie poproszę.

– Wiem – odparła cicho i ponownie popatrzyła na dom. Wybrali takie miejsce, aby obserwować okna gabinetu. Wadsworth zajął pozycję naprzeciwko drzwi wejściowych, choć Tess nie wierzyła, że Cygan podjedzie do nich i zastuka kołatką. Poczowała ucisk w żołądku. – Jack, popatrz. Tam w oknie widać światło, ktoś zapalił świece. Sinjon nie wpuszcza nikogo do gabinetu. Od lat tylko ja tam sprzątałam, o ile mi pozwalał. To musi być on.

– Zachowuje się w sposób dość oczywisty, co oznacza, że wezwał Cygana na rozmowę. Może nawet chce podzielić się z nim skarbami, aby naprawić sytuację. Musiał coś mu zaproponować, a Cygan z pewnością jest na tyle chciwy, by uwierzyć w tę ofertę. W przeciwnym razie trzymałby się z daleka od posiadłości. Tym gorzej dla niego. Sinjon pewnie pomyślał: „A, co mi tam! Mój podopieczny, mój drogi Jack, wyłoni się z cienia i zabije dla mnie tę poczwagę”. Tak, obawiam się, że Cygan jest głupcem, Tess. Aż dziw bierze, że żył tak długo.

Tess niemal zachichotała nerwowo, aby rozładować napięcie.

– Albo też wszystko jest tylko elementem tej samej gry. Jestem pewna, że Cygan zamierza jedynie udawać gotowość do współpracy do czasu, gdy Sinjon ujawni miejsce ukrycia swojej kolekcji. Obaj prowadzą podchody przeciwko sobie, udają honorowych złodziei, a w gruncie rzeczy uważają się nawzajem za łatwowiernych durniów. Czekają na sposobność, by zaatakować. Możesz to sobie wyobrazić, Jack? „Wybacz mi to drobne nieporozumienie w Hiszpanii, stary druhu. To tylko sprawy zawodowe, sam rozumiesz”. A potem Cygan mówi: „Tak to w życiu bywa, prawda?”.

Jack odłożył teleskop i roześmiał się z aprobatą.

– Powiem ci, Tess, że nigdy nie zdarzyło mi się śmiać podczas misji z Willem i Dickiem. Wszystko zależy od punktu widzenia, prawda? W tej chwili nie dbam wcale, jak się zakończy ta sprawa. Trudno mi uwierzyć, że w ogóle się tym przejmowałem. Najchętniej wylazłbym z tych krzaków i wybrał się z tobą na spóźnioną kolację we wsi.

Rozległ się gwizd, który zapewne miał przypominać śpiew jakiegoś leśnego ptaka. Jack odruchowo sięgnął po jeden z pistoletów zatkniętych za pasem.

– Wygląda na to, że zjawił się Cygan, a w dodatku wszedł głównym wejściem. Przynajmniej raz mieliśmy rację, Tess. Sinjonowi udało się przekonać tego człowieka, że nic mu nie grozi. No dobrze, pora brać się do dzieła.

Tess wstała pośpiesznie.

– Co zamierzasz? – spytała i nagle z irytacją zmrużyła oczy, jakby doznała olśnienia. – Chcesz powiedzieć, że od samego początku miałeś plan?

Wziął ją za rękę, gdy wychodzili spod drzew i zmiierzali w dół zbocza ku domowi.

– Nie, nie od samego początku – odparł. – Postanowiłem, co zrobimy, kiedy ty poszłaś się przebrać, a ja pisałem list do Willa i Dickiego. Nie chcę się przechwalać, ale nie przetrwałem tak długo wyłącznie za sprawą szczęśliwego trafu.

– Więc rozmyślnie pozwoliłeś mi tyle gadać i wystawiać się na pośmiewisko... Do diabła z tobą,

Jack! – powiedziała i w tej samej chwili na zwirowej dróżce pojawił się Wadsworth, uzbrojony po zęby. Czyżby scena w powozie była tylko mistyfikacją i kamerdyner od samego początku miał uczestniczyć w misji? – I na tym polega twój plan? Chcesz zapukać do drzwi? Przecież nie możemy ot



tak wejść do domu. Odpowiedz mi!

– Chyba już znasz odpowiedź, Tess. Nie mam zamiaru dłużej bawić się w gierki z tym człowiekiem.

Puścił jej rękę, wsunął dwa palce w kąciaki ust i dwukrotnie gwizdnął: raz krótko, a raz długo. Nie zabrzmiało to jak ptasi trel. Tess była przekonana, że Jack wcale nie miał zamiaru nikogo zmylić – przeciwnie, postanowił obwieścić swoje przybycie. Sinjon nie mógł się spodziewać przybycia większych sił ani choćby świadków. Liczył na to, że Jack okaże mu posłuszeństwo, bo przecież Sinjonowi zawsze należało być posłusznym. Jeśli ten człowiek miał jakiś słaby punkt, to właśnie taki: wierzył, że potrafi nagiąć każdego do swojej woli.

– Dobry wieczór pani– odezwał się chwilę później Will Browning, który wyrósł przed nimi jak spod ziemi. – Jack? Dickie jest już w kuchni, pewnie się tam obzera. Musieliśmy się śpieszyć, by dotrzeć tu w porę, więc nie zdążył zjeść kolacji. Jeremy i jego ludzie umierają z nudów na Cleveland Row, dokładnie tak, jak to przewidziałeś. Widziałem, jak nasza zwierzyna wchodzi do środka. Dobrze mieć świadomość, że nie przebyliśmy tej drogi nadaremno. Co teraz?

– Ty... – Tess wpatrywała się gniewnie w Jacka, zbyt rozjuszona, żeby sformułować pełne zdanie. Ciągle usiłowała ogarnąć myślami to, co zrobił. – Ty... I nigdy... Dałeś mi do zrozumienia... że jeden z nich to człowiek.

– Od czasu do czasu, Tess, zachowuję się jak dureń i są tego rozliczne powody, ale nie jestem na tyle głupi, by dawać Sinjonowi to, czego pragnie, albo narażać cię na niebezpieczeństwo– oznajmił spokojnie. – Will? Licz do pięćdziesięciu, bo tyle czasu potrzebujemy, aby zająć pozycje. I bardzo proszę o odpowiednio donośny łoskot.

Will Browning skłonił się nisko.



– Cała przyjemność po mojej stronie, choć śpieszę zaznaczyć, że Dickie kładzie mnie na obie łopatki, gdy przychodzi do czynienia łoskotu.

Tess miała ochotę wyć z rozpacz.

– Co? Co takiego... Dokąd idziesz?

– Chcesz stawić mu czoło, Tess, pamiętasz? Skoro tak, trzeba to zrobić na naszych warunkach, a przynajmniej na moich – oświadczył Jack.

Wziął ją za rękę i zaczął odciągać od domu. Gdy obejrzała się przez ramię, zobaczyła, jak Will Browning i Wadsworth zbliżają się do drzwi wejściowych, dźwigając między sobą nieduży, lecz niewątpliwie skuteczny dwuosobowy taran. Najwyraźniej wzięli sobie do serca prośbę o łoskot.

Jack i Tess skręcili za dom i minęli pogrążony w ciemnościach trawnik, kierując się pod górę, ku niewielkiemu budynkowi gospodarczemu tuż przy granicy lasu.

– Co za absurd – obruszyła się Tess. – Drzwi na pewno nie są zamknięte. Dokąd idziemy? Do spiżarni? Dlaczego mielibyśmy...

– Służba w domu rzuci się do ucieczki, słysząc hałasy. Nie chcemy robić tym ludziom krzywdy, niech znajdą sobie kryjówki. Co do reszty, wkrótce wszystko się okaże. No już, Tess, biegnij!

Usłyszała za sobą uderzenia tarana o drzwi, które wkrótce wypadły z zawiasów, a ciężkie drewno gruchnęło o ścianę.

– W imię króla! – ryknął Will Browning. – Sinjonie Fonteneau, staw się do aresztowania!

Wrzaski Willa zostały zagłuszone przez bojowe okrzyki Dickiego Carstairsa, który wraz z Wadsworthem udawał szturm oddziału wojska.

– Tutaj. – Jack przycisnął Tess do ściany obok drzwi do spiżarni. – Bądź gotowa chwycić drzwi, gdy się otworzą. Kiedy ludzie przejdą i zobaczysz ich plecy, zamknij drzwi, a potem uciekaj stąd, na litość boską.

Nie mogła wykrztusić ani słowa. Była wystraszona i tak wściekła, że miała ochotę uderzyć Jacka pięścią. Przez ten cały czas miał plan. Wmawiał jej, że tańczy tak, jak zagra mu jej ojciec, i zrobił z niej idiotkę. Mówił mu rzeczy, których nie powinna.

Postanowiła, że Jack słono za to zapłaci.

W tym samym momencie mrugnął do niej, po czym przywarł do ściany po drugiej stronie drzwi, z odbezpieczonymi pistoletami w dłoniach. Nie musiała go pytać, co się dzieje. Najwyraźniej ojciec miał w domu jakiś tunel, który kończył się właśnie w spiżarni. Wiele razy opowiadał jej o otoczeniu domu, o tym, że skoszony trawnik na wzgórzach może być zarazem korzyścią i przekleństwem dla ludzi w budynku, chyba że odpowiednio się zabezpieczyli. Wyglądało na to, że przygotowali się na każdą ewentualność. W chwili gdy Sinjon usłyszał zamieszanie przy drzwiach wejściowych, zapewne wziął nogi za pas, podobnie jak Cygan, jeśli jeszcze żył.

Kilka sekund później drzwi się otworzyły i Sinjon pojawił się w świetle księżyca. Zgiął się i oparł ręce na kolanach, próbując złapać oddech. Tess policzyła do trzech, a potem zatrzasnęła drzwi. Od razu rzuciła się do ucieczki i zatrzymała dopiero dobrych siedem metrów dalej, tam gdzie ojciec nie mógł jej dorwać.

– Nie ruszaj się, Sinjon, z łaski swojej– powiedział Jack i stanął przed swoim dawnym mistrzem, celując mu w brzuch.

Tess nie wiedziała, co zdarzy się za chwilę, ale nie sądziła, że ojciec wyprostuje się i uśmiechnie. Dobrze знаła ten uśmiech, władczy i pewny siebie. Wyglądało to tak, jakby Sinjon miał przewagę, mimo wycelowanych w siebie pistoletów.

– Jack? Ach, i Thessaly. Miło widzieć was oboje. Przez chwilę naprawdę się bałem, że znajdziecie się wieczorem na Cleveland Row,

szukając wiatru w polu. Moje gratulacje– powiedział gładko.

Tess przyglądała się, jak ojciec kontroluje oddech, poprawia mankiety i przybiera pozę kompletnej obojętności wobec maluczkich wokół siebie. Zadrżała, całkiem jakby gęś przeszła po jej grobie.

– Owszem – odparł Jack równie gładko. – Akurat tędy przejeżdżaliśmy. Gdybyś zechciał unieść ręce nad głowę, Sinjon. Musisz mi darować, ale raczej wolałbym mieć je na oku.

– Czy to naprawę konieczne, Jack? No cóż, w porządku, ale pod warunkiem że zrobisz przyjemność staruszkowi. Kiedy dowiedziałeś się o moim dodatkowym wyjściu? Jestem pewien, że nigdy ci o nim nie wspominałem.

– W rzeczy samej, nie. Jednak René mi powiedział. Najwyraźniej jeden z jego guwernerów lubił go tu zamykać za karę. Robił to na tyle często, że René zaczął nosić ze sobą krzesiwo i hubkę, aby nie siedzieć po ciemku. Wtedy właśnie zauważył przeciąg, poruszający płomieniem świecy, którą ukrywał w spiżarni. Nigdy się nie zorientował, jak przedostać się stąd do domu i mnie również nie wy– starczyło czasu, aby się tego dowiedzieć. Na szczęście nie musiałem, prawda?

– Bystry z ciebie chłopiec, Jack. – Markiz uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Ale powiedz mi, w czym problem. Mój dom właśnie został omyłkowo najechany przez pachołków tego skrytobójcy Liverpoola, a ja roztropnie postanowiłem im zbiec, by móc wyjaśnić mu motywy swojego postępowania. Teraz stoję tu z rękami w górze, a ty celujesz do mnie z pistoletów. Nie to, żebym nie cieszył się na twój widok... Wiem, że słuchasz głosu rozsądku, podobnie jak ty, droga Thessaly. Martwiłem się po powrocie z domu z mojej krótkiej wyprawy, gdy okazało się, że zniknęłaś razem z najdroższym Jacques'em. Jak się miewa nasz chłopiec?

– Nie waż się mówić o naszym synu tak, jakby w ogóle cię obchodził! – Tess zacisnęła pięści i zrobiła krok w kierunku Sinjona, ale zatrzymała się na polecenie Jacka.

Omal nie popełniła niebezpiecznego błędu i była tego świadoma. Miała jednak ochotę udusić ojca, tak samo jak marzyła o tym, by zasłonić oczy i uszy. Dlaczego sądziła, że musi go jeszcze zobaczyć? Czowała się wręcz chora.

– Kobiety – westchnął Sinjon. – Za dużo emocji, prawda? Właśnie przez to nie nadają się do tych spraw. Jack? Opuść teraz ręce, jeśli pozwolisz. Och, o wiele lepiej. Wiem, że to dla ciebie męczące, gdyż jesteś wyjątkowo uparty, kiedy wbijesz sobie coś do głowy, ale czy choć przez chwilę zastanawiałeś się nad tym, co tu się dzieje?

– Nie, chyba nie – odparł Jack i opuścił jeden z pistoletów. – Może mnie zatem oświecisz, Sinjon?

Tess spoglądała raz na jednego, raz na drugiego. Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego obaj zachowują się tak piekielnie uprzejmie.

– Bardzo chętnie. Wysłano cię, byś mnie odszukał, gdyż zniknąłem z domu, tak? Tego domu. Ale jestem na miejscu, zgadza się? A nasz drogi przyjaciel lord Liverpool otrzymał list ode mnie, czy też otrzyma go jutro, po przybyciu poczty. W liście znajdzie wyjaśnienie, że dowiedziałem się o powrocie Cygana i postawiłem sobie za punkt honoru pojmać człowieka, który z zimną krwią zamordował mojego jedyne syna. Jako ojciec chyba zrozumie rozpacz i potrzebę zemsty innego ojca. By mój plan wypalił, musiałem na pewien czas zniknąć. Zapewniłem go jednak, że po spełnieniu misji powrócę do swej rezydencji i pozostanę jego wiernym sługą. Dzisiejszą napaść wielkodusznie mu wybaczę, jestem bowiem rozsądnym człowiekiem.

– Doprawdy? – Jack pokręcił głową. – A więc związany Cygan czeka w twoim gabinecie? A może jest już martwy? Gratuluję. Bardzo dobrze to

przemyślałeś. Tylko co z resztą? Jak wytłumaczysz całą resztę?

– Jakąż to resztę, Jack? – Sinjon zmarszczył brwi. – Och, wybaczam ci ucieczkę z moją córką i wnukiem. Jestem pewien, że miałeś dobre zamiary i z pewnością wspomnę o tym lordowi Liverpoolowi. Nie chowam urazy.

Tess nie mogła dłużej milczeć.

– Po prostu nie wierzę! – wykrzyknęła. – Jack, on usiłuje się wywinąć! – Znów zrobiła dwa kroki ku ojcu, ale uważała, żeby nie znaleźć się w zasięgu jego rąk. – A jak wytłumaczysz resztę? Jak wyjaśnisz lata kradzieży i twoją kolekcję?

– Moją kolekcję? – Sinjon popatrzył na nią z litością w oczach. – Jack? Wiesz, o czym bełkocze moja córka?

– Kolekcja zniknęła, Tess. Zapomniałaś? – Jack opuścił drugi pistolet. – Nie mamy dowodu, że w ogóle istniała. Sprytne, Sinjon. Jak rozumiem, gdybyśmy mieli oficjalnie domagać się od ciebie wyjaśnień w sprawie wydarzeń ostatnich dni, oświadczyłbyś, że nie mogłeś mi zaufać, bo nie poradziłbym sobie ze schwytaniem Cygana. Dlatego wolałeś wysłać mnie na bezsensowne poszukiwania.

– Zawsze byłeś stosunkowo kompetentny, Jack, ale nie umywaś się do mistrza, jak to mówią. Nie chciałem, żebyś stał mi na drodze. Nie chciałem również, żeby moja córka i wnuk przebywali na terenie posiadłości, gdy w końcu spotkam się tu z Cyganem. A więc owszem, przydałeś mi się. Dziękuję ci za to.

– Naprawdę nie widzisz, co on robi? Improwizuje, wmawiając ci niestworzone historie! – Tess gotowała się z wściekłości. – Na litość boską, Jack, nie pomagaj mu!

Ojciec uśmiechnął się do córki, świadom jej furii.

– Tak jak powiedziałeś, Jack, jestem biedakiem, który żyje z rządowej

emerytury, i nie mam nic poza tym. Muszę pochwalić waleczne wysiłki i próby udowodnienia, że jest inaczej, chociaż twoja porażka nie najlepiej świadczy o moich zdolnościach pedagogicznych. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym wrócić do domu. Naturalnie, możemy kontynuować tę dyskusję, o ile ty i moja córka mnie przeprosicie. Ze swej strony jestem skłonny wielkodusznie wam wybaczyć. Robi się chłodno, a jak zapewne zauważyłeś, mam na sobie tylko kapcie. Proszę zatem, byś zechciał usunąć swych siepaczy z terenu mojej posiadłości, dobrze? Raz jeszcze zapewniam cię, że poinformuję jego lordowską mość o waszych spektakularnych wyczynach. Nieudanych, ale spektakularnych.

Po tych słowach markiz najzwyczajniej w świecie ruszył w dół zbocza do domu, jakby nie spodziewał się sprzeciwu. Tess zakreśliło się w głowie.

– Jack? Naprawdę myślisz, że ujdzie mu to na sucho?

– To chyba zależy. Jeśli ma Cygana, Liverpool nie będzie zadawał zbyt wielu pytań. Chodźmy.

– Nie, Jack, nigdzie nie pójdziecie. – Sinjon odwrócił się z małym, srebrnym pistoletem wycelowanym w Tess. – Obawiam się, że moja córka ma rację. Ta historyjka nie wytrzyma weryfikacji, a poza tym mam już inne plany.

– Nie zastrzelisz mnie – oznajmiła Tess i omal się nie skrzywiła, słysząc brak przekonania we własnym głosie.

– Nie ruszaj się z miejsca, Tess – powiedział Jack szorstko.

– Mądra rada. A teraz, Jack, rzuć broń. Andreas! Pora, byś wkroczył na scenę, mój przyjacielu.

Drzwi do spiżarni otworzyły się ponownie. Stał w nich wysoki, muskularny mężczyzna w masce na oczy i pelerynie z czerwoną atłasową podszewką.



– A jakże! – Uśmiechnął się szeroko pod czarną maską na oczy. – Szczerze mówiąc, sam prawie uwierzyłem w te bzdury, gdyby nie to, że nie jestem... Jak to powiedział chłopak? Związany albo martwy. No i nie po tym, jak zgodziliśmy się znowu współpracować. Ale na nas już pora.

– Przy wszystkich swoich talentach zawsze byłeś nieprawdopodobnie głupim człowiekiem, Andre– asie. Zgadzam się, że ta historia potrzebuje dopracowania, ale myślę, że dam sobie radę ze szczegółami, aby przekonać idiotę Liverpoola, że mimo wszystko jestem markizem Fontaine i moje słowo wystarczy przeciwko słowu bękarta, który pozbawił czci moją córkę. Ale zdajesz sobie sprawę, że choć bardzo chciałbym widzieć, jak Jack mnie zastępuje, musisz teraz zginąć z mojej ręki – wycedził markiz, po czym wycelował w Cygana i wypalił.

Kula utkwiała w drzwiach za Cyganem, gdyż Sinjon lekko się zachwiał.

– Jakże to... – Upuścił pistolet i przycisnął ręce do piersi. – ... nieoczekiwane. – Powoli, niemal z gracją osunął się na kolana.

Tess popatrzyła na ojca, próbując zrozumieć, co właśnie zaszło. Nagle jednak Cygan chwycił ją za rękę, gwałtownie przyciągnął do siebie i przytknął nóż do jej gardła. Jack zdążył podnieść jeden z pistoletów, wiedział jednak, że Cygan będzie szybszy.

W kącikach ust Sinjona zebrała się krew.

– Zastrzel go! – wybełkotał. – Ty żalosny bękarcie, rób, co ci mówię!

– Ma mnie zastrzelić? Własnego ojca? Bardzo w to wątpię – oznajmił Cygan triumfalnie.

Pchnął Tess w kierunku Jacka i zniknął między drzewami.

– Mam go! – krzyknął Will Browning, gdy do nich dotarł.

Dickie Carstairs i Wadsworth pobiegli tuż za nim.

– Nie! – wrzasnęła Tess, odrywając się od Jacka wpatzonego w mrok,



pod którego osłoną skrył się Cygan. – Puście go! Niech ucieka.

Will stanął i wzruszył ramionami.

– Wedle życzenia. Tak czy owak, pod tymi drzewami panują egipskie ciemności, a ja chwilowo nie mam noża. Wybaczcie, że tyle to trwało. Wszystkie drzwi były zablokowane i o wiele za późno uświadomiliśmy sobie, że nasz drogi Sinjon zbiegł. Ale przynajmniej mamy to, po co się tu zjawiliśmy, prawda, Jack? Jack? Wszystko w porządku?

Markiz leżał na boku, z zamkniętymi oczami, i cicho kaszłał, jednocześnie próbując otrzeć usta. W jego plecach Tess dostrzegła nóż Willa Browninga. To wszystko wydawało się nierzeczywiste

– Sinjon Fonteneau pokonany i, koniec końców, śmiertelny. Nie mogła zrozumieć, że kiedyś tak go podziwiała i czuła przed nim strach. Przecież był tylko człowiekiem.

Przykucnęła tuż obok niego.

– Nie umieraj – zażądała. – Jeszcze nie. Czy to prawda? Czy ten człowiek rzeczywiście jest ojcem Jacka? Dlatego właśnie znalazłeś Jacka? Żeby kontrolować jego ojca i któregoś dnia napuścić ich na siebie nawzajem? A może to jedno z twoich chorych kłamstw? Niech cię diabli... Odpowiedz!

Otworzył oczy i popatrzył na nią. Jego uśmiech był pełen szyderstwa i drwiny. I tak oto umarł Sinjon Fonteneau, markiz Fontaine, zabierając ze sobą do piekła swoje kłamstwa i matactwa.

Will Browning oparł obutą stopę o bark Sinjona, popchnął go na brzuch, a następnie wyciągnął, nóż z jego pleców. Gdy rozległ się paskudny zgrzyt stali trącej o kość, Tess z trudem przełknęła ślinę.

Will wytarł ostrze o frak Sinjona, po czym wsunął nóż za cholewę.

Było już po wszystkim. Samozwańczy najbystrzejszy człowiek na świecie już nie mógł posłużyć się kłamstwami i przebiegłymi sztuczkami, aby

osiągać kolejne cele. Jego blade oczy wpatrywały się w przestrzeń nic niewidzącym wzrokiem.

Tess spojrzała na Jacka. Wciąż spoglądał na drzewa, za którymi zniknął Cygan, tak jakby śmierć Sinjona nie była dla niego ważna, jakby w ogóle go tam nie było. Jakby znikli wszyscy wokół, nawet ona.

TTLR

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jack siedział za biurkiem w gabinecie markiza i wpatrywał się nieobecny wzrokiem w rozedrgane płomienie na kominku. A więc Sinjon nie żył, myślał. Bogu dzięki, to nie on go zabił, bo niezależnie od tego, co mówiła Tess, to by wszystko zmieniło.

Dickie to zrobił, w czym był najlepszy. W blasku księżyca wykopał grób i pochował markiza na rodzinnym poletku, tuż obok René. Świat miał pomyśleć, że biedny starzec zmarł z dala od domu, a następnie został przywieziony i pochowany w rodzinnej posiadłości. To było lepsze niż pytania i odpowiedzi. Zresztą śmierć markiza zapewne mało kogo obejdzie, gdyż nigdy nie był szczególnie lubiany w wiosce ani wśród służby.

Tess rozumiała potrzebę pośpiechu i nawet poprosiła Dickiego, by przestał się modlić nad owiniętym w płótno ciałem, nim trafiło do świeżo wykopanego grobu. Pomyślała, że gdy rano wzejdzie słońce, Sinjon Fonteneau już go nie zobaczy, podobnie jak żadnego innego świtu.

Zegar na kominku wybił drugą, gdy Will Browning wszedł do gabinetu i skierował się prosto do karafki z winem na stoliku pod oknem.

– Co teraz, Jack? – spytał, siadając na wytartej, skórzanej kanapie. – Dickie zauważył, że zamiast wracać w pośpiechu do Londynu, moglibyśmy poszukać kolekcji markiza. Naturalnie, zamierza zwrócić skarb Koronie, choć może niekoniecznie w całości. Nic na to nie poradzi, biedak. Zawsze brak mu funduszy i chyba szkoda byłoby przekazywać wszystko obu Jerzym. Jeden nie wiedziałby, co to takiego, a drugi sprzedałby wszystko, by postawić kolejne cebulaste minarety w tym okropieństwie, które wznosi w Brighton.

– Przekonujesz mnie czy siebie, Will?

– Szczerze mówiąc, po prostu zabijam czas. Myślisz, że wykręciłby się sianem? Jego słowo przeciwko naszemu i tak dalej?

Jack potarł skronie dłońmi, jakby próbował po- zbyć się bólu, który dręczył go od wielu godzin.

– On tak nie uważał – westchnął. – Inaczej nie dobyłby broni. Zastanawiam się tylko, co takiego powiedział Cyganowi, skoro ten uwierzył, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo i może bez obawy przyjechać do posiadłości.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie – odparł Jack. Will i Dickie znajdowali się zbyt daleko, by usłyszeć deklarację Cygana, a Jack wcale nie miał zamiaru powtarzać im jego słów. – Chyba nie. Tak czy siak, udało mu się, prawda? Liverpool nie będzie zachwycony. To wszystko moja wina. Za wolno zareagowałem.

Szczerze mówiąc, w ogóle nie zareagował. Stał tylko niczym ogłupiały wół po tym, gdy Cygan oświadczył, że jest jego ojcem, rzekomo dawno temu powieszonym rozbójnikiem. Dlaczego Adelaide miałyby kłamać w tak zasadniczej kwestii? Inna sprawa, że robiła mnóstwo niezrozumiałych rzeczy.

Will zaśmiał się bez cienia wesołości.

– Czyli mamy kolejny argument za szukaniem skarbu. Ta ładna, złota maska, o której nam opowiadałeś, zapewne pomoże udobruchać Liverpoola i wszystkich innych, którzy zechcą zadawać pytania. Poza tym, gdy Cygan czmychał, miałeś ręce zajęte damą, i to dosłownie. Wszystko u niej w porządku? Muszę przyznać, Jack, że szalenie przykro jest odbierać życie człowiekowi na oczach jego córki.

– Dickie pomógł mi zanieść jej wiadra z gorącą wodą, bo w domu najprawdopodobniej w ogóle nie ma służących. Tess twierdzi, że nikt im nie płacił przez ostatnie dwa kwartały. Oświadczyła, że zamierza szorować się

całymi godzinami, aż w końcu poczuje się czysta. To silna kobieta i rozumie, że uczyniłeś to, co było konieczne.

– Niełatwo mi to przyszło – oświadczył Will, który nigdy nie przepuszczał okazji do wychwalania siebie pod niebiosa. – Trafiłem w biegu pod górę. Majstersztyk nie rzut, i to z dołu, zupełnie jakbym miotał piłkę w krykiecie. No, dajże spokój, Jack, uśmiechnij się, krzyknij. Zrób cokolwiek. Można by pomyśleć, że ponieśliśmy klęskę. Wszak udało się nam wykonać zadanie.

– Czy wszystko sprowadza się do wygranej i przegranej?

Will popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby Jack postradał zmysły.

– A niby o co innego miałyby chodzić? – spytał. – Tylko nie próbuj wygadywać bzdur o królu i kraju, bo od końca wojny to już nieaktualne. Jesteśmy dobrze opłacanymi skrytobójcami. Dickie robi wszystko dla pieniędzy, ja dla... Nieważne dlaczego. A ty z jakiego powodu się tym zajmujesz, Jack?

– Nie wiem. – Jack podniósł się z miejsca. – Naprawdę nie wiem. A teraz wybacz, że cię opuszczę.

– Tylko pod warunkiem że zostawisz mi karafkę. – Will wzruszył ramionami. – Ta kanapa nada się chyba na dzisiejszą noc. Zobaczymy się rankiem?

– Owszem. – Jack ruszył na korytarz, ale raz jeszcze popatrzył na Willa. – Wiesz, Henry nienawidził tych powojennych czasów, ale przecież w sumie udało się nam zrobić coś dobrego.

– Zdaniem twojego brata Pucka zdecydowanie tak. Ale wiem, co masz na myśli, Jack. Tacy hultaje jak my potrzebują porządnej wojny, gdyż bez niej wkrótce będziemy walczyli ze sobą o to, kto jest najważniejszy lub o inne dyrdymały. Nie przeszkadzało mi to za życia Henry'ego, ale teraz mam po

uszy takich porządków.

– Masz po uszy słuchania rozkazów byle bękarta – zauważył Jack z wesołym błyskiem w oku.

Will parsknął śmiechem.

– Nie– oznajmił. – Za to nie podoba mi się świadomość, że ten byle bękart jest prawdopodobnie lepszy ode mnie. Mimo to podziwiam cię za to dziwne poczucie uczciwości, tak jak podziwiałem Henry'ego. Nie wbiłbyś markizowi noża w plecy, prawda? Bo tak się nie robi. Ostrzegłbyś go, by się odwrócił ku tobie, i dopiero potem rzuciłbyś nożem, choćbyś nawet wiedział, że to zbędna brawura. Tak samo zamierzałeś dać szansę tamtemu urzędnikowi za gospodą Pod Kaczką. Obaj nieszczęśnicy mieli tak czy owak trafić przed oblicze kata, po cóż zatem narażać się na niebezpieczeństwo zamiast pozbyć się delikwentów szybko i prosto? Szczerze mówiąc, w ostatecznym rozrachunku to nawet miłosierniej dla nich. Dzielisz z Henrym osobliwe przekonanie o tym, co dobre, a co złe. To mnie niepokoi.

– O tak – odparł Jack z ironią. – Wcale się nie dziwię. To ci nowina, Will. Nigdy nie myślałem o tobie jak o szczególnie dobrotliwym człowieku.

– Jak większość ludzi – oświadczył Will. Albo nie zdawał sobie sprawy z sarkazmu Jacka, albo postanowił mówić szczerze. – Stara cioteczna babka Dickiego jest już jedną nogą w grobie. Dickie to jej ulubieniec, i nic dziwnego, gdyż podlizuje się jej od lat w nadziei na spadek. Wkrótce będzie nas już tylko dwóch, a to o jednego za dużo, nie sądzisz?

– Myślisz, że Liverpool go puści? – Jack uniósł brwi.

– Dickiego? Pewnie, że tak. Wszystkich nas puści i jeszcze pomacha nam na pożegnanie. Wiem, że Henry uważał inaczej, ale się mylił. Nasz drogi premier nigdy nie miał tyle władzy co obecnie, my zaś jesteśmy tylko

płatkami, częścią przeszłości, która kojarzy się z błyskotliwym zwycięstwem nad Bonapartem. Nie musi się nas obawiać. Co innego markiz – zbyt wiele sekretów, zbyt mało lojalności. Poinformuj premiera o śmierci markiza i ruszaj w swoją drogę, Jack. Tego właśnie pragniesz, czyż nie?

– To takie oczywiste?

– Dla mnie owszem. – Will wznosił oczy do sufitu. – Zajmują cię rozmaite ważne sprawy. Interesująca kobieta, ta lady Thessaly, i o wiele za dobra dla ciebie, Inna rzecz, że pewnie mogłaby trafić jeszcze gorzej.

– Tak, na przykład na ciebie – mruknął Jack, zastanawiając się, co powiedziałby Henry, gdyby był świadkiem tej dziwnej rozmowy. Kiedyś wyznał

Jackowi, że często się zastanawia, czy Will Browning nie jest upadłym aniołem. Ta obecna wymiana zdań na pewno by go nie uspokoiła. – Mam syna.

– A tak, słyszałem. A ty słyszałeś o jakimś Simonie Bolivarze, Jack? To pytanie zbiło Jacka z pantofelku.

– Nie, raczej nie. A dlaczego?

Will podniósł się, by nalać sobie wina z karafki.

– Robi zamieszanie w pewnym odległym kraju zwanym Wenezuela. Daje Hiszpanom do wiwatu, co zawsze cieszy nas, Anglików. Cały kontyngent zarówno brytyjskich, jak i irlandzkich ochotników wypływa mu na pomoc w przyszłym tygodniu, naturalnie w tajemnicy. Zaproponowano mi dowodzenie siłami irlandzkimi. To dobra wojna, Jack. A może zła, zależy, jak na to patrzeć. W każdym razie obowiązuje na niej niewiele zasad. Zgodziłem się. Pewnie nie będziesz mi towarzyszył.

To nie było ani pytanie, ani propozycja.

– Czy to ty dostarczałeś markizowi informacji o moich poczynaniach?



– spytał Jack, zamiast odpowiedzieć.

Will zamarł nad karafką.

– W końcu na to wpadłeś, prawda? – westchnął.

– Na jego obronę pozwól sobie przypomnieć, że Dickie nieustannie potrzebuje pieniędzy. Dopiero parę dni temu dotarło do niego, że wcale nie składa raportów jednemu z ludzi Liverpoola i naprawdę bardzo mu wstyd.

– Wobec tego nawet mu o tym nie wspomnę.

– Tak będzie najlepiej. I pozwól mu poszukać skarbu przez dzień czy dwa, nim powrócimy do Londynu. Skoro nasze małe trio hultajów zamierza wkrótce odejść na emeryturę, być może nadarza się ostatnia okazja do niezłej zabawy. Bóg mi świadkiem, że Dickie umie kopać niczym borsuk. To go naprawdę ucieszy.

– Zgoda. I tak trzeba mi kilku dni, by pomóc Tess przygotować dom do przekazania Koronie. Czy jest jeszcze coś, o czym zapomniałeś mi powiedzieć?

– Tak, jeszcze jedna sprawa. Henry przepadał za tobą, a jego opinia zawsze sporo dla mnie znaczyła. Jak na bękarta, prawdziwy z siebie człowiek z zasadami, Jacku Blackthorn. Zasługujesz na szacunek i zawsze o tym pamiętaj. A teraz, na litość boską, zostaw mnie z moim winem, nim całkiem się rozkleję.

Jack długo patrzył na Willa Browninga, po czym pokiwał głową.

– Do Wenezueli? Naprawdę?

– *Un hombre tiene que morir en algún sitio*– odparł Will i znowu wzruszył ramionami.

Jack nieszczęśliwie biegle posługiwał się hiszpańskim, niemniej zrozumiał słowa Willa. „Człowiek musi gdzieś umrzeć”.

Może też zechcieć przeżyć, pomyślał i wszedł na schody.

Tess starannie złożyła peniuar, a następnie z wściekłością cisnęła go na stos innych wyciągniętych z komody strojów. Nie chciała nic z tego pokoju ani z tego domu. Najchętniej zostawiłaby wszystko na miejscu i puściła budynek z dymem, to jednak nie było możliwe. Postanowiła zatem, że weźmie tylko to, co niezbędne, i nic poza tym. Kilka niewielkich kufrów mieściło ubrania i zabawki Jacques'a, rzeczy Emilie oraz parę należących do René przedmiotów, które zatrzymała na pamiątkę. Korona mogła sobie zabrać resztę.

Tess podeszła do toaletki i usiadła, po czym wyciągnęła z szuflady stosik wierszy napisanych przez René. Odkryła je i przeczytała już po jego śmierci. Ukrywał poezje i przed siostrą, i przed całym światem, pewnie z obawy, że Sinjon by je zniszczył albo wyśmiał.

To nie były dobre wiersze. Nawet kochająca, pogrążona w żałobie siostra musiała to przyznać. Odzwierciedlały jednak marzenia René, więc z bólem w sercu czytała, jak zazdrościł ptakom swobodnych lotów, a rzekom zdolności przekraczania ustalonych przez człowieka granic. Postanowiła, że wiersze będą jej towarzyszyły i pewnego dnia przeczyta je Jacques'owi, by zachęcić go do realizacji własnych marzeń.

Paczuszka przewiązana wstążką z niebieskiego atłasu trafiła do przygotowanego pudła na kapelusze. Tess zamierzała jechać do Blackthorn, bo tam był jej syn i tam zaprosił ją Jack. Poza tym nie miała dokąd się udać i nie potrafiła sobie wyobrazić rozłąki z Jackiem.

Pukanie do drzwi jej nie zaskoczyło, lecz mimowolnie się wzdrygnęła. Gdy Jack wchodził, pośpiesznie osuszyła dłonią mokre policzki i przykryła podróżne pudło.

Jack ubrany był w skromną, czarną koszulę i spodnie. Miał rozchełstany kołnierzyk, na jego policzkach pojawił się cień zarostu. Wydawał się

zmęczony, jego włosy były zmierzwiłone, jakby nieustannie przeczesywał je palcami. Patrząc na niego, od razu pomyślała o Jacques'u oraz o tym, że pewnego dnia i on będzie łamał niewieście serca, całkiem jak jego ojciec.

Jack patrzył na nią niepewnie – zapewne starał się ocenić jej nastrój lub zastanawiał się, czy całkiem się załamała. W końcu była świadkiem gwałtownej śmierci ojca, a także jego pośpiesznego pogrzebu. Może nawet podejrzewał, że jest bez serca, gdyż nie uroniła ani jednej łzy, choć po córce spodziewano się rozpaczki. Cóż, nie mogła być aż taką hipokrytką.

– Nic mi nie jest, Jack – powiedziała, zanim zdążył zapytać. – A jak ty się czujesz?

– Podejrzewam, że obojgu nam zdarzało się czuć lepiej niż w tej chwili.  
– Uśmiechnął się do niej. – Wykąpałaś się?

Popatrzyła na wannę, która wciąż stała w kącie pokoju.

– Tak, dziękuję – powiedziała. – Panu Carstairsowi również. To naprawdę uprzejmie z jego strony. Ze strony was obu.

– Dickie to poczciwy człowiek. Jego cioteczna babka pewnie wkrótce umrze.

– Co takiego? – zapytała Tess, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Ach, przepraszam. Rozmawiałem na dole z Willem. Powiedział mi, że Dickie być może wkrótce odziedziczy skromny majątek, więc odejdzie ze służby. Will... zamierza poszukać nowej wojny, tym razem w Wenezueli. Ponieważ obaj mają co innego do roboty, ja chyba też powinienem coś sobie znaleźć. Sam nie wiem. Niewiele potrafię poza tym, co robiłem dotychczas.

– Rozumiem – powiedziała Tess bez przekonania. Nadal nie była pewna, o co mu chodzi. – Sądzisz, że lord Liverpool na to pozwoli? Może przyzna ci emeryturę i własne, małe więzienie, takie jak to? – Poczła przyływ paniki. – Może właśnie to?

– Nie. – Jack pokręcił głową. – Bękarty nie dostają takich posiadłości. Sinjon dostał emeryturę i ten dom przede wszystkim po to, by ugłaskać nowego francuskiego króla. Will twierdzi, że jesteśmy tylko płótkami i że Liverpool chętnie się nas pozbędzie. Poza tym dom przy Half Moon Street też nie należy do mnie. Właściwie nie mam się czym pochwalić po tych wszystkich latach pracy z Sinjonem i dla Korony. Nie dysponuję też żadnymi umiejętnościami poza pewną zdolnością do prowadzenia intryg.

Tess w końcu pojęła, dokąd zmierza ta dziwna rozmowa.

– Jak rozumiem, wkrótce trafisz pod most?

– Nie da się wykluczyć takiej ewentualności – przyznał. – Ale mam nadzieję, że nieprędko to nastąpi.

– Nie masz jednak gdzie mieszkać, podobnie jak ja – powiedziała, czując, że właśnie tego od niej oczekiwał. – Mamy też syna i trzeba go wziąć pod uwagę. Dlatego sędzę, że teraz wyruszymy do Blackthorn, z nadzieją, że przyjmą nas tam przynajmniej na pewien czas.

– To byłoby... praktyczne.

– Praktyczne – powtórzyła Tess. – Rozumiem. I nie ma to nic wspólnego z człowiekiem, który zadeklarował, że jest twoim ojcem. Na pewno nie chodzi ci o konfrontację z matką w sprawie okoliczności twoich narodzin i niewątpliwie Cyril nie ma nic do rzeczy. Naturalnie, rozumiem.

– A także nie ma z tym nic wspólnego fakt, że nasze zapowiedzi wkrótce zostaną ogłoszone po raz drugi. Skąd. Oczywiście, że nie. Tak po prostu wypada. Gdy skończymy tutaj, odwiedzimy Blackthorn, i tyle. Mówiłem ci już, Tess, że nie zamierzam cię o nic prosić, zwłaszcza w takiej chwili.

– No tak, wkrótce będziesz sypiał pod mostem. A zwłaszcza... O co tak naprawdę chodzi, Jack?

„Zwłaszcza” jakie problemy teraz widzisz? Poza tym, że Cygan może być twoim ojcem? To nie ty położyłeś kres istnieniu Sinjona, jednak niewykluczone, że twój ojciec zabił mojego brata. Jeśli to rzeczywiście twój ojciec. – Popatrzyła na podłogę, potem na sufit i w końcu w oczy Jacka. – Potrafisz być naprawdę upartym głupcem.

– Najwyraźniej. – Podeszedł do łóżka i uniósł wieko pudła na kapelusze, zanim Tess zdążyła cokolwiek zrobić. – Pakujesz się?

– Wyjeżdżamy rankiem, prawda? A może uważasz, że powinniśmy tu zostać, dopóki ktoś nie przywali wielkim głazem jego grobu, żebyśmy zyskali pewność, iż z niego nie wstanie?

Jack popatrzył na Tess, zdumiony nagłą stanowczością w jej głosie.

– Nie musisz mi udowadniać tego, co wiem. Tak, lepiej dla niego, że nie żyje. Pamiętaj tylko, że ten człowiek do niedawna przesłaniał ci cały świat.

Tess odebrała mu wieczko i postawiła pudło na podłodze.

– To się zmieniło, gdy zrozumiałam,, za co zginął René. Przyznaję, że trudno mi było uwierzyć w twoje słowa, ale nie sposób podawać w wątpliwość faktów. W tym domu znajdowała się kolekcja dzieł sztuki, której zapewne już nigdy nie odnajdziemy. Może jest już na jakimś statku, kto wie.

Jack oparł się o łóżko.

– Nie sądzę – mruknął. – Moim zdaniem wolał mieć te przedmioty blisko siebie, zwłaszcza maskę. Naprawdę myślisz, że zatrudniłby kogoś do przeniesienia kolekcji?

– Nie zawahał się wynająć ludzi, żeby przeprowadzili niebezpieczną akcję porwania jego wnuka, ale nie powierzyłby im swoich skarbów? Cóż, pewnie masz rację. Jego hierarchia wartości różniła się nieco od mojej.

– Nie miał zbyt wiele czasu, żeby zakraść się tu po naszym odejściu i wszystko wynieść– zauważył.

– To oznacza, że zbiory są gdzieś niedaleko. Dickie chce ich poszukać.

– A ja nie– powiedziała Tess natychmiast. – Widziałam je raz i wystarczy. Niech sobie gniją, gdziekolwiek są. – Nagle szeroko otworzyła oczy. – Chyba nie sugerujesz, żebyśmy... Po tym wszystkim, co cię spotkało, chyba nie zamierzasz dalej pracować dla Korony, prawda? Niech cię diabli porwą, Jack! To po prostu nieprzyzwoite!

– I bardzo obraźliwe. – Oderwał się od łóżka. – Wątpię, by Koronie udało się wytłumaczyć, dokąd powinna trafić kolekcja, a zresztą zapewne nikt by nie próbował. My moglibyśmy przynajmniej wydobyć zbiory z ciemności, w których trzymał je Sinjon, i pokazać światu. To relikty dawnych czasów, dzieła sztuki, historia. Można by sprezentować je Królewskiemu Muzeum Brytyjskiemu ku pamięci René Louisa Jeana– Baptistea Fonteneau, wicehrabiego Vaucluse. Korona dowie się o tym, kiedy klamka już zapadnie i Liverpoolowi oraz jego ludziom nie pozostanie nic poza robieniem dobrej miny do złej gry.

Tess nieoczekiwanie zalała się łzami. Wszystkie dni i wszystkie lata nagle zbiegły się w jej pamięci, tworząc kalejdoskop bólu, wspomnień, rozczarowań i utraconych marzeń. Wtedy też, wbrew wszystkiemu, dostrzegła światełko na końcu mrocznego tunelu. Wreszcie nadarzała się sposobność, by uczynić coś naprawdę dobrego. Ugięły się pod nią kolana.

– Och, Jack... – westchnęła.

Znalazł się przy niej w ułamku sekundy i przytulił ją, gdy płakała. To były oczyszczające łzy.

– Dziękuję... Dziękuję– powtarzała raz za razem.

– Już dobrze, kochanie– uspokajał ją. Następnie wziął na ręce, przeniósł do łóżka i ostrożnie ułożył w pościeli. – Teraz śpij tyle, ile zechcesz. O wszystkim pomyślimy jutro.



Otoczyła jego szyję ramionami.

– Nie, proszę. Nie zostawiaj mnie. Nie dzisiaj.

– Tess... – Pochylił się i pocałował ją w czoło.

– To jeszcze nie koniec. Andreas, gdziekolwiek się skrywa, nie wpadł tu na kawę i ciastka. Zjawił się po kolekcję. Wróci, a jeśli go nie uprzedzimy, znajdzie ją pierwszy. Wiesz, że ja muszę go odnaleźć. Nie możemy tego tak zostawić. Powinienem spotkać się z Adelaide i zażądać wyjaśnień.

– Ale to dopiero jutro... – Popatrzyła błagalnie w jego ciemne oczy. – Tyle rzeczy trzeba zrobić jutro, sam mówiłeś. Czy dzisiaj nie możemy być tylko we dwoje? Bez żadnych cieni, pytań, bez przyszłości i przeszłości. Tylko my sami, Jack. Tylko my...

Dostrzegła czułość na jego surowej twarzy. Dotknęła palcami policzka Jacka, a on zamknął oczy i przełknął ślinę. Tess pocałowała go delikatnie i znów zebrało się jej na płacz, tym razem jednak z radości.

Gdy uniósł głowę, ujął jej ręce, a Tess usiadła i przysunęła się bliżej. Przez uchylone okna sączył się blask księżyca, a przyciszony szum drzew w nocy towarzyszył powolnemu narastaniu pożądania u dwojga spragnionych miłości ludzi.

Jack obsypywał pocałunkami ręce, szyję i piersi Tess, gdy pośpiesznie rozpinęła guziki jego koszuli. Po chwili położył ją na łóżku i przywarł do niej mocno, by mogli stać się jednością.

– Tym razem zrobimy to, jak należy, Tess – wyszeptał, wchodząc w nią. Jego słowa były zarazem prośbą, jak i obietnicą. – Musimy to zrobić dobrze.

Zamknęła oczy, przytłoczona nawałnicą odczuć i emocji. Jack odsłaniał swoje wrażliwe oblicze wyłącznie w chwilach takich jak ta.

– Uda się nam – potwierdziła, bliska ekstazy. – Na pewno będzie, jak trzeba...



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tunel ze spiżarni rozpoczynał się za szafą w schowku kamerdynera, co było interesujące, ale nieszczególnie przydatne. Do dwóch kamiennych komnat w piwnicy prowadziło jedno wejście z gabinetu, przynajmniej wszystko na to wskazywało.

Po bezowocnym, frustrującym dniu poszukiwań gdzie indziej, ostatniej nocy Tess uparła się, żeby ponownie zajrzeli do tych pomieszczeń. Z początku nie chciała nawet oglądać kolekcji Sinjona, teraz jednak wręcz dostała obsesji na jej punkcie. Jeśli w ogóle pomyślała o tym, że pragnie powrotu ojca do życia, to tylko po to, by przystawić mu pistolet do głowy i zażądać informacji o miejscu przechowywania zbiorów.

Drugiego dnia stanęła pośrodku pomieszczenia, w którym niegdyś znajdowała się kolekcja, i patrzyła na puste półki.

– Możesz to sobie wyobrazić, Jack? – westchnęła. – Sinjon przychodził tu z kandelabrem, siadywał na tym krześle, w wilgoci i chłodzie, aby tylko patrzeć? Co on tu robił? Myślisz, że wspominał każdą kradzież, odtwarzał w pamięci, jak wybierał przedmiot pożądania, tygodniami, a może miesiącami planował rabunek, a potem go przeprowadzał? Jak sądzisz, czy bardziej kochał te wszystkie przedmioty, czy samo planowanie?

Jack oparł się o drzwi.

– A jakie to ma znaczenie? – burknął.

Wydawał się zmęczony i zirytowany. Tess czuła, że jeśli nie zachowa ostrożności, lada chwila się pokłóca, by dać ujście frustracji.

– Nie, chyba nie ma – przyznała. – Nie rozumiemy, bo nie myślimy w taki sposób jak on.

– Bogu dzięki.

– Nie w tej chwili. Teraz musimy myśleć tak jak on. Raczej nie wyjawiał niczego Cyganowi.

– Może i mu coś powiedział, ale na pewno nie prawdę. Andreas teoretycznie mógłby zacić się nieopodal i czekać, aż sami znajdziemy zbiory, dzięki czemu oszczędzilibyśmy mu kłopotu. Zastanawiałaś się nad tym, prawda?

– I to nie raz. – Tess powiodła palcami po kamiennej ścianie najbliższej półek. – Cieszę się, że Will i Dickie zgodzili się zostać przez kilka dni. Nie możemy opuścić tego miejsca, dopóki się nie dowiemy, czy nie została tu kolekcja. Na pewno nie wolno nam zawezwać z powrotem służących – nie mamy pewności, czy któryś z nich nie pozostaje na usługach Liverpoola. Musimy znaleźć kolekcję, nim premier się o niej dowie. To po prostu konieczność.

– Will wyjeżdża jutro, aby uporządkować sprawy przed wypłynięciem.

– Naprawdę chce odpłynąć? – westchnęła. – To takie niebezpieczne.

– Dla Willa to bułka z masłem. Bez tego nie mógłby żyć. – Jack wziął od niej latarnię.

– A ty nie będziesz za tym tęsknić? – spytała, patrząc na niego uważnie.

– Wiem, że emocje związane z tą pracą mogą uderzyć do głowy.

– Nie mam pojęcia. Zdołam odpowiedzieć na to pytanie dopiero, kiedy zostanę ich pozbawiony, a do tego punktu jeszcze nie dotarliśmy. I raczej nie dotrzemy, jeśli będziemy tylko stać i gadać o Sinjonie i o sposobie jego myślenia.

– Nie musisz na mnie warczeć – burknęła, po czym przygryzła wargę. – Myślisz teraz o swojej matce, prawda? O pytaniach, które do niej masz? Z pewnością jest ich więcej niż kiedyś.

– Nie, tylko jedno – kim u diaska był lub jest mój ojciec. Przestało mnie interesować, dlaczego zrobiła to, co zrobiła.

– Myślisz, że powie ci prawdę? Może uważa, że ma dobry powód, aby cię okłamywać.

– Adelaide nie potrzebuje żadnych pretekstów do kłamstwa. Porusza się w ramach własnej definicji prawdy. Przeżywa sztukę, która jest zapisana gdzieś w jej głowie, i zawsze obsadza się w głównej roli, czy to komedia, czy tragedia. – Potarł czoło.

– Przepraszam – powiedziała. – Wróćmy do tematu, dobrze?

– Jasne, ale zróbmy to gdzie indziej. Dwukrotnie przejrzelśmy oba pomieszczenia. Dickie i Will obejrzelili fundamenty oraz piwnice i stwierdzili, że są tutaj tylko dwie komnaty. Nie ma miejsca na inne. Sprawdziliśmy też przyległe budynki. Myślę, że wkrótce przyjdzie nam dojść do wniosku, że Sinjon wszystko wysłał w jakieś ukryte miejsce, o którym nic nie wiemy. Mógł też kazać załadować zbiory na statek i też dokądś wysłać. Bardzo mi przykro.

– Masz rację. – Tess zwiesiła ramiona. – Nie ma tu kolekcji. Byłam pewna, że wolał trzymać ją przy sobie. Nie musiał przecież bardziej się starać. Chyba że...

– Chyba że wszystko starannie zaplanował – dokończył za nią Jack. – A wiemy doskonale, że Sinjon tak właśnie by postąpił. Szkoda, że nigdy nie pisał dziennika, aby przechwalać się własnym geniuszem.

Tess z ożywieniem popatrzyła na Jacka.

– Ależ pisał, jak najbardziej. – Wzięła go za rękę i pociągnęła ku schodom do gabinetu. – Mój Boże, naprawdę!.

– Nigdy nie widziałem, żeby prowadził dziennik. – Jack postawił latarnię na biurku. – I Bóg mi świadkiem, że wiele razy słyszałem, jak mówił

o głupocie tych, którzy przelewają myśli na papier. Gdzie są jego zapiski?

Tess zdjęła z ramion chustę, którą się otuliła, żeby nie marznąć w chłodnych piwnicach.

– Na górze, w pokoju dziecięcym– odparła. – Właściwie to nie jest dziennik, lecz opowiadki dla Jacques’a. Można powiedzieć, że to takie krótkie zagadki, bardzo proste historyjki, czasem rymowanki. Pisał na przykład „Gdzie są moje kalosze”, a następnie przedstawiał kilka logicznych kroków, które należy poczynić, aby odtworzyć w pamięci, gdzie się chodziło, i w rezultacie odnaleźć obuwie. „Czy są w garnku w kuchni? Nie, tam ich nie ma”. I tak dalej. Wydawało mi się to urocze, ale potem zorientowałam się, że to pierwsze lekcje Jacques’a, którego dziadek kształtował na swój obraz i podobieństwo.

– To, czego szukamy, to zupełnie inna para kaloszy – zauważył Jack żartobliwie, kiedy szli po schodach do pokoju Jacques’a.

Tess skierowała się prosto do szafy pod oknem w spadzistym dachu i wyjęła z niej dwa dzienniki. Sinjon zaczął pisać drugi z nich jakieś pół roku wcześniej, gdy pierwszy był już w całości zapełniony opowiadkami.

– Zamierzałam je spalić. Proszę, weź ten. Przejrzemy je wspólnie.

Jack rozejrzał się po skromnym pokoiku. Na jednej ze ścian Tess namalowała gospodarstwo rolne.

– Czy to owca? – spytał z ciekawością.

– Akurat ona sprawiła mi najwięcej kłopotów, ale owszem, owca. Jacques ją uwielbia, choć najbardziej podoba mu się kogut.

Jack podszedł bliżej i pochylił się nad malowanym drobiem.

– Kogut... – powtórzył z zadumą. – Jesteś tego pewna?

– Jeśli zamierzasz mnie krytykować...

– Skąd, ani trochę– zaprzeczył i uśmiechnął się złośliwie. – Tyle tylko

że w Blackthorn mamy nieco inne koguty. Skoro Jacques myśli, że powinny wyglądać jak ten na ścianie, to trudno mu będzie uwierzyć w prawdziwość tych... prawdziwych.

Tess ciężko usiadła na skrzyni pod oknem.

– Jacques lubi niebieski kolor. Wiedziałam, że i tak nie uda mi się namalować realistycznego koguta, więc stworzyłam koguta z fantazji.

– Fantazja– mruknął Jack z udawanym zachwytem. Tess miała ochotę przyłożyć mu w głowę dziennikiem, ale się powstrzymała. Gdy usiadł obok niej, oparła nogi o jego kolana i oboje pochylili się nad zapiskami. – Nie wiem, co uda się nam osiągnąć, ale z pewnością wypróbowaliśmy już wszystkie inne metody. – Przewertował strony. – „Żołnierzyc zginął bębenek”. I dokąd poszedł go szukać?

– Jack, czytaj po cichu. Usiłuję się skupić.

– Tak jest, jaśnie pani. – Zatonął w lekturze. Po pięciu minutach uniósł głowę. – Wątpię, abyśmy znaleźli klucz do kolekcji, chyba że Sinjon ukrył wszystko w komodzie z pościelą. Szczerze mówiąc, myślę, że tracimy czas.

– Czy na pewno? Pomyśl tylko, Jack. Sinjon nigdy nie robił niczego z dobroci serca. Pamiętasz, czego nas uczył? Wszystko jest tylko próbą przed tym, co ma nastąpić.

– A roztropny człowiek zawsze planuje – dodał Jack. – Sugerujesz, że powinniśmy szukać kilkunastu małych kryjówek zamiast jednej dużej? Dotąd skupiliśmy się na całej kolekcji, ukrytej w tajnym pomieszczeniu, za ukrytymi drzwiami lub w podwójnej podłodze powozu...

– Gdy tymczasem należy szukać wielu mniejszych schowków, zgadza się. – Tess przewróciła kartkę. – Nie trzeba było interesować się stogiem siana, lecz igłami. – Wstała ze skrzyni. – Do roboty, Jack. Sprawdźmy naszą teorię. Na początek poszukamy najładniejszego fartuszka pokojówki.

– W skrzyni pod oknem? – Ściągnął poduszkę z mebla i uniósł wieko. – Nie ma fartuszka – oświadczył, gdy Tess zajrzała do środka.

– Lubisz grać ludziom na nerwach, prawda? Spodziewałeś się, że ze skrzyni wyskoczy złoty hełm i nas przywita? – Zabrała się do wyciągania zawartości schowka, na którą składały się koce, kilka za małych ubranek Jacques'a, zimowe palto Emilie oraz... – Jack?

– Tak? – Przysunął się bliżej. – Zaraz, zaraz. Tak, widzę. Przesuń się, Tess, spróbuję coś z tym zrobić.

Odsunęła się odrobinę, a Jack uniósł luźną deskę na dnie skrzyni.

– Jest! – krzyknęła Tess. – Co tam masz? – spytała niecierpliwie, gdy Jack wyjmował woreczek z impregnowanego olejem płótna. – Co jest w środku? Sprawdź szybko!

Jack zerknął na nią z rozbawieniem, po czym opuścił wieko i położył na nim woreczek. W nim ujrzeli skarb, którego szukali, a przynajmniej jego część. Łącznie doliczyli się sześciu pierścieni, kilkunastu bransolet i brosz oraz tuzina naszyjników. Niektóre pochodziły ze starożytności, inne liczyły sobie zaledwie kilkaset lat, a wszystkie zrobiono ze złota i kamieni szlachetnych. Na jednej z brosz widniał królewski herb Burbonów.

– Czy to wszystko? – spytała Tess, unosząc mały złoty naszyjnik, który niewątpliwie należał do dziecka, najprawdopodobniej do egipskiej księżniczki. – Kiedyś widziałam całą kolekcję, ale obawiam się, że nie patrzyłam zbyt uważnie, bo w tym samym czasie w myślach przeklinałam ojca.

– Czy to cała biżuteria? Tego nie wiem. – Jack odłożył pierścień do woreczka. – Spójrz na ten. Pamiętam go. Ten brylant jest wielkości gołębiego jaja, na litość boską.

W istocie brylant był gigantyczny, a na złocie widniał grawerunek przedstawiający osobliwe ptaki. Prawdopodobnie nikt nie wkładał pierścienia



od tysięcy lat.

– Jest żółty – zauważyła. – Brylanty bywają żółte?

– Moim zdaniem klejnot takiej wielkości może być dowolnej barwy i nie będzie to nikomu przeszkadzało – zapewnił ją Jack. – Czeka nas jeszcze długa droga, Tess, więc znajźmy Willa i Dickiego. Ile tych przeklętych historyjek spisał Sinjon dla Jacques'a?

– Kilkanaście – odparła Tess, sięgając po impregnowany woreczek i przyciskając go do piersi. – Jack, wiesz, co to oznacza, prawda?

– To oznacza, że jesteś bystrzejsza ode mnie? – spytał z uśmiechem i pocałował ją w policzek.

– No tak, to również – zażartowała. – Ale tak, naprawdę chodzi o to, że Sinjon nigdy nie planował; żadnego wyjazdu. Ukrywał skarby do czasu, gdy rozprawi się z Andreasem i z tobą. Nie prznosił kolekcji wbrew temu, co sądziliśmy, tylko ukrył ją na pewien czas w tymczasowych kryjówkach. Tak naprawdę pragnął dożyć swych dni w tej posiadłości, wśród przedmiotów świadczącym o jego geniuszu.

—A zatem w połowie mu się udało, prawda? – Pokiwał głową. – Zakończył żywot tam, gdzie chciał. Chodź, Tess, jest jeszcze mnóstwo opowiadań do przeczytania i skarbów do odnalezienia. Przy odrobinie szczęścia zdołamy zakończyć pracę już jutro.

Kiedy Will i Dickie ujrzeli zawartość płóciennego woreczka, cała czwórka zgodnie podjęła dwie decyzje. Po pierwsze, Will i Wadsworth mieli wyjechać do Londynu – Will w celu przygotowania się do podróży do Wenezueli, a kamerdyner po to, by sprowadzić Jeremy'ego oraz niewielkie posiłki na wypadek, gdyby Andreasowi przyszło do głowy uwolnić ich od kolekcji w trakcie jej transportu do stolicy.

Po drugie, Will, Tess i Jack mieli wykorzystać dzienniki do



kontynuowania poszukiwań. Jak się okazało, ulubiona wstążka do czepka Emilie symbolizowała parę popiersi ukrytych pod kuchennym zmywakiem. Drewniany bączek Jacques'a, czyli mosiężne misy wysadzone klejnotami, były przechowywane w starej spiżarce. Okrągłe rzymskie tarcze rozmaitych rozmiarów leżały na półkach szafy z bielizną, zaś rzymskie hełmy znalazły miejsce w kurniku, dokąd posłano Dickiego w celu odnalezienia najpiękniejszych pantofelków mamusi.

Kiedy uświadomili sobie, że szukają pojedynczych eksponatów, a nie całego zbioru naraz, na dużym stole w jadalni wkrótce zaczęły się piętrzyć trofea.

Małe złote statuetki egipskich bogów odnalazły się pod najniższym stopniem schodów, prowadzących z podestu na pierwsze piętro. Ciężkie rzymskie napierśniki, owinięte w płótno żeglarskie, skrywały się za belkami na strychu. Misternie wykonane greckie medaliony z mozaikami tkwiły wśród ubrań René w starym marynarskim kufrze w jego pokoju.

– Dobrze, że Sinjon nie miał dziwnej skłonności do zbierania naparstków i tym podobnych bzdur – zauważył Jack, gdy kilka godzin później przeglądali zdobycze. – W takim wypadku spędzilibyśmy wiele tygodni na szperaniu po kątach.

– Jak myślisz, Jack, czy to już wszystko? – spytała Tess. – Skończyły się nam już opowiastki.

Jack pokręcił głową.

– Opowiastki może i tak, ale nie mogę powiedzieć, żeby to było wszystko. Wiem z całą pewnością, czego brakuje.

– Maski Izydy – powiedziała Tess domyślnie.

– Zgadza się. Nie ma już innych dzienników?

Pokręciła głową. Spocona i cała w kurzu marzyła o kąpieli, już nie

wspominając o czymś do jedzenia. Pracowali przez wiele godzin.

– Chyba więc pozostało nam tylko przeszukać wszystko, czego dotąd nie przetrząsnęliśmy. – Zerknęła na korytarz. – Innymi słowy, cały dom. Nigdy nie uświadamiałam sobie, jaki jest duży.

– Mam pomysł– odezwał się Dickie i odstawił egipską lampę, którą pocierał jakby w oczekiwaniu, że wyfrunie z niej dżin. – Skoczę do wsi i przyniosę z karczmy coś na ząb. W tym czasie wy będziecie myśleć, co jak dotąd całkiem nieźle wam wychodzi.

– Wygląda na to, że otrzymaliśmy jasne polecenie – mruknęła Tess po wyjściu Dickiego i wstała.

– Polecenie może i tak, ale nie stoi za nim żaden pomysł – zauważył Jack. – Pierwszego dnia przeszukiwałaś gabinet Sinjona, i to dość gruntownie, co zauważyłem po przybyciu.

– Niestety, bezowocnie.

– Jak rozumiem, nie natrafiłaś na skrytkę pod biurkiem?

Zmrużyła oczy.

– Nie – przyznała z zaciśniętymi zębami. – Skrytki pod biurkiem nie znalazłam. Czy właśnie przy tym schowku dłubałeś tamtego dnia?

– Kiedy stałaś na zewnątrz, usiłując usłyszeć, przy czym dłubię, tak? – Uśmiechnął się.

– Nie musisz mi przypominać wszystkich zdarzeń z tamtego dnia. Powiedz lepiej, na co natrafiłeś w skrytce.

– Na nic takiego – odparł i wyciągnął rękę, aby zachęcić Tess do wyjścia z jadalni. – Od tamtej pory tam nie zaglądałem, przekonany, że nie ma takiej potrzeby. Tak czy siak, schowek jest na tyle duży, aby zmieścić maskę.

Przeszli korytarzem i przekroczyli próg gabinetu, a Tess od razu

podeszła do biurka i zasiadła na krześle ojca.

– Nie pokazuj mi – powstrzymała Jacka. – Chcę się przekonać, czy sama odkryję skrytkę.

Jack stanął z założonymi rękami, jakby przygotowywał się na długotrwałe oczekiwanie.

– Jak sobie życzysz. Tylko poinformuj mnie, kiedy dasz za wygraną.

– Ach, jaki jesteś pewny siebie. Lepiej przypomnij sobie, kto powiązał opowiadki z kolekcją – burknęła, wysuwając środkową szufladę. Delikatnie powiodła palcami po jej wewnętrznych krawędziach. – Myślisz, że zabrał maskę ze sobą na wypadek, gdyby był zmuszony pokazać przykładowy eksponat?

– Niewykluczone. Gdzie jest moja złota maska? Nie ma jej w ubijacze do masła, bo tam jest masło. Nie ma jej w kurniku, bo pełno tam kurczaków i niebieskich kogutów. Nie ma jej na strychu ani też w piwnicy. Gdzie, ach, gdzie jest moja złota maska?

– Ucisz się, Blackthorn – ostrzegła go Tess z napięciem.

Już przejrzała pozostałe szuflady, a teraz uklękła z lewej strony biurka i wsunęła za ucho niesforne pasmo włosów. Następnie dotknęła palcami rzeźbionych rozetek tuż pod wystającą krawędzią blatu.

Nie, rozetki wydawały się zbyt oczywiste, poza tym Jack ciągle sprawiał wrażenie irytująco pewnego siebie. Wstała i podeszła do biurka od frontu, dając Jackowi znać, aby się zbliżył. Po chwili znowu uklękła.

– Wytrwałość to jedna z twoich najlepszych cech, Tess, o ile nie posuwasz się do skrajności – zauważył Jack i podszedł do barku, aby nalać sobie kieliszek wina. – Potrzebujesz wskazówki?

– Nie, nie potrzebuję żadnych wskazówek, do diaska – burknęła, przesuwając się na kolanach do trzeciego boku biurka i powtarzając

ogłędziny. – Uprzedzając twoje pytanie: nie, nie jestem też zainteresowana handlem wymiennym.

– Ach, wielka szkoda. Skoro już klęczysz... Au! Psiakość, Tess, w ten sposób można trwale uszkodzić... mężczyznę.

– Doprawdy? Liczyłam na to, że uda mi się unieruchomić ci organ mowy przynajmniej na kilka minut – oznajmiła i ponownie zajęła się poszukiwaniami, tym razem z uśmiechem na twarzy. Ich nastroje się poprawiły, odkąd zaczęli wydobywać kolekcję z ukrycia, a chwilami byli wręcz rozchichotani. – I nie mów, że nie próbowałeś mnie rozproszyć. Jestem blisko, prawda?

– Odpowiedziałbym, ale mam unieruchomiony organ.

Nagle usłyszała ciche szczęknięcie, towarzyszące naciśnięciu trzeciej rozetki od końca. Nie rozległ się jednak inny dźwięk i nie otworzyła się żadna skrytka.

– Może są dwa zamki – powiedziała Tess, wstając. Obeszła biurko, odszukała trzecią rozetkę i nacisnęła. Coś szczęknęło. Dziwne, że przeoczyła to za pierwszym razem. – A jeśli trzeba je przycisnąć w określonej kolejności? Najpierw tę z lewej, potem tę z prawej? Tak, pewnie o to chodzi.

– Ciepło, ale jeszcze nie gorąco. No, daj spokój, Tess. Pokażę ci. Chyba że jest ci wszystko jedno, czy maska jest w skrytce, czy nie.

– Zależy mi, jak najbardziej, ale chcę rozwiązać zagadkę.

– Życie jest zagadką. Całe życie to jedna zagadka na drugiej. Nie da się rozwiązać wszystkich.

Przycisnęła rozetkę z lewej, potem tę z prawej. Nie stało się nic, więc postąpiła odwrotnie. Znowu nic. Spróbowała ponownie, przesuwając się z jednego krańca biurka na drugi.

– Kto by pomyślał. Zmieniasz się w filozofa, Jack?

– Może. Czymże jest życie? Czymże jest prawda? Czy można być w błędzie, skoro wszystko jest omyłką? Czy Tess kiedykolwiek uświadomi sobie, że musi nacisnąć obie rozetki jednocześnie?

– Do diaska! – Cofnęła się za biurko i pochyliła, rozpościerając ramiona, z nosem przyciśniętym do mebla. Natychmiast się przekonała, że nie ma szansy sięgnąć do obu końców biurka jednocześnie.

– Wiedziałeś o tym! Mam za krótkie ręce. Wiedziałeś, że sama na to nie wpadnę.

– Tak, ale przyjemnie się na ciebie patrzyło. – Stał z lewej strony biurka i położył dłoń na rozetce. – Na trzy.

W tej samej sekundzie opadła listewka u podstawy biurka, a Tess uklękła, by sięgnąć do skrytki. Przez moment sądziła, że czeka ich rozczarowanie, ale sekundę potem palcami dotknęła czegoś, co musiało być płóciennym woreczkiem. Pociągnęła.

– Ciężki – skomentowała, szarpiąc tak długo, aż woreczek się wysunął i mogła go podnieść.

Wtedy sięgnęła do środka i wyjęła przedmiot owinięty w delikatną, bawełnianą ściereczkę, który położyła na blacie.

– Ostrożnie, Tess. Maskę wykonano ze złota, ale rysunek na niej jest wyjątkowo delikatny.

Drżącymi rękami ostrożnie rozłożyła materiał, odsłaniając maskę Izydy.

– Boże, jest piękna – szepnęła. – Jak zdobył coś tak wspaniałego?

Jack wyjął przedmiot z jej rąk i położył go ponownie na materiale.

– To było jego najważniejsze trofeum, sam mi to wyznał. Nie on pierwszy ukradł maskę. Jak twierdził, „pozyskał” ją we Francji. Z tego, co wiemy, zwinął ją sprzed nosa Bonapartemu.

– Który przywiózł do Francji połowę Egiptu, pamiętam. A teraz tym

skarbem nacieszy się Anglia. Szkoda, że Sinjon nie wyciągnął wniosków z tamtej lekcji. Starożytne skarby minionych cywilizacji nie mogą należeć do jednego człowieka, a z całą pewnością nie warto dla nich umierać.

– Ani zabijać – dodał Jack. – O, jest i Dickie. Nareszcie wrócił z karczmy. Jak myślisz, co będzie dzisiaj na kolację? Wiejska szynka i ser, czy też ser i wiejska szynka?

Tess się uśmiechnęła, lecz nagle zamarła. Jack stał odwrócony plecami do drzwi na korytarz, pod przymocowanym do ściany dyskretnym lustrem skierowanym ku frontowi domu. Siedzący przy biurku mógł bez trudu zobaczyć, kto idzie korytarzem, nim ta osoba pojawiła się w drzwiach. Sinjon nie lubił niespodzianek.

– Zaraz będziemy mieli towarzystwo – powiedziała cicho i przykryła złotą maskę. – To Andreas.

Jack lekko skinął głową, gestem dając jej do zrozumienia, by schowała się za biurkiem. Następnie cicho niczym kot wyciągnął nóż zza cholewy i przywarł plecami do ściany przy framudze. Po chwili ponaglił Tess gestem ręki, tym razem niecierpliwie.

Najwyraźniej planował zaczekać, aż Andreas wejdzie do gabinetu, a następnie wyskoczyć na niego i zatopić nóż w jego pierś. Nie był to szczególnie wyrafinowany plan, ale wydawał się sensowny. Problem polegał jednak na tym, że Tess dostrzegła pistolet w dłoni Cygana. Gdyby doszło do szamotaniny, co wydawało się nieuchronne, wynik walki z pewnością okazałby się tragiczny dla Jacka. Mógł zginąć lub zabić człowieka, który prawdopodobnie był jego ojcem. Czy dałby radę żyć z tą świadomością? Być może zawahałby się przed zadaniem ciosu i przyplącił to życiem.

Nie zamierzała stać i biernie czekać, zbyt daleko zaszli. Mieli syna i próbowali ułożyć sobie życie. Nie mogła dopuścić do tego, by przeszłość

wpłynęła na ich związek, już nie. Cygan i tak zbyt wiele jej już odebrał.

Doszła do wniosku, że jeśli zdołałaby zwabić go do pomieszczenia i zdekoncentrować maską, Jack mógłby ewentualnie zyskać przewagę bez rozlewu krwi. Ta perspektywa jednak ją niepokoiła. Choć Tess nienawidziła ojca, niemniej zapewne zadrżałaby jej ręka, gdyby trzeba było go zabić. Rodzic to jednak rodzic.

Najbardziej na świecie marzyła o tym, żeby Andreas po prostu zniknął lub by zlikwidował go ktoś inny, nie Jack.

Wszystkie te myśli przegalopowały przez głowę Tess w zaledwie kilka sekund i podjęła decyzję. Nie ruszyła się z miejsca, wpatrzona w intruza.

– Dickie, to ty? – zawołała. – Widziałeś może Jacka? Jestem tutaj, w gabinecie. Chodź, coś znalazłam. – Starła się mówić jak najspokojniej.

Jack wymamrotał pod nosem coś, co nie zabrzmiało jak komplement.

Andreas – Cygan – pojawił się za drzwiami, ale zatrzymał w korytarzu, w odległości jakichś siedmiu metrów od biurka, całkiem jakby się domyślał, co go czeka, gdy wejdzie do gabinetu. Dziś nie miał na sobie peleryny ani maski, więc Tess dobrze widziała jego twarz, podobnie jak pistolet, którym w nią celował. Być może z takiej odległości by nie trafił, ale wcale nie śpieszyło się jej tego sprawdzać.

– Witam, moja pani – powiedział.

Tess usłyszała coś, na co nie zwróciła uwagi za pierwszym razem. Mówił z bardzo lekkim akcentem europejskim, w zasadzie uroczym.

Cygan, człowiek, który zabił jej brata, a raczej przeprowadził na nim egzekucję, by dać Sinjonowi nauczkę. Człowiek, który mógł być również ojcem Jacka.

Jack dawał jej znaki rękami, a ona dobrze wiedziała, czego chciał. Zastanawiała się, czy Cygan jest na tyle blisko, aby Jack zdążył się odwrócić i



stawić mu czoło.

Niemal niezauważalnie pokręciła głową, dając mu do zrozumienia, że sama się tym zajmie.

– Panie Andreasie, czy ten pistolet jest naprawdę konieczny? – zapytała. Jack zacisnął usta.

– Zastanawiałem się, czy nie przynieść pani bukietu, ale zdecydowałem się jednak na broń – odparł Cygan. – Proszę wybaczyć.

Tess skrzywiła się z pogardą.

– A zatem mój ojciec miał rację – westchnęła. – Rzeczywiście, jest pan ekstrawaganckim głupcem.

Białe zęby mężczyzny błysnęły na tle smagłej twarzy. Tess przemknęło przez myśl, że jego uśmiech przypomina uśmiech Jacka. Cygan był równie wysoki, ciemnowłosy i muskularny, choć znacznie starszy i nawet w połowie nie tak przystojny. Wydawał się bardziej pospolity, wręcz prostacki, jednak w walce Jack wcale nie musiałby mieć nad nim przewagi.

– Tak? A kto dzisiaj wacha kwiatki od spodu, moja pani? – spytał Andreas. – A kto stoi obiema nogami na ziemi i zaraz przejmie całą kolekcję tych ślicznych drobiażdżków?

– Drobiażdżków? – powtórzyła Tess, mimowolnie mocniej ściskając zawiniętą w bawełnę maskę, spuściznę René. Piękno tego przedmiotu już na zawsze było dla niej powiązane ze śmiercią brata. Nie mogła dopuścić do tego, by maska trafiła w ręce Cygana. – Obawiam się, że źle pana poinformowano. Teraz już wiemy, że Sinjon kazał wszystko zapakować do skrzyń i wywieźć do Dover, skąd miały trafić do Aten. Tu nie ma nic. Mogę pokazać panu rachunek za przewóz. Właśnie znalazłam go w ukrytym schowku w jego biurku.

– Kłamstwa nie przystają tak pięknej kobiecie. Grubasowi przed domem

nawet nie chciało się kłamać.

Dickie najwyraźniej zdążył wrócić z wioski.

– Chyba nie zrobił mu pan krzywdy? – zapytała.

– Jest nieszkodliwy.

– Nieszkodliwie sobie śpi. Wcześniej widziałem, jak dwóch innych odjeżdża. Pojechałem za nimi, aż stało się jasne, że zmierzają do Londynu. Gdzie Jack?

Blisko, pomyślała. Ale o wiele za daleko, by zaryzykować starcie z tobą, póki trzymasz pistolet.

– Ma pan na myśli swojego syna?

– O, tak. Mojego niesfornego syna. Mały dowcip Sinjona. Gdzie on jest? Wiem, że w pobliżu.

Zdała sobie sprawę, że właśnie się przyznał do ojcostwa.

– Dokładnie tam, gdzie pan myśli. Stoi tuż za drzwiami, gotów rzucić się na pana w momencie, gdy wejdzie pan po to, co trzymam w dłoniach – oznajmiła, a następnie odwinęła maskę i ujęła ją w rękę. – Dostrzegam wahanie. Nie wierzy mi pan? Dlaczego? Przecież nie kłamię. Sinjon uważał, że najważniejsza jest nagroda. Oto jego przewrotna zemsta – albo ojciec zabije syna, albo syn zabije ojca. Sinjon byłby bardzo szczęśliwy, mogąc widzieć to z trumny. *Mais puis, telle est la vie, oui?*

No cóż, takie jest życie, prawda?

Cygan nawet nie drgnął, lecz uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Nadal wpatrywał się w nią uważnie, za to maski nie zaszczyił nawet jednym spojrzeniem. Po chwili przytknął lufę pistoletu do czoła, jakby bez słowa salutował Tess, a może nawet jej dziękował, i uciekł tą samą drogą, którą przybył.

– Jack, nie!

Jack jednak zerwał się z miejsca i ruszył w pościg, więc Tess wybiegła za nim. Wyhamowała z poślizgiem na marmurze w holu i w ostatniej chwili zobaczyła, jak Andreas galopuje na wielkim karym ogierze. Jack stał z zaciśniętymi pięściami na żwirowej drodze, a nóż drżał, wbity w ziemię u jego stóp.

– Dlaczego? – Odwrócił się do niej z wściekłością w oczach. – Dlaczego, Tess?

– Któryś z was musiałby zginąć.

– Przecież zamordował twojego brata!

– Wiem. – Zamknęła oczy. – Ale jak oświadczyłby Sinjon, to były interesy. Słyszałeś, co powiedział Andreas. Przyznał się do ojcostwa. Musiałbyś więc świadomie zabić swojego ojca, a na to nie mogłam pozwolić.

– Nie mogłaś pozwolić? A kim ty niby jesteś, żeby mi na coś pozwalać albo nie? Mogłem go dopaść.

– Więc dlaczego ten nóż tkwi w ziemi, a nie w jego plecach? Nie jesteś tak biegły w miotaniu jak Will?

Jack patrzył na znikającego w oddali jeźdźca i konia.

– Mogłem go dopaść... – powtórzył.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Kolekcja Vacluse, przekazana ku pamięci René Louisa Jeana-Baptistea Fonteneau, wicehrabiego Vacluse, miała już wiosną zająć honorowe miejsce w Królewskim Muzeum Brytyjskim po tym, jak kustosz, przejęty, zaintrygowany i tylko odrobinę sceptyczny, dokładnie sprawdzi autentyczność zbiorów. Nie zamierzał jednak interesować się, w jakich okolicznościach odnaleziono kolekcję. Był zbyt inteligentny i ambitny, żeby w ogóle zadawać tego typu pytania. Muzeum zapewne w ogóle by nie istniało, gdyby jego pracownicy zadawali darczyńcom niewygodne pytania.

Lady Thessaly Fonteneau w żałobie po niedawno zmarłym ojcu, markizie Fontaine, wręczyła kuratorowi akt przekazania zbiorów przez markiza, a także imponujący dokument z trzema pieczęciami i potwierdzający autentyczność kolekcji, spisany odręcznie oficjalną francuszczyzną. Było to potwierdzenie własności, nadane i osobiście podpisane przez nieżyjącego króla Francji Ludwika XVI zaledwie na rok przed tym, jak stracił głowę na gilotynie.

Poprzedniego wieczoru przy Grosvenor Square Jack osobiście przystawił na dokumencie królewską pieczęć i doszedł do wniosku, że to jedno z jego najdoskonalszych dzieł. Jednak to Tess, przepiękna Francuzka o nienaganych manierach i gracji, zapewniła królewskiego kustosza o miłości zmarłego ojca zarówno do kolekcji, jak i do syna. Wspomniała też o jego uwielbieniu dla kraju, który przyjął jego małą rodzinę dwadzieścia lat wcześniej. Wszystko to razem sprawiło, że markiz postanowił bezinteresownie przekazać nowej ojczyźnie cenne zbiory.

Nikt nie zamierzał sprawdzać pochodzenia kolekcji, aby nie dać

Liverpoolowi okazji do podważenia prawa lady Thessaly do zbiorów. Nie ulegało wątpliwości, że w Whitehall słychać było głośnie pomstowanie i zgrzytanie zębów, ale w ostatecznym rozrachunku Liverpoolowi nie pozostało nic innego, jak tylko milczeć.

Gdy odjeżdżali z muzeum, Tess położyła rękę na ramieniu Jacka i podziękowała mu za wszystko. Popatrzył na jej dłoń, a gdy ją cofnęła, zastukał w dach powozu laską, dając znak stangretowi, by się zatrzymał. Wtedy wysiadł, a następnie przeszedł na piechotę całą drogę na Grosvenor Square.

Następnego ranka wyjechali do Blackthorn, ale tym razem Jack w ogóle nie wsiadł do powozu, postanowiwszy przebyć drogę na koniu.

Minęło już pięć dni, odkąd Tess ostrzegła Andreasa i pomogła mu umknąć przed gniewem Jacka i jego pytaniami. Tyle czasu wystarczyło, by Jack zdał sobie sprawę, że działała w jego interesie. Zrozumiał też, że być może ocaliła mu życie, a już na pewno uchroniła przed popełnieniem błędu, z którym nigdy by się nie pogodził.

Teraz stanął oko w oko z dylematem starym jak świat, a dotyczącym wojny płci. Musiał znaleźć sposób na powrót do punktu wyjścia i jednocześnie nie przyznać się do błędu. Nie wolno mu było również dać się wciągnąć w dyskusję na ten temat, gdyż z doświadczenia wiedział, że kobiety lubią w nieskończoność omawiać każdy najdrobniejszy szczegół, zwłaszcza kiedy mają rację.

Nie przywykł do słuchania kogokolwiek poza samym sobą ani też do martwienia się o innych. Kiepsko sobie radził ze słuchaniem cudzych poleceń, wolał sam podejmować decyzje, ale teraz miał syna, a także kobietę, z którą pragnął spędzić życie. Bez niej czułby się fatalnie i nie mógł wrócić do tego, co było wcześniej, zanim pojawiła się Tess i Jacques.

Cztery lata temu myślał, że ją kocha, ale to nie była miłość. Na pewno nie taka jak teraz. Po prostu jej pragnął, pożądał. Wziął ją, bo chciał, a potem zostawił. Zdołał nawet wytłumaczyć sobie, że lepiej jej będzie bez niego, a jemu bez niej, bez żadnych więzów uczuciowych.

Teraz bywało, że irytowała go do tego stopnia, że miał ochotę ją udusić, ale sama perspektywa spędzenia życia z dala od Tess była niemożliwa do zaakceptowania. Teraz stanowiła część niego samego, a on część niej.

Powinien być na nią zły, bo przewróciła mu życie do góry nogami. Zachowywał się jak osioł, a przecież kiedyś był całkiem inteligentnym, rozważnym człowiekiem. Fakt, że się nie myliła, nie miał nic wspólnego z jego obecną sytuacją. Tego Jack był pewien. Po prostu nie mogła wiedzieć, że...

– Niech to diabli, jestem idiotą! – wrzasnął.

Zawrócił konia i popędził do powozu, po czym dał znać woźnicy, by zjechał na pobocze. Zsiadł z konia i wręczył wodze lokajowi, by ten dosiadł wierzchowca, a sam wskoczył do powozu i zastukał, by ruszali dalej.

– Moja droga – zaczął, gdy Tess spojrzała na niego ze zdumieniem. – Mam dosyć tego, że ze mną nie rozmawiasz.

– Ja? Nie rozmawiam z tobą? – Szeroko otworzyła oczy.

– No właśnie – przytaknął. – Nie pozwolę na to.

– Jacku Blackthorn, akurat o to nie musisz się martwić. Mogę mówić ci rozmaite rzeczy, lecz zacznę od tego, że to nie ja z tobą nie rozmawiam, tylko ty zachowujesz się jak osioł, choć podjęłam jedyną słuszną decyzję...

– Wiedziałem! – westchnął i opadł na siedzenie.

– Nie wystarczy ci wygrana. Musisz jeszcze wdeptać mnie w błoto, wytykając oczywiste.

Tess zamknęła oczy, jakby próbowała dostrzec logikę w jego słowach.

– Co takiego robię? – spytała w końcu.

– Nic szczególnego. To tylko taka kobieca przywara. Rozumiem i wybaczam – oświadczył wspaniałomyślnie.

– Wybaczasz. – Tess nie wierzyła własnym uszom. – Co takiego?

– Nie musisz mi dziękować. – Kąciki jego ust zadrżały. Powinien był na to wpaść wcześniej. Należało zbić ją z tropu zupełnie nedorzecznym zachowaniem. – Możemy puścić to w niepamięć.

– Doprawdy? – Przechyliła głowę, patrząc na niego nieufnie, jakby obawiała się, że lada moment na ustach Jacka pojawi się piana. – Rozumiem, że wybaczasz mi też, że próbowałam znów o tym wspomnieć.

– Tak jest.

– Chociaż wiesz, że miałam rację.

– Oho! – Żartobliwie pogroził jej palcem.

– A tak, zapomniałam. Kobieca przywara. Ale ponieważ jestem kobietą, może i to mi wybaczysz? Przecież mężczyźni nie mają żadnych przywar, prawda?

– Ani jedna nie przychodzi mi do głowy – odparł. Zastanawiał się, czy zasłaniać okna, aby nie widzieli ich inni podróżni na drodze.

– Poza tępym uporem, tak? – zapytała słodko.

– Być może – zgodził się.

– No tak, być może. Patrzysz na te zasłony, jakbyś się zastanawiał, czy same opadną na okno.

Jack poczuł, jak płoną mu koniuszki uszu.

– Pewnie byś się zdumiała, jak bardzo byłbym gotów cię przeprosić, gdybyś usiadła na mnie okrakiem.

– Jack!

– Och, bardzo przepraszam. – Ten tupet zdumiał nawet jego samego. –



Nie wierzę, że to powiedziałem.

– A ja bardziej wierzę, że powiedziałaś to, co teraz, niż to, co mówiłaś przez ostatnie pięć minut. Albo pięć dni – oznajmiła, a następnie uśmiechnęła się szeroko.

– Tess?

– Zajmij się tym oknem, a ja tamtym. A potem wreszcie zamilcz, Jack, bo teraz naprawdę masz szczęście. Szczęściarze nie powinni ryzykować, że skończy się ich dobra passa.

Tess patrzyła, jak jej syn biegał po ogromnym apartamencie dziecięcym, pokazywał jej jedną zabawkę po drugiej, w tym tę ukochaną – konika na biegunach. Nie była tylko pewna, co myśleć o tym koniku, gdyż zrobiony był z prawdziwej końskiej skóry.

Zdumiewał ją rozmiar apartamentu dziecięcego w Blackthorn. Składał się on z aż pięciu pomieszczeń, w tym ślicznego saloniku, który Emilie zagarnęła dla siebie i wypełniła kwiatami z olbrzymiej oranżerii na terenie posiadłości. Były tam jeszcze trzy inne sypialnie, a Jacques zajął tę, w której sypiał jego ojciec w dzieciństwie. Jacques powiedział jej o tym z wielką dumą, po czym zachichotał i poprowadził ją do okna, żeby pokazać, gdzie Jack wydrapał swoje imię na parapecie.

Wszystko było bardzo dziwne. Bękarty wychowane jak prawdziwi dziedzice, otoczone tym, czego nie mogły odziedziczyć. To zakrawało na okrucieństwo.

A teraz syn Jacka chodził śladami ojca i najwyraźniej przywykł już do wystawnego życia, zupełnie jakby się tu urodził.

– **Maman!** Patrz, jak galopuję! Galopuję, galopuję, galopuję!

Odwróciła się i ujrzała, jak jej syn z całej siły buja się na koniku.

—**Jacques, fais attention, ou tu galoperas sur votre tête!**

– Niemądra *maman* – oświadczył chłopiec ze śmiechem. – Nie można galopować na głowie.

– Właśnie o to chodzi. – Zdjęła go z siodła i postawiła na podłodze, po czym uklękła, by przytulić go z całej siły. – Bardzo za tobą tęskniłam. A ty za mną, kochanie?

– Tak, *maman*. – Zaczął się wiercić. – Będą ciastka? Czy nie pora na ciastka?

– Tylko o tym myślisz, młody człowieku? – Żartobliwie szturchnęła go w brzuch. – O napelnianiu brzuszka?

– Dziadek mówi, że młody dżentelmen nie powinien się przejmować niczym innym – oświadczył Jacques z powagą. – A ja jestem młodym dżentelmenem, *maman*. Dziadek też tak mówi. Dużo myślę o moim brzuszku!

Wzięła go za rękę i poprowadziła do skrzyni pod oknem. Przez chwilę wspominała inną skrzynię i to, co w niej się znajdowało. Przeszłość, która nie była aż tak odległa, zdawała się zacierać w jej pamięci.

– Nie dręczysz dziadka, prawda? Jesteś uprzejmy, kłaniasz mu się i uważasz, żeby nie deptać mu po nagniotkach?

– Tak, *maman*. Jestem cudowny. Dziadek sam tak mówi.

– Jest więcej niż cudowny. To najbardziej uroczy młody człowiek pod słońcem.

Tess odwróciła się, by spojrzeć na młodą kobietę, która weszła do pokoju. Była to szczupła blondynka o interesujących, szaroniebieskich oczach i wesołym uśmiechu.

– Nazywam się Chelsea Blackthorn – powiedziała. Jack wysliznął się z objęć matki i podbiegł uścisnąć kolana kobiety. – Jestem żoną Beau. A pani jest lady Thessaly. Jack wspomniał, że przyjdzie pani prosto tutaj. Na pani

miejscu uczyniłabym to samo. Witamy w Blackthorn.

Tess wstała i przyjęła wyciągniętą rękę Chelsea.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Tess. Dziękuję, że zgodziliście się zaopiekować Jacques'em pod moją nieobecność. Chociaż tak naprawdę pewnie w ogóle się nie zgodziliście, prawda? Jack po prostu go tu przysłał.

Chelsea roześmiała się szczerze.

– Jacques wpadł do domu na ramionach Pucka i natychmiast podbił nasze serca. – Po chwili spoważniała. – No, większość naszych serc. Czy Jack rozmawiał z tobą o Adelaide? O swojej matce?

Tess natychmiast spoważniała.

– Wspomniał o niej – przyznała ostrożnie. – Jest tutaj?

– W chatce. Obawiam się, że od przybycia Jacques'a jej noga nie postąpiła w głównym budynku. A może raczej mówię to z ulgą, choć nie powinnam, lecz jeśli Jack opowiadał ci o matce, to na pewno wiesz, co się tu dzieje.

– Świadomość pewnej kwestii, a zrozumienie jej to dwie całkiem odmienne sprawy – oznajmiła Tess, starannie dobierając słowa

– Zgadzasz się z tobą. – Chelsea pochyliła się i popatrzyła na Jacques'a.

– W korytarzu minęłam Letty, młody człowieka. Niosła twój podwieczorek do pokoju Emilie. Zauważyłam ciasteczka z pięknymi, różowymi kwiatkami.

Jacques spojrział na drzwi do pokoju piastunki, po czym zrobił dwa kroki w ich kierunku. Nagle się odwrócił i uklonił Chelsea.

– Dziękuję, ciociu Chelsea – powiedział grzecznie, a potem spojrział na Tess. – *maman?*

– Jestem pewna, że na tacy jest również owsianka, Jacques. Którą, naturalnie, zjesz na początku?

– *Oui, Maman! Chaque dernière cuillère– et puis les gâteaux!*

– Może być pół owsianki, a potem ciastka. Idź, proszę. – Odpędziła go żartobliwie i popatrzyła, jak gna na krótkich nóżkach, wołając Emilie. Koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego nie powiadomiono go wcześniej o podwieczorku. – Arogancki jak jego ojciec – westchnęła, kręcąc głową, i skierowała wzrok na Chelsea. – Chyba wystarczająco długo się tutaj ukrywałam. Powinnam poszukać jego lordowskiej mości i podziękować mu za wspaniałomyślność.

– Och, nie przejmuj się Cyrilem ani całym tym ceremoniałem. Tworzymy dość dziwną rodzinę. Powiedziałabym, że nawet wyjątkowo dziwną.

Tess tylko skinęła głową, a Chelsea przewróciła oczami.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Tess natychmiast, wychodząc za nią z pomieszczenia.

– Nic – odparła Chelsea, schodząc na parter. – Liczyłam na ploteczki, ale jesteś tak niesłychanie dobrze wychowana, że ignorujesz moje beczelne aluzje. Cóż, będę musiała wprowadzić do naszego kółka Reginę. Namówiłaby Sfinksa na pogawędkę. – Zatrzymała się na dole schodów i odwróciła do Tess. – W ogóle nie jesteś ciekawa? Chodzi mi o Adelaide, a właściwie o całą sytuację. Bo my okropnie interesujemy się tobą i Jackiem. Jack ma syna? Nie wiedzieliśmy nawet na pewno, czy jest człowiekiem. Regina i ja uznałyśmy, że musisz być najdzielniejszą kobietą pod słońcem – albo zupełnie obłąkaną. To też brałyśmy pod uwagę.

Tess wybuchnęła śmiechem, idąc za Chelsea szerokimi korytarzami, które prowadziły do prywatnych komnat.

– Jack twierdził, że cię polubię – oznajmiła, gdy weszły do przedpokoju, oddzielonego kotarą od wielkiej sypialni. Młoda ciemnowłosa osoba, pochylona nad misą z ewidentnie bezcennej porcelany, właśnie do niej

wymiotowała.

Chelsea natychmiast do niej podbiegła i położyła jej rękę na plecach.

– Wszystko w porządku, Regino. Ale ostrzegałam, prawda? Nieważne, że je uwielbiasz, choć nie pojmuję, jak ktokolwiek może brać do ust solone i wędzone śledzie. Powinnaś wybierać to, co ma największą szansę pozostać w twoim żołądku po zjedzeniu.

Kobieta o imieniu Regina najwyraźniej była żoną Pucka. Wymamrotała coś, czego Tess nie zrozumiała i co rozbawiło Chelsea.

– Będiesz mogła jeść, zaręczam. Tylko nie przez kilka najbliższych tygodni. Spójrz na mnie, na litość boską. Teraz sama nie mogę przestać jeść, a przecież wiesz, że jeszcze w zeszłym miesiącu było zupełnie inaczej. Tess, powiedz jej. Będzie lepiej, prawda?

Tess obserwowała, jak Regina Blackthorn odsuwa od siebie misę i przyklepuje ciemne, zwisające w strąkach włosy. Potem żona Pucka spojrzała na gościa, który stał się przypadkowym świadkiem jej napadu nudności.

– Będzie lepiej. Raz zjadłam całego pieczonego kurczaka– przyznała Tess. – Na jedno posiedzenie. Całego kurczaka w sosie śliwkowym. Był niebiański.

Regina podeszła do innej misy, nalała wody, po czym obmyła ręce i twarz.

– To bardzo miłe, choć nieco niepokojące – mruknęła. – Dziękuję.

– Proszę bardzo. Polecałabym teraz herbatę, o ile zdoła pani cokolwiek wypić. Może usiądziemy? Poznamy się bliżej i pogawędzimy o Jacku, bo naprawdę uwielbiam o nim mówić, a także o Adelaide, bo chyba powinnam wiedzieć więcej, niż Jack raczył mi zdradzić. A potem o wszystkim, co przyjdzie do głowy Chelsea i o czym chciałaby poplotkować.

Młode kobiety wymieniły uśmiechy.

– Puck mówił, że cię polubię – oznajmiła Regina, gdy Chelsea pobiegła po pokojówkę. – Już cię polubiłyśmy, ja i Chelsea, bo zrobiłaś z Adelaide babcię, zanim któraś z nas miała tę okazję. – Spoważniała. – Kiepsko to przyjęła.

– Tego już zdążyłam się domyślić. – Przeniosły się do uroczej alkowy z krzesłami obitymi tkaniną w pasy i z widokiem na malowniczy staw. – Chelsea poinformowała mnie, że Adelaide skryła się w swojej chatce.

– Skryła? Och, unikaj tego słowa. Powiedz raczej, że oddaliła się, by dawać upust artystycznym zapędom, przygotowując się do pełnego sukcesów tournée ze swoją wędrowną trupą aktorską. Wyjeżdża za dwa dni, i dobrze. Biedny Cyril. Jednocześnie pragnie jej wyjazdu i musi błagać, by została. Ciężko się na to patrzy.

– Hola, Regino, zaczęłaś beze mnie! – wykrzyknęła Chelsea i przyłączyła się do obu pań. Siadając, uśmiechnęła się do Tess. – Na korytarzu widziałam Jacka. Szedł do pokoiów dziecięcych. Wytłumaczyłam mu, że my, damy, chcemy nieco odpocząć przed kolacją i lepiej się poznać. Wydawał się przerażony. Zabawne, prawda?

Tess usiadła wygodniej, a nawet ośmieliła się zsunąć pantofelki i podkulić nogi. Przejmowała się spotkaniem z tymi dwiema kobietami, przejmowała się wszystkim, co było związane z Blackthorn, ale najbardziej właśnie nimi. Nigdy nie miała przyjaciółek, tylko brata, i przez ostatnie cztery lata czuła się niezwykle samotna w posiadłości ojca.

Nie wiedziała, czego się spodziewać i czego od niej oczekiwano. W końcu była jedynie kochanką Jacka, niezameżną matką jego syna. Już po godzinie od przybycia przekonała się jednak, że powitano ją z otwartymi ramionami i nie mogła się nadziwić, czego tak się obawiała.

– Jack przerażony? O, tak. – Tess popatrzyła na pokojówkę, która

weszła do komnaty, niemal uginając się pod ciężarem tacy. – Rzeczywiście, to bardzo zabawne.

– Witaj, matko.

Jack stał pod drzewem i patrzył na Adelaide, która przechadzała się po ogrodzie swojej krytej strzechą chatki. Była to idiotyczna nazwa dla równie idiotycznego budynku, na którego budowę namówiła Cyrila. Konstrukcja przypominała wiejską chatkę w takim samym stopniu, jak Serpentine w Hyde Parku jezioro – była zbyt idealna na prawdziwy domek. Stanowiła raczej wyobrażenie chatki, jakby element sceniczny.

Adelaide była drobna, apetycznie zaokrąglona, lecz kości miała delikatne jak u ptaka – wydawało się, że są wypełnione powietrzem. Sprawiała wrażenie lekkiej i kruchej, nie chodziła, lecz frunęła, a za każdym razem, gdy otwierała różane usta, rozlegał się słodki śpiew. Jej skóra była niczym świeża śmietanka, uśmiech zawstydział słońce, a śmiech sprawiał, że anioły łkały z zazdrości.

Jack uważał ją kiedyś za najpiękniejszą istotę na świecie. Teraz wydawała mu się stworzeniem dziwnym i skomplikowanym, pod wieloma względami idealnym, lecz pozbawionym serca.

Adelaide nie uprawiała ogródka przy chatce, nie zniżyłaby się do fizycznej pracy, za to chętnie pozowała w ogrodach pielęgnowanych przez kogoś innego. Czasem przechadzała się w stroju pastreczki z laską ozdobioną dużą żółtą kokardą, podczas gdy ogrodnik poganiał jagnię, by dla niej skakało – uparcie twierdziła, że jagniątko powinny podskakiwać. Wołała do siebie synków, obsypywała ich pocałunkami, tuliła do pachnącego dekoltu, deklarowała wielką miłość, a następnie przeganiała ich, gdy tylko ośmielili się reagować jak zdrowi, niesforni chłopcy.

Dla niej cały świat był sceną.



Gdy tak stał i na nią patrzył, rozwiązała wstążkę ogromnego słomkowego kapelusza i potrzęsła sięgającymi niemal do pasa blond lokami. Zawsze były tak jasne, że niemal białe. Za dnia zwykle nie wychodziła z odkrytą głową, gdyż światło słoneczne bezlitośnie ujawniało upływ czasu na jej twarzy.

Mimo to właściwie wyglądała tak samo jak dziesięć lat wcześniej, gdy Jack widział ją po raz ostatni. Przechyliła głowę na bok i zaczęła przyczesywać włosy palcami, odsuwając je od twarzy w kształcie serca, być może próbując rozjaśnić je słońcem.

Jack przekręcił pierścień na palcu wskazującym, zastanawiając się, po co właściwie go nosił. Nie potrzebował sobie przypominać, kim i czym był. Jasno dała mu to do zrozumienia tamtej nocy, gdy opowiedziała mu o jego ojcu, rozbójniku powieszonym lata temu. O Cyganie, którego widział zaledwie kilka dni wcześniej.

– Jack! – wykrzyknęła Adelaide, obracając się na gustownej, żeliwnej ławeczce. Od razu nerwowo poprawiła włosy. – Widzę, że od naszego ostatniego spotkania zupełnie pozbyłeś się resztek przyzwoitości. Chyba dałam ci jasno do zrozumienia, najdroższy, że tutaj nie pasujesz. Upokarzasz się, czołgając u stóp Cyrila. To dżentelmen, zatem cię nie odtrąci. A myślałam, że ci na nim zależy. Najwyraźniej serce stwardniało ci na kamień.

Jack otworzył białą furtkę i wszedł do ogrodu.

– Jestem synem mojego ojca – zauważył, po czym usiadł obok niej. – Dzięki tobie wczułem się w rolę, w której mnie obsadziłaś. Powinienem być szczęśliwy, że w ogóle żyję. Przez kilka lat nie było to takie pewne, gdyż postanowiłem iść w ślady tatusia.

Adelaide szeroko otworzyła oczy.

– Nie sądziłam, że zostałeś rozbójnikiem! – krzyknęła. – Och, Jack,

wcale tego nie pragnęłam, wierz mi. Ale sam przyznałeś, że tu nie pasujesz.

Byłeś taki pełen życia, kipiałeś energią – nie jak ten powolny, odpowiedzialny Beau albo głuptas Puck. Byłeś stworzony do przygody, Jack. Nie mogłam patrzeć, jak się tu dusisz. Musiałeś uciec, Jack, wyrwać się na wolność!

– Musiałem zniknąć, żeby nie przypominać o twojej zdradzie dobremu, lecz zagubionemu człowiekowi, który w końcu przejrzał na oczy i zobaczył, jaka jesteś naprawdę. Wiedziałem to wtedy i wiem teraz. Czy nie możemy być szczerzy przynajmniej w stosunku do siebie?

Adelaide spoliczkowała go siarczyście.

– Jak śmiesz! Ty bezczelny padalcu! Jak masz czelność odzywać się do mnie w taki sposób. Jestem twoją matką!

– Nie, jesteś przekłętą nierządnicą, Adelaide, a twój czas się skończył. To nieuchronne, gdy dysponuje się tylko urodą i niczym więcej. – Wstał i spiorunował ją wzrokiem. Dziwił się, że nie czuje wściekłości. – Dość tych dąsów. Dziś wieczorem zjawisz się przy stole, powitasz Tess i będziesz uprzejma dla niej i dla mnie. I chcę, abyś jutro stąd zniknęła.

– Jak śmiesz mnie wyrzucać?

– Może wolisz, żebym powiedział Cyrilowi, kogo niedawno spotkałem?

– Jack pochylił się i wyszeptał jej do ucha. – Widziałem go, Adelaide. Rozmawiałem z Andreasem. Z moim ojcem.

– Nie, nie, to niemożliwe! Mylisz się, Jack. Posłuchaj mnie. – Chwyliła go za ramiona, wbijając mu mocno palce w skórę. – On nie żyje. Powieszono go. Nie żyje!

– Matko, to bardzo zła odpowiedź. Powinnaś była popatrzeć na mnie pustym wzrokiem jak zagubiona owieczka i spytać: „Andreas? Kim jest ów Andreas, o którym mówisz? Nie znam nikogo o tym imieniu”.

– No tak, oczywiście. Nie zwróciłam uwagi, że wymieniałeś jakieś imię. Zaskoczyłeś mnie. Ta twoja gwałtowność... Przestraszyłam się...

Jack bezceremonialnie strącił jej rękę z ramion.

– Nic dziwnego, że nigdy nie pojawiłaś się na deskach scenicznych w promieniu dwudziestu kilometrów od Covent Garden, Adelaide. Jesteś okropną aktorką, wręcz żenującą. Musisz być bardzo pomysłowa w łóżu, ale Cyrilowi chyba coraz mniej na tym zależy, prawda? A Andreasowi już dawno przestało.

– Ty brudny śmieciu – wycedziła.

O dziwo, teraz wyglądała naprawdę brzydko, jak gdyby na chwilę ujawniło się jej wnętrze.

– Za długo już tu jesteś, i to o jakieś dziesięć lat. Dzisiaj mamy kolację, Adelaide, i będziesz się zachowywała najlepiej, jak potrafisz. Nim podadzą przekąski, grzecznie przeprosisz zebranych i udasz się do swojego domku, gdyż będziesz pragnęła spakować się przed wyjazdem jutro o poranku. Wszyscy uznają, że zniknęłaś wraz ze swą trupą aktorską, ale my oboje będziemy znali prawdę. Nigdy więcej tu nie powrócisz. Nie jesteś już mile widziana. A jednak, o dziwo, wbrew temu, co mi wmawiałaś, ja jestem.

– Powinam była cię utopić, kiedy się przekonałam, czyj jesteś – syknęła, gdy Jack odwrócił się do niej plecami. – Czarny bękart.

Jack odszedł spokojnie, zastanawiając się, kiedy Adelaide zauważy, że zostawił pierścień z onyksem na ławce.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Tess stała przed zwierciadłem, żałując, że nie ma piękniejszej sukni ani też kunsztowniejszej fryzury. Już w chwili, gdy pokojówka skończyła uczesanie, kilka loków wymknęło się ze spinek. Ubolewała też, że jest taka wysoka i niezbyt kobieco zaokrąglona, zwłaszcza w okolicach dekoltu.

Regina miała piękny dekolt, a Chelsea cudowny uśmiech. Tess uznała, że jedyną jej umiarkowanie atrakcyjną cechą jest niebrzydki nos.

Nie wiedziała, co pomyśli o niej markiz, nie wiedziała nawet, co mu powie i w jaki sposób Jack ją przedstawi: „Wasza lordowska mość, oto matka mojego dziecka”?

Przewróciła oczami. Nie, Jack by tak nie postąpił, choć było to oczywiste. Przecież Jacques mieszkał teraz w pokoju dziecięcym na piętrze i nazywał markiza dziadkiem. Nie mogła przestać się zastanawiać, jakim człowiekiem był markiz, który przyznał się do ojcostwa bękartów i uznał cudzego bękarta za swojego syna.

Cóż, Regina się nie myliła – to gospodarstwo nie należało do zwyczajnych.

Wieczór upłynął w cudownej atmosferze dzięki Chelsea i Reginie. Chwilami pękały ze śmiechu, by zaraz potem pogrążyć się w głębokim smutku. Nie stroniły też od kwestii skomplikowanej natury związku markiza ze zmarłą żoną Abigail oraz jej siostrą Adelaide.

Beau i Chelsea mieli własną posiadłość, dar markiza, niespełna piętnaście kilometrów od Blackthorn. Drugą posiadłość przekazał Puckowi, który obecnie z zapalem studiował zagadnienia dotyczące hodowli bydła. Obie panie przyjechały do Blackthorn dlatego, że Jack obiecał spotkać się z

markizem, o co Cyril prosił po raz pierwszy niemal rok temu, niedługo po śmierci żony.

Chelsea i Regina były przekonane, że Jack także zostanie ziemianinem, Tess jednak w to wątpiła. Jack był zbyt dumny i zbyt uparty, by przyjąć cokolwiek od człowieka, który nie był jego ojcem. Prędzej rzeczywiście wybrałby spanie pod mostem.

Chciała wierzyć, że przynajmniej pozwoli Cyrilowi złagodzić wyrzuty sumienia, ale mogła jedynie liczyć na to, że odmówi w uprzejmy sposób.

Pozostawała jeszcze matka braci. Nic, co mówiły o niej Chelsea i Regina nie sprawiło, że Tess przestała myśleć o Adelaide z największą pogardą. Modliła się tylko o to, by przy ewentualnym spotkaniu nie stracić zimnej krwi i zaprezentować dobre manieri.

No cóż, nie cieszyła się na tę kolację.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi prowadzących do garderoby połączonej z sypialnią. Tess odwróciła się i ujrzała w progu Jacka. W wieczorowym stroju prezentował się wspaniale, jak prawdziwy dżentelmen. Efekt psuła jedynie jego niezadowolona mina.

– Wyglądasz świetnie – oświadczyła szybko Tess i nerwowo poklepała się po głowie. – Za to ja okropnie.

– Naprawdę? Od której strony? – Obszedł ją dookoła, a następnie położył dłonie na jej ramionach i spojrzał w twarz. – Nie, ja tego nie widzę. Jesteś piękna. I o wiele dla mnie za dobra. Zawsze chciałem wyciągnąć ci spinki z włosów, a następnie zanurzyć w nich twarz. Ciekawe dlaczego?

Tess przewróciła oczami i znowu spojrzała w lustro.

– Moja fryzura prezentuje się tak, jakbyś już to zrobił – mruknęła z niezadowolaniem. – Mam niemodną suknię w nieodpowiednim dla mnie kolorze. Powinna podkreślać barwę moich oczu, lecz wcale tak nie jest. –

Uniosła dłoń do szyi. – Starożytna biżuteria latami pokrywała się pleśnią, a ja nie mam nawet pospolitych pereł.

– Ale masz to. – Jack wyciągnął z kieszeni puzderko.

– Medalion! Myślałam, że go zgubiłam. Gdzie go znalazłeś?

Zapiął łańcuszek na jej szyi.

– Przed spiżarnią – odparł. – Andréas musiał zerwać łańcuszek, kiedy wykorzystał cię jako żywą tarczę. Oddałem medalion do naprawy.

Jej wargi zadrżały.

– Otwierałeś? – szepnęła.

– Tak. Twoja matka była piękną kobietą. René bardzo ją przypominał.

Tess uniosła medalion do ust i go pocałowała.

– Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy to, że znów mam go przy sobie. To pierwszy podarunek od ciebie, a teraz dostałam go ponownie. Dziękuję, Jack.

Dotknął palcami jej policzka.

– Uznaj ten drobiazg za swoją tarczę w najbliższej bitwie. Z pewnością czujesz się tak, jakbyś wyruszyła na bitwę, prawda?

– To aż takie oczywiste? – Spuściła wzrok.

– Tak, ponieważ nigdy wcześniej nie słyszałem, byś się przejmowała suknią czy wyglądem. Wiesz, oni nie gryzą. Może tylko moja matka, ale należałoby zapytać o to Cyrila.

– Jack!

Żartobliwie pacnęła go dłonią, żeby zamilkł, a on przytulił ją do siebie.

– Nakazałem Adelaide jutro stąd wyjechać i nigdy nie wracać.

– Nakazałeś? Niby dlaczego miałyby cię posłuchać? O mój Boże, Jack, co ty wyprawiasz? Ile zamieszania narobiłbyś przez miesiąc, skoro tyle się stało w jedno krótkie popołudnie? Czy markiz o tym wie?

– Nie wie i właśnie o to chodziło. Dałem jej jasno do zrozumienia, że jeśli wyjedzie, nie powiem Cyrilowi o Andreasie. Blefowałem, przyznaję. Przecież mogła mu już powiedzieć o kochanku, a potem wybłagała przebaczenie, twierdząc, że Andreas od dawna nie żyje. Bardzo wątpię, by Cyril nadal finansował jej przeklętą trupę aktorską, gdyby się dowiedział, że ponownie został nabity w butelkę. Na szczęście, mój plan się powiódł.

– Sprytne – pochwaliła go. – Widać, że jesteś z siebie zadowolony i to mi się chyba nie podoba.

– Więc to, co teraz powiem, spodoba ci się jeszcze mniej. Zamierzam za nią jechać, gdy stąd zniknie. Jestem przekonany, że wybierze się prosto do Andreeasa, aby się dowiedzieć, co zaszło. Matka jest bystra, choć nikt nigdy nie mógłby jej oskarżyć o przesadną inteligencję. Zanim wyliczysz powody, dla których nie powinienem tego robić, przypomnę ci, że Cygan zabił René. Nie jest moim ojcem. Jeśli w ogóle mam ojca, to jest nim ten człowiek, który czeka na dole i którego tak źle traktowałem. Andreas znaczy dla mnie dokładnie tyle samo, co każdy inny przestępca, mający wkrótce trafić za kraty. Nie mogę tego tak zostawić, Tess, naprawdę nie mogę.

Starannie poprawiała fular Jackowi, jakby mogła w ten sposób wpłynąć na jego bezpieczeństwo.

– Wiem – westchnęła. – Musimy rozliczyć się z przeszłością, zanim stworzymy przyszłość. Chyba zawsze to wiedziałam, nawet wmawiając sobie, że zdołam zapomnieć.

– Jest jeszcze jeden powód, Tess, dość samolubny. Jeśli uda mi się... kiedy uda mi się przekazać Cygana władzom, Liverpool zrozumie, że ten rozdział jest zamknięty. Sinjon nie żyje, Cygan zawiśnie za swoje zbrodnie. Wojna dobiegła końca, a premier ma teraz mnóstwo podwładnych gotowych wykonać każde jego polecenie, więc nie będzie mnie już potrzebował.



Zrezygnuję ze służby, Tess, i pozostaje mi mieć nadzieję, że nie będę musiał nieustannie oglądać się za siebie. Will częściowo mnie przekonał, że możemy bezpiecznie odejść, ale Henry nigdy w to nie wierzył. Kto wie, czy dostarczenie Cygana Liverpoolowi cokolwiek pomoże. Najlepiej będzie, jeśli po prostu zniknę.

Tess zrobiła krok w tył.

– To właśnie planujesz? – spytała cicho. – Chcesz zniknąć, gdy będzie po wszystkim?

– Nie będę tego wiedział przed rozmową z Liverpoolem. Jeśli zapewni mnie, że cenił sobie moje usługi, i podziękuje mi za służbę, a potem będzie życzył powodzenia w przyszłych przedsięwzięciach...

– To zostaniesz? – dokończyła za niego.

– Za nic w świecie. – Uśmiechnął się. – Będę uciekał jak królik. – Nagle spoważniał. – Przez lata żyłem z dnia na dzień, Tess. To nie jest życie dla kobiety i dziecka. Rozumiesz, prawda? Nie mógłbym oczekiwać tego od ciebie...

– Tak, słyszałam. Nie mógłbyś – przerwała mu.

– Inni by mogli, ale ty nie. Nadal nie rozumiesz, prawda, Jack? Nie dociera do ciebie, że jesteś wart tych wszystkich kłopotów, które sprawiasz? Jesteś arogancki, dumny, uparty i przez cały czas sądzisz, że jesteś bezwartościowy, bo twój ojciec to złodziej, morderca oraz zapewne zdrajca, a twoja matka... Kim jest twoja matka, Jack? Chyba się przekonamy, prawda?

– O Chryste, Tess, poczekaj. Niech to diabli... Nie rozumiesz, musimy pogadać.

– Nie – warknęła i chwyciła za szal. Serce biło jej tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. – Nie będziemy rozmawiali. A kiedy pojedziesz jutro za nią i staniesz twarzą w twarz z Cyganem... Nie pojedziesz sam. Ja też

walczę o moją przyszłość i o przyszłość naszego dziecka. Z tobą czy bez ciebie.

– Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką spotkałem.

– Przynajmniej mam po temu dobry powód. Przecież użeram się z tobą.

Niemal wybiegła na schody, a Jack ruszył za nią. Na szczęście wpadła na trzeciego syna Blackthorna, Beau, który skłonił się i przedstawił, a następnie podał jej ramię i razem zeszedli. Beau tylko na moment obejrzał się na Jacka, po czym delikatnie poklepał Tess po dłoni, jakby chciał powiedzieć: Proszę się nie przejmować, przywykliśmy do jego napadów złego humoru. Ochronię panią.

Jednocześnie wściekła i zrozpaczona, Tess zapomniała o zdenerwowaniu.

Gdy podeszła, markiz przeprosił, że nie wstanie, i wskazał na laskę. Był przystojnym mężczyzną, choć ból fizyczny lub emocjonalny wyłobił głębokie bruzdy na jego twarzy. Miał białe włosy, ale Tess z łatwością mogła wyobrazić je sobie jasne jak u jego dwóch synów. Z kolei Jack tak bardzo różnił się od tej trójki, że tylko głupiec wziąłby go za potomka tego człowieka. Zastanawiała się, czy mały, zdezorientowany chłopiec zerkał niepewnie w lustro, próbując odnaleźć podobieństwo do człowieka, którego nazywał tatą. Dziwne, bo nawet gdy chciała udusić Jacka, wciąż było jej go bardzo żal.

Dygnęła, wyciągając rękę, a markiz pochylił głowę i lekko uścisnął jej palce.

– Pani syn to aniołek, moja droga – powiedział.

– Dziękuję, że powierzyła go pani mej pieczy. Może tu zostać tak długo, ja tylko pani zechce. To dla mnie czysta przyjemność. Jack? Czy widziałeś już matkę? Z pewnością chciałyby poznać tę piękną, młodą damę.

– Rozmawialiśmy popołudniem, w chatce, owszem. – Jack podał Tess kieliszek wina i wskazał miejsce u boku markiza. – Z pewnością pojawi się dzisiaj wieczorem.

Tess zastanawiała się, czy ktoś się domyśli ukrytego znaczenia słów Jacka. Brzmiały niewinnie, ale uważny słuchacz mógł doszukać się w nich groźby.

Jeśli markiz usłyszał zawołany komunikat, nie dał tego po sobie poznać. Od razu wrócił do pogawędki z Puckiem na temat niejakiego Jethra Tulla i jego publikacji poświęconej zmianom w rolnictwie zgodnie z nowymi regułami uprawy.

– O tak. – Puck mrugnął do Tess, gdy markiz skończył wypowiedź. – Przyznasz jednak, że minęło już ponad stulecie, odkąd ten reformator obmyślił urządzenia rolnicze ciągnięte przez konie. Chyba czas na postęp. Mogę sobie wyobrazić na polach maszyny parowe, takie jak ta, z której zasłynął James Watt.

– Przyznam, że to najnudniejszy temat pod słońcem, mężu – oznajmiła Regina i wzięła go za rękę.

– Chodź, farmerze Pucku, i zapoznaj Chelsea ze swoją opinią na temat nowych wstążek, które chce dopasować do czepka. Pamiętasz, że kiedyś takie sprawy interesowały cię znacznie bardziej niż rozrzucanie nawozu.

– Przesadza – powiedział Puck do Tess. – Nigdy nie interesowały mnie wstążki do czepków. Mogłem jednak godzinami rozwodzić się nad krojem nowej kamizelki. Nadal mogę i jest mi wstyd za siebie.

Tess się zaśmiała, czego się zapewne po niej spodziewano, jednak po chwili spojrzała w kierunku Jacka, który nagle się wyprostował, zupełnie jakby oczekiwał ciosu.

– Ach, popatrzmy tylko na tę scenkę! Wszyscy moi najbliżsi razem.

Serce rośnie na ten widok!

Tess odwróciła się, by sprawdzić, kto wygłasza te głupstwa pięknym, gardłowym głosem, niczym ze sceny. Adelaide, bo nią była ta drobna boginka, upozowała się w wejściu z jedną ręką tuż pod idealną brodą, spodem dłoni do widowni. Lekko przechyliła głowę, by podkreślić kunsztownie upięte, cudowne, niemal białe loki, ozdobione szlachetnymi kamieniami.

Miała na sobie suknię w kolorze nieba o północy, z niebezpiecznie dużym dekoltem. Jedna z bufek figlarnie osunęła się z jej białego ramienia, z pewnością nieprzypadkowo.

Tess poczuła się okropnie banalna i nieurodziwa.

Gdy stało się oczywiste, że wszyscy patrzą na nią, Adelaide rozwinęła koronkowy, wyrzeźbiony z kości słoniowej wachlarz i pomachała nim pod idealną brodą, dzięki czemu jej włosy zakołysały się na delikatnym wietrzyku.

Wpłynęła do pokoju w chmurze zapachu, gdy synowie i markiz zerwali się z miejsc. Puck pośpiesznie zgiął się nad jej ręką i obsypał Adelaide komplementami za starannie wystudiowane wejście. Mówił po francusku, a jego matka najwyraźniej nie rozumiała ani słowa, gdyż w przeciwnym razie spoliczkowałyby go, a nie uśmiechnęła jak płocze dziewczę, nadstawiając twarz do pocałunku. Tess ani trochę nie polubiła Adelaide, ale musiała przyznać, że ten skromny uśmiech wypadł całkiem przekonująco.

Adelaide dostrzegła Cyrila i podbiegła do niego z okrzykiem wzburzenia. Zaczęła nalegać, by usiadł, a następnie opadła przed nim wdzięcznie i przycisnęła policzek do jego kolan.

– Cyrilu, mój najdroższy, najukochańszy głuptasku. Ile razy muszę ci powtarzać, żebyś się niepotrzebnie nie trudził tylko dlatego, że weszłam do pokoju? Czy noga znów ci dziś dokucza? Powinieneś być zastrzelić tego

konia za to, że cię zrzucił.

– Spojrzała w górę, szeroko otworzyła ogromne oczy i zamruwała z udawaną niewinnością. – Och, witam. Nawet pani nie zauważyłam. Ta suknia całkiem złała się z obiciem kanapy. Pani to z pewnością Tess, prawda? Bardzo mi przyjemnie.

– Adelaide – odezwał się markiz ostrzegawczo.

– Cyrilu? – zaświergotała, wstając. – Czyżbym powiedziała coś niestosownego? Mój Boże, chyba nikogo nie obraziłam, prawda? Kochanie, nie czujesz urazy? – Zamruwała pośpiesznie, jakby starała się powstrzymać napływające do oczu łzy. – Nigdy, przenigdy nie staram się nikogo obrazić. Po prostu mówię, co myślę, zanim się zastanowię. Zawsze to powtarzasz, Cyrilu, skarbie, prawda? A przecież suknia jest w tym samym odcieniu co tkanina na kanapie, sam przyznasz. Zresztą to naprawdę urocza kanapa.

– Wina, matko? – spytał Jack, podtykając jej kieliszek pod samą twarz.

Adelaide nie przestawała się uśmiechać, jednak uśmiech ten nagle stał się sztuczny, zupełnie jakby usiłowała ukryć za nim prawdziwe emocje.

– O proszę, jest tu mój uroczy hulaka. Dziękuję, Jack. Widzę, że nabrałeś dobrych manier. Nigdy nie traciłam nadziei.

– Jack napomknął, że popołudniem odwiedził cię w chatce – zauważył markiz, gdy matka i syn mierzyli się spojrzeniami. Jasna cera Adelaide stała się chorobliwie blada.

– A tak, rzeczywiście, złożył mi wizytę. Jako matka uradowałam się widokiem syna marnotrawnego. – Uniosła rękę i uszczypnęła Jacka w policzek. – Wybaczam ci, że tak okrutnie nas porzuciłeś. Zawsze byłeś trudnym dzieckiem.

– O, rozległ się gong na kolację – oświadczył Beau nieco zbyt radośnie i pomógł żonie wstać. – Zarznęliśmy dla ciebie tłustego prosiaka, Jack, bo nie

mieliśmy utuczonych cielaków. Tess, wydaje mi się, że ojciec zarezerwował sobie honor odprowadzenia cię do jadalni. Jack, zajmiesz się matką?

– Tak, niewątpliwie mogę to zrobić– odparł Jack, nie przestając wpatrywać się w Adelaide, po czym nadstawił ramię. – Nasza pierwsza i ostatnia kolacja od dziesięciu lat. Naprawdę tak się upierasz przy jutrzejszym wyjeździe, matko?

– Niestety tak – odparła Adelaide. – To chyba nieuniknione. – Powiedziała przez ramię do markiza, gdy cała grupka wyruszyła do jadalni. – Wiem, że obiecałam zostać jeszcze kilka dni, skarbie, i cieszyć się z pobytu Jacka w domu, ale przekonał mnie, że Stoke-on-Trent leży zbyt daleko, by odbyć podróż w jeden dzień. A przecież przedstawienie jest umówione na piątkowe popołudnie. Przewiduję wielki sukces dzięki nowym kostiumom, które tak hojnie nam zapewniłeś. Będziemy wystawiali *Wiele hałasu o nic* Szekspira. Och, cóż za przypadek, Jack. Przecież ty dostałeś imię na cześć Don Johna, wiesz.

Don Johna. Bękart. Tess zeszywniała, myśląc, że Adelaide to naprawdę okropna kobieta.

– Wszystko w porządku, Adelaide, doskonale rozumiem – odparł markiz i uśmiechnął się do Tess. – Adelaide bardzo ceni sobie sztuki Szekspira. W rzeczy samej, Adelaide, wystawiacie wyłącznie jego dzieła, prawda?

– Tak, jesteśmy trupą szekspirowską, kochanie

– odparła Adelaide nieco szorstko, po czym nagle złagodniała. – Nikt nie dorasta mistrzowi do pięt.

– Czyżby? – odezwała się Tess, gdy lokaj wysuwał dla niej krzesło. Nie mogła się powstrzymać.

– Nigdy nie podobały mi się specjalnie jego sztuki. Operują bardziej



niejasnym językiem niż to konieczne. Osobiście wolę Cervantesa, no i *naturellement*, naszych francuskich mistrzów, choćby Moliera. A także mojego ulubieńca, zarówno w dziedzinie dramaturgii, jak i epistolografii, Woltera. Co za błyskotliwy człowiek. Napisał kiedyś: *L'homme est libre au moment où il souhaite être*. Och, proszę wybaczyć. – Popatrzyła na Adelaide, której policzki coraz bardziej czerwieniały, po niepochlebnych słowach Tess na temat Szekspira. – Nie mówi pani po francusku, więc przetłumaczę. Napisał: „Człowiek jest wolny w chwili, gdy tego zapragnie”. Jack, zgadzasz się chyba z tym twierdzeniem, prawda?

Siedzący naprzeciwko Jack skłonił głowę na potwierdzenie, że zrozumiał tę podwójną wycieczkę, jedną do jego matki, drugą do niego.

– Zawsze byłaś doskonale odcytana, moja droga. I na dodatek maluje – dodał ze słodkim uśmiechem. – Puck, skoro stałeś się miłośnikiem rolnictwa, będziesz zdumiony jej osiągnięciami. Są niepowtarzalne.

– *Touché, monsieur.*

– Czuję, że coś mi umknęło – powiedział Puck.

– Jako że zbrodnią jest milczeć, gdy można powiedzieć coś głupiego, pozwolę sobie przytoczyć inne słowa Woltera. Jak to biegło? Już pamiętam. Aha, nie zapominaj, moja droga, że to tylko cytat, nie deklaracja: *Le mariage est la seule aventure ouverte de lâche*.

– „Małżeństwo to jedyna przygoda dostępna tchórzom”? Robinie Goodfellow, masz szczęście, że twoja żona wie, iż wygadujesz takie rzeczy tylko po to, by rozbawiać towarzystwo. Tak na marginesie, nikogo nie rozbawiłeś, a już na pewno nie mnie. Trudno mi się śmiać, kiedy spędzam pół dnia z głową w... Cóż, nieważne. – Regina rzuciła spanikowane spojrzenie na Adelaide, a potem szybko skupiła uwagę na talerzu, bez apetytu trącając jego zawartość widelcem.



– Ja znam jeszcze jedną sentencję – powiedział Beau, by przerwać ciszę.  
– Przeczytałem ją podczas służby w Hiszpanii i to wpłynęło na mój obraz tak zwartej chwały wojennej. Nie zacytuję po francusku, gdyż dysponowałem wyłącznie tłumaczeniem. „Nie wolno zabijać, więc wszyscy mordercy są karani, chyba że zabijają na wielką skalę i przy dźwiękach trąb”.

– Dziękujemy, Beau, za te ponure słowa – mruknął Puck. – Ponieważ pragnąlbym zrehabilitować się w oczach żony, wyskoczę z jeszcze jednym ulubionym powiedzeniem tegoż pisarza: „Tylko raz w życiu odmówiłem modlitwę do Boga, bardzo krótką: O Panie, ośmiesz moich wrogów. I Bóg spełnił moje życzenie”.

– To już zupełny idiotyzm, Puck – oznajmiła Adelaide. – Cóż to w ogóle znaczy?

Chelsea uniosła lekko dłoń, jak gdyby niechętnie dzieliła się swoją opinią.

– Moim zdaniem, Adelaide, oznacza to, że głupi wróg to największy dar od Boga.

– Za to wypiję. – Jack uniosł kieliszek. – Niech wszyscy nasi wrogowie się ośmieszają.

– Masz wrogów, Jack? – spytał markiz z przejęciem widocznym na twarzy.

– Nigdy zbyt długo.

Tess przewróciła oczami, ale spojrzała po zebranych przy stole i uświadomiła sobie, że to nedorzeczne zdanie Jacka sprawiło, iż z twarzy jego matki znikły rumieńce wściekłości.

Tess zsunęła szal i odwróciła się do Jacka, który wszedł za nią do sypialni.

– W istocie, jest tu przeraźliwie dużo pokoiów, ale sama zdołałabym

znaleźć drogę – oznajmiła. – Możesz już sobie iść. Nie, poczekaj. Ujmę to inaczej. Idź sobie. I to już.

Jack oparł się o łóżko i zsuł z nogi but.

– A ja myślałem, że wieczór był miły.

– Wieczór był cudowny, jeśli nie liczyć twojej matki. Chodzi mi nie tylko o jej obecność, ale i to, jak sama się bawiła. Jesteś okrutnym człowiekiem, Jack. Ona wie, że jej nienawidzisz.

– Nie nienawidzę. – Zsunął drugi but. – Nie jest warta nienawiści. Szczerze mówiąc, wydaje mi się dość żałosna. Starzeje się, Tess, i chyba się tego nie spodziewała, bo zupełnie sobie nie radzi.

– Wszyscy się zestarzejemy, jeśli oczywiście dopisze nam szczęście. Dlaczego zdjąłeś buty? Nie jesteś tu mile widziany, Jack.

– Nie, nie rozumiesz jej dylematu. Adelaide nie może się zestarzeć – ciągnął, jakby jej nie usłyszał.

– Piękno, młodość to była jej broń, zresztą jedyna. A ukochany Szekspir? Powtarza jego wersy jak papuga, a tak naprawę nie rozumie nic z tego, co mówi. Miałem około dwunastu lat, kiedy tłumaczyłem jej, o co chodziło z lasem Birnam, na litość boską. To z *Makbeta*.

– Wiem, skąd to jest – obruszyła się.

Podniosła jego buty i podała mu. Zignorował ten gest i zajął się ściąganiem fraka.

– Myślałem, że nie lubisz Szekspira.

– A kto nie lubi Szekspira, Jack? Na litość boską, po prostu się odgryzałam, i dobrze o tym wiesz. Moja suknia wcale nie jest w odcieniu kanapy twojego ojca. Adelaide potem mnie przeprosiła, tak słodko, po raz kolejny wbijając cierń w moje serce. To okropna, naprawdę paskudna kobieta i ogromnie mi przykro, że jest twoją matką. Ubolewam, że w ogóle jest

czyjąłkolwiek matką, bo wcale na to nie zasłużyła, tak jak nikt nie zasłużył na to, by być jej dzieckiem. – Podniosła jego buty.

– A teraz wynocha.

Przyjął je i cisnął w drzwi garderoby, od których odbiły się z łomotem i upadły na podłogę.

– Jakież to dramatyczne i głupie. Teraz będziesz musiał iść za nimi. Poważnie, Jack. Okropnie się pokłócimy, jeśli ci się wydaje, że możesz zrobić to, co próbujesz. Jak śmiesz! Przestań się szczerzyć! Jesteś niespełna rozumu? Dlaczego się tak uśmiechasz? Wyglądasz jak wiejski głupek.

– Bardzo cię kocham – powiedział, ale nie podszedł do niej bliżej, bo była naprawdę rozżłoszczona i tylko wiejski głupek by tego nie zauważył. – Za dużo gadasz, ale i tak cię kocham. Powiedziałbym ci to wcześniej, tyle że byś mi nie pozwoliła, a Beau rzucał mi takie spojrzenia, jakby uznał, że ma obowiązek cię chronić przede mną.

Tess opuściła wzrok, próbując sobie przypomnieć wcześniejszą rozmowę. Potem popatrzyła prosto na Jacka.

– Skończyłeś? – zapytała.

– Nie, nie skończyłem. Chcesz, żebym podjął temat, czy też jeszcze sobie na mnie pokrzyczysz?

– Chyba mógłbyś... hm... podjąć temat.

– Dziękuję. – Skłonił się i objął ją w pasie. – Wyjaśniłem, że ponad dekadę żyłem z dnia na dzień, więc perspektywa powrotu do tego nie jest szczególnie bliska mojemu sercu, niemniej staje się realna.

Co więcej, że spróbuję zacytować samego siebie, to nie jest życie dla kobiety i dziecka, czy też dzieci.

– Nie mówiłeś nic o dzieciach – wtrąciła natychmiast. – Tylko o dziecku. Chyba chodziło ci o to, które mamy.

– Na razie. Nie wiemy, czy naszymi wysiłkami nie sprowadziliśmy na świat kolejnego dziecka... Nie mógłbym prosić, byś dzieliła ze mną życie, które najprawdopodobniej stanie się moim udziałem.

Zawahał się, a Tess lekko pochyliła się ku niemu.

– Ale? Chciałeś powiedzieć „ale”?

– Ale... – powtórzył, jednak nieco zbyt niepewnie jak na jej gust. – I tak cię o to poproszę, bo cię kocham. Kocham naszego syna. Nie ma dla mnie życia bez was i, choć wiem, że to egoistyczne i być może nawet niebezpieczne, poproszę was o to. Nie wiem, dokąd się udamy i co będziemy robili na miejscu. Wiem jedynie, że chętnie uklękę i poproszę, byś mnie kochała, wyszła za mnie i spędziła ze mną całe życie. Tak wiele zostawiłem za sobą, Tess, myśląc, że to najlepsze dla nas wszystkich. Nie mogę cię opuścić, ani teraz, ani nigdy. Nie proś mnie o to, błagam.

Otworzyła usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Jack spróbował się uśmiechnąć.

– Nie zamierzasz mi tego ułatwiać, tak? – westchnął. – Chyba na to zasłużyłem. No cóż. – Ukląkł i chwycił ją za rękę, po czym spojrzał jej w oczy.

– Zrobię wszystko, co będziesz chciała i będę tym, kim chcesz, żebym był. Wyjadę, dokądkolwiek zapragniesz. Wiem, że niełatwo ze mną wytrzymać, ale szczerze mówiąc, z tobą też. Mimo to nie mam najmniejszych wątpliwości, Tess, że lepiej nam razem... Na dobre i na złe, w biedzie czy w bogactwie... Nic nas nie pokona, dopóki będziemy mieli siebie.

Tess stłumiła szloch.

– Jesteśmy niepokonani, bo mnie kochasz, a ja kocham ciebie, ty głupi, uparty...

– Tess... – Wstał i wziął ją w ramiona. – To najpiękniejsze, co mogłaś mi

powiedzieć, ale nadal się nie zgodziłaś. Powiedz, czy spędzisz ze mną życie.

Skinęła głową, przygryzając wargę, a łzy spłynęły po jej policzkach.

– Tak. Tak!

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Jesteś pewna? Bo chętnie posłuchałbym tego raz jeszcze.

– Och, Jack...

Pocałował ją na znak, że dalsze słowa są już zbędne, bo nadszedł czas, by przemówiły ich ciała. Wziął ją na rękę i przeniósł do łóżka.

Mieli przed sobą całą noc, a Jack zamierzał kochać się z Tess aż do samego rana, obsypując pocałunkami każdy centymetr jej ciała, wielbiąc ją i delektując się bliskością.

Tess go kochała i dzięki temu czuł się niezwykły, a zarazem pokorny. Był gotów ofiarowywać i wybaczać. Czuł, że nie mógłby już powrócić do życia samolubnego hulaki ani też najemnego skrytobójcy na usługach rządu. Pragnął stać się człowiekiem godnym miłości Tess oraz syna, którego mu ofiarowała.

– Kocham cię, Tess – wyszeptał, tuląc się do niej. – Kocham cię całym sobą, teraz i na zawsze.

Dotknęła jego wilgotnego od łez policzka i poczuła, jak jej oczy stają się szkliste.

– Wiem – odparła z uśmiechem. – Tylko tego zawsze pragnęłam. Chcę cię...

Wziął ją namiętnie i czule. Ofiarował jej wszystko, co w sobie skrywał, delektując się tym, co ona mu podarowała.

– Przez całe życie... – wyszeptał jej do ucha, gdy leżeli przytuleni. – Przez całe życie na to czekałem. Nie wiedziałem i na pewno tego nie rozpoznałem, gdy w końcu się pojawiło. Może bałem się, że na to nie

zasłużyłem... Teraz rozumiem, że najpierw musimy być gotowi sami coś ofiarować, by coś dostać, prawda?

Tess przytuliła go mocniej.

– Twoje serce za moje, a moje za twoje. To dość onieśmielające prawda? Ale nie zamierzam już oddać ci twojego.

– Wcale bym go nie przyjął. Będziesz musiała wyrzucić je w piach i tam zostawić, roztrzaskane na drobne okruchy, potem, jak już rozdepczesz je obcasem. – Uniósł się nieco i delikatnie przycisnął ją do pościeli. – Mój Boże, to zabrzmiało jak te bzdury, które wygaduje Puck, żeby oczarować damy. Co ty ze mną zrobiłaś, kobieto?

– Niektórzy mogliby powiedzieć, że dokonałam cudu – zażartowała, obejmując go za szyję. – Znam cię, Jacku Blackthorn. Wolisz się kochać niż udawać poetę.

– Wiesz, chyba masz słuszość – mruknął, wodząc palcem po jej brzuchu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tess odgarnęła firanki i przysunęła się do okna. Sypialnia miała widok na zachodni trawnik i drzewa, zza których prześwitywała chatka Adelaide.

– Jack? Pod furtką do chatki stoją jakieś dwa wozy. – Odwróciła się i ujrzała, że Jack pochyla się nad tacą ze śniadaniem, które przyniosła pokojówka. – Twoja matka chyba wyjeżdża. Musimy za nią ruszyć.

– Dobrze, ale bez pośpiechu – odparł i ugryzł ostatni kęs grzanki. – Przecież wiemy, dokąd zmierza.

– Wiemy? – zdziwiła się Tess, już szukając koszuli i bryczesów. – A skąd niby wiemy?

– Ponieważ wieczorem, gdy byłaś skupiona na tym, jak ją obrazić, sama nas o tym poinformowała. Wybiera się do Stoke-on-Trent. Jej trupa daje przedstawienie w piątkowe popołudnie. Jeśli Adelaide ma się spotkać z Andreasem, on już o tym wie. A jeśli nie spotkają się tam, to zapewne w następnym mieście.

Jego spokój ją zirytował.

– Jeśli w ogóle się z nim spotka – burknęła. – Skąd jesteś taki pewien, że nadal są kochankami?

– Muszą być. Inaczej dlaczego tak bardzo zależałoby jej na tym, żeby przekonać mnie o jego śmierci? Chroniła go, Tess. Trudno w to uwierzyć, ale całkiem możliwe, że moja matka jest zdolna kochać kogoś poza sobą i swoimi ambicjami.

– Zgadzam się, że trudno w to uwierzyć. – Tess usiadła na krześle. – Jeśli to jednak prawda, musiała być zrozpaczona po jego zniknięciu, kiedy za sprawą Sinjona trafił do więzienia w Hiszpanii. – Popatrzyła na Jacka i



przyszło jej do głowy coś jeszcze. – Myślisz, że ona jest świadoma, iż powrócił do Anglii? Nie wiemy przecież, kiedy uciekł. Tygodnie, miesiące, a może zaledwie kilka dni przed włamaniem, którym powiadomił Sinjona o swoim powrocie. Po rozmowie z tobą mogła być wstrząśnięta albo uszczęśliwiona.

– Uszczęśliwiona Adelaide. – Wstał, rozważając coś głęboko. Tess pomyślała, że być może jednak postanowił od razu jechać za matką. – To nie przyszło mi do głowy. Przebywa w Blackthorn od kilku tygodni. Mój Boże, niewykluczone nawet, że przyjechał tu którejś nocy na schadzkę w tym jej przeklętym domku. Ciekawe, czy ośmieli się spotkać z nią w Stoke-on-Trent. Przecież wie, że wciąż na niego poluję.

– Nie używaj tego słowa. Andreasa ściga prawo, a ty występujesz w imieniu Korony i zamierzasz go pojmać, a nie zabić, prawda? Jesteś na to zbyt dobrym i szlachetnym człowiekiem. Tu nie chodzi o zemstę, lecz o sprawiedliwość.

– Tak jest, proszę pani. – Jack ucałował ją w policzek. – Wyjaśnisz to wszystko mojej matce, kiedy będzie próbowała wydrapać mi oczy.

– Tym się już nie przejmuj, Jacku Blackthorn. To więcej niż pewne, że dam sobie radę z tą kobietą.

– Nie możesz się doczekać, co? Ty mój aniele stróżu.

– Masz coś przeciwko temu? – Spojrzała na niego.

Uśmiechnął się, a ona natychmiast się odprężyła.

– Szczerze mówiąc, całkiem mi się to podoba – przyznał. – Widocznie jestem bardzo złym człowiekiem.

Przytulił ją, a ona nadstawiła usta do pocałunku. Skoro nie musieli od razu pędzić za Adelaide, mogli spędzić czas w dużo przyjemniejszy sposób.

– To prawda, ale jesteś bardzo dobry pod wieloma innymi względami.

Zwłaszcza pod jednym, ale niestety oboje mamy na sobie zbyt dużo ubrań – odparła z uwodzicielskim uśmiechem.

Chwycił ją za rękę, gdy próbowała rozplątać mu fular, i ucałował jej palce.

– Trudno mi uwierzyć, że to mówię, ale nie teraz, Tess – szepnęła. – Na tacy ze śniadaniem znalazłem liścik od Cyrila. O jedenastej pragnie spotkać się z nami wszystkimi w saloniku muzycznym. Wygląda na to, że dyskusja, której starałem się tak długo unikać, jest nieuchronna. Co intrygujące, zaprosił również ciebie, Chelsea i Reginę.

– Chelsea i Regina zdradziły mi, że zaproponuje ci ziemię i posiadłość. Ale ty i tak to wiesz, bo przecież w zeszłym roku obdarował Beau i Pucka.

– Poprawiła mu fular i dodała: – Nie będziesz chyba osłem i mu nie odmówisz, tak jak odmawiałeś przyjęcia od niego pieniędzy na utrzymanie?

– Czy jest jakikolwiek temat, którego wczoraj nie poruszyliście?

– Chyba nie? – odparła. Zegar na półce nad kominkiem zaczął wybijać godzinę jedenastą. – Ale nie rozmawialiśmy o urazie markiza i tego nie byłam świadoma. Czy to był wypadek podczas konnej jazdy?

– Tak, owszem. Zdarzył się, gdy markiz jechał z Adelaide kilka tygodni temu. Pytałem o to Beau. Podobno zaskoczył ich jakiś jeździec, który wypadł spod drzew i pognął szlakiem, płosząc konia Cyrila. Markiz spadł, ale też nigdy nie był dobrym jeźdźcem. O dziwo, Adelaide jeździ świetnie.

Tess popatrzyła na Jacka, zastanawiając się, czy przypadkiem jej nie sprawdzał.

– I nie widzisz w tym nic dziwnego? – zapytała.

– Nie chciałem widzieć. Cyril twierdził, że to był wypadek. Adelaide jest jednak tutaj tylko dlatego, że wezwał ją po tym, jak Puck powiedział, iż obiecałem wrócić do domu. Dom... – zadumał się. – Już łatwiej mi wymówić

to słowo. Trochę to potrwało, prawda? Tak czy owak, nie cieszę się na to, co Cyril uważa za stosowne mi powiedzieć. Adelaide z pewnością nie chce, żeby miał szansę to ogłosić. Cokolwiek to jest, uznał, że jego trzech synów powinno tego wysłuchać w tym samym miejscu i czasie, co przez dziesięć lat mu uniemożliwiałem. Teraz jeszcze zapragnął towarzystwa twojego, Chelsea i Reginy. Przyznam, że to mnie intryguje.

Gdy schodzili po schodach, kamerdyner spojrzał na nich z przyganą w oczach, jakby byli straszliwie spóźnieni.

– Rodzina markiza czeka w saloniku muzycznym – oznajmił.

Rodzina markiza. Nie „pańska rodzina”. Całkiem jakby kamerdyner, ba, jakby cały świat wiedział, że Jack nie jest potomkiem markiza. Tess ujęła rękę Jacka.

– Pozwolisz mu mówić bez przerywania? – zapytała. – I nie wyjdiesz, jeśli to, co usłyszysz, nie przypadnie ci do gustu?

– Obiecuję, że przestanę uciekać przed niewygodną prawdą. I tak prędzej czy później mnie dogoni.

– Kocham cię.

Uścisnął jej dłoń i weszli do saloniku, gdzie wszyscy już na nich czekali.

– A więc nic innego nie ma znaczenia, prawda? – powiedział Jack cicho.

– Widzisz portret nad kominkiem? To Abigail, żona Cyrila.

Tess mimowolnie wstrzymała oddech. Portret był olbrzymi, naturalnych rozmiarów. Żona markiza pozowała na nim jako uskrzydłona nimfa. Niewinność na jej twarzy chwyciła Tess za serce. Włosy, które spływały na ramiona Abigail, były niemal równie jasne jak samo światło, a drobna twarz w kształcie serca wydawała się zdominowana przez olbrzymie, łagodne oczy. Postać sprawiała wrażenie wręcz eterycznej, pięknej i młodej na wieki.

Beau, który stał pod portretem, podszedł do nich. Tess szczerze go podziwiała. Biła od niego aura odpowiedzialności i uczciwości. Wzbudzał zaufanie, choć poznała go dopiero wczoraj.

– Nie podoba mi się to, Jack – powiedział cicho.

– Ojciec wygląda, jakby czekały go tortury. Nawet Puck nie jest w stanie go rozśmieszyć. Nie jestem pewien, czy kobiety powinny tu być, ale się uparł.

– Chyba nie powinnam się wtrącać, Beau, ale jego lordowska mość na pewno dobrze przemyślał, co ma do powiedzenia i w czyjej obecności – oświadczyła Tess cicho. – Być może przygnębiłby się jeszcze bardziej, gdybyście sugerowali coś innego.

– Zgadzam się – przytaknął Jack i spojrzał na Cyrila, który siedział sztywno, nienaturalnie blady.

– Miejmy to już z głowy i bądźmy mu wdzięczni, że nie zaprosił tu Adelaide. Inna rzecz, że równie dobrze mogła mu odmówić. Pewnie chciał, aby przyszła.

Beau zerknął przez ramię na ojca, który właśnie przyjmował kieliszek wina od Pucka.

– Wino przed południem? Jeszcze jeden niepokojący znak. Tak czy inaczej, wczoraj w nocy wiele godzin siedział w chatce. Gotów byłbym się założyć, że doszło tam do kłótni. Cóż, miejmy to już z głowy.

Jack przytaknął i nadal trzymając Tess za rękę, zbliżył się do ojca, po czym uklonił mu się z szacunkiem.

– Dzień dobry, wasza lordowska mość – powiedział uroczyście. – Przepraszam za to, że się spóźniłem.

– O jakąś dekadę, jeśli mnie pamięć nie myli – zażartował Puck i w nagrodę usłyszał ostrzegawczy syk Reginy.

Tess dygnęła i obdarzyła markiza krzepiącym uśmiechem. Jack zasugerował, by usiadła pomiędzy nim a Cyrilem, gdyż Puck z pozostałymi damami zajął kanapę naprzeciwko. Beau znowu stanął przed kominkiem.

Wszyscy patrzyli na markiza i Tess zrobiło się go żal. Z trudem powstrzymywała się od uściśnięcia jego ręki dla kurażu.

– Po pierwsze, chciałbym przeprosić damy – zaczął markiz lekko drżącym głosem. – To, co muszę powiedzieć, nie jest przeznaczone dla kobiecych uszu, niemniej trzeba postawić sprawę jasno. Adelaide nie myliła się pod jednym względem. Moi synowie, wszyscy trzech, mieli szczęście, że ich pokochałyście. Któż weźmie bękartą z innych powodów niż z miłości? Należy się wam za to szacunek, moje drogie, a także uwielbienie do końca życia.

– Nic dodać, nic ująć. – Puck podniósł kieliszek wina. Tym razem żona szturchnęła go w żebro. – Jak tak dalej pójdzie, Regino, skarbie, to stanę obok Beau.

– Nie, Puck, będziesz siedział tutaj. Przypominam ci, że przyszedłeś słuchać, a nie gadać. Proszę mu wybaczyć, wasza lordowska mość. Mój mąż po prostu musi rozładować atmosferę, co zazwyczaj jest godne pochwały. – Popatrzyła na Pucka. – Jednak nie w tej chwili, najdroższy.

– Ale Beau może tam sobie stać, jakby wszystkimi rządził, a „Black Jack” siedzieć tu i się srożyć?

– nadąsał się.

– Każdy robi to, co potrafi najlepiej – powiedziała Chelsea i uśmiechnęła się szeroko.

Tess przygryzła wargę, próbując zachować powagę. Nawet markiz zachichotał i nieprzyjemne napięcie zniknęło. Tess raz jeszcze spojrzała na portret. Samo przyglądanie się Abigail ją uspokajało. Dama była bardzo

podobna do swojej siostry, ale była od niej niewinność, którą Adelaide mogła tylko udawać.

– To, co teraz powiem, nie jest dla mnie łatwe. Być może nigdy nie musiałem mówić nic równie trudnego – zaczął cicho markiz. – Wasza matka jest temu przeciwna, częściowo dlatego, że stawia ją to w złym świetle, a przynajmniej ona tak uważa. Być może dlatego, że rzuca to złe światło na mnie. Tak czy owak, odmówiła przyjęcia tu dzisiejszego ranka i wkrótce wyjeżdża. Przysięgła, że nigdy nie powróci, ale bardzo w to wątpię, bo grozi mi tym od lat. Choć jej wizyty są coraz rzadsze, to jednak zawsze trafia tu z powrotem.

– Nie zgodziliśmy się co do szczegółów i do powodów – ciągnął. – Dlatego być może odniesiecie wrażenie, że słyszycie tylko to, co ja chcę, żebyście usłyszeli. Mam nadzieję, że to nieprawda, gdyż wina leży tylko po mojej stronie. Zbyt długo zwlekałem, lecz jeszcze nie jest za późno, aby wszystko naprawić. Adelaide musi jednak z nami współpracować, a jak dotąd nie udało mi się jej przekonać.

Popatrzył na zebranych i pokręcił głową.

– Teraz zupełnie nie wiecie, o co mi chodzi. Może po prostu wszystko wam opowiem. Pewnie rozpoznacie część tej historii, gdyż Adelaide przekazała ją wam, kiedy byliście mali. Im częściej ją wam powtarzała, tym bardziej wierzyliście, a Adelaide potrafi być bardzo przekonująca. Uwielbialiście ją.

– Myślę, że mogę się wypowiedzieć w imieniu nas trzech i to potwierdzić – odezwał się Puck. – Tak, uwielbialiśmy ją. Wpadała do naszego życia i z niego wypadała niczym nieuchwytny anioł, ale dzieci dorastają, tato. To, co wydaje się logiczne malcowi, nie jest już takie dla dorosłego człowieka. Opowiedz tę historię.

Markiz mówił niemal przez godzinę bez przerwy.



Opowiedział im o dniu, w którym jego koń okulał i zatrzymał się daleko od posiadłości, przed domkiem, gdzie Cyril poznał Adelaide i jej siostrę Abigail. Dopiero co skończył dwadzieścia jeden lat, a zaledwie kilka miesięcy wcześniej jego rodzice zginęli w wypadku. Opłakiwał ich stratę i zmuszony był spędzić rok na wsi, dopóki nie minie czas żałoby. Był nieprzygotowany i przerażony odpowiedzialnością, która nieoczekiwanie spadła na jego barki. Nagle zdarzył się cud – ujrzał najpiękniejsze stworzenie na świecie i od razu się zakochał.

Zapałał miłością do Abigail, słodkiej, niewinnej, niepasującej do niego Abigail – nie do Adelaide, I w tym miejscu jego opowieść zaczęła się rozbiegać z romantyczną wizją matki braci.

Miłość Cyrila do Abigail była czysta. Wiedział, że jego uczucie jest odwzajemnione. Kochała też kwiaty, koronkę na rękawiczkach, kolorowe listki, które trzymała między stronicami książki pełnej wierszyków... i grzeczne pocałunki. Na nic więcej się nie odważył. Już wtedy wiedział, że prawdziwe małżeństwo z nią nie byłoby możliwe, a jednak nie mógł się od niej odwrócić. Ukoić jego serce, pragnął jej przy sobie i potrzebował. Chciał ofiarować jej piękne życie.

– I to ci się udało – przerwał markizowi Puck.

– Nigdy nie znałem nikogo równie szczęśliwego, a wszyscy, którzy zetknęli się z Abigail, bardzo ją kochali. Zawsze będzie mi jej brakowało.

Regina bez słowa pochyliła się i pocałowała męża w policzek.

– Dziękuję, że to powiedziałaś, Puck. Jeśli z tego wszystkiego wynika cokolwiek dobrego, to właśnie to – westchnął markiz, po czym mówił dalej.

Udawał, że ubiega się o rękę Adelaide tylko po to, by być blisko Abigail. W końcu Adelaide przejrzała jego zamiary i nie posiadała się z oburzenia.



Postanowiła udowodnić to Cyrilowi, wygrywając na swoim podobieństwie do Abigail. Przez pewien czas udawało się jej mieszać mu w głowie. Mógł całować Adelaide i udawać, że jest z Abigail. Mógł jej dotykać, zaspokajać swoje żądze i okłamywać samego siebie. Nawet mógł wmawiać sobie, że wcześniej się mylił i od początku kochał właśnie Adelaide.

Trwało to pewien czas, ale w końcu otrząsnął się z szaleństwa i wystrychnął Adelaide na dudka, prosząc Abigail o rękę. Miała być jego żoną wyłącznie tytułarnie, ale potrzebował jej przy sobie, chciał ją widzieć każdego dnia, mieć pewność, że jest szczęśliwa.

Adelaide ze złością zarzuciła mu coś, co nazwała „perwersją duszy”, która nakazała mu ożenić się z jedną siostrą, a sypiać z drugą. Oznajmiła, że rozpowie o wszystkim, a wtedy Cyril nigdy nie ożeni się ze swoją ukochaną. Zamierzała nawet dopilnować, aby nigdy więcej jej nie zobaczył.

Zaproponowała jednak, by w zamian za milczenie finansował jej potrzebę wolności i nieskrepowania. Do tego miała nadal z nim spędzać noce, gdy nie będzie dawał sobie rady z pożądaniem. Nigdy nie planowała wyjść za mąż, potrzebny był jej tylko możny mecenas. Za swoje pieniądze Cyril miał dostać jej ciało, na każde żądanie, oraz jej milczenie.

Markiz był rozdarty między miłością do kobiety, której nie mógł posiadać, a dziwną obsesją na punkcie jej niebezpiecznej, niezwyklej siostry, której pożył, ale nie kochał.

Pełen wstydu i przerażony utratą Abigail, markiz zgodził się na ten układ.

W dniu ślubu, gdy podniósł biały welon z twarzy żony, już po tym, gdy złożyli podpisy w kościelnym rejestrze, ujrzał rozbawione oblicze Adelaide, obecnie markizy Blackthorn. Przekonała ona Abigail do pozostania w domu, przebrała się w jej pokoju, o czym nie wiedział nawet ojciec dziewcząt, który

oznajmił gościom, że zachorowała i nie weźmie udziału w ceremonii. Zdenerwowany oczekiwaniem przy ołtarzu markiz nawet nie zauważył jej nieobecności.

Adelaide zapisała własne imię w księdze. Twierdziła potem, że wystrychnęła go na dudka, aby ocalić go przed samym sobą i że ta zamiana przyszła jej do głowy dopiero rankiem. Uznała ją za pyszny dowcip. Obiecała markizowi, że nikt się o niczym nie dowie, jeśli będzie zajmował się nią i spełniał wszystkie jej życzenia.

Adelaide dochowała tajemnicy. Do uciszenia pastora wystarczyła nabita sakiewka, a ojciec dziewcząt nie sprawiał najmniejszych trudności. Wystarczyła mu świadomość, że pozbył się córek, bo jego nowa żona z całego serca nienawidziła obu młodych, pięknych dziewcząt.

Adelaide wreszcie dostała to, o czym zawsze marzyła. Znalazła człowieka, który bez szemrania finansował jej wystawne życie. Abigail była bezpieczna, a markiz... Cóż, musiał ze wstydem przyznać, że również korzystał z tego, na co miał ochotę. Abigail należała wyłącznie do niego, kochał ją i sycił nią swoją duszę. Z kolei Adelaide zaspokajała jego fizyczne potrzeby.

Potem przyszedł na świat Beau. Zdarzyło się to w czasie, gdy Adelaide podróżowała po Szkocji wraz ze swoją trupą, i znów wszystko się zmieniło. Gdy markiz zobaczył niemowlę, w końcu ocknął się ze „straszego koszmaru” i uświadomił sobie konsekwencje oszustwa. Pragnął natychmiast wyjawić prawdę i uznać prawowitego następcę, lecz Adelaide ostrzegła, że publicznie oskarży go o gwałt, na dodatek w obecności jej siostry, W takiej sytuacji ludzie uznaliby go za chorego zboczeńca, za którego zresztą się uważał, i zapewne trafiłby do więzienia.

Przypomniała mu, że towarzystwo już się od niego odwraca, a ludzie

wymieniają odrażające komentarze o tym, dlaczego wziął sobie piękną, ale ewidentnie nierozgarniętą żonę. Co stałoby się z Abigail, gdyby prawda wyszła na jaw? Czy zabrano by ją z Blackthorn i trafiłaby w bezpieczne miejsce z dala od jego zwyrodniałych zachcianek? W miejsce takie jak przytułek dla obłąkanych? Taki los chciał zgotować kobiecie, którą rzekomo kochał? Adelaide spędziła wystarczająco wiele lat na przymusowej opiece nad siostrą. Oświadczyła, że teraz korzysta z wolności i za nic nie da się obarczyć ciężarem w postaci półgłówka.

Następnie zostawiła Beau markizowi i wyjechała. Powróciła dopiero po dwóch latach, tym razem z ciemnowłosym niemowlęciem, któremu dała na imię Don John.

Markiz widział wyraźnie, że Jack nie jest jego synem, ale przyjął dziecko, przyrodniego brata własnego syna, i znów zgodził się spełnić żądania Adelaide. Kazał wybudować dla niej chatkę, a ona zachowywała się tak, jakby pragnęła pozostać w Blackthorn. Rozpieszczała siostrę, odgrywała kochającą matkę przed uwielbiającymi ją synami i ponownie odnalazła drogę do łóża markiza. W rezultacie tamtego długiego i dziwnego lata przyszedł na świat Puck, a potem było już za późno, aby cokolwiek zmienić.

Markiz, nadal kochał Abigail, ale teraz była to miłość brata do siostry, gdyż to Adelaide zaprzętała jego myśli i dręczyła duszę. Sądził, że pragnie czystości, jednak to Adelaide z jej zmiennymi nastrojami, kuszeniem i namiętnością sprawiła, że stał się jej niewolnikiem. Była chorobą, na którą nie miał lekarstwa.

– Za rok – powtarzała. – Wkrótce będę za stara na występy sceniczne i wtedy wszystko się ułoży. Gdy zdrowie Abigail się poprawi, najdroższy, naprawimy stare błędy i znów będzie dobrze. Bałabym się o jej życie, gdybyśmy mieli to zrobić teraz. – Do tego dodawała często: – Wiem, że

zaproszą mnie do Londynu. Gdy tylko zagram w Covent Garden, niczego już nie będę chciała od życia i zrobię wszystko, o co mnie poprosisz. Podaruj mi tylko jeszcze jeden rok.

I tak mijały lata.

Adelaide zawsze zdawała się wiedzieć, kiedy niebezpiecznie przedłużyć swój pobyt. Wtedy właśnie, gdy Cyril szykował się do poważnej rozmowy, zniknęła. Jeśli naciskał zbyt mocno, nie było jej nawet przez rok, co doprowadzało go do szaleństwa, tak bardzo pragnął ją ujrzeć. Wkrótce nauczył się, żeby się przy niczym nie upierać.

Znalazł się w potrzasku. Wszyscy utkwili w pułapce kłamstw i tak to się ciągnęło, aż chłopcy dorośli i stali się mężczyznami. Z każdym mijającym rokiem coraz trudniej było w ogóle rozważać ujawnienie prawdy. Synowie markiza byli wykształceni, finansował ich, mógł dać im wszystko z wyjątkiem tytułu. Wiedząc, że kłamię nie tylko synom, ale również i sobie, za każdym razem gdy Adelaide uznała za stosowne wrócić do Blackthorn, markiz coraz bardziej jej nienawidził, choć nadal rozpaczliwie pożywał.

Aż pewnego dnia to się skończyło. Uśmiechała się, a on nie uległ jej urokowi. Przekomarzała się z nim, a on uznał to za męczące. Przyszła do jego łóżka, a jemu było wręcz niedobrze. Groziła, tyle że on już się nie bał. Mógł wskazać, kiedy dokładnie obudził się z tego koszmaru – stało się to w dniu, w którym odesłała Jacka. Poświęciła własnego syna, byleby odzyskać władzę nad mężem.

Abigail coraz bardziej wycofywała się w głąb swojej głowy, do tego stopnia, że ledwie rozpoznawała markiza. Nic by się jej nie stało, gdyby prawdą wyszła na jaw, gdyby ujawnił, że nie jest jej mężem, i uznał synów. Ci synowie nie byli już bezbronnymi młodzikami i mogli opiekować się Abigail. Owszem, wybuchłby skandal i sceptycy nadal traktowałiby młodych

Blackthornów jak bękarty, które; jednak stałyby się pełnoprawnymi dziedzicami tytułu. W osobie Beau Blackthorn zyskałoby pierwszego naprawdę dobrego administratora majątku od czasu śmierci ojca Cyrila. Przetrwałyby i tytuł, i ród.

Nie było jeszcze za późno, by naprawić zło.

W końcu, z wieloletnim opóźnieniem, znalazł odwagę, by wyznać prawdę. Najpierw jednak postanowił rozmówić się z Jackiem. To było ważniejsze. Markiz musiał mu wytłumaczyć, że Jack jest dla niego prawdziwym potomkiem i kocha go z całego serca. Niejedna arystokratka zdradzała męża, takich jak on było znacznie więcej. Jack musiał to zrozumieć, ale nie chciał się pojawić, a potem wyruszył na wojnę. Inni synowie też gdzieś się rozpierzchli.

Poprzedniej wiosny zawezwał ich wszystkich do posiadłości, żeby wreszcie wyznać prawdę. Wtedy jednak zmarła Abigail, a Adelaide powróciła do Blackthorn na pogrzeb. Niemal bezszelestnie wśliznęła się w życie markiza i omal go nie przekonała, że ujawnienie prawdy tylko zaszkodziłoby pamięci Abigail. Poza tym, kto by mu uwierzył, nawet gdyby Adelaide również wyznała prawdę? Jej ojciec i macocha nie żyli, podobnie jak pastor. Zapisy w księgach kościelnych mogły zostać sfalszowane. Rewelacja, że to Adelaide jest żoną Cyrila, wydawałaby się podejrzenie wygodna tuż po śmierci Abigail.

Mimo to Cyril spisał wszystko, co zaszło, i przekazał pismo wraz ze świadectwem ślubu prawnikowi. Przez ostatni rok zarzucał władze świeckie i kościelne petycjami o to, by Oliver LeBeau, Don John i Robin Goodfellow zostali uznani za jego prawowitych potomków, dzięki czemu Beau natychmiast odziedziczyłby miano wicehrabiego Oakley, Jack i Puck tytuły lordowskie i nazwisko Woodward.

Choć markiz tego nie powiedział, wszyscy byli świadomi, że gdyby Beau zmarł bez męskiego potomka, tytuł przypadłby w udziale Jackowi, prawdziwemu bękartowi, a nie Puckowi. Na to Jack nigdy by się nie zgodził. Tess wstrzymała oddech i nie ośmieliła się na niego spojrzeć. Jack jednak milczał, a markiz kontynuował opowieść.

– Niestety, sprawa jest wciąż daleka od szczęśliwego finału – powiedział markiz ciężko. – Adwokat poinformował mnie, że będziemy potrzebowali pisemnego zeznania waszej matki. Musi przyznać się do udziału w spisku. Jeszcze wczoraj wieczorem stanowczo odmawiała współpracy.

A jego lordowska mość niedawno odniósł poważne obrażenia podczas upadku z konia, dodała w myślach Tess. Dzięki Bogu, nie doszło do najgorszego. Nie mogła pojąć, dlaczego Adelaide nie chciała, by prawda wyszła na jaw. Co innego, gdy była młoda i upierała się przy zachowaniu wolności, ale teraz? Byłaby markizą, za czym szły niemałe przywileje.

Tess nic z tego nie rozumiała.

Markiz z trudem wstał i podszedł do Beau, który w czasie długiej przemowy ojca nie ruszył się z miejsca przy kominku. Tak mocno zaciskał usta, że pobieląca mu skóra wokół nich.

– Pamiętam dzień, w którym dotkliwie cię pobito, Beau – powiedział markiz cicho. – Przeze mnie, przez moją słabość. Nie mogę prosić o wybaczenie i nie mogę obiecać, że kiedykolwiek otrzymasz tytuł, dzięki któremu lepiej przysłużyłbyś się temu miejscu niż ja.

Beau skinął głową.

– Dawno temu pogodziłem się z tym, kim jestem, wasza lordowska mość – odparł. – I tylko dlatego, że byłem jednym z bękartów Blackthorna, mam moją piękną żoną wartą dziesięciu tytułów. Nie mam ci czego wybaczać.



– Bardzo ładnie to ująłeś, braciszku. – Puck dołączył do niego pod portretem. – Ja mogę powiedzieć to samo. Wygląda na to, że nasza matka nie myliła się pod jednym względem. Nie wiem, czy Regina mogłaby cieszyć się moją bliskością, kiedy tak bardzo mnie potrzebowała, gdybym nie był bękartem. I nie zmieniałbym ani jednego dnia spędzonego jako *le beau bâtard anglais*. Mogę żałować kilku głupstw teraz, gdy jestem szczęśliwym żonkosiem, ale wtedy mnie cieszyły. Bardzo chętnie zostanę lordem Robinem, a jeszcze chętniej twoim uznanym potomkiem, ale oficjalna aprobata w oczach towarzystwa jest dla mnie niczym w porównaniu z tym, co już mam.

Tess zaczęła pośpiesznie szukać chusteczki i otarła nią oczy. Przemowy Beau oraz Pucka były wzruszające i bardzo szczere. Ich status bękartów sprawił, że wyrosli na silnych i rozsądnych mężczyzn. Z radością popatrzyła na ich żony, urodziwe i pełne gracji, które natychmiast dołączyły do mężów.

Jack jednak nie ruszył się z miejsca i milczał.

Markiz przytulił dwóch synów, po czym podszedł do ostatniego. Jack szybko wstał, a Tess poszła w jego ślady. Chwyciła go za rękę i lekko ją ścisnęła.

– Wasza lordowska mość – powiedział cicho Jack.

– Synu, tak bardzo mi przykro. Zawsze byłem dumny z ciebie i z tego, kim jesteś. Masz w sobie ogień, ducha i odwagę. Zazdroszczę ci tych trzech cech, gdyż brakowało mi ich przez całe życie. Nigdy się nie dowiem, co takiego powiedziała ci matka, że odszedłeś, i ile cię kosztował powrót tutaj. Widok twojego syna, pięknego chłopca, którego powierzyłeś mojej pieczy, wlał pociechę w moje serce, co nie zdarzyło się od dawna. Dla niego i dla tej wspaniałej kobiety obok ciebie, proszę, spróbuj mi wybaczyć i daj mi wynagrodzić ci choć w niewielkim stopniu cierpienie, które musiałeś znosić



przez swoją matkę i przeze mnie. Błagam cię o to.

Tess wstrzymała oddech.

– Wasza lordowska mość – odezwał się w końcu Jack. – Nie trzeba mi niczego wynagradzać. Wpuściłeś do domu dziecko innego mężczyzny, przyjąłeś mnie, choć miałeś aż nadto powodów, by mnie odtrącić. Mogę tylko podziękować. To ja jestem twoim dłużnikiem. Sądziłem, że będzie lepiej, jeśli się oddalę, ale byłem w błędzie. W ogromnym błędzie. Teraz jednak się mylisz. Nie mam prawa do spadku tylko z tytułu tego, że Adelaide była markizą, gdy się narodziłem.

– No i się zaczyna. Ależ mamy szczęście, że możemy sobie popatrzeć na ośli upór Jacka – westchnął Puck. – Prawo jest prawem, Jack. Nawet nie wspomnę o tym, że pomysł jest wyborny i nie słyszę, żeby Beau się sprzeciwiał. Czy w ogóle ktoś ma coś przeciwko temu? Na litość boską, bracie mój, wiem, że to nie leży w twoim charakterze, niemniej spróbuj się nieco ugiąć.

Tess w końcu odważyła się spojrzeć na Jacka. To, co ujrzała w jego twarzy, sprawiło, że nie mogła dłużej milczeć.

– Nie mają sensu wszczynać kłótni o coś, do czego być może nigdy nie dojdzie – oznajmiła. – Jeśli wasza matka przez długie lata z powodzeniem unikała wyznania prawdy, jakoś trudno mi uwierzyć, że nagle w tym momencie zmieni zdanie.

– I znów się mylisz, Tess, choć dziękuję ci, że po raz kolejny stanęłaś w mojej obronie. Adelaide z chęcią przyzna się do tego, że akt ślubu jest autentyczny. Sam tego dopilnuję.

Beau objął Jacka ramieniem.

– Nie, Jack, nie sam – powiedział. – To zadanie dla naszej trójki. Wspólnie przemówimy jej do rozumu.

– Do rozumu? Bracie, kiedyś będzie z ciebie pierwszorzędny markiz, gdyż jesteś prawdziwym dżentelmenem, jednak teraz przydadzą się moje szczególne umiejętności.

– Jack ma rację, Beau – westchnął markiz. – Zawsze wierzyłem, że wasza matka niechętnie podziwia Jacka lub wręcz się go boi. Masz jakiś plan, synu?

– W zasadzie tak, wasza lordowska mość. Tess i ja dopracujemy szczegóły w drodze na spotkanie z Adelaide.

Beau zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym w końcu skinął głową.

– Wobec tego lepiej pośpieszcie się z planowaniem – oznajmił. – Stąd, gdzie stoję, widać podjazd. Wozy już zniknęły. Pewnie bez trudu je dogonicie, ale niech mnie diabli porwą, jeśli się domyślam, jak zamierzasz skłonić ją do powrotu.

– Nie, spotkamy się z nią gdzie indziej – powie – dział Jack. – Ona nigdy tu nie wróci.

Tess natychmiast zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Chronił markiza. Wiedziała, że mężczyzna, którego pokochała, byłby gotów walczyć choćby i ze smokami dla tych, na których mu zależało, i użyłby każdej broni ze swojego arsenału. Cieszyła się, że pomoże mu w planie doprowadzenia do upadku jego matki. Może nawet pociągało ją to bardziej niż perspektywa pojmania Cygana. Bronią Adelaide były jej słowa, a te przynajmniej nigdy nikogo nie zabiły, choć mogły dotkliwie zranić.

– Nigdy nie wróci? Dlaczego? Rozumiem, że o to też nie powinienem pytać? – Beau pokiwał głową. – Tak czy owak, czy w ogóle wiemy, dokąd się udała?

– Tam, gdzie zawsze, kiedy nie jest ze mną. Do kochanka – powiedział

cicho markiz. – Do twojego ojca, Jack. Zawsze liczył się tylko on, nawet przed naszym spotkaniem. Dowiedziałem się tego pewnej nocy, gdy bardzo chciała mnie zranić. Poznałem prawdę o nim i o ich wolnym, beztroskim życiu.

O emocjach, których Adelaide potrzebuje tak, jak reszta z nas potrzebuje powietrza. Muszę przyznać, że niechętnie go podziwiam. Bierze ją sobie, a potem odstawia na bok, kiedy mu się tylko spodoba, czasami na wiele miesięcy. Ostatnio nie było go przez trzy lata. Biedna Adelaide bardzo cierpiała. Ale teraz wrócił, jestem tego pewien. Od razu zauważyłem w niej różnicę. Tańczy, jak on jej zagra. To bystry człowiek, mądrzejszy niż ja.

Puck dyskretnie odchrząknął.

– Wobec tego zapytam z pewnym wahaniem, czy ty, Jack, jesteś gotowy spotkać się z człowiekiem, który cię spłodził?

– Już się spotkaliśmy, choć w przelocie – powiedział Jack z napięciem w głosie. – I dodam tylko, że absolutnie zgadzam się, iż nasza matka zachowuje się głupio.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Nazywane są piecami butelkowymi– powiedział Jack, gdy wraz z Tess przystanął na szczycie niskiego wzgórza i popatrzył z góry na Stoke-on-Trent, nazywany czasem Garncarnią. – Nie trzeba dodawać, że przypominają gigantyczne ceglane butle, z których bije czarny dym. Gdy we wszystkich trwa wypalanie, ledwie widać słońce.

– Niesamowite– westchnęła z podziwem. – Są naprawdę ogromne. Musi ich tu być co najmniej setka i tworzą wyjątkowy krajobraz. Odwiedzałeś już kiedyś to miejsce?

– Raz czy dwa, owszem, w ramach pracy dla Korony. Nie przypominam sobie jednak teatru. Jeśli go tu nie ma, to Adelaide zapewne wystąpi na prowizorycznej scenie na wiejskim rynku. Adelaide w kłębach dymu. Tyle tytułem wybujałych ambicji.

– Trudno to zrozumieć, ale najwyraźniej po to właśnie żyje. W końcu to markiza Blackthorn, niechby nawet dwulicowa. Nawet jeśli nie kocha synów na tyle, by uporządkować sprawy, powinna wyznać prawdę dla samej siebie. Czegoś nie dostrzegamy, Jack. Musi tak być. Nie sądzisz chyba... Nie, to niemożliwe.

– Jeśli chcesz zasugerować, że od czasu do czasu przyłącza się do Andreeasa w jego kradzieżach, to już o tym myślałem. Cyril mówił prawdę. Czasem nie ma jej przez ponad rok. Może i wyjeżdża ze swoją trupą, ale tak naprawdę nie wiemy, czy przebywa z nią przez cały czas. Zapewne robi wszystko, co zapewni jej mocne wrażenia.

– Mówiłeś również, że świetnie jeździ konno. Nie wiem dlaczego, ale to mnie zaskoczyło.

– Nie zna też lęku. Udaje damę w potrzebie, ale ma stalową wolę. Jest niczym wiele kobiet w jednej, a każda z nich to fascynująca postać. Wątpię, by Adelaide wiedziała, kim naprawdę jest, skoro przez całe życie odgrywa narzucone sobie role. Wszystkich nas fascynowała, a Cyrila najbardziej.

– No cóż, zdaniem jego lordowskiej mości ją fascynuje Cygan. Wyobraź sobie radość Sinjona, gdy poznał twojego ojca, a potem dowiedział się wszystkiego od Andreeasa. Oczywiście, że musiał znaleźć jakiś sposób, by wykorzystać tę wiedzę do trzymania Cygana w szachu. Ty byłeś jego argumentem przetargowym.

– Owszem. – Skinął głową. – Mógł użyć tej informacji na przeróżne sposoby. W końcu wybrał ten, który najbardziej go zadowolił. Chciał patrzeć, jak ojciec i niczego nieświadomy syn stają do konfrontacji.

– Zawsze miał dodatkowy plan – mruknęła Tess, gdy pośpieszyli konie. – I zawsze tkwił w tym jakiś haczyk. Wyobrażasz sobie, jak by się cieszył, gdybyś pozbył się jego niebezpiecznego wroga i mógłby ci powiedzieć: „Przy okazji, Jack, zabiłeś swojego ojca. To cena, którą zapłaciłeś za odejście ode mnie”.

– Chryste, to takie dziwne. Henry, Will, Dickie i ja nazywaliśmy siebie bandą hultajów. Myśleliśmy, że jesteśmy bardzo złymi ludźmi, ale nie bez powodu, zawsze w dobrej sprawie. Widzieliśmy zło w wielu formach i głupio sądziliśmy, że znamy się na swoim fachu lepiej niż ktokolwiek inny. Dostrzegaliśmy zło w żądzy władzy, w chciwości. Jednak nigdy nie zauważaliśmy zła samego w sobie, tylko po to, by być lepszym od swojego przeciwnika. Bóg wie, jakimi motywami kieruje się moja matka. Ja nie jestem w stanie się w tym rozeznać. Pewnie oznajmi, że zrobiła to wszystko z miłości. Niech to diabli, Tess, chciałbym, żeby to się wreszcie skończyło.

– A ja mam tylko nadzieję, że ona tu jest razem z Cyganem. Dochodzi

południe, Jack. Jedźmy już.

– Tess popędziła wierzchowca.

Jack przyglądał się jej przez chwilę, gdy jechała drogą. Miała na sobie jedną z najlepszych wyjściowych sukienek pokojówki z Blackthorn, on zaś ubrany był w strój robotnika oraz znoszony kapelusz. Tworzyli dobraną parę. Istniało co najmniej tuzin powodów, dla których powinien był pozostawiać Tess w Blackthorn, ale wystarczył tylko jeden, by wziął ją ze sobą.

Przynajmniej teraz wiedział, gdzie była, bo nawet gdyby przywiązał ją do łóżka, i tak znalazłaby sposób, żeby za nim pojechać.

Uśmiechnął się, gdyż przyszło mu do głowy, że zdaniem Tess nieustannie potrzebował opiekunki, i pośpieszył rumaka.

Dziesięć minut później przeklinał pod nosem, gdyż uświadomił sobie, że dziś w Stoke-on-Trent trwa dzień targowy i całe centrum miasta pełne jest wozów, straganów i ludzi, co znacznie utrudniało zlokalizowanie Andreeasa – o ile w ogóle znajdował się on w tłumie zebranych przed prowizoryczną sceną na samym środku rynku. Przed estradą ustawiono ze dwadzieścia rzędów ław, na których siedziała ściśnięta publiczność. Nigdzie nie było ani jednego wolnego miejsca. Cóż, nie mogło się to równać z Covent Garden, ale Adelaide musiała czuć się wniebowzięta.

Jack i Tess zostawili konie w małej stajni dla podróżnych i dalej poszli pieszo, trzymając się bocznych uliczek wokół rynku. Jack nie spodziewał się, że Andreas stanie na otwartej przestrzeni. Z pewnością raczej się ukrywał, jeśli Adelaide spotkała się z nim i powtórzyła mu, co zaszło w Blackthorn.

Jeśli Cyril się nie mylił, przynajmniej odrobinę obawiała się syna. Niewątpliwie czuła, że musi ostrzec kochanka przed Jackiem. Cyganowi udało się uniknąć konfrontacji w posiadłości Sinjona, więc może miał zamiar uciec także teraz. Kto wie, czy nie był już za miastem. Jack zaczął się zasta-

nawiać, czy nie przyjdzie mu zadowolić się przekonaniem Adelaide, iż ujawnienie prawdy leży w jej interesie, i czy nie powinien odłożyć poszukiwań Andreasa na później.

A może ojciec Jacka również czuł, że pora wreszcie zakończyć sprawę?

Jack wsunął rękę do kamizelki i wyczuł ostrze ukrytego tam noża. Zastanawiał się, czy go użyje, aby skrócić ojcu życie, i czy Tess nie wyruszyła z nim dlatego, aby go wyręczyć. Andreas na pewno nie zawahałby się przed zabiciem syna.

– Niech to diabli – powiedział cicho, gdy znaleźli się nieopodal sceny. – Chyba zaczęli wcześniej. Już są w połowie ostatniego aktu.

Tess popatrzyła na afisz przybity do ściany gospody.

– To nic. Poczekamy, aż Adelaide zejdzie ze sceny. Jest tam, prawda?

Unosząc nieco rondo kapelusza, Jack zerknął na aktorów.

– Tak, jest – potwierdził. – Gra Beatrice i wygląda przepięknie. A niech to, naprawdę uwielbia występować, prawda?

Tess uścisnęła jego rękę.

– Wiem, że to trudne – powiedziała.

– Trudne. Można to tak określić. Chodź, Tess, musimy się dostać bliżej sceny.

– Za chwilę. Jack, czy Cyganów nie nazywa się czasem wędrowcami? Na pewno o tym czytałam.

– Co takiego?

Właśnie zauważył kilka wolnych miejsc w pierwszym rzędzie. Siedziały tam zaledwie cztery osoby: dwie pary ubrane znacznie bardziej elegancko niż większość widowni. Jeden z mężczyzn wybuchnął śmiechem, odchylając przy tym głowę, i Jack zobaczył jego twarz. Był to sir Edward Starkley. Obok niewątpliwie siedziała jego żona, a za nią ich urocza



jasnowłosa córka i jej świeżo poślubiony mąż. Najwyraźniej odpoczywali na wsi i przy okazji postanowili obejrzeć spektakl, wystawiany przez wędrowną trupe.

Urocze i zarazem interesujące.

– Chodź, Tess.

– Spytałam, czy Cyganów nie nazywa się czasem wędrowcami – oznajmiła Tess z naciskiem i złapała go za ramię, gdy próbował odejść. – Bo na afiszu napisano, że w roli Benedicka występuje niejaki John Wędrowiec. Nie zastanowiło cię to?

– A niech to czart. – Jack spojrzał na afisz, a potem na scenę.

Benedick akurat nie występował, ale miał się pojawić w następnej scenie. Chwytał Tess za rękę i odciągnął w zaułek.

– Myślisz, że to on? Myślisz, że... Zastanów się przez chwilę, Jack. Mógł podróżować wszędzie, gdzie zechciał, w dowolnie wybranym kraju. Nikt nie miał szansy go przejrzeć. Ot, jeszcze jedna trupa aktorów. Któż na nich zwraca uwagę?

– A niech to czart... – powtórzył. – Adelaide podróżowała razem z nim i na pewno doskonale wiedziała, co się święci. Pewnie świetnie się bawiła i pomagała mu w tym procederze. A Cyril nieświadomie ich finansował przez te wszystkie lata... tyle lat...

– Jack, nie możesz tego zrobić. Nie wolno ci ulegać złości – ostrzegła go Tess, gdy w końcu dotarli na tyły sceny i ukryli się wśród tłumu. – Myśl tylko o tym, że on tu jest. A co do Adelaide... Postaram się trzymać ją z dala od ciebie. Nie myśl o niej, skup się wyłącznie na Andreasie. Słyszysz mnie?

Jack ledwie mógł się skoncentrować, tak bardzo kipiał złością. Wszystko, z czym miała styczność Adelaide, było skażone, wszyscy {udzie wykorzystani. Abigail, jego bracia, nawet Cyril. Była zwyczajnym

szkodnikiem!

– W porządku, Tess – zapewnił ją.

W jego głowie nabierał kształtów plan, który zaczął kiełkować w chwili, gdy Jack zobaczył sir Edwarda i jego córkę.

To mogło się udać. Musiało się udać.

– Sztuka prawie się kończy. – Położył ręce na ramionach Tess. – Nie mam czasu niczego wyjaśniać, skarbie. Bądź gotowa pochwycić Adelaide, jeśli spróbuje uciec.

– Oczywiście, że tak. Usiądę na niej, jeśli będę zmuszona – oświadczyła Tess żarliwie.

Jack uśmiechnął się na widok determinacji na jej twarzy, a potem pocałował ją i przytulił. Uspokoiwszy się, zostawił ją i obszedł scenę, by znaleźć się po drugiej stronie.

Zbliżył się do wozu i szybko ukrył się za plecami grubego rolnika z klatką kurczaków w dłoniach. W tym momencie z wozu wyszedł Andreas w wytwornym stroju i pelerynie.

– Witaj, dobry człowieku – powiedział na widok rolnika. – Doskonałe sztuki. Ukręć im łby i zanieś do gospody Pod Lisem. Powiedz właścicielowi, że za godzinę zjawię się tam z moją damą i będę oczekiwał oddzielnej jadalni.

Jack zgarbił się, żeby ukryć wzrost, i odwrócił się pośpiesznie, kiedy rolnik podbiegł po monety rzucone mu przez Andreasa. Ten ostatni ruszył z godnością ku drewnianym schodom na scenę, by po chwili wygłosić swoją pierwszą kwestię.

W *Wiele hałasu o nic*, komedii Szekspira, występowali zbłąkani kochankowie, a wśród bohaterów pojawia się łotr i bękart w jednej osobie, Don John. Jackowi nigdy nie podobała się ta sztuka, z oczywistych powodów. Jego własna matka nazwała go na cześć bękarta złoczyńcy.

– Ty. – Zatrzymał dłonią aktora, który wysiadł z wozu, najwyraźniej przygotowując się do wejścia na scenę. – Ty jesteś posłańcem, tak?

– Puszczaj, psie – zażądał mężczyzna cicho, żeby jego głos nie dał się słyszeć na scenie.

– Zadałem pytanie, dobry człowieku. – Jack mocniej wbił palce w jego ramię. – Czy grasz posłańca?

– I każdą inną, nic nieznaczącą rolę – burknął aktor. – I co z tego? Powinienem być Claudiem, ale Jeremy, pożał się Boże aktorzyzna, przejął tę rolę po powrocie Johna.

– Tak, widzę, że jesteś wykorzystywany ponad miarę. – Jack wyciągnął monetę z kieszeni. – Korona za twój kapelusz, pelerynę i milczenie. Co ty na to?

Aktor spojrzał na monetę, a potem na Jacka, gdyż ten nie wyglądał jak człowiek, który choć raz w życiu miał w rękach koronę.

– Rozum ci odjęło? – zapytał.

Czas uciekał.

– Istnieje taka możliwość – przyznał Jack. – Niemniej chciałbym zakpić sobie z mojego dobrego druha Johna. Przecież nic się nie stanie, prawda? A ty będziesz miał koronę.

Mężczyzna rozwiązał sznurek peleryny, a Jack ściągnął kapelusz i cisnął go na bok.

– Może miecz? Będziesz potrzebował mojego mieczyka.

Jack popatrzył na drewnianą atrapę i pokręcił głową.

– Dziękuję, ale to nie będzie konieczne. – Włożył kapelusz z piórem, a następnie zarzucił pelerynę na ramiona. – A teraz wybacz, ale wkrótce muszę wygłosić kwestię.

Posłaniec miał w całej sztuce do wygłoszenia jedno zdanie. Na

szczęście Jack je pamiętał, gdyż uwielbiał czytać o walce na miecze, która kończyła się pojmaniem Don Johna. Miał wtedy nie więcej niż dwanaście lat i bardzo interesował się rozlewem krwi.

Jack zajął miejsce tuż za kurtyną, gdzie był niewidoczny dla publiczności, ale mógł obserwować aktorów. Beatrice i Benedick stali twarzą w twarz, trzymając się za ręce i deklarując wzajemną miłość. Jackowi zrobiło się wręcz niedobrze, gdy ujrzał nieskrywany podziw w oczach Adelaide. Patrzenie na to widowisko sprawiało mu ból.

Po wygłoszeniu kwestii Andreas ją pocałował, a Jack odwrócił wzrok. Nadeszła pora na jego występ, ale milczał. W końcu cisza stała się niezręczna i aktorzy niepewnie zaczęli rozglądać się na boki.

– Czy ktoś coś mówił o posłańcu? Niech wejdzie posłaniec! – zawołał nerwowo aktor grający rolę księcia.

Jack nawet nie drgnął. Dotąd lekko znudzona publiczność oraz aktorzy zgodnie wyciągali szyje ku scenie i nadstawiali uszu. Jack miał nadzieję, że sir Edward Starkley z uwagą śledzi przebieg zdarzeń.

W końcu wyszedł na scenę i skłonił głowę, po czym zwrócił się do księcia:

– Mój panie, przybywam tu, by aresztować tego człeka, Benedicka, za zbrodnie przeciwko Koronie, a wraz z nim jego dziewczkę.

Księżę, krępy mężczyzna o czerwonej twarzy, wyszeptał wstrząśnięty:

– Co? To nie jest twoja kwestia, Chester. Zaraz! Kim pan jest?

Jack zdjął kapelusz i skłonił się ojcu, a następnie wyprostował z nożem w dłoni.

– Jesteście otoczeni, bez szans na ucieczkę – oznajmił. – Tym razem nie ma mowy o żadnej litości.

– Jack! – wykrzyknęła jego matka. Stała przed kochankiem i szeroko

rozłożyła ręce, jakby chciała go ochronić własnym ciałem. – Co ty wyprawiasz? Chyba zupełnie oszalałeś. Nie możesz...

– Zamknij się, Adelaide – warknął Cygan. Przywarł do niej i przytknął czubek sztyletu do jej szyi.

– Mówiłaś, że nic mu nie powiedziałaś i że niczego nie podejrzewa. Ty głupia suko! A jednak tu przybył. Jak widzę, bardziej przypomina mnie niż ciebie, niestety. Módl się Adelaide, gdyż tak jak ja, ma cię za nic. Co teraz, Jack? Odejdę z tą krową i gdzieś ci ją zostawię, czy też zmusisz mnie, bym uczynił coś innego?

– Puść ją – powiedział cicho Jack. – To się na nic nie zda.

– Bynajmniej. Odwołaj swoich ludzi, Jack, i pozwól mi odejść. Potrzebujesz jej do wyznania prawdy, czyż nie?

Po szyi Adelaide spłynęła strużka krwi, a na widowni dał się słyszeć zbiorowy jęk.

– Interesujący dylemat. Podarujesz mi chwilę, bym to przemyślał? – spytał gładko Jack, choć serce nieomal wyskoczyło mu z piersi. Poczekał, aż napięcie wzrośnie, a potem pokręcił głową. – Nie, bardziej zależy mi na tobie. Zrób z nią, co zechcesz.

Adelaide przewróciła oczami, po czym osunęła się w ramionach Cygana, on zaś zachwiał się lekko. Właśnie na to czekał Jack. Natychmiast skoczył na ojca, chwycił go za rękę z nożem, po czym obaj runęli na deski.

Tess patrzyła, jak Jack oraz człowiek, którego tytułował sir Edwardem, rozmawiają cicho w kącie sali w gospodzie Pod Lisem. W końcu przestała się trząść po idiotycznym popisie brawury Jacka i teraz cieszyła oczy widokiem Cygana przywiązanego do krzesła, z wielkim guzem nad lewym okiem. Walcząc o nóż, Cygan oraz Jack stoczyli się ze sceny i runęli wprost pod nogi sir Edwarda, który przytomnie rąbnął Cygana w głowę laską o złotej gałce.

Widownia zaczęła wiwatować, a Tess zastanawiała się, ilu z tych ludzi nigdy nie widziało sztuki Szekspira i sądziło, że tak właśnie wygląda jej finał.

Po chwili popatrzyła na popłakującą cicho Adelaide. Miała zabandażowaną szyję i popijała wino z kieliszka, który z wdzięcznością przyjęła od Jacka. Nagle jednak wstała i chlusnęła resztkami trunku prosto w twarz Cygana. Gdyby Tess nie czuła takiej antypatii do tej kobiety, nagrodziłaby ją oklaskami. W tym momencie jednak najbardziej zależało jej na tym, aby się dowiedzieć, o czym rozmawiają Jack i sir Edward. Jeszcze bardziej zdumiało ją, gdy uścisnęli sobie dłonie, a Jack podszedł do niej i mrugnął porozumiewawczo.

– Wspominałam ci kiedyś, że nie lubię, jak starasz się być przebiegły? – westchnęła. – Tak samo nie lubię patrzeć, jak ryzykujesz życie. Nigdy w życiu nie widziałam równie idiotycznego zachowania. Powiedziałeś mi, że może ją zabić, jakby nie miała dla ciebie najmniejszego znaczenia.

– Uznałem, że to pierwszorzędna kwestia. Szekspir powinien był ją wykorzystać, nie sądzisz? Doskonale nadaje się na zakończenie tej farsy. Przy okazji, kiedy ucięłaś sobie pogawędkę z moimi bratowymi, czy Regina wspomniała ci o swej przygodzie sprzed kilku miesięcy?

– Chodzi o porwanie jej kuzynki przez handlarzy niewolników? – Tess zmarszczyła brwi. – Okropność, ale co to ma wspólnego z tym, co dzieje się teraz?

– Porywano jasnowłose, niebieskookie dziewczęce wysokiego stanu, takie jak kuzynka Reginy, aby je wywozić za granicę i sprzedawać. Miało to wiele wspólnego z tym, co dzieje się tu teraz. Widziałaś córkę sir Edwarda, prawda?

Tess szeroko otworzyła oczy.

– Ona była jedną z tych kobiet? – zapytała.

– Nigdy tego nie potwierdzę, a ty nigdy tego nie słyszałaś. Wydano ją za

ciotecznego kuzyna i podobno jest szczęśliwa, a przynajmniej w to wierzy jej ojciec. Sir Edward był mi niesłychanie wdzięczny, gdy córka powróciła do niego i jest zachwycony, mogąc udzielić mi pomocy. Z wdzięczności, jak rozumiesz.

– Naturalnie. – Tess dyskretnie zerknęła na sir Edwarda. – A zasugerowałeś mu, co mógłby zrobić?

– Owszem, wpadliśmy na pewien pomysł – odparł Jack. Tess miała ochotę go uściskać, ale jednocześnie dać mu w ucho. Odwrócił się do sir Edwarda, który stanął między Adelaide i Andreasem.

– Zacznijmy zatem. Módl się, aby się nam udało.

Sir Edward wyglądał niczym napuszony gołąb, gdy tak stał na deskach gospody, z szeroko rozstawionymi nogami, trzymając ręce za plecami.

– Proszę pozwolić, że się przedstawię – oznajmił z powagą. Jego głęboki, donośny głos niezbyt pasował do krępej sylwetki. – Jestem sir Edward Starkley, co pewnie nic wam nie mówi. Wiedźcie jednak, że w szkole blisko przyjaźniłem się z jego wysokością księciem Norfolk. Przyjaźń ta przetrwała do dzisiaj. Jego książęca mość zaszczycił moją rodzinę, zostając ojcem chrzestnym mojej jedynej córki. Innymi słowy, mam pewne wpływy, choć nie chcę się tym chwalić.

Tess zakaszlała cicho, niemal pewna, do czego prowadzi ta przemowa. Sir Edward jej nie rozczarował.

– Otóż ten młody człowiek podzielił się ze mną ciekawą opowieścią, w którą jestem gotów uwierzyć. Szanowny pan zostanie przewieziony do Londynu i odpowie za swe zbrodnie. Na pewno zapłaci pan za zamordowanie René Fonteneau, wicehrabiego Vaocluse.

Andreas w milczeniu piorunował wzrokiem sir Edwarda, który teraz skupił się na Adelaide.



– Nie będę zapewniał, że znam wszystkie kruczki obowiązującego prawa, droga pani, ale być może uda się pani uratować przed szubienicą, jeśli przystanie pani na daleko idącą współpracę z władzami, co niniejszym zdecydowanie sugeruję.

– Cóż takiego? – Adelaide zerwała się na równe nogi. – Ja? Na stryczku?

Sir Edward odkaszlnął.

– Ten dżentelmen, urzędnik Korony, zapewnia, że działała pani w zмовie z tym oto więźniem i popełniła rozmaite poważne zbrodnie przeciwko państwu. Zbrodnie o zróżnicowanym charakterze, w ciągu wielu lat. Ubolewam nad tym, lecz zostanie pani skuta i przewieziona do stolicy. Jest pani zatrzymana przynajmniej do wyjaśnienia sprawy. Nie widzę innego wyjścia.

– Jack! – Adelaide okręciła się na pięcie, by spojrzeć na syna. – Jak mogłeś mi to zrobić?

– Zaprzeczasz, że podróżowałaś z tym mężczyzną? – spytał ją Jack. – Nim cokolwiek powiesz, przypomnij sobie, że jestem niezaprzeczalnym tego dowodem.

– Andreasie? – Teraz spojrzała na Cygana. – Powiedz im. Na litość boską, powiedz, że jestem absolutnie niewinna!

Ojciec Jacka popatrzył na nią z uśmiechem.

– Wręcz przeciwnie, Adelaide. Nigdy nie byłaś niewinna. Nie grzeszysz wyłącznie inteligencją. Chyba uświadamiasz sobie, że nie znalazłbym się w tej sytuacji, gdyby nie ty? Przysięgałaś, że nie po– jedzie za tobą, pamiętasz? Moim błędem było obdarzenie cię zaufaniem.

– Ale przecież mnie kochasz!

Andreas spojrzał na Jacka.

– Myśli, że ją kocham – westchnął ciężko. – Ma swoje talenty, i owszem, bardzo interesujące. Ale powtarzałem jej raz za razem: nigdy nie myśl, Adelaide, to nie jest twoja mocna strona.

Rozległo się pukanie do drzwi i pojawił się w nich właściciel gospody z długim sznurem w rękach.

– Nic więcej nie znalazłem, sir Edwardzie – oznajmił. – To dla kobiety, tak?

– Nie! – krzyknęła Adelaide i podbiegła do Jacka, chwytając go za dłonie. – Nie możesz mi tego zrobić. Nie pozwolisz na to. Mówi, że ma wpływy, słyszałeś. Powiedz mu, powiedz!

Jack uwolnił ręce z jej uścisku.

– Cóż takiego mam mu powiedzieć? – spytał lodowatym tonem.

– Wyjaw, kim jestem – zaszlochała. – Nie można mnie aresztować. Nie mogę zawisnąć. Powiedz mu, że jestem niewinna. Powiedz mu, kim jestem.

– Nie– odparł Jack, a Tess wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy przypadkiem nie posunął się za daleko. Szybko jednak uświadomiła sobie, że sir Edward musi usłyszeć prawdę z ust Adelaide. – Jeśli sir Edward ma zeznawać w twojej obronie, musisz mu powiedzieć.

To było dziwne. Do tego momentu nawet w niewiarygodnie trudnych sytuacjach Adelaide była piękną kobietą. Teraz jednak wydawała się wprost okropna.

– Wiem, co robisz – wysyczała przez zęby.

– Chcesz, żeby ten człowiek był świadkiem. Poświęcisz dla nich mnie, własną matkę. Miałam go w garści przez te wszystkie lata, gdyż odmawiałam mu tego, czego pragnął najbardziej. Dawno by mnie odtrącił, tak jak wcześniej, dla mojej na wpół obłąkanej siostry. Jak śmiał ją wybrać? Dlaczego wołał ją ode mnie? Naprawdę myślał, że dostanie ode mnie

cokolwiek? Nienawidzę go i zawsze go nienawidziłam. Niech jego synowie będą bękartami, niech cierpi, niech idzie do grobu ze świadomością, jak bardzo ich skrzywdził.

– Jest pani straszną, naprawdę odrażającą kobietą – odezwała się Tess. – Przecież to i pani synowie.

Adelaide spiorunowała ją wzrokiem, chyba nie rozumiejąc jej wzburzenia, po czym popatrzyła na Jacka.

– Jeśli dam ci to, czego pragniesz, powiesz im, Jack? To, co robiłam z Andreasem, było niewinne, przysięgam ci. To była tylko zabawa. Podróżowaliśmy po całej Europie. Nigdy nikogo nie skrzywdziliśmy, chodziło tylko o pieniądze. Widziałam Napoleona, Jack. I cara. Tańczyłam z carem! Powiedział, że jestem piękna, możesz to sobie wyobrazić? Nie sądziłam, że tak to się skończy, i nigdy nikogo nie zabiłam. To wszystko było tylko wciągającą zabawą. Cyril nie mógłby ofiarować mi tego, na czym tak bardzo mi zależało. Ale ty mnie rozumiesz, prawda? Musiałam czuć, że żyję. Nie pozwól, żebym zawisła.

– Pomogę ci, matko – zgodził się Jack z napięciem. – Ale teraz mu powiedz.

Adelaide uniosła głowę i poprawiła kostium, po czym się uśmiechnęła. Nagle znowu stała się piękna.

– Czy wasza lordowska mość zechciałby mi uczynić przysługę i porozumieć się z jego lordowską mością, moim mężem, który z pewnością zaświadczy o mojej niewinności i położy kres temu idiotycznemu nieporozumieniu. – Uśmiechnęła się.

– Jego lordowską mością, droga pani? – powtórzył sir Edward. – Nie rozumiem. Przecież jest pani aktorką.

Adelaide spojrzała niespokojnie na Jacka, który tylko skinął głową.

– Niezupełnie, wasza lordowska mość. – Dygnęła elegancko przed sir Edwardem. – Ma pan zaszczyt rozmawiać z markizą Blackthorn, mój dobry człowieku.

TLR

## EPILOG

– Dziękuję, Roberts – powiedział Jack, gdy kamerdyner wręczył mu torbę z pocztą. – Ciężka dzisiaj.

– O, tak, proszę pana. – Roberts uklonił mu się nisko. – Korespondencja aż z Anglii. Może jakieś dobre wieści?

– Być może.

Jack nie mógł sobie pozwolić na nadzieję. Informacje z Anglii były ostatnio krzepiące, ale zdarzało się tak już wcześniej i nic z tego nie wynikało.

Wziął torbę i wyszedł przez wielkie, balkonowe drzwi na ceglany balkon z widokiem na James River. Przez chwilę obserwował krajobraz, co nigdy go nie nużyło. Cieszył się domem, który on i Tess stworzyli w Wirginii, jednak nie była to Anglia.

Sześć lat minęło jak z bicza strzelił. Był tu szczęśliwy razem z Tess. Tutaj przyszły na świat ich córki, Lucie i Marianne. Jack zaangażował się w kierowanie pracami rolniczymi z takim entuzjazmem, jaki obiecywał mu Puck, a posiadłość co roku przynosiła dochody.

To jednak nie była Anglia.

Znalazł Tess w zielniku, gdzie na klęczkach wyrywała chwasty. W kwestii ogrodu była nieugiętą tyranką. Nie należała do tych, co czekają z koszykiem, podczas gdy służący obcinają kwiaty. Nigdy nie uznawała półśrodków.

– Zjawiła się poczta. Chyba przyszło coś z Anglii– oznajmił, a potem uśmiechnął się, gdy pośpiesznie wstała i sięgnęła do torby. – Może najpierw zdejmiesz te rękawiczki, kochanie? Jesteś pewna, że nie wyszłaś tutaj tuż po deszczu, żeby robić babki z błota?

Szybko ściągnęła rękawiczki i tym razem z powodzeniem wyrwała mu torbę.

– Mówiłam ci wielokrotnie, że chwasty ustępują znacznie łatwiej, kiedy ziemia jest miękka i wilgotna. – Uśmiechnęła się szeroko. – Ale lubię babki z błota. Może usiądziesz ze mną i zobaczymy, co przyszło? Chyba że już patrzyłeś.

Usiadł obok niej na ławeczce.

– Po tym, jak kazałaś mi przysiąc, że nigdy nie otworzę żadnego listu z Anglii bez ciebie? Aż taki dzielny nie jestem.

– Chciałam, żebyś mi to obiecał jedynie dlatego, że nikt nie powinien samotnie czytać złych wieści. Ani dobrych, jak się nad tym zastanowić. – Wsunęła rękę do torby i wyciągnęła owiniętą paczuszkę wielkości książki. – Pewnie znowu jakieś uczone tomisko od Pucka, na temat orki warstwicowej albo radości związanych z rozmnażania rogacizny, i z prośbą, byś pozwolił mu eksperymentować w naszej posiadłości. – Odłożyła paczkę na bok i ponownie sięgnęła do torby. – O, list od Beau. Nie jest zbyt gruby, prawda? Zwykle pisze dwie kartki, a Chelsea jeszcze jedną. – Podała przesyłkę Jackowi. – Masz, otwórz.

– Najpierw buziak na szczęście – zażądał.

Tess pachniała wiosną, słońcem i świeżo wruszoną ziemią. Smakowała miodem, więc domyślił się, że wcześniej odwiedziła pszczelarza. Być może znowu była w ciąży. W błogosławionym stanie zawsze miała niezwykły apetyt na słodczy.

– Kocham cię – oznajmiła po pocałunku i oparła czoło o jego ramię, po czym spojrzała mu w oczy.

– Wiedziemy tu dobre życie, Jack. Mamy syna, córki i siebie nawzajem.

– Niczego nam nie brakuje. Chociaż kusi mnie nieco pomysł udania się

do naszej sypialni – dodał, próbując zignorować list w dłoni.

– Jak zawsze – odparła ze śmiechem. – Ale chyba już dość zwlekamy. Otwórz list od Beau. Regina pewnie zdążyła urodzić dziecko. Pamiętasz, co pisała w ostatnim liście? Zazdrości mi córek. Czuje się zdominowana przez Pucka i swoich trzech synów. Uwielbiam, jak sobie dogryzają.

– A oni uwielbiają sobie dogryzać. Tak jak Beau i Chelsea uwielbiają się kłócić.

– Tylko po to, żeby mogli się przeproszać – zauważyła Tess domyślnie, a potem westchnęła, patrząc na list. – Sześć lat, Jack. To naprawdę szmat czasu.

Sześć lat wcześniej lord Liverpool wyraził zachwyt nad pojmaniem Cygana. Pogratulował Jackowi sukcesu i z szerokim śmiechem zgodził się zwolnić go ze służby dla Korony. Uścisnął mu dłoń i nawet poklepał go po plecach, gdy wychodzili z gabinetu. Dopiero w ostatniej chwili, jakby od niechcienia zapytał o plany na przyszłość, o to, gdzie będzie mieszkał i jak się utrzyma. Cóż za uprzejme zainteresowanie ze strony człowieka, który nie bywał uprzejmy, jeśli nie leżało to w jego interesie. Głupcy mogli uważać go za nieszkodliwego gadułę, ale Jack dobrze wiedział, jaki Liverpool był w istocie.

Trzy dni później Jack i Tess wzięli ślub w kaplicy na terenie posiadłości, a Jack z wdzięcznością i po długich namowach Tess – przyjął od markiza akt własności ziemi na wschód od Swanbourne. Następnie oboje wypłynęli z Portsmouth, nawet nie postawiwszy nogi na podarowanym gruncie. Jack zabrał ze sobą list, w którym markiz wyznaczał go na swojego przedstawiciela i zarządcę posiadłości nad James River.

Nie było ich w Anglii w dniu egzekucji Cygana. Dopiero z listu Beau dowiedzieli się, że markiz zapewnił Adelaide stały dochód, wymusiwszy na



niej obietnicę, że opuści Anglię i nigdy nie powróci. Jakiś czas później Chelsea napisała, że matka Jacka zmarła. Nie brali udziału w nieustającej walce markiza, który pragnął uznać swoich synów. Przebywali w innym świecie, wspólnie budując życie, jednak w takie dni jak ten, kiedy przychodziły listy...

– Chyba masz rację, nie możemy tego dłużej odkładać – powiedział Jack i rozerwał pieczęć, po czym rozłożył kartkę. Nie widniał na niej żaden nagłówek.

*Chelsea powiedziała, że nie będziecie mieli nic przeciwko zwięzłości, a nalega, bym zdążył jeszcze dzisiaj, przed odejściem poczty. Po pierwsze, w zeszłym tygodniu Regina bezpiecznie powiła syna, zdrowego chłopca, choć niestety, niepokojąco podobnego do Pucka. Wybaczcie mi tego kleksa. Całą winę za jego powstanie ponosi lady Chelsea, która zerka mi przez ramię i sugeruje, co powiniennem napisać, a następnie wścieka się, gdy to napiszę.*

*Owszem, napisałem lady Chelsea. Nadal chichocze, gdy myśli o reakcji swojej rodziny na ten tytuł i gdy uświadamia sobie, że pewnego dnia będą zmuszeni przed nią dygać. Regina podchodzi do tego znacznie spokojniej, między innymi za sprawą Pucka. Ten fircyk chyba uważa, że londyńskie towarzystwo stęskniło się za nim, i planuje przeprowadzkę na Grosvenor Square w przyszłym roku. Ani przez chwilę nie wątpi, że zostanie przyjęty do śmietanki towarzyskiej. Ja również w to nie wątpię.*

*Tak czy inaczej, musisz wiedzieć, że wysiłki taty w końcu przyniosły owoce. Trudno w to uwierzyć po tylu latach i tylu rozczarowaniach, ale pokonałliśmy ostatnią przeszkodę. Dwa lata temu Kościół zaakceptował petycję taty, o czym wiesz, ale dopiero teraz udało się zainteresować sprawą rząd.*

*Gratuluję więc Tobie i nam wszystkim. O dziwo, za sprawą*

*pociągnięcia pióra jakiegoś oficjela już nie jesteśmy bękartami, lecz arystokracją. Jack, Liverpool nie może cię teraz tknąć. Byłby idiotą, gdyby próbował. Zresztą złagodniał, a zmiany w gabinecie torysów zapewniły mu władzę na najbliższe lata. Szczerze mówiąc, Jack, nie jesteś już wart jego wysiłków.*

*A teraz moja najdroższa żona jak zwykle na swój pełen gracji sposób żąda, bym zakończył. Tata załącza pozdrowienia dla Ciebie i Tess, licząc na to, że domyślasz się, czego najbardziej pragnie.*

*Podobnie jak my wszyscy,*

*Beau*

Jack położył list na kolanach i popatrzył na Tess. Po jej policzkach płynęły łzy.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Tak bardzo pragnął jej podziękować za miłość, za wiarę w niego, gdy sam nie potrafił w siebie uwierzyć, i za pomoc w zrozumieniu znaczenia słowa „rodzina”.

Kiedy w końcu zdołał się odezwać, wyraził wszystko, co miał na sercu, w trzech prostych słowach.

– Wracamy do domu.